

Powieść Careya rozgrywa się w świecie współczesnej sztuki i genialnie oddaje zarówno mękę, jak i szaloną pasję artystycznego tworzenia. To niesamowite dzieło można odczytywać na różnych płaszczyznach, nie tylko jako ciekawą love story.

„Ait Ouarteily

Najciekawsza książka Careya. Powieść, która atakuje czytelnika i nie pozwala wyzwolić się z magii aż do ostatniej strony. Peter Carey stworzył dzieło głęboko ludzkie, na wskros australijską powieść o wielkiej namiętności. Genialne dzieło sztuki rebelianta.

„The Guardian”

Książka Petera Careya to portret artysty, malarza w średnim wieku, którego życie to ciągłe kryzysy i upadki. Mimo iż temat genialnej jednostki w złym świecie powtarzано wiele razy, jestem pewny, że ten portret zostanie zapamiętany

.Independent on Sunday

ISBN 978-83-11-05555-1

*29,00'

C9812-0 LP

ZŁODZIEJSTWO

CZYLI HISTORIA MIŁOSNA

Przełożyła z angielskiego

Maja Kittel

BELLONA Warszawa

Tytuł oryginału: Theft a love story

Okładkę i strony tytułowe projektował: Lesław Robert Kostulski

Redakcja merytoryczna i korekta: Hanna Smierzyńska

Redaktor prowadzący: Kornelia Kompanowska

Redaktor techniczny: Małgorzata Katarzyna Ślęzak

All rights reserved © Peter Carey, 2006

The right of Peter Carey to be identified as author of this work has been asserted in accordance with Section 77 of the Copyright, Designs and Patents Act 1988

© Copyright for the Polish translation by Maja Kittel, Warszawa 2006

© Copyright for the Polish edition by Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2006

Dom Wydawniczy Bellona prowadzi sprzedaż wysyłkową swoich książek za zaliczeniem pocztowym z rabatem do 20 procent od ceny detalicznej.

Nasz adres: Dom Wydawniczy Bellona,

ul. Grzybowska 77,00-844 Warszawa

Dział Wysyłki: tel. 022 45 70 306,022 652 27 01,

fax 022 6204271

e-mail: biuro@bellona.pl

Internet: www.bellona.pl

www.ksiegarnia.bellona.pl

ISBN 83-II-10526X

Joachim urodził się jeszcze przed wojną, w czasach, gdy dzieci musiały znać na pamięć trzynaście zasad użycia wielkiej litery. Joachim wymyślił nową, swoją własną zasadę: bez względu na okoliczności, rób dokładnie to, co chcesz.

Macado Fernandez, Jeden człowiek

Mamże być królem, czy zwyczajną świnią?

Flaubert, Zapiski intymne

Rozdział pierwszy

Ne wiem, czy moja historia nadaje się na wielką tragedię, ale naprawdę jest w niej sporo dotujących momentów. Można ją podciągnąć pod romans, chociaż miłość pojawiła się dopiero w samym środku szamba. Do tego czasu zdążyłem już stracić ośmioletniego syna oraz dom i studio w Sydney, gdzie zyskałem sobie sławę wielkiego malarza, przynajmniej na skalę lokalną. Właśnie miałem dostać państwowy order Australii - czemu by nie, gorsze łachmyty go dostawały. Tymczasem prawnicy od rozwodów odebrali mi dziecko, oskubali mnie do czysta, po czym wsadzili do pudła za próbę odzyskania mojego najlepszego obrazu, który został uznany za majątek wspólny.

Gdy chmurną wiosną 1980 roku opuściłem więzienie Long Bay, czekała na mnie wiadomość, że dostanę posadę w północnej Nowej Południowej Walii i że muszę tam natychmiast jechać. Nie miałbym prawie nic na własne wydatki, ale gdybym przystopował picie, to byłoby mnie stać na malowanie mniejszych prac i utrzymanie Hugh, mojego upośledzonego brata, ważącego sto dziesięć kilo.

Prawnicy, marszandzi i kolekcjonerzy wspólnie postanowili mnie ocalić. Tacy dobrzy, tacy hojni. Nie mogłem się przyznać, że mam cholernie dosyć opieki nad Hugh i ani mi się śni wyjeżdżać z Sydney, nie wspominając o rzucaniu picia. Byłem zbyt wielkim tchórzem, żeby powiedzieć prawdę, więc pokornie ruszyłem w drogę, którą mi wytyczyli. Dwieście mil na północ od Sydney, w Taree, zacząłem kaszleć krwią do motelowej umywalki. Bogu dzięki, pomyślałem, wreszcie dadzą mi święty spokój.

8

Ale to było tylko zapalenie płuc i jednak nie umarłem.

Nowy plan wymyślił mój największy kolekcjoner, Jean Paul Milan. Miałem służyć nieodpłatnie jako cieć w jego wiejskiej posiadłości, którą od półtora roku bezskutecznie usiłował sprzedać. Jean Paul żył z sieci domów spokojnej starości, przynajmniej do czasu, kiedy doczekały się inspekcji z komisji zdrowia, ale lubił także malować, w związku z czym kazał zaprojektować sobie studio, którego południowa ściana składała się z wielkich, szklanych drzwi i wychodziła na rzekę. Naturalne światło, jak ostrzegł mnie uprzejmie już przy składaniu oferty, przybierało tu nieco zielonkawy odcień; „usterkę” tę wywoływały starodawne kazu-aryny, porastające rzędami brzeg. Powinienem być mu powiedzieć, że cała ta gadka o naturalnym świetle to mit, ale znowu ugryzłem się w język. Pierwszego wieczoru po wyjściu z pudła, podczas żałośnie bezalkoholowej kolacji w towarzystwie Jeana Paula i jego żony, zgodziłem się grzecznie, że współcześni malarze popełniają tragiczny błąd, rezygnując z naturalnego światła, słońca, świec i blasku gwiazd, że istotnie obrazy kabuki straciły wiele, odkąd ich twórcy przestali malować przy gasnących ogarkach, a obrazy Maneta najkorzystniej prezentują się w przymglonych promieniach dnia wpadających przez zakurzone okna. Ale - niech to cholera! - moje prace miały święcić triumfy albo iść na zatracenie na ścianach zamkniętych pomieszczeń galerii i potrzebowałem solidnych 240 voltów zmiennego prądu, żeby robić to, co do mnie należało. Tymczasem przyszło mi zamieszkać w „raju”, w którym prąd należał do rzadkich luksusów.

Jean Paul, ledwo wielkodusznie powierzył mi pieczę nad swoim domostwem, wpadł w panikę, że mu je zdewastuję. Być może prawdziwą inspiratorką tych lęków była jego żona, która wiele lat wcześniej przytapała mnie na wydmuchiwaniu nosa w jej elegancką serwetkę. W każdym razie nie minęło nawet sześć dni od mojej przeprowadzki do Bellingen, kiedy rankiem do domu wparował Jean Paul i wyrwał mnie ze snu. To był niezły wstrząs, ale zacisnąłem zęby i zrobiłem mu kawę. A potem przez dwie godziny włóczyłem się za nim jak pies po terenie posiadłości i wysłuchiwałem pilnie tych

9

głupot, jakie miał mi do powiedzenia. Wszystko zapisywałem w notesie, starym, wielkim zeszytce oprawionym w skórę, o który dbałem jak o własne życie. Notowałem w nim składniki wszystkich farb, jakie wymyśliłem od czasu mojego tak zwanego przełomowego pokazu w 1971 roku. To był mój pamiętnik, skrzynia skarbów, zapis wlotu i upadku, historia życia. Osty, powiedział Jean Paul. Więc zapisałem osty w moim cudownym zeszytce. Koszenie. Zanotowałem, literka po literce. Zwalone drzewa nad rzeką. Piła łańcuchowa Stihl. Tłuste zawory. Traktor nie powinien stać tuż koło domu. Drwa nie są właściwie ułożone - natychmiast wysłałem Hugh, żeby dostosował kształt piramidki do wymogów Jeana Paula. Na koniec mój patron dotarł do studia, wciąż wlokąc mnie za sobą. Przed wejściem zdjął buty, jak gdyby zamierzał się pomodlić. Poszedłem w jego ślady. Jean Paul otworzył oszklone drzwi, odsłaniając widok na rzekę, po czym na dłuższą chwilę wbił rozmarzone spojrzenie w krainę snów, bełkocząc coś o pieprzonych liliach wodnych Moneta. Poważnie.

Jean Paul miał bardzo ładne stopy, zauważyłem to już wcześniej, takie białe i wysoko sklepione. Chociaż był dobrze po czterdziestce, jego palce u nóg wydawały się proste i smukłe jak palce dziecka.

Jak na właściciela ponad dwudziestu domów opieki, Jean Paul nie zachowywał się szczególnie wylewnie, ale tym razem pozwolił sobie położyć dłoń na moim ramieniu.

- Rzeźnik, wiem, że będziesz tu szczęśliwy - powiedział.
- Na pewno.

Mój patron omiół zachwyconym wzrokiem długi, wysoki pokój, po czym delikatnie potarł perfekcyjnie zbudowaną stopą o miękką powierzchnię podłogi. Gdyby nie tzy w oczach, wyglądałby jak atleta szykujący się do biegu w jakimś świecie rodem z literatury fantastycznonaukowej.

- Drewno mirtowe - powiedział. - Czyż to nie wspaniałe?

Miał na myśli podłogę, rzeczywiście przepiękną, o barwie jasnoszarego pumeksu. Deski ewidentnie pochodziły z ostatnich

10

skrawków lasów deszczowych, ale kimże byłem ja, kryminalista, by mówić o moralności?

- Jakże ci zazdroszczę - oświadczył.

I tak to się ciągnęło. Ja pokorny i udomowiony jak wielki, emerytowany labrador, który spokojnie pierdzi sobie przed kominkiem. Mogłem błagać o płótno i Jean Paul na pewno by mi je dał, ale w zamian chciałby dostać obraz. A ja myślałem właśnie o takim obrazie, którego w żadnym wypadku nie zamierzałem oddawać patronowi. Jean Paul nie wiedział, że zostało mi jeszcze około dwunastu jardów bawełnianego płótna, pochodzącego z dobrych czasów jeszcze przed ostatnimi dwoma niezłymi pracami, zanim zostałem zmuszony do używania masonitu. W milczeniu sączyłem bezalkoholowe piwo, które Jean Paul przywiózł mi w prezencie.

-Dobre, nie?

- Prawie jak prawdziwe.

Wreszcie Jean Paul wydał ostatnie instrukcje, a ja złożyłem ostatnie obietnice. Stanąłem przed studiem, patrząc, jak wynajęty samochód mojego patrona podskakuje na wybojach pastwiska. Wreszcie dotarł do asfaltowej drogi i po chwili zniknął mi z oczu.

Kwadrans później byłem już w wiosce Bellingen i przedstawiłem się gościom ze sklepu wielobranżowego. Kupiłem trochę sklejki, młotek, piłę ciesielską, dwa funty dwucalowych wkrętów, dwadzieścia 150-watowych żarówek, pięć galonów czarnej farby Dulux Jet i tyle samo białej i wszystko to, łącznie z paroma innymi drobiazgami, kazałem zapisać na rachunek Jeana Paula. A potem zabrałem się do urządzania studia.

Później wszyscy cholernie się oburzali, jak to niby zrujnowałem szlachetną podłogę stalowymi wkrętami, ale nie wyobrażam sobie, jak inaczej miałem przymocować na niej sklejkę. Bo zostawić wszystko tak, jak było, na pewno nie mogłem. Jak wiadomo, przyjechałem tam po to, żeby malować, a podłoga w studio malarza musi być jak stół ofiarny, podziobana od stempli, ale także pielęgnowana, troskliwie zamiatana, szorowana i myta po każdym użyciu. Na sklejkę położyłem warstwę taniego szarego lino-

11

leum, które pokryłem tyłoma warstwami oleju lnianego, że w końcu cuchnęło jak świeżo wymalowany lanszaft. Ale ciągle nie potrafiłem wziąć się do pracy. Jeszcze nie.

Uhonorowany licznymi nagrodami architekt Jeana Paula wyposażył studio w wysoki sklepiony dach, pod którym przeciągnął napięte stalowe druty, jak cięciwy w łuku. Genialne jak cholera. Pod tymi drutami zawiesiłem rzędy żarówek, co ślicznie zniwelowało zarówno dekoracyjny efekt, jak i zielonkawy poblask płynący od kazuaryn. Ale nawet po tych ulepszeniach nie potrafiłem sobie wyobrazić gorszego miejsca do tworzenia sztuki. Pętało się tam od cholery latających paskudztw, jak w dżungli, a co większe owady przyklejały się do pomalowanej dulksem podłogi i tam ginęły, znacząc swoją agonię kręgami w schnącej farbie. Oczywiście te wielkie drzwi od strony rzeki były dla nich jak otwarte zaproszenie. Wróciłem zatem do sklepu i zamówiłem trzy świecące na niebiesko lampy przeciwko insektom, ale to była kropla w morzu.

Wokół rósł subtropikalny las deszczowy, pieniły się niezliczone drzewa, a owady nie mające jeszcze nazw - nie licząc moich: „ty mała cipo”, „ty małe gówno” - dewastowały moją wyszorowaną, wypiaskowaną, gładziutką podłogę. W obronie efektów swej ciężkiej pracy rozwiesiłem obrzydliwą siatkę przeciwko owadom, ale okazała się za wąska, więc w akcie desperacji zamówiłem na kredyt jedwabną kotarę - obszytą bokach rzepami velcro i obciążoną dołu grubym wątkiem wypełnionym piaskiem. Kotara była ciemnoniebieska, a wątek rdzawobrazowy. Teraz mali sabotażyści całymi tysiącami wlatywali prosto w śliskie, zdradliwe fałdy i tam ginęli marnie. Każdego ranka zmiatałem ich trupy przy okazji czyszczenia podłogi i wybierałem sobie niektóre okazy jako modele do martwych natur - po prostu dlatego, że rysowanie ogromnie mnie odpręża. Często, zwłaszcza kiedy zabrakło mi wina, siadałem przy stole w jadalni i powoli zapełniałem kartki notesu precyzyjnymi portretami tych prześlicznych ciałek. Czasem pytałem sąsiada, Dozy'ego Boylana, jak się nazywają.

12

Na początku grudnia Hugh i ja na dobre weszliśmy w role opiekunów posesji i utrzymaliśmy się w nich aż do lata, kiedy to w moim życiu rozpoczął się kolejny ciekawy rozdział. Piorun zniszczył transformator na drodze do Bellingen, więc nie miałem dobrego światła do pracy i odpłacałem Jeanowi Paulowi za jego dobroć poprzez upiększanie frontowego podwórza za pomocą motyki, którą atakowałem osty, porastające napis „NA SPRZEDAŻ”.

W północnej Nowej Południowej Walii styczeń to najgorętszy i najwilgotniejszy miesiąc. Po trzech dniach ulewy grunt na podwórzach przemókł do reszty. Przy każdym zamachu motyką czułem ciepłe błoto wążące mi między palce u stóp jak rzadkie gówno. Aż do tego dnia strumień był klarowny jak dżin, widziałem wyraźnie skaliste dno niecałe pół metra pod płytką, krył sta-licznie czystąpowierzchnię wody. Teraz jednak, zmieszany z potokami błota wymywanego z gruntu, strumyk przemienił się w roz-szalałąbestię: żółtą, wzburzoną, ziemistąpotęgę wody, która nagle osiągnęła poziom dwudziestu stóp, zalała tylne podwórze i zaczęła podmywać sam szczyt nabrzeża, gdzie stało moje studio, wzniesione co prawda na solidnych, drewnianych palach, ale nie wolne od zagrożenia. Z tego miejsca, dziesięć stóp nad ziemią, można było wyruszyć na spacer ponad falami szalejącej rzeki jak po wysokiej kei. Jean Paul, podczas swojego wykładu na temat domu i studia, nazwał tę platformę Scynk, na cześć małych australijskich jaszczurek, które gubią ogon, kiedy czują się zagrożone. Zastanawiałem się, czy mój patron zwrócił uwagę, że cały dom stał na terenach zalewowych.

Nie minęło jeszcze sześć tygodni od dnia naszego wygnania - pamiętam dobrze, bo właśnie wtedy po raz pierwszy nas zalało, a Hugh wrócił do domu od sąsiadów ze szczeniakiem rasy queensland heeler pod pachą. Sam Hugh przysparzał mi wystarczająco dużo kłopotów, nawet bez dodatkowych komplikacji, chociaż nie mogę powiedzieć, że zawsze broił. Czasem bywał cholernie sprytny i zmyślny, ale czasem zmieniał się w jęczącego, bełkoczącego głupka. Czasem otaczał mnie uwielbieniem, głośnym i namiętym, i szalał wtedy jak roz-

13

bawione, wąsate dziecko o nieświeżym oddechu. Parę godzin albo parę minut później stawałem się naczelnym wrogiem, a Hugh zaczynał się gdzieś w dzikich chaszczach, żeby niespodziewanie skoczyć mi na plecy i wepchnąć w błoto, w mokre krzaki cukinii albo po prostu do rzeki. Znałem Hugh Poetę, Hugh Mordercę, Hugh Genialnego Idiotę i każdy z tych Hugh był ode mnie cięższy i silniejszy. Kiedy udawało mu się przygwoździć mnie do ziemi, jedyne, co mogłem zrobić, żeby odzyskać kontrolę, to wygiąć mu mały palec tak, jak gdybym chciał go złamać. Żaden z nas nie potrzebował psa.

Przeciąłem korzenie jakiejś setki ostów, narąbałem drewno, roznieciłem ogień pod kuchnią, na której grzała się woda do japońskiej łaźni, i odkryłem, że Hugh śpi, a szczeniak gdzieś przepadł, więc wycofałem się na platformę. Przyglądałem się kolorom rzeki, nasłuchiwałem szczęk kamieni, obracających się pod wezbraną, poranioną powłoką rzeki Nigdy Nigdy. A szczególnie ciekawie przyglądałem się kacze mojego sąsiada, która wznosiła się i opadała na falach żółtej powodzi, a ja czułem, jak platforma drży, niczym maszt jachtu gnanego wiatrem o prędkości trzydziestu węzłów.

Nagle dobiegło mnie skądś ujadanie szczeniaka. Psiak chyba za bardzo podekscytował się obecnością kaczki, a może wyobraził sobie, że sam jest kaczką - co za myśl. Tego dnia deszcz nie odpuszczał ani na chwilę, moje szorty i koszulka były kompletnie przemoczone, więc nagle dotarło do mnie, że będzie mi znacznie wygodniej bez nich. Toteż teraz, nieświadomy jeszcze dramatu szczeniaka, siedziałem przykucnięty w samym środku rwącego potoku, goluteńki jak hippis, ja, Rzeźnik Bones, syn rzeźnika, wygnany 400 mil od Sydney, ale niespodziewanie zachwycony deszczem i jeżeli nawet wyglądałem jak wielki, włochaty wom-bat, cóż z tego. To nie była może nirwana czy coś w tym rodzaju, ale przynajmniej choć na chwilę uwolniłem się od wewnętrznego roztaśnienia, melancholijnych wspomnień o synu i wściekłości, że muszę malować pieprzonym dulksem. Na prawie sześćdziesiąt sekund udało mi się osiągnąć coś na kształt spokoju, ale wtedy jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy. Później wiele razy żałowa-

14

łem, że nie potraktowałem pierwszej z nich jak czegoś w rodzaju omenu. A trwało to tyle, co mgnienie oka: obraz szczeniaka unoszonego przez szybką, żółtą falę potoku.

Potem, w Nowym Jorku, zdarzyło mi się zobaczyć faceta wyskakującego z budynku na Broadwayu. Ułamek sekundy. W jednej chwili jeszcze tam jest, w drugiej już go nie ma. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. W przypadku psa nie wiem, co właściwie czułem, ale na pewno nie zwykłą litość. Zdumienie, jasne. Ulgę - bo koniec z opieką nad kundlem. Złość - bo będę musiał teraz znosić absurdalną rozpacz Hugh.

Nie przypominam sobie, jaki miałem plan, ale natychmiast zacząłem walczyć z mokrymi ciuchami, kiedy nagle, przypadkiem, wyjrzałem przed studio i daleko w dole, przed frontową bramą, niespełna dwadzieścia metrów od kratownicy dla bydła, zobaczyłem czarny samochód, buksujący w błocie i zakopany aż po osie.

Nic nie usprawiedliwiało mojej wściekłości pod adresem potencjalnych nabywców posiadłości, może poza niezbyt dobrym momentem, jaki wybrali sobie na wizytę. Cholera, nie podobało mi się, że ktoś będzie wtykał nos w moje sprawy i pewnie jeszcze oceniał moje obrazy w studio albo utrzymanie domu. Ale nie byłem już sławnym artystą, tylko cieciem, więc z wysiłkiem wbiłem się z powrotem w mokre, odporne łachy i powlokłem się przez błoto do szopy, w której stał traktor. Zapuściłem silnik. To był fiat i chociaż jego potwornie hałaśliwy dyferencjał omal nie przyprawił mnie o głuchotę, obdarzałem tę żółtą bestię jakimś irracjonalnym uwielbieniem. I tak, przycupnięty wysoko w siodle mojej maszyny, śmieszny i bohaterski jak Don Kichot, wyruszyłem na ratunek mojemu gościowi.

Gdyby nie upiorna pogoda, pewnie zobaczyłbym uskok Dorri-go trzy tysiące stóp ponad samochodem, mgłę unoszącą się znad starodawnych krzewów, nietkniętych ludzką siekierą, nowo narodzone chmury płynące wysoko z potężnymi, gorącymi prądami, które każdy pilot szybowca wyczułby w głębi żołądka, ale

15

teraz góry ginęły w deszczu i ledwie widziałem linię własnego płotu i światła intruza. Okna forda zaparowały do tego stopnia, że z odległości dziesięciu metrów mogłem najwyżej wypatrzeć zarys firmowej nalepki AVIS na wstecznym lusterku. To stanowiło wystarczający dowód, że mój gość był kandydatem na kupca, więc

przygotowałem się na okazanie mu wszelkiej uprzejmości, nawet w obliczu arogancji. Moja cierpliwość ma jednak granice, więc kiedy nikt nie wyszedł, żeby się przedstawić, zacząłem się zastanawiać, co za pieprzony palant z Sydney wyobrażał sobie, iż może zawalać mi cały podjazd i jeszcze czeka w aucie, aż zacznę go obsługiwać. Zszedłem z traktora i rąbnąłem pięścią w dach.

Przez prawie minutę nie było żadnej reakcji. Potem zaterkotał silniczek i jedno zaparowane okno otworzyło się powoli, odsłaniając trzydziestoletnią kobietę o włosach koloru zboża.

- Czy pan Boylan? - zapytała z dziwnym akcentem.

-Nie - odpowiedziałem. Miała migdałowe oczy i ogromne usta, niemal za duże jak na jej szczupłą twarz. Wyglądała niezwykle, ale bardzo atrakcyjnie, więc pewnie się zdziwicie, że ktoś tak żałosny, samotny i porzucony jak ja poczuł na jej widok głównie potworną irytację.

Przybyła wyrzała przez okno i zbadła wzrokiem przednie i tylne koła, które wryła głęboko w mój grunt.

-Nie jestem do tego odpowiednio ubrana - stwierdziła.

Gdyby zdobyła się na przeprosiny, pewnie zareagowałbym inaczej, ale ona po prostu otworzyła okna i zaczęła wykrzykiwać do mnie instrukcje.

No cóż, kiedyś byłem sławny, ale teraz robiłem za stróża, więc czego mogłem się spodziewać? Owinąłem drut wokół tylnej osi, przy okazji obryzgując się błotem oraz krowim łajnem. Następnie wróciłem na traktor, włączyłem silnik, wrzuciłem naj-mższy bieg i ruszyłem. Oczywiście zostawiła wóz na biegu, więc manewr ten utworzył dwie długie bruzdy biegnące przez trawę aż do nawierzchni.

16

Nie widziałem powodu, aby się żegnać. Odplątałem drut, po czym pojechałem z powrotem do szopy, nawet się nie oglądając.

Po powrocie do studia zobaczyłem jednak, że kobieta wcale nie odjechała, tylko właśnie kroczyła boso przez podwórze w stronę domu, niosąc szpilki w ręku.

O tej porze zwykle rysowałem, więc ignorując gościa zabrałem się do temperowania ołówków. Rzeka szumiała mi w uszach jak krew, ale słyszałem stąpania jej bosych stóp na twardych, drewnianych schodach i ciche trzaski słupów wspierających podłogę.

Zawołała, ale ani Hugh, ani ja nie odpowiedzieliśmy, więc ruszyła dalej krytym korytarzem, łączącym dom ze studiem, długą, giętką i chybotliwą konstrukcją zawieszoną jakieś dziesięć stóp nad ziemią. Mogła była zapukać, ale wzdłuż ściany biegł jeszcze bardzo wąski chodniczek, prowadzący za róg, do przeszklonego wejścia, więc po chwili stanęła w otwartych drzwiach studia, tuż za jedwabną kotarą, na tle rzeki.

- Przepraszam, to znowu ja.

Udawałem, że całkowicie pochtaniaj mnie ołówki.

- Czy mogłabym skorzystać z telefonu?

W tym momencie włączył się prąd i pomieszczenie utonęło w jasnym świetle. A tam, za zasłoną z jedwabiu, czekała szczupła blondynka, unurzana po tydki w błocie.

- Robi wrażenie - powiedziała.

-Nie, nie może pani wejść.

- Proszę się nie obawiać, nie naniostałbym błota do studia.

Dopiero później uświadomiłem sobie, jak niewielu laików sformułowałoby to w ten sposób. Wtedy moją uwagę zajmowały proste fakty: nie przyjechała po to, żeby kupić ten dom, była niezwykle atrakcyjna i potrzebowała pomocy. Zaprowadziłem ją z powrotem do „skromnej sadyby” Jeana Paula, w której jedyny prawdziwy pokój stanowiła kuchnia z kwadratowym stołem z tasmańskiego hebanu. Do moich obowiązków - brzmiał ostatni nakaz Jeana Paula - należało codzienne szorowanie tego stołu. Teraz tasmański heban prezentował się znacznie efektowniej,

17

niż kiedy mój patron widział go po raz ostatni - pokrywała go kadmowa żółć, karmazynowy róż, cuny, wino, wołowy tłuszcz, glina - ślady miesiąca domowego życia, obecnie częściowo przesłonięte imponującymi zbiorami dyni i cukinii, pomiędzy których w końcu udało mi się wygrzebać telefon.

- Nie ma sygnału z centrali - powiedziałem. - Na pewno zaraz to naprawię.

Hugh zaczął się miotać po swoim pokoju. Nagle przypomniałem sobie o utopionym psie. Kompletnie wyleciało mi to z głowy.

Mój gość pozostał po drugiej stronie moskitiery i drzwi.

- Przepraszam - powiedziała. - Widzę, że ma pan ważniejsze zmartwienia.

Była przemoczona i z krótkimi, żółtymi włosami wyglądała jak kurczak uratowany od utonięcia.

Otworzyłem drzwi.

- W tej części domu błoto nam nie przeszkadza - powiedziałem.

Przez chwilę stała przed progiem, trzęsąc się z zimna. Chciałem zapakować ją do kartonowego pudełka i położyć przed ciepłym kominkiem.

- Może miałyby pani ochotę na gorący prysznic i trochę suchych ubrań na zmianę?

Nie mogła wiedzieć, jak niezwykle intymna była moja propozycja. Łazienka Jeana Paula mieściła się na tyłach i tam my, włochaci mężczyźni, braliśmy prysznic właściwie na wolnym powietrzu, symbolicznie oddzieleni od rzeki i rzędu pochylonych drzew cieniutką zastoną moskitiery. Wyczyszczeni, wdrapywali się do wielkiej, japońskiej kadzi pełnej wrzątku, i gotowaliśmy się tam przez chwilę, czerwoni jak raki, a deszcz bił nas po twarzach.

Od publicznie dostępnej strony, tuż przy schodach przeciwpożarowych, odgradzały łazienkę tylko płócienne przesłony, które opuściłem przed moim gościem. Dałem jej nasz jedyny czysty ręcznik i suchą koszulę, jako sarong. - - W wannie nie można używać mydła-ostrzegłem.

18

- Domo arigato - odparła. - Wiem, co robić.

Domo arigato? Minęło pół roku, zanim dowiedziałem się, co to znaczy. Pomyślałem, że powinienem powiedzieć Hugh o tym przeklętym szczeniaku, ale nie chciałem znosić jego hysterii akurat w tej chwili.

Wróciłem do stołu zawałonego dyniami i usiadłem, cichutko jak myszka, na skrzypiącym krześle. Mój gość poszukiwał Boylana, pewnie Dozy'ego Boylana - bo kogóż by innego? W okolicy nie mieszkali inni Boylanowie, a wiedziałem, że nie miała szans przedostać się tym swoim wynajętym autkiem przez wodę. Zacząłem się zastanawiać, co mógłbym ugotować na kolację.

Nie chcąc prowokować Hugh, nie ruszałem się od stołu i czekałem, aż nieznajoma skończy kąpiel. Tylko raz ruszyłem się z miejsca, żeby wziąć ścierkę i krem nawilżający, po czym zacząłem czyścić jej Manolo Blahniki. Kto mi uwierzy? Przez ostatni rok małżeństwa zapłaciłem chyba za dwanaście par, ale dopiero teraz miałem okazję dotknąć takich butów. Nieprzyzwoita miękkość skóry przypawiła mnie o dreszcz. Trzasnęło drewno pływające pod kuchnią. Nie sądzicie, że byłem wyrachowany. Nie miałem pojęcia, w co się pakuję.

Rozdział drugi

^Ja dźwięk nagłającego „trach” ekranowych drzwi od łazienki schowałem buty pod stołem i zacząłem się krzątać po kuchni, wynosząc zabłocone dynie na ganek. Nie znaczy to, że nie zauważyłem jak wchodzi, ubrana w moją supermarketowąkoszulę, która zwisała jej luźno na ramionach, obramowując zaróżowioną szyję jasnoszarym kołnierzem.

Podąłem jej bezprzewodowy telefon.

- Centrala się włączyła - oświadczyłem. Gbur. Zwracano mi na to uwagę: na trzeźwo brak mi uroku.
- Och, to świetnie - odparła.

Przerzuciła ręcznik przez oparcie drewnianego krzesła, po czym energicznym krokiem wyszła na ganek. Mimo nieustannego bębnienia deszczu o dach, usłyszałem jej miękkie, amerykańskie „r”. Na moje ucho - Wschodnie Wybrzeże i stare pieniądze, ale jako Australijczyk wydawałem ekspertyzy tylko na podstawie filmów. Nie miałem pojęcia, kim ona jest. Mogła być HildąTrucicielkąze Spoon Forks w Północnej Dakocie, a ja i tak bym się nie zorientował.

Zacząłem kroić wielką dynię, piękna rzecz, płomienscie pomarańczowe wnętrze z rdzawymi plamkami i sekretnymi kryjówkami pełnymi śliskich nasion, które wydtubywałem prosto do pojemnika z kompostem.

Usłyszałem głos kobiety dobiegający z ganku.

-Dobrze. Tak. Dokładnie. Do zobaczenia.

Wróciła, burząc niecierpliwie włosy.

- Mówi, żeby przepawić się przez potok za tą dużą skałą-. powiedziała z tym swoim terkoczącym „r”. - Podobno pan będzie wiedział.

20

- Musi pani zaczekać, aż wody opadną.
- Nie mogę czekać - zaprotestowała. - Przykro mi.

I dokładnie w tym momencie - mnie też jest przykro, panienko, ale co mam, kurwa, zrobić, zatamować rzekę? - pomiędzy nami rozległo się nosowe posapywanie Hugh. Błady, tłusty, brudny, dwumetrowy idiota o groźnym spojrzeniu niespodziewanie wypełnił sobąkorytarz. Przynajmniej miał na sobie majtki, ale jego włosy wyglądały jak wyciągnięte krowie z żołądka i był nieogolony.

- Gdzie jest ten cholerny pies? - Chociaż tuż przed sobą miał naszego gościa, zwrócił się bezpośrednio do mnie.

Stałem po drugiej stronie kuchenki i śliskimi od oliwy palcami układałem na blasze dynię i ziemniaki.

- To mój brat, Hugh - powiedziałem.

Hugh zmierzył kobietę od stóp do głów swoim charakterystycznym, groźnym spojrzeniem.

- Jak się nazywasz?

- Marlene.

- A czytałaś może - zaczął, wydymając grubą, dolną wargę i krzyżując ręce na piersiach - taką książkę Magiczna wyprawa?

Chryste, pomyślałem, tylko nie to.

Marlene znowu potarła włosy.

- Wiesz, Hugh, tak się składa, że czytałam Magiczną wyprawę, i to nawet dwa razy.

- Jesteś Amerykanką?

- To bardzo trudno powiedzieć.

- Trudno powiedzieć. - Samodzielnie wykonana fizjura Hugh odślaniała mu całe uszy, przez co wyglądał jak jakiś wyjątkowo wredny mnich. - Ale czytałaś Magiczną wyprawę?

Tym razem poświęciła mu całą wagę.

-Tak, tak, czytałam.

Hugh obrzucił mnie nienawistnym spojrzeniem. Zrozumiałem bez trudu - teraz przez chwilę zamierzał zająć się rozmową, ale to nie znaczyło, że zapomniał już o sprawie z psem.

21

- A kogo najbardziej lubiłaś w Magicznej wyprawie? - zapytał, wbijając w Marlene brązowe oczy.

- Wszystkich czworo. - Marlene była oczarowana.

- Naprawdę? - Hugh najwyraźniej nie dowierzał. - Czworo?

- Łącznie z budyniem.

- Liczysz razem z budyniem!

- Ale lubię wszystkie rysunki. - W końcu odłożyła telefon na stół, po czym zaczęła porządnie wycierać włosy. - Złodzieje są najlepsi - powiedziała.

- Żartujesz? - Mój brat nie znosił złodziei. Od lat do rozpacz doprowadzał go fakt, że nie może dopaść tego wrednego oposa i rozwalić mu ryja.

-Nie mówię o postaciach-urwała na chwilę. - Ale o rysunkach. Są chyba lepsze niż wszystkie obrazy Lindsaya

razem wzięte.

- O tak - przyświadczył Hugh, mięknąc. - Widzieliśmy te cholerne obrazy Lindsaya. Niech mnie.

Cokolwiek pilnego miała do załatwienia, na chwilę najwyraźniej o tym zapomniała.

- A chcesz znać mojego ulubionego bohatera-osobę z Magicznej wyprawy?

-Tak.

-To Sam Sawnoff.

- On nie j est osobą.

- Nie, jest pingwinem, ale moim zdaniem to bardzo dobry bohater.

I proszę, oto kolejna reprezentantka tego rzadkiego, nieszczęśliwego gatunku ludzi, którzy „łapią dobry kontakt z Hugh”.

-A kogo ty lubisz? - zapytała z uśmiechem.

- Barnacle Billa! - wykrzyknął w ekstazie i w następnej sekundzie tańczył już dookoła stołu, walcząc z własnym cieniem i wrzeszcząc wniebogłose: - Racice do góry, wy przekłęci złodzieje!

Skromna sadyba Jeana Paula była, jak już mówiłem, lekką i delikatną budowlą, nie projektowaną z myślą o podskakujących

22

olbrzymach w zabłoconych buciorach. Filiżanki i spodki zagrzechotały na półkach. Marlene nie wydawała się zaniepokojona. Hugh otoczył ręką swoją klatkę piersiową. Nasz gość wciąż się uśmiechał, nie rozumiejąc sytuacji.

- Gdzie mój pieprzony pies? - syknął Hugh.

-Później, Hugh.

- Zamknij się. - Brakowało mu jednego zęba z przodu, a reszta cuchnęła próchnicą, ale odkąd doktor Schutte został deportowany, żaden dentysta nie odważył się leczyć mojego brata.

- Później, proszę cię.

Ale Hugh napierał mocno na moje plecy, przyciskając mi wąsatą szczękę do policzka. Był silnym, trzydziestoczteroletnim facetem i kiedy chwycił mnie ogromnym łapskiem za gardło, prawie straciłem oddech.

- Twój szczeniak się utopił.

Zobaczyłem, jak Marlene wciąga głęboko powietrze.

- Utonął, stary - powtórzyłem.

Puścił mnie, ale nadal nie spuszczałem z niego wzroku. Mój brat nie miał zwyczaju grać fair i wolałem, żeby nie zaszerwował mi swojego słynnego prawego sierpowego w brzuch.

Odszedł o krok, wstrząśnięty, a ja naprawdę myślałem tylko o tym, żeby znaleźć się poza jego zasięgiem.

- Uważaj na podgrzewacz do wanny - powiedziałem, ale Hugh już się o niego potknął, potem usiadł, sparzył się, krzyknął z bólu i pognął do swojego pokoju z opuszczoną głową.

Kurza twarz, pomyślałem, przypominając sobie kurczaka z Magicznej wyprawy.

Zawodząc dziko, Hugh zatrzasnęła drzwi i rzucił się na łóżko, od czego cały dom zadrżał w posadach. Błękitne oczy Marlene rozszerzyły się ze zdziwienia. Jak miałem jej to wyjaśnić? Rozpacz mojego brata była wciąż boleśnie obecna między nami i nie pora była zdradzać tajemnice.

- Czy dostanę się tam na piechotę? - zapytała.

23

Pięć minut później wyszliśmy razem prosto w szalejący sztorm.

Światła traktora były przymglone, potwornie trzęsło, a silnik i burza ryczały jak diabli. Wiatr nie przekraczał 20 węzłów, ale wiał od strony uskoku, więc deszcz bezlitośnie ciął mnie po twarzy, Marlene pewnie zresztą także. Pożyczyła ode mnie skórzaną kurtkę i parę gumowych butów, ale miała zwichrzone, poskręcane włosy i mrużyła oczy od deszczu.

Przez pierwsze półtorej mili, czyli przez całą drogę do kratownicy przed posesją Dozy'ego Boylana, byłem boleśnie świadomy tego szczupłego ciała, tych małych piersi przyciśniętych do moich pleców.

Rozumiecie, szalałem jak jurny samiec, dodatkowo rozwścieczony przez Hugh, przedzierałem się przez Loop Road z rykiem silnika i grzechotem ostrzy kosiarki. Szczęk nożyc i zawrota dyferencjału huczały mi w uszach.

Na miejscu moje słabe, żółte światła padły na wrzącą wodę potoku Sweetwater, który niegdyś był wąziutkim strumykiem Wielki kombajn Jeana Paula - coś, co ja nazywałem kosiarką- trzymał się na wysokim żurawiu hydraulicznym. Uniosłem go tak wysoko, jak się dało, całą kwadratową pakę metalu o wymiarach prawie dwa metry na dwa. Należało to zdjąć, ale ja jestem malarzem i moja wiedza z zakresu rolnictwa pozostawia naprawdę wiele do życzenia. Powiedziałem sobie stanowczo, że mały strumyk to nic groźnego, ale ledwo wjechałem do wody, poczułem lodowatą wodę w butach, a mój fiat zaczął ślizgać się po ukrytych w rzece f skałach. Potem prąd porwał kombajn i zaczęliśmy dryfować. Z dziwnie ściśniętym żołądkiem usiłowałem sterować w górę strumienia, ale traktor bez przerwy się ześlizgiwał, kołysał na niestabilnych głazach, kopiąc przednimi kołami w powietrzu jak koń. Nie, 'J»e byłem farmerem, ani trochę. Kosiarka wyglądała jak maka-je pomarańczowa barka miotana przez fale powodzi. Wy-przerazenie mojej pasażerki, która wbiła mi paznokcie ko w ramiona. Widziałem z bolesną, wkurzającą jasnością,

24

że zachowuję się jak idiota. Naraziłem własne życie... - właściwie po co? Nawet mi się nie podobała.

Niech nas, jak powiedziałaby Hugh.

Zdaje się, że Fortuna albo Opatrzność jednak czuwała nad nami, bo wynurzyliśmy się z kipieli na drugim brzegu i opuściłem kosiarkę przed podróżą w górę stromego podjazdu Dozy'ego. Marlene nawet się nie odezwała, ale kiedy dotarliśmy do drzwi, a Dozy wyszedł już, żeby ją powitać, zrzuciła z siebie moją kurtkę tak gwałtownym, rozpaczliwym ruchem, jak gdyby nigdy więcej nie chciała mieć jej na sobie. Niewątpliwie najadła się sporo strachu i wyobraziłem sobie, że wygnieciona skóra, którą mi podała, wchłonęła w siebie

furię wywołanąmojąbrawurą.

- Lepiej zdejmij tę kosiarkę - poradził Dozy. - Mogę ją tu przechować przez dzień czy dwa.

Dozy był bogatym i cenionym rzemieślnikiem, który wykorzystując niezwykłąenergię i siłę woli wiódł udane życie potężnego sześćdziesięciolatka z siwym wąsem i wielkim, farmerskim brzuszyskiem. Miał również naturalną smykałkę do etymologii, którą zajmował się w czasie wolnym, ale chwilowo nikogo z nas to nie interesowało. Marlene schroniła się w domu, a Dozy przyniósł sobie ogromną latarkę i w milczeniu poświęcił mi, kiedy odłączałem kosiarkę od dźwigni.

- Hugh został sam?
- Zaraz do niego wracam.

Mój przyjaciel nie wygłosił żadnego potępienia, ale i tak natychmiast wyobraziłem sobie mojego brata włączającego się z rykiem po okolicy, wpadającego po ciemku na zwoje drutu kolczastego, do króliczych nor, do rzeki... Hugh w ataku paniki, przekonanego, że zginąłem w powodzi, a on został sam na świecie.

- Podjechałbym po niąlandroverem - ciągnął Dozy - ale strasznie się spieszyła, a ja słuchałem wiadomości na BBC.

Nie dodał nic na temat atrakcyjności Marlene, z czego wywnioskowałem, że była jednąz jego wnuczek czy siostrzenic, porzrzucanych po całym świecie.

25

- Już wszystko w porządku - odparłem, i to całkiem szczerze. Zamierzałem wrócić do domu, nakarmić Hugh, nastawić mu radio i dopilnować, żeby wziął tę swojącholernąpigulę. A potem pogadalibyśmy o szczeniaku.

Kiedyś, nie tak dawno temu, byłem sobie szczęśliwym mężem, który co wieczór utulał swojego synka do snu.

Rozdział trzeci

Jaahaa! Jesteśmy Bracia Bones, na litość boską, wychowani w trocinach, suszeni co rano. Ja nazywam się Hugh, a on nazywa się Rzeźnik i jesteśmy faceci od mięsa, nie od gnicia nad rzeką, jak żebracy, upchnięci w wilgotnej norze, zalani śmierdzącym błockiem, z hakiem do skrobania ryb na frontowej werandzie. Urodziliśmy się w Bacchus Marsh, trzydzieści trzy mile na zachód od Melbourne, tuż za tunelem Anthony'ego. Jeżeli myślicie, że skoro Marsh to bagno, pewnie żyliśmy tam w jakimś błocku, ale się mylicie, równie dobrze miasteczko mogłoby się nazywać Góra Bacchus. Tak czy owak, miasto było stare i wielkie i mieszkało tam cztery tysiące ludzi, zanim jeszcze sprowadzili się pierwsi MANAGEROWIE. Każdemu dawaliśmy radę. W sylwestra gówniarze z bandy SKUNKSÓW i ŁACHMANIARZY rzucali jajami w okna fryzjera i wypisywali różne rzeczy białą farbą na asfalcie. Mieliśmy taki szyld z napisem RZEŹNIK BOONE i raz w Nowy Rok tata odkrył, że ktoś w nocy zmienił nasze nazwisko na BO NES, tak jak KOŚCI, więc od tego czasu mój brat jest RZEŹNIK BONES.

Wszystko w tym miasteczku było PEŁNE ENERGII jak Sam Sawnoff w tej książce Magiczna wyprawa.

My z bratem zawsze walczyliśmy i biliśmy się ze sobąjak Bill Barnacle i Sam Sawnoff, niech nas. I biłem się jeszcze z tatą i z dziadkiem i mój brat Rzeźnik też się bił, naprawdę wielki gość. Nie mógł znieść, jak ze mnąprzegrywał. Na litość boską, ależ on się starał, wszystkie sztuczki musiał wykorzystać, nelsona, pół-nelsona, chińczyka. A ja mu nie zazdrościłem, nigdy nigdy. Za-

pasy to świetna rzecz, zawsze i wszędzie. Ile to razy żeśmy walczyli w trocinach do upadłego, a krew jest gęstsza od wody, jak mówią. Dużo czasu minęło, ale byliśmy już wtedy dużymi facetami, tylko dziadek był ode mnie większy. Kiedyś, jak miał już siedemdziesiąt dwa lata, pokłócił się z trzydziestopięcioletnim Cieśłą od gwoździ i lu! go w łeb, aż tamten wylądował na podłodze w barze w hotelu Royal. Ten Cieśła grał w rugby dla Bac-chus Marsh, ale potem to nawet się nie śmiał pokazać w tej MORDOWNI w hotelu, nawet jak dziadek już nie żył i leżał bezpiecznie pochowany na cmentarzu z taką czyściutką trawką, gła-dziutkajak blat u rzeźnika, że można by dookoła rozłożyć siekane polędwiczki. Nawet wtedy ten Cieśła się nie odważył wrócić do Royała, chociaż starzy kumple wołali go od progu, no chodź, no chodź, zaraz ci postawimy shandy. Cieśła wykorkował w 1956 roku jako domokrążca na Stanford Hill. A powinien był po prostu napić się shandy i wyluzować. Ja, jak mnie prowokują, to ROBIĘ DOBRĄ MINĘ DO ZŁEJ GRY, nawet jak czasem chciałbym ich wszystkich zamordować. O tak. Bo ja jestem ŁAGODNYM OLBRYZMEM. Naszego ojca nazywali Biały Bones, za młodu miał rude włosy, więc potem nazywali go Biały w znaczeniu, że czerwony. To taka nasza reguła, tłumaczę dla tych z was, którzy jesteście ZZA GRANICY. W Australii wszystko nazywa się odwrotnie niż powinno, NP. ja byłem POWOLNY, bo tak ostro zasuwałem, chodziło o to, jak się szybko ruszam. Więc czasem byłem Powolny, a czasem Tępa Pała, a czasem jeszcze OGIER. Ci goście pracowali w mleczarni albo w fabryce cegieł Darleya, ci wszyscy ROBOTNICY ROLNI, im zawsze chodzi o to, że byk wsadza fiuta w krowę, jak gdyby to była najciekawsza rzecz na świecie.

No patrzcie na Pałę, nieźle zasuwa z tą laską. Aleja wiedziałem, że to DOWCIP, i potrafiłem wsadzić pałę W CIPEŁ tak szybko, że byście nie pomyśleli.

O tak, Bonesowie to rzeźnicy. Mieliśmy naszą własną rzeźnię tam, gdzie kiedyś działała GOSPODA DRAYBONE. W cza-

sach gorączki złota ludzie z COBB i SPÓŁKI zmieniali tam konie od dylizansów, ale teraz rżnęło się tam zwierzaki, na śmierć. Żaden Bones nie podchodził lekko do spraw życia i śmierci. Jak chodziło o rybę czy mrówkę, to możliwe. Ale jak trzeba zarznąć takiego zwierzaka, co ma serce, to już inna sprawa i nie da się tego zrobić ot tak. Była nawet taka modlitwa TY BIEDNY STARY DRANIU czy coś podobnego, w każdym razie na pewno była, a potem go zarzynali i łapali krew do blaszanego kubła, żeby potem mieć na kiełbasę. To wielka odpowiedzialność, zaslach-tować takiego zwierzaka, ale jak już jest po wszystkim, to po wszystkim, i wtedy idzie się do Royała, a potem z powrotem i można być NIEŹLE NAWALONYM, przyznaję. A jeszcze potem się odpoczywa. Tak jest napisane w Biblii w sprawie niedzieli: Nie możesz przeto w dniu tym wykonywać żadnej pracy ani ty sam, ani syn twój, ani twoja córka, ani twój niewolnik, ani twoja niewolnica, ani twoje bydło, ani cudzoziemiec, który mieszka pośród twych bram. Biedna mama.

Ale ja nie zostałem Rzeźnikiem, niech mnie. Mój brat jest trzy cale niższy, ale to on dostał moje prawdziwe imię, które mi się należało. Pieski, pieski świat.

Rzeźnik Bones mógł podtrzymać rodzinną firmę w Bacchus Marsh, ale zanim tata dostał wylewu, mój brat zdążył już spotkać tego NIEMIECKIEGO NAUCZYCIELA, który dał mu pocztówki do naklejenia na ścianę nad łóżkiem. I te pocztówki zawróciły mu w głowie. Niemiecki Nauczyciel został przyjęty do pracy w liceum w Bacchus Marsh i pozwolili mu tam uczyć dzieci ludzi, którzy stracili życie w walce z Niemcami w czasie wojny. Nie wiem, czemu nie zamknęli go w więzieniu, ale jak mój brat wrócił ze szkoły do domu, to powiedział, że jego nauczyciel jest ARTYSTĄ i uczył się w tak zwanej nowoczesnej szkole. Gdyby tata wiedział, co ten artysta robi z jego najstarszym synem, to pewnie by poszedł do szkoły i wygrzmocił Niemieckiego Nauczyciela, jak

kiedyś wygrzmocił pana Coksa po tym, jak pan Cox mnie uderzył za niewłaściwą odpowiedź. Biały Bones wywlóknął

29

Coksa z pokoju i zaprowadził go na drugą stronę ulicy, a potem schowali się za ciężarówką i Coksy nagle zawisł pół metra nad ziemią i dalej już nic nie widzieliśmy, ale domyśliliśmy się dużo więcej.

Więc to mój brat odziedziczył przezwisko Rzeźnik, i to jako żart, bo wszyscy wiedzą, że to on nie chciał się bawić z nożem i tasakiem. Niemiecki Nauczyciel sprawił, że zaczął golić głowę na tyso, więc wyglądał jak KUTAS i przejął od niego jeszcze te pocztówki MARKA ROTHKO i pomyślał, że TERAZ SZTUKA JEST DLA RZEŹNIKÓW. Nauczył się, jak to kiedyś sztuka była tylko w pałacach za wysokimi murami, gdzie oglądali ją Królowie, Księżęta, Hrabowie i Baronowie. W każdym razie za nic nie chciał włożyć fartucha, chociaż nasza biedna mama błagała go o to, a tata nie mógł już mówić ani w ogóle się ruszać, ale wszyscy widzieli, że najchętniej zdzieliłby mojego brata w ucho ten jeden ostatni raz. Stare dobre czasy. Po tym jak tata dostał wylewu, skończyło się SZLACHTOWANIE.

To ciężka praca zaszlachtować takiego zwierzaka, ale jak już się raz skończy, to na dobre. ROBIENIE SZTUKI nigdy się nie kończy, nigdy nie ma spokoju, żadnego szabat, ciągle tylko miotanie się i przekleństwa i zmartwienia i tak ciągle, i nigdy nie można myśleć o niczym innym, jak tylko o tych idiotach, co to kupują, albo o robalach niszczących DWUWYMIAROWĄ PRZESTRZEŃ.

I niczego nie można być pewnym, nieważne, jak się ogoli głowę i jak się człowiek przechwala swoją pozycją w AUSTRALIJSKIEJ SZTUCE. W jednej chwili jesteś NARODOWYM SKARBEM i masz dom w Ryde, a w następnej musisz oszczędzać na dulux z RENTY INWALIDZKIEJ brata. Bo jesteś SKAZANYM KRYMINALISTĄ i robisz za ciecica na zapchlonej farmie pełnej ostów.

Ten szczeniak to był owczarek, ale nie miał zwierzaków do zaganiania, więc nigdy się nie dowiedział, do czego został stworzony. Niech go. Trochę się z nim siłowałem, zanim zniknął. Wyleciał w przestworza, biedny mały śmierzdel. Lubił człowie-

30

ka polizać i lubił jak się go cisnęło w trawę, żeby sobie pobarasz-kował. Jak tak szalał, to wszystkie pchły zbierały mu się w rzędach na krawędziach kłapciastych uszu, jak samochody na parkingu przed K-Martem albo Leagues Club w Sydney. Pierwszego dnia, jak go spotkałem, zdjąłem z niego wszystkie pchły, jedną po drugiej. Niech go. Mój brat słyszał, jak szczeka na kaczkę, ale właśnie ROBIŁ SZTUKĘ, więc nie zwrócił uwagi.

Twój szczeniak UTONĄŁ, Hugh. Rzeźnik Bones ma GŁĘBOKO W DUPIE twojego psa. Mówi, że szczeniak nie żyje, i potem wychodzi razem z kobietą odjeżdżającą na traktorze i zostawia mnie z tą szumiącą rzeką koloru żółtego futra, z tym pierdolonym wylanym potokiem, który wymywa kamienie z brzegu, spod naszych stóp, wszystko, na czym się opieramy, zostanie wymyte.

Rozdział czwarty

Telefon, który odebrałem tej nocy, rozśmieszał mnie jeszcze przez wiele dni.

- Stary - szepnął Dozy Boylan i wiedziałem, że schował się w łazience, bo słyszałem pogłos. - Stary, ona się do mnie przystawia.

Boylan pieprzył i powiedziałem mu to, ale nie bez sympatii.

- Zamknij się - przerwał. - Zaraz ci jąprzywiozę z powrotem.

Wyraziłem głośne zdziwienie, jak ostatni kretyn i cham. Nie

mam nic na swoje usprawiedliwienie, poza tym, że mój nad-aktywny przyjaciel był sześćdziesięcioletnim farmerem z siwym wąsem i wielkim brzuszyskiem, wylewającym się znad paska u spodni. Marlene się do niego przystawiała? Prychnąłem śmiechem do słuchawki i kiedy niedługo potem wypiął się na mnie, doskonale rozumiałem czemu.

Minęło zadziwiająco mało czasu, zanim zjawił się z rykiem silnika na mojej kratownicy. Zdążyłem wypić już ze dwa drinki, więc może dlatego wszystko wydawało mi się tak okropnie śmieszne, panika słyszalna w stukocie jego stalowych gąsienic na drewnianym moście. Zanim zdążyłem zmienić koszulę, staruszek błyskawicznie pokonał ostry zakręt i gdy ukazałem się na ganku, tylne światła Uniwersalnego Wozu Terenowego Boylana zniknęły już w ciemnościach nocy. Wciąż jeszcze się uśmiechałem, gdy mój gość wszedł do środka. Znów miała przemoczone włosy, przyklejone płasko do głowy, krople wody na policzkach zbierające się w uroczą małą kałużę w zagłębieniu pod gardłem, ale tym razem się uśmiechała i przynajmniej przez chwilę myślałem, że zaraz wybuchnie śmiechem.

32

-1 jak przeprawa? - zapytałem. - Bała się pani?

- Co tam przeprawa. - Usiadła ciężko na krześle, po czym odetchnęła głęboko. Była inną osobą, mniej energiczną, mniej porządną. Po chwili pogrzebała w fałdach pożyczonego poncza i wydobyła z nich dwukwartową butelkę Virgin Hills rocznik 1972, po czym wzniosła ją wysoko w górę, jak trofeum.

Później opowiadała mi, że w tamtej chwili przekrzywiłem głowę i wpatrzyłem się w wino jak ponury pies, ale to tylko nieporozumienie. Miałem przed oczami chlubę piwniczki Dozy'ego. Zjawisko było zupełnie niewytłumaczalne, a tajemnicę pogłębiało jeszcze zachowanie mojego gościa. Marlene nagle znów nabrała energii, jednym ruchem skopała z nóg gumiaci, otworzyła szufladę... - czyżby zapomniała poprosić o pozwolenie? Błyskawicznie zlokalizowała korkociąg, otworzyła butelkę, wygładziła spódniczkę, po czym usiadła po turecku na krześle i śmiała mi się w twarz, patrząc, jak nalewam wino do kieliszków.

- No dobra - powiedziałem. - Co się stało?

- Nic - odparła, ale oczy błyszczały jej tak, jak gdyby miały zaraz trysnąć ogniem. - Gdzie twój brat? Wszystko w porządku?

-Śpi.

Jakiegolwiek mroczne wizje przyszłyjej do głowy-pewnie miały coś wspólnego z utopionym szczeniakiem - nie poświęciła im więcej uwagi.

- Jedyna dobra rzecz to ta - zaczęła, wznosząc kieliszek - że pan Boylan wie o autentyczności swojego Leibovitza.

- Jacques'a Leibovitza?

-Dokładnie tak.

- Dozy ma obraz Jacques 'a Leibovitza?!

Teraz wiem, że moje zdumienie wydało jej się przesadne, ale Boylan, tajemniczy drań, nigdy nie pisał ani słowa na temat tego skarbu. Północna część Nowej Południowej Walii to nie miejsce, gdzie człowiek się wybiera, żeby pooglądać wielkie arcydzieła sztuki malarskiej. I tak się składa, że akurat Leibovitz był jednym z powodów, dla których zostałem artystą. Jeszcze w liceum

33

w Bacchus Marsh po raz pierwszy zobaczyłem Monsieur et Madame Tourenbois, a przynajmniej czarno-białą reprodukcję tego płótna w Encyklopedii sztuki współczesnej. Nie zamierzałem wyjaśniać żadnej z tych rzeczy Amerykance w Manolo Blah-nikach, ale poczułem się naprawdę urażony zachowaniem Dozy'ego. Ładny mi kumpel, rzeczywiście.

- Nigdy nie rozmawiamy o sztuce - powiedziałem. - Siedzimy w tej jego żalosnej kuchni, tam właściwie mieszka, między stertami „Czasu Melbourne”. I pokazał ten obraz pani?

Uniosła brwi, jak gdyby chciała zapytać, „a czemu nie?”. Ja myślałem tylko o tym, że podarowałem Dozy'emu wszystkie te cudne rysunki australijskiej muchy wombaciej i osy błotnej, a on przymocował je do lodówki jakimiś pieprzonymi magnesikami. Nie mogłem uwierzyć, że w ogóle ma oczy.

- Pani ma to ubezpieczyć?

Zaśmiała się przez nos.

- Takie sprawiam wrażenie?

Wzruszyłem ramionami.

Marlene znów wbiła we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

-Mogę zapalić?

Podąłem jej miseczkę i puściła kilka pachnących dymków ponad blatem stołu.

- Mój mąż - powiedziała w końcu - jest synem drugiej żony Leibovitza.

Jeżeli Marlene nie wzbudziła mojego zachwyty, to jej mężulek podobał mi się jeszcze mniej. Ale informacja o jego rodzicach wywarła na mnie wrażenie.

- To syn Dominique Broussard?

- Owszem - odparła. - Pewnie widział pan to zdjęcie.

Nawet ja je znałem - apetycznie opalona blondyna na

niepościelonym łóżku, z małym chłopczykiem przytulonym do piersi.

- Ten dzieciak to mój mąż, Olivier. Odziedziczył droit morale Leibovitzów - powiedziała zmęczonym i znudzonym głosem, jak gdyby opowiadała tę historię po raz setny.

34

Aleja zupełnie nie czułem się znudzony. Pochodziłem z Bacchus Marsh w stanie Victoria i do ukończenia szesnastego roku życia nie widziałem na oczy żadnego oryginalnego obrazu.

- Rozumiesz, jak to działa?

-Co?

- Droit morale.

- Oczywiście - odparłem. - Mniej więcej.

- Olivier musi orzec, czy obraz jest prawdziwy, czy podrobiony. Wypisał certyfikat autentyczności dla obrazu Boylana. Ma do tego pełne prawo, ale różni ludzie pozwalają sobie na dziwne sztuczki, więc musimy się pilnować.

-Pracujecie razem, ty i twój mąż?

Marlene nie zamierzała dać się w to wciągnąć.

- Już od dawna słyszałam o płótnie pana Boylana - ciągnęła. - Jest autentyczne aż po zszywki na biejtramie, ale niestety trzeba to w kółko udowadniać. To trochę nudne.

- A ty się tak dobrze znasz na Leibovitzach?

- Tak dobrze - powiedziała sucho.

Patrzyłem, jak gasi papierosa, miażdżąc peta o ścianki miseczki.

- Ale kiedy ktoś powie takiemu Boylanowi, że jego inwestycja jest zagrożona, zawsze owocuje to paniką. W tym wypadku było tak, że Boylan pokazał płótno Honore le Noel. I le Noel wmówił mu, że to może nie podróbka, ale coś w tym stylu. Mogę się jeszcze napić? Przepraszam, miałam naprawdę upiorny dzień.

Bez słowa dolałem jej wina, nie okazując, że byłem kompletnie oszołomiony słysząc nazwisko le Noel wymawiane tak lekko, jak gdyby należało do lokalnego sklepikarza. Wiedziałem, kim jest Honore le Noel i trzymałem dwie z jego książek przy łóżku

- Honore le Noel stał się pośmiewiskiem - powiedziała Marlene. - Jak pewnie wiesz, był kochankiem Dominique Leibovitz.

35

Ta ostatnia wypowiedź wytrąciła mnie z równowagi z przyczyn, do których wolałbym się nie przyznawać. W skrócie, te parę słów świadczyło o tym, że ja jestem prowincjuszem, a ona pochodzi z pieprzonego pępka świata. Ja wiedziałem tylko to, co można wyczytać w „Time” - Dominique poznała Leibovitza pracując jako asystentka w studio, le Noel zaś był kronikarzem i krytykiem mistrza.

Tymczasem Marlene napoczęła już solidnie drugi kieliszek i zrobiła się rozmowna jak diabli. Zdradziła, że Dominique i Honore przez prawie osiem lat, od niemieckiej okupacji aż do roku 1954, czekali tylko na to, aż Leibovitz umrze. (Przypomniałem sobie bardzo precyzyjny szkic z monografii le Noela, opisujący siłę życiową artysty, jego krótkie, solidne nogi, ogromne, kwadratowe dłonie).

Synek skończył już pięć lat, a Leibovitz dobił do osiemdziesiątki, kiedy w końcu dopadła go podstępna starucha z kosą. Stary cap stał właśnie przy stole w jadalni, obracając w palcach kieliszek z winem. Starucha pchnęła go od tyłu, tak że zarył wielkim nochalem w półmisek z serami, pomalowany przez samego Picassa, rozbijając okulary w rogowej oprawie. Mój gość opowiedział mi o tym bez zająknięcia, lekko tylko tracąc oddech. Marlene wypita do końca drugi kieliszek, nie komentując jakości wina, za co dałem jej duży minus.

Półmisek pękł dokładnie przez pół, powiedziała.

I skąd ty, cholera, możesz o tym wiedzieć?, zapytałem w myślach. Jeszcze cię na świecie nie było! Nie przyszło mi do głowy, że można znać osobiście sławnych ludzi, a ona w dodatku miała za męża naocznego świadka tamtej historii, dzieciaka ze zdjęcia. Chłopca o oliwkowej cerze, ogromnych, uważnych oczach i odstających uszach, które nie oszpecały go nawet w minimalnym stopniu. Właśnie chciał poprosić, żeby mógł na chwilę wyjść, ale kiedy tatuś nagle padł martwy, spojrzął na matkę i postanowił zaczekać. Dominiąue nie objęła syna, tylko pogłaskała go po policzku wierzchem dłoni.

- Papa est mort.

36

- Oui, Maman.

- Na razie to tajemnica, nikt nie może się dowiedzieć, dobrze?

- Oui, Maman.

- Maman musi teraz zająć się paroma obrazami, dobrze? To trudne, bo właśnie pada śnieg.

Niedawno miałem okazję obserwować małe francuskie dzieci, jak siedzą, prosto i porządnie, z wielkimi, ciemnymi oczami i czystymi paznokciami u dłoni, które trzymają złożone na kolanach. Cudowne. Pewnie Olivier też tak siedział i wpatrywał się w zmarłego ojca, ale wciąż myślał o swoim strasliwym sekrecie - bo właśnie wtedy, kiedy tatuś upadł, on, Olivier, chciał wyjść, żeby zrobić siusiu.

-Nie ruszaj się stąd, dobrze?

Oczywiście nie było powodu, żeby tam siedział i cierpiał, ale jego matka właśnie zamierzała popełnić spore przestępstwo i wywieźć płótna należące do majątku rodziny jeszcze przed powiadomieniem policji o śmierci męża.

- Zostań tu, żebyś wiedziała, gdzie jesteś.

A potem mama chwyciła za telefon i zaczęła przekonywać swojego fircykowatego kochanka, żeby porzucił na chwilę rozkoszny kominek w Neuilly, bo naprawdę nie mogą czekać, aż śnieg się roztopi, muszą teraz, zaraz, natychmiast, jechać do Ba-stille, zabrać stamtąd ciężarówkę i przyprrowadzić jąna Rue de Rennes.

I tak pośród zamieszania i hysterii, tego popołudnia, albo już wczesnym wieczorem, mały chłopiec zsiusiał się w spodnie, chociaż fakt ten wykryto dopiero późną nocą, kiedy Honore w końcu znalazł go śpiącego z czołem opartym o kant stołu. I wtedy właśnie Dominiąue zrobiła to przeklęte zdjęcie. Pomyślcie tylko! Potem, z nieznanых powodów, oderwała połowę - może w kadrze znalazł się zaginiony Golem électrique. Udało mi się jednak obejrzeć ten fragment, który przetrwał, pamiątkę po tamtej długiej nocy, kiedy Dominiąue i Honore le Noel ukradli około pięćdziesięciu obrazów, wiele z nich niedokończonych albo porzuconych, pięćdziesięciu prac, które później, wzbogacone o syg-

37

naturę i ostrożne poprawki, stały się naprawdę wiele warte. Wywieźli je i ukryli w garażu w pobliżu kanału Saint Martin - stąd się wziął ten słynny „znak wodny”, który wykryto w całej serii wątpliwej autentyczności Leibovitzów pochodzących z bardzo różnych okresów. Od owego dnia nikt więcej nie widział wspaniałego obrazu, który zarówno Leo Stein, jak i znacznie surowszy (i przez to bardziej godny zaufania) Picasso określili

jako arcydzieło. Stein nazywał je Le Golem électrique, Picasso - Le Monstre.

Dopiero następnego dnia koło lunchu Dominique zgłosiła śmierć męża żandarmerii i potem, zgodnie z francuskim prawem, studio zostało opieczętowane, a wszystkie obrazy znajdujące się wewnątrz pieczołowicie spisano. Ani śladu Le Golem électrique. No cóż.

Dominique, córka doradcy podatkowego z Marsylii, miała teraz wystarczająco dużo Leibovitzów, prawie-Leibovitzów i nie--całkiem-Leibovitzów, żeby godnie przeżyć następnych pięćdziesiąt lat A poza tym, naturalnie, odziedziczyła droit morale. Dzięki temu zyskała prawo wydawania certyfikatów autentyczności, co może się wydawać niewiarygodne, ale jest zgodne z prawem. Teraz jednak postanowiła nieco poprawić nadszarpniętą reputację i podeprzeć się jakimś autorytetem. W tym celu powołała Le Comite Leibovitz, ustanawiając cenionego Honore le Noela jego przewodniczącym. Z jej punktu widzenia nie mogło być lepszego rozwiązania: pan przewodniczący i wdowa potwierdzali swoje fałszywe oświadczenia przy pomocy chciwych kolekcjonerów i marszandów z Komitetu, a sami mogli spędzić resztę życia na podpisywaniu niepodpisanych obrazów i poprawianiu porzuconych dzieł.

Narratorka opowieści była ładna, gadatliwa i spragniona wina. Nalałem jej trzeci kieliszek Virgin Hills i pozwoliłem sobie zacząć żywić pewne nadzieje.

- No i teraz - ciągnęła Marlene, strzepując z gracją popiół z papierosa - Dominique przytapała Honore w łóżku z Rogerem Martinem.

38

- Tym angielskim poetą.

- Dokładnie. Znasz go?

-Nie.

- Dzięki Bogu. - Uniosła brew. Nawet jeżeli niezbyt dokładnie rozumiałem, o co jej chodzi, to podobało mi się to poczucie, że zostałem wciągnięty do konfidencji.

- Oczywiście musieli się rozwieść. Ale nikt nie wie, jak dokładnie podzielili łup.

Zdaje się jednak, że Dominique miała sporo akolitów obdarzonych tęgimi pięściami, dzięki czemu prawie na pewno dostała lwią część obrazów. Honore, okradziony, otoczony, przelicytowany i pokonany w łonie Komitetu, stał się zatem bardzo niebezpiecznym człowiekiem, szczerze nienawidzącym Dominique i jeszcze bardziej - jej niewinnego syna.

Kiedy w 1969 roku któryś z owych wiernych akolitów udusił Dominique w hotelu w Nicei, O1ivier mieszkał już w Londynie, pozbywając się resztek francuskiego akcentu w St. PauTs. Odziedziczył droit morale, nie wiedząc kompletnie nic o dziele swojego ojca.

- Mój mąż wydaje się bardzo subtelny i uprzejmy - powiedziała Marlene - i taki jest, ale kiedy Honore wystąpił do sądu, żeby odebrać mu droit morale, O1ivier walczył o nie jak sto wściekłych tygrysów. Widziałeś zdjęcia? O1ivier był jeszcze dzieckiem, ślicznym siedemnastolatkiem z długimi rzęsami, ale nie potrafię nawet opisać, jak wielką miał w sobie nienawiść do Honore. Ta sprawa sądowa stała się jego obsesją.

My, Australijczycy, jesteśmy narodem, który wydał Henry'ego Lawsona i kocha gawędy przy ognisku, ale dosyć nie lubimy ludzi, którzy odstawiają takie numery jak Marlene. W którymś momencie zaczęłam się zastanawiać, o co jej właściwie chodzi, chce mi zaimponować nazwiskami? Puszczą plotki? Ale z drugiej

strony, odkąd zamieszkałem w północnej Nowej Południowej Walii, jeszcze nikt tak ze mną nie rozmawiał i sam ten fakt dosłownie przykuł mnie do krawędzi krzesła. Śledziłem każdy jej ruch i to, jak dmuchała na swoje marlboro, żeby końcówka równo się żarzyła.

39

- Kiedy to się wreszcie skończyło, Olivier brzydził się nawet dotknąć jakiegokolwiek obrazu ojca. Znienawidziłem i nienawidzi ich do dziś. Te arcydzieła sztuki przyprawiają go o obrzydzenie, prawdziwe, fizyczne obrzydzenie.

Owszem, to było interesujące, nie powiem, ale dlaczego, na litość boską, Dozy nie pokazał mi swojego obrazu?

Marlene wzruszyła ramionami.

-Ci bogacze!

- Nie chciał, żeby ktoś wiedział, że ma coś tak cennego?

- To po prostu część aktywów - odparła Marlene z protekcyjnym uśmiechem. - Tak to z nimi jest. Obrazów się nie ogląda, obrazy się ma. Ale gdyby rynek uwierzył Honore, że przy tym bezcennym skarbie ktoś majstrował, mój mąż byłby zrujnowany. To my byśmy na tym stracili, co najmniej milion dolarów amerykańskich, jak nie lepiej.

- Ty i twój mąż?

- Tak. - Prawie się uśmiechnęła. - Oczywiście Honore to tylko zawistny mały fiutek - podjęła po chwili przerwy. - Ale nie można tak po prostu go zignorować, więc wezwałam dwóch chemików, żeby przeprowadzili niezależną analizę barwników. Zdaje się, że jeden z nich spotkał w pubie twojego brata. Był pod wrażeniem.

- Ja też czasem jestem.

- W każdym razie - powiedziała szybko - moi niezależni eksperci podzielili niepokój Honore związany z obecnością dwutlenku tytanu w białej farbie. W 1913 roku takie farby nie były jeszcze w powszechnym użyciu, więc dla nich to coś w rodzaju -Marlene wykrzywiła się drwiąco - sygnału ostrzegawczego. Na szczęście Dominique lubiła żyć w chlewie i niczego nigdy nie wyrzucała, nawet biletów tramwajowych i rachunków z knajp, więc zostawiła nam wspaniałe archiwum. I tam w końcu znalazłam nie tylko list od Leibovitz do dostawcy farb z zamówieniem na tytanową biel, ale także rachunek, datowany na styczeń 1913. To wystarczy. Nieważne, w powszechnym użyciu, czy nie, Honore może ugryźć się w dupę. Twój przyjaciel ma autentycznego Leibovitz. Osobiście dostarczyłam mu dokumentację, więc

40

teraz już na zawsze będzie przymocowana do obrazu. Sama przykleiłam kopertę z tyłu blejtramu.

Wyciągnęła do mnie kieliszek, więc go napełniłam.

-I dlatego teraz świętuję.

- Świetne wino - dodała, dzięki czemu nareszcie mogłem jej palnąć wykład o tym, co tak niefrasobliwie popijała, o arcydziele Toma Lazara z jego winnicy w Kyneton, o bezcennym skarbie porastającym gówniane

pagórki mojego dzieciństwa... Ale zanim zdążyłem popisać się darem wymowy, Marlene wygadała się, że obraz Dozy'ego to Monsieur et Madame Tourenbois, właśnie ten, którego reprodukcję obejrzałem kiedyś jeszcze jako uczeń liceum w Bacchus Marsh. Wtedy, tamtej nocy, uznałem to za wręcz cudowny, słodki i magiczny zbieg okoliczności. Moje dziecięce ja uznałoby występ Marlene za nędzny popis, ale moje nowe ja niespodziewanie dopatrzyło się w nim czegoś w rodzaju szlachejnych rysów i tak siedzieliśmy do rana, wykańczając trzeci rocznik Lazara, słuchając deszczu bębniącego o dach. I w końcu rozluźniłem się zupełnie, a ta dziwna, śliczna kobieta opisała mi cały obraz, niskim, cichym, gardłowym głosem, zaczynając nie od lewego górnego rogu, ale od smugi kadmowej żółci, która jak plamka światła znaczy krawędź bluzki młodej żony.

Rozdział piąty

^Poranne słońce obudziło pokłady szarej mgły sięgającej dokładnie do wysokości czarnego dachu samochodu od Avisa, który właśnie toczył się wolno w stronę Bellingena. Wpatrując się w ten urzekający i nierealny obraz, przez cały czas myślałem wyłącznie o zagadkowym kierowcy samochodu. Marlene była wyjątkowo atrakcyjną kobietą i udowodniła bez żadnych wątpliwości, że została pobłogosławiona darem Widzenia, ale pochodziła z innego świata, z Ameryki, pracowała dla przeciwnej drużyny, rynkowych fanatyków, bogaczy, facetów, którzy decydowali, co jest sztuką, a co nie. To oni trzymali stery historii, więc niech ich szlag, na zawsze, nieodwołalnie.

To dlatego - a nie z powodu jej męża - nerwowo składałem i rozkładałem jej wizytówkę, aż w końcu rozpadła się na dwie połówki. Ta kobieta musiała być, na zawsze i nieodwołalnie, moim wrogiem.

Obraz jej świętej pamięci teścia również zajmował moje myśli i postanowiłem zadzwonić do Dozy'ego Boylana - już-już chwyciłem słuchawkę - żeby wprosić się na prywatny pokaz. Ale wtedy zostałem napadnięty przez Hugh, który wypchnął mnie z wściekłością przez moskitierę, a potem... Zresztą nie chcecie tego wiedzieć, dość, że dni mijały i mijały, a ja jakoś do Dozy'ego nie zadzwoniłem.

W dodatku czekało na mnie moje płótno. Wiem, mówiłem, że nie mogłem sobie pozwolić na płótno, i to prawda. Nie miałem na to ani grosza. Ale zadzwoniłem do Fisha, mojego dawnego dostawcy z Sydney i w końcu przyznał mi się, cholernie niechętnie,

42

że właśnie ma u siebie nieotwartą paczkę prosto z Holandii. Pomaglowałem go jeszcze trochę, aż z wielkim bólem zwierzył mi się, że w środku paczki jest rulon bawełnianego płótna numer 10 długości pięprzonych pięćdziesięciu jardów. Dlaczego Fishy zachowywał się jak ostatni palant i kretyn, to w tej chwili nieistotne, dość, że przekonałem go w końcu do przesłania całej paczki do sklepu wielobranżowego w Bellingena, na nazwisko Kevi-na. W ten sposób płótno poszło automatycznie na rachunek Jeana Paula. Jeżeli na starość ludzie nie nabierają sprytu, to po co, do cholery, się starzeć?

Holenderskie płótno dotarło do Bellingena tuż przed Marlene. Myślałem o nim bez przerwy w ciągu naszej rozmowy. Widziałem, jak leży spokojnie w magazynie, między worami z nawozem i ledwo mój gość odjechał, ruszyłem pędem - nie do Do-zy'ego Boylana, jak moglibyście sądzić - ale do sklepu. A potem przywiozłem je do domu i rozwinąłem na podłodze w studio. Nawet go nie naciąłem, nawet nie drasnąłem nożyczkami i cały ten wielki potencjał ukryty w płótnie niespodziewanie mnie przygniótł.

I potem - pół godziny później - słodki, mały Kevinek zadzwonił do mnie po raz kolejny i powiedział, że przyjechały moje mieszane na zamówienie farby i wtedy nawet jakiś pieprzony Leibovitz nic już dla mnie nie znaczył. Ta farba została zrobiona przez Raphaelsona, mały zakład z Sydney, jeden z najlepszych na świecie.

W ciągu tych pięciu lat, kiedy byłem naprawdę sławny, nigdy nie używałem żadnych innych farb, a teraz pojawiły się u nich zupełnie nowe, niesamowite, akrylowe zielenie: wieczna zieleń, ziemna zieleń, Jenkins, tytanowa, pruska i ftalowa, tak kurewsko intensywna, że jedna kropla tego cuda mogła podbić wiadro bieli. Oczywiście artykuły dla artystów nie należały do normalnego asortymentu sklepiku w Bellingen, ale Kev i ja zrobiliśmy już razem sporo interesów i wymieniliśmy sporo podarunków - malutki pejzaż, rysunek węglem - więc farba bez problemu została wpisana na rachunek Jeana Paula.

43

Parę minut po telefonie Kevina limuzyna Braci Bones ponownie wynurzyła się z mlecznych oparów jak batyskaf. Czasy Duluksu Wysoki Połysk już się skończyły. Nigdy więcej piasku i trocin w roli impasto, drapiących pędzli o za krótkim włosiu i szybko schnących farb pokojowych. Nigdy.

- Kurewsko gorąco - zauważył Hugh.

-I wilgotno.

- Gówniana pogoda.

Żaden z nas nie przepadał za porą deszczową, ale dla Hugh, którego główne zajęcie polegało na codziennych spacerach do Bellingen i z powrotem, upał stanowił spore zmartwienie. Mój brat zawziął się, że będzie oddychał wyłącznie przez usta, więc potrzebował bezustannych dostaw wody, żeby nie uschnąć po drodze. Nawet teraz popijał co chwila z puszki, z którą nie rozstawał się ani na chwilę. Idąc piechotą, co chwila zbaczał w dół, w krzaki i za każdym razem nieomylnie trafiał do strumienia. Znał wszystkie wodopoje na trasie.

Zgarnąłem moją piękną, drewnianą skrzynkę pełną prześlicznie ułożonych, funtowych tubek od Raphaelsona i poczułem się szczęśliwy jak chłopiec w bożonarodzeniowy poranek. Każdą z tych nowych zieleni wybierałem osobiście z katalogu, ale u Raphaelsona pomieszali je jeszcze ze stalowymi opiłkami, które nadawały farbom sekretne, odbite światło. I jeszcze zanim cokolwiek otworzyłem, wiedziałem, że to światło przyprawi mnie o pieprzone dreszcze.

Trudno oczekiwać od niewtajemniczonych, że zrozumieją, co znaczy nowa paleta i niepocięta rolka płótna. Ale ja wpakowałem się w to gówno z pełną świadomością i nie doznałem rozczarowania. Oczywiście później Jean Paul twierdził, że uzyskałem te materiały nielegalnie, ale musiał się zdecydować, czy jest moim patronem, czy woli, żebym wydawał rentę Hugh na jakieś pieprzone dulusy. Czego właściwie się spodziewał?

Hugh, cały szczęśliwy, siłował się z Kevinem i wygrał od niego cztery dolce. Dorzuciłem do rachunku jeszcze kilka worków nawozu. W sklepie kosztował osiemnaście dolarów, a pani Dy-son, moja najbliższa sąsiadka, z przyjemnością odkupywała je ode

44

mnie za piętnaście. Jean Paul uznał potem, że to także była kradzież, ale na litość boską, jestem profesjonalistą, a nie jakimś niedzielnym malarzem. Mogłem rozsądnie oczekiwać, że będę w stanie zwrócić wszystkie długi. Tylko chwilowo straciłem płynność finansową gdyby nie niefortunny zbieg okoliczności, z pewnością sprzedałbym gotowe obrazy po cichu, prywatnie - i sąd o niczym by się nie dowiedział.

Droga do posiadłości Jeana Paula wije się pośród krzaków, po czym opada łagodnie w długą dolinę aż do Gleniffer. Z tego punktu widać już uskok Dorriego i, trzy tysiące stóp niżej, strumień Nigdy Nigdy, który tego

dnia krył się za zasłoną gęstej mgły barwy pasiastych ostryg. Jechałem bardzo, bardzo wolno, kiedy nagle zobaczyłem parę świateł, zbliżających się z naprzeciwka.

- Dozy - stwierdził Hugh. - Cholerny stary Dozy.

Mój brat miał niezłe oko, chociaż nie trzeba było szczególnie bystrego wzroku, żeby rozpoznać światła naszego sąsiada, który z uwagi na nieprzewidywalną naturę strumienia przekształcił swojego landrovera w coś w rodzaju spotworniałej ciężarówki. Blisko osadzone światła rzucały się w oczy już z daleka. Na widok tych rozżarzonych, żółtych oczu zwolniłem, po czym przystanąłem tuż za szczytem wzgórza, słysząc straszliwe rżenie starego diesla, schodzącego do pierwszego biegu. Zgodnie z obyczajami panującymi w tych stronach Dozy powinien był się zatrzymać na pogawędkę, ale przejechał mimo, bardzo blisko i bardzo wolno, tak że bezbłędnie rozpoznałem na jego twarzy wyraz nieustępliwej wrogości.

Znałem Boylana ledwo sześć tygodni, ale szybko się zaprzyjaźniliśmy, czasem nawet spędzaliśmy razem dwa czy trzy wieczory w tygodniu, pijąc wino z jego piwniczki i dyskutując nie o sztuce, nie o literaturze, a o roślinach i owadach, które stanowiły jego ogromną pasję. To on, mój sąsiad, odkrył zarówno rzadką muchę wombacią (wombat jly, tr. Borboroidini), jak i szypuł-kookąmuchę sygnałową (Achia sp.). Dozy był bystry, pełen entuzjazmu, życia i wiedzy. Nic z dotychczasowych doświadczeń

45

nie przygotowało mnie na te jego sekrety bogacza, a co gorsza - na to pełne prawdziwej nienawiści spojrzenie, jakie mi posłał.

Szczerze lubiłem tego sąsiada i jeżeli go czymś uraziłem, to zamierzałem przeprosić. Postanowiłem zadzwonić do niego za godzinkę czy dwie. A potem zacząłem myśleć o tych pięknych tubkach od Raphaelsona i tym płaskim, naciągniętym fragmencie płótna, który już zdążyłem zagruntować. Ledwo wróciliśmy, ja rzuciłem się do pracy, a Hugh napełnił swoją puszkę i wyruszył na spacer, pijąc i rozlewając wodę po drodze.

Powinienem był zadzwonić do Dozy'ego tamtego wieczora i naprawdę zamierzałem to zrobić, bo przecież ciągle jeszcze nie zdążyłem obejrzeć Leibovitz'a czy choćby porozmawiać o samym cudownym fakcie jego istnienia. Ale kiedy przeglądałem właśnie i katalogowałem przepiękne wzory farb od Raphaelsona, natrafiłem na papiery, które Dozy dał mi tuż po przyjeździe. Mój sąsiad mógł się poszczycić bogatym życiorysem i jeszcze nim założył niezwykle dochodową stadninę indyjskiego bydła w Bellingen, przez wiele lat prowadził w Sydney sławną obecnie firmę, zajmującą się branżą zwaną niegdyś skandynawskim designem. Pośród starych katalogów, które podarował mi w ramach prezentacji, znalazła się Iśniąca teczka, a w niej, oprócz czarno-białych reprodukcji umeblowania stanowiącego ostatni krzyk mody w latach pięćdziesiątych, także i portret samego Dozy'ego. Uśmiechnąłem się, bo mój sąsiad najwyraźniej stylizował się na Clarka Gable'a, chociaż przystrzyżony wąsik i gwiazdorskie oblicze prezentowały się niezupełnie tak jak trzeba, coś nie grało z tą wykrzywioną wargą i przyćmiewającym podbródkiem i nie wynikało to z wrodzonych defektów urody, ale po prostu z faktu, że Dozy jednak nie był Clarkiem Gable, tylko dość próżnym i nieco głupawym Dozym. Uśmiechnąłem się, ale teraz, kiedy tak nagle poznałem bliżej ten aspekt charakteru Boylana, przypomniały mi się jego przechwałki, że bardzo atrakcyjna i o wiele młodsza kobieta czyni mu niechciane awanse.

Roześmiałem się wtedy, bezmyślnie, ale nie złośliwie. I nigdy by mi nie przyszło do głowy rozwodzić się na ten temat, gdyby

46

nie ta wściekła złość, którą dostrzegłem rano na jego twarzy, przez grubą warstwę mgły. Ten facet mnie skreślił.

Więc nie zadzwoniłem do Dozy'ego Boylana. Mogłem zrobić to później. W końcu obaj jakoś doszlibyśmy do ładu albo przynajmniej tak mi się wydawało. Ale myliłem się, bardzo się myliłem, i to niemal w każdej z tych spraw. I tak chodziłem przez następne tygodnie, nieświadomy jak dziecko we mgle, aż w końcu odkryłem prawdziwe powody zdenerwowania Dozy'ego, ale w międzyczasie pomiędzy nami zapadła taka dziwna cisza, jaka czasem zdarza się między przyjaciółmi. I wtedy dzieje się jak z zerwanym mięśniem barku - kiedy się go zaraz nie opatrzy, robi się twardy i spuchnięty, aż w końcu zaciska się w jeden, bolący węzeł i nijak nie można już go rozplątać.

Dozy rozmawiał jednak z Hugh i czasem nawet podwoził go gdzieś landroverem, ale chociaż wielokrotnie mijałem się z nim na drodze i chociaż któregoś wieczora, już po zmroku, podrzucił mi po cichu kosiarkę, już nigdy właściwie z nim nie porozmawiałem. Owszem, udało mi się w końcu zobaczyć tamtego Leibovitz'a, ale wtedy Dozy już nie żył.

Rozdział szósty

Proste zielenie kompletnie zignorowałem, ale na te inne rzuciłem się jak wygłodniała świnia - te ogromne, rozpustne słoje, ciemne jak szatan, jak pieprzone czarne dziury, które mogą ci wyssać serce z piersi. Zieleni nie była moim jedynym kolorem, ale raczej czymś w rodzaju manifestu, programu, drzewa rodowego. Po chwili miałem już wszystkie dziesięć kopalni mocy, połączone ze sobą podziemnymi tunelami, mieszałem je w poszukiwaniu własnego, piekielnego znaku, mieszałem z gipsem, z olejem, z parafiną, z kadmową żółcią, z czerwonym szaleństwem; ładne nazwy, ale nie mając do rzeczy - nie ma imienia dla Boga i światła, jest tylko matematyka, skala Angstrema, czerwone szaleństwo = 65 000 AU.

Hugh już wstał i rozlał się po całym przybytku jak gówno w gaciach szaleńca, już tupał asfaltową ścieżką, wyzywając muchy w wymyślonych językach. Ale zarówno on, jak Dozy, Marlene, mój synek - wszyscy umarli dla mojej świadomości, szczerze kondolencje, tak bardzo mi przykro, R.I.P.

Malowałem.

Lata później, w apartamencie przy Mercer Street, marszand Howard Levi, gdy obrzucił to płótno łaskawym spojrzeniem bladych, znudzonych oczu, był uprzejmy wyjaśnić mi, czego właściwie dokonałem tamtego szalonego dnia w Bellingem., Jesteś jak Kenneth Noland" i „Twoim celem nie są słowa, one ci służą za rusztowanie, na którym rozwieszasz kolory”.

To nie tylko nie było mądre - to nie było nawet to, co myślał. „Bardzo świeże” - powiedział, ale pomyślał sobie: „Kim jest ten głupi fiut, który nawet nie słyszał o Clemencie pieprzonym Gre-enbergu?”.

48

Levi nie żyje, więc mogę go wymienić z nazwiska. Co do reszty, wolę jeszcze trochę potrzymać język za zębami. Marszandzi z Nowego Jorku odznaczali się specyficznym rodzajem ignorancji, zupełnie innej niż u Jeana Paula. Łączyło ich jednak z moim patronem jedno zadziwiające przekonanie, mianowicie, że muszą się pogodzić ze wszystkim, co orzekną Fiutberg, Cipowski et co. Jean Paul powiedział mi to właściwie wprost. Levi wolał oględnie komplementować moją „świeżość”.

Ale tak w zasadzie było wszędzie. Każdy, kto uważał się za mojego prawdziwego przyjaciela, usiłował mnie uwspółcześnić. Jak gdyby nie istniało żadne prawdziwe miejsce na ziemi, żadne miasteczko z muchami pełzającymi po szybach piekarni, żadni studenci w muszkach a la Corbusier, czytający rubryki towarzyskie w

międzynarodowym czasopiśmie „Wieści ze Świata Sztuki”. Wszyscy ci przyjaciele harowali do siódmych potów, byle tylko mnie uwspółcześnić, uwolnić nie tylko od staromodnej kreski, ale w ogóle od jakiegokolwiek odniesienia do rzeczywistego świata.

To były ważne sprawy, ale pierwsze pytanie sprzedawców z Manhattanu pod moim adresem brzmiało zgoła inaczej: „Czy może pan nam podać nazwiska i numery telefonów swoich kolekcjonerów?”.

A następne: „Kiedy miał pan ostatnią aukcję?”.

I potem, kiedy już zerknęli w końcu na płótno, pytali jeszcze bezgłośnie: „Co to za gówno?”.

Mrok i beznadzieja. Ci goście nie mieli oczu, mieli tylko nosa do interesów i śmierziałem im jak upośledzony idiota boży z bawełnianego miasteczka Zadupie, stan Missisipi.

Ale ja jestem Rzeźnik Bones, sprytny drań, zorganizowałem sobie zielone farby i holenderskie płótno i zrobiłem z nich tego oszałamiającego potwora, wysokiego na siedem stóp i długiego na dwadzieścia jeden. A jego kości, żebra, tętnice i żałośnie połamane palce utkane były ze światła i z matematyki JA, KOHE-LET, BYŁEM KRÓLEM NAD IZRAELEM W JERUZALEM.

49

I SKIEROWAŁEM UMYSŁ SWÓJ KU TEMU, BY ZASTANAWIAĆ SIĘ I BADAĆ, ILE MĄDROŚCI JEST WE WSZYSTKIM, CO DZIEJE SIĘ POD NIEBEM. TO PRZYKRE ZAJĘCIE DAŁ BÓG SYNOM LUDZKIM, BY SIĘ NIM TRUDZILI. POZNAŁEM, ŻE RÓWNIEM I TO JEST POGONIĄ ZA WIATREM, BO W WIELKIEJ MĄDROŚCI - WIELE UTRAPIENIA, A KTO PRZYSZPARZA WIEDZY -PRZYSZPARZA I CIERPIEŃ.

A w tym pierwszym JA zagnieździła się Marsowa Czerń, to „JA” wznosiło się wysoko jak mój brat w futbolowych skarpetach, wyzierało z głębin Gęsiej Szarości, o spłaszczonych, lśniących brzegach, spływało na płótno jak anielskie hufce prosto z KRÓLESTWA NIEBIESKIEGO. Zresztą nieważne. Tego nie da się wyczytać ani wypisać w katalogu wystawy. To kości mojej matki, fiut mojego ojca, gotowane ścierwo Rzeźnika, wrzące jak kocioł flaków. Przez dziesięć dni i dziesięć nocy rozciągałem, wygładzałem i skrobałem, z głową szumiącą od strumienia, aż w końcu obraz natchnął mnie świętym lękiem bożym, włosy stanęły mi dęba, i pomyślałem, do cholery, skoro potwór zdołał wystraszyć, własnego twórcę, zabójcę i współnika, to Jean Paul będzie porządnie przerażony, bo Jean Paul to wprawdzie dość rozwinięta forma życia, ale w istocie stoi niżej nawet niż Howard Levi i gang z 57 Ulicy.

Nie powiedział tego wprost, kiedy przyszedł mnie odebrać z celi, ale czułem, że i on, i marszand, i adwokat, wszyscy martwią się, czy nie wyszedłem jeszcze z mody.

O jejušku, Boziu droga, co za katastrofa! Jak się ratować?

Nie wiedzieli, że ja wyszedłem z mody w chwili narodzin i równie niemodny przyjechałem do nich pociągiem z Bacchus Marsh. Miałem za krótkie spodnie, białe skarpetki i podejrzewam, że będę popełniał podobne wykroczenia przeciwko dobremu stylowi nawet jeszcze w trumnie, już bez ciuchów, bez ciała, które nasyci ziemię, i z proszkiem zamiast kości.

W każdym razie problem nie polegał na stylu. Chodziło o spadające ceny moich obrazów i wartość kolekcji Jeana Paula. Rynek to zwierzak nerwowy i łatwo wpadający w panikę. I tak

50

powinno być. W końcu, skąd można wiedzieć, ile zapłacić, jeżeli nie wiadomo, ile to cholerstwo warte?

Założmy, że daliście pięć milionów baksów za jakiegoś Jeffa Koonsa, co mówicie sobie potem, po powrocie do domu? Co myślicie?

Ale cóż ja mogłem na to wszystko poradzić, nawet gdybym chciał próbować? Pozostało mi tylko to, co właśnie zrobiłem: wyssać maksimum kasy z Kevina i zorganizować sobie jakieś materiały do pracy. Czy powinienem najpierw zadzwonić do mojego patrona? Spytać go o zdanie? To naprawdę zupełnie bez znaczenia, co sobie myślą galerie, krytycy i ludzie, którzy kupują obrazy. Jasne, słyszałem o Greenbergu. Jeśli o mnie chodzi, równie dobrze mógł sobie być technikiem radiowym. Powiedział tylko jedną rzecz wartą zapamiętania: Jedyne problemy sztuki to ludzie, którzy ją kupują.

Przez jakiś czas, spędzony na wybrzeżach rzeki Nigdy Nigdy, malowałem takie rzeczy, jakich jeszcze w życiu nie widziałem. Dzień po dniu, noc po nocy napełniałem sam siebie strachem, nie wiedząc, co o tym myśleć.

I przez ten cały czas gdzieś obok był mój brat, zakupy, gotowanie, sranie i siekanie ostów, nie było za to kobiety, nie było kropel lawendy na jej bezimiennych piersiach.

Człowiek musi nieść swój krzyż, jak mawiała nasza mama, więc gdzieś w tle zawsze był Hugh, jego głęboko osadzone, małe, słoniowate oczka, i każdego ranka i każdego wieczora, aż do końca tropikalnego, parującego lata, a potem przez cały cudowny marzec, kiedy trawa na pastwisku pokryła się brązowymi piegami, jak najpiękniejszy tweed, mój brat uparcie wyruszał do Bellingen z puszką wody w dłoni.

Ludzie byli dla niego mili, nie powiem. Wielkomiejscy twierdzą, że małe australijskie miasteczka to gniazda ciemnoty i nietolerancji, ale z mojego doświadczenia wynika zupełnie coś innego i oczekiwałem, że w miejscu rozmiarów Bellingen winien trafić się ktoś w rodzaju Wykształconego Dżentelmena i jego Dzielnej Pani Doktor, w butach ze stalowymi czubkami i w serżowych spodniach, którymi można szorować ściany. Było więc tu miej-

51

sce i dla Powolnego Bonesa, nawet jeśli musiał trochę się po-przepychać i poobijać.

Kiedy mieszałem farby, Hugh przesiadywał w hotelu Bridge i popijał jedno piwo od dziesiątej rano do trzeciej po południu. Umówiłem się z obsługą. Codziennie dostawał swoją kanapkę z sałatą kurczakiem, o tej samej porze, w tym samym miejscu, w kącie tuż koło odbiornika.

Nie zdawałem sobie sprawy, że żyję w raju. Dostrzegałem tylko drobne minusy: telefony od Jeana Paula, od mojego adwokata, wreszcie to długie, długie milczenie Dozy'ego, które w końcu naprawdę zaczęło dawać mi się we znaki. Chciałem obejrzeć Leibovitza. Miałem do tego prawo. Ale nie zadzwoniłem.

Bo też zawsze coś się działo.

Wydawało mi się, że to takie straszne: Hugh gdzieś przepadł, Hugh wdał się w mordobicie, Hugh dostał furii... Wyobraźcie sobie letni późny poranek, maluję i słyszę tylko ptaszyska wyrrywające flaki z drzew tuż nad moją głową, wrzaski srok, zawołania zimorodka, byka od pani Dyson, a oprócz tego jeszcze te wszystkie małe zwierzaki, miodojady, strzyżyki, altanniki, kapo-dzioby, słodki szelest wiatru w gałęziach nad strumieniem - i nagle ten ogłuszający wrzask, nie tyle ryk cielaka, ile ryk byka, z którego właśnie ktoś robi woła. Chociaż jeszcze maluję, już wiem, że to przybywa mój braciszek, już widzę te jego wielkie, zgarbione ramiona, mięsiste ręce, nogi jak kloce truchtające wąską, asfaltową ścieżką, jego koszulę wystającą ze spodni, pustą puszkę w ręku i wąsatą twarz, zmiętą jak papierowa torebka, a do tego wszystkiego kompletnie niedopasowany rzymski nos z wyciekającym glutem. I dlatego, chociaż żyłem w raju, za chuja bym się tego nie domyślił.

Rozdział siódmy

Wygolony na tyso Rzeźnik Bones krzyczy, patrzcie na moje prace itede itepe, ale nigdy się nie przyzna, że Hugh Bones był jego pomocnikiem. Podpisuje wszystko MICHAEL BOONE, chociaż powinno być BRACIA BONES. Artyści to oszuści, sam często mi mówił. Ale do cholery z tym, ja sądziłem, że artyści to po prostu królowie życia, musiałem się pomylić, jak zwykle.

No więc Rzeźnik Bones kłamliwym podstępem wyłudził rolę płótna i zaniósł ją sobie do domu na moich plecach i chuchał i dmuchał na tę swojąrolkę, a potem wtargałem mu to płótno na górę do studia, jak adiutant, i rozłożyłem na podłodze. Bez świadków. Tylko Rzeźnik i ja.

A on dalej swoje, SERWUS JESTEM NERWUS, i popatrz tylko, Hugh! Widziałeś to, Hugh! Ale cudo, Hugh! Będzie obraz wielki jak cholera! Przytniesz mi, stary? O, tutaj i tutaj, no właśnie tak, geniusz z ciebie, Hugh!

Tymczasem w jego WERSJI WYDARZEŃ jest miejsce tylko na jednego GENIUSZA. Wszyscy się dziwią, że taki Michael Boone mógł się wyłonić z Bacchus Marsh, bo ich zdaniem takie miasteczko to musi być jakiś dół z szambem i nawet nie mogą zapamiętać, jak się nazywa, a naprawdę to oni głównie wiedzą, bo tam siekająnajlepsząbaraninę na południowej półkuli. Tasak, piłka, drewniany blok, to miał być mój świat.

Jak Rzeźnik mnie poprosił, żebym mu pociął to płótno, byłem cholernie zmęczony, bo szedłem całądrogę do miasteczka i gdzieś koło tamy przyczepiła się do mnie armia robactwa i wlała mi

53

podjaja. No więc byłem zmęczony i wszystko mnie swędziało, ale on musi TWORZYĆ. Niech mnie, nigdy sobie o nim źle nie myślałem, co by o mnie nie gadał. Na przykład w nocy kładę się do łóżka i chowam głowę pod poduszkę, żeby nie słyszeć, jak rozmawia z TYM BOGACZEM DOZYM. Och rany, ale ze mnie pieprzony ciężar, starczy posłuchać tych nerwowych szeptów po nocy mojego brata, niech nam Bóg pomoże.

Przytniesz mi to, Hugh?

Czy ja kiedyś słyszałem, żeby on mówił temu Bogaczowi, że jego brat potrafi tropić pojedynczą nić przez całą długość płótna, że mogę ją śledzić aż po samą krawędź, jak kiedy kładę się na brzuchu i wypatruję w trawie małych czarnych mrówek, ŻYWY MIKROSKOP? Nie, ani słowa. A czyja się skarżyłem? Czy powiedziałem mu kiedyś, jakie to dziwne, że nagle daje mi do ręki ŚMIERTELNE OSTRZE, chociaż moja tak zwana rodzinka nigdy przynigdy nie chciała mi pozwolić nawet dotknąć FUTERAŁU od noża, co dopiero wbić tasak w świętą, żyjącą skórę. Potrzyмай nieckę, Jason, ale nigdy: potrzyмай nóż. A teraz proszę, to ja chwytam NARZĘDZIE ZBRODNI i ja kładę się na podłodze studia i tropię pojedynczą nitkę w jego holenderskim płótnie - to nie on został obdarzony tym talentem i nie on ma większą siłę. Mój brat patrzy i strasznie mu się podoba, jak ja rozdzielam jedną nić od drugiej przez całe dziewięć stóp i bez jednego błędu. Moje doskonałe cięcie to ZNAK ŁASKI, tak mi powiedział, nieważne, że on wcale nie wierzy, tylko wypisuje ŚWIĘTE SŁOWA bez śladu skrępowania, długim pędzlem, szerokim na trzy cale. Płaci dziesięć dolców za pędzel i w ataku szału wypisuje boże słowa. NIE TWÓJ PROBLEM.

Ja jestem Powolny Bones. I wiem, co to naprawdę znaczy, nieważne, co mówiłem wcześniej. Nie mogę dostać do ręki ani noża, ani stali, ani tasaka. Zamiast tego muszę powozić tym pieprzonym powozem z kucykiem i zbierać zamówienia. Pyszna baraninka dzisiaj, pani Puncheon. Dzisiaj znów funt mielonego?

54

Nigdy nie pogodziłem się z tym, że nie dano mi zostać rzeźni-kiem, chociaż umiałbym zabijać zwierzaki o

wiele delikatniej, biedaczyska, te wielkie ślepia, w których odbijała się moja twarz. I tak Bóg w swojej łasce wejrzał na moje oblicze.

Długo miałem pretensje do matki, że nie wzięła mnie w obronę. To była taka drobinka-chudzinka, jaskółeczka, o wielkich, czarnych oczach, zawsze wypatrująca dnia Sądu Ostatecznego, kres już blisko, nasza godzina wybiła. Biedna mama, kochana mama, ona strasznie się bała wszystkich noży i co tu się dziwić, starczy zobaczyć jak tata Bones i dziadek Bones stają w drzwiach, tacy ogromni, tacy wściekli i zawsze silniejsi. Co noc matka chowała wszystkie noże w sejfie. Lekarze ucięli jej lewą pierś. Na litość boską. No i stąd to chowanie. Mój los, moja przyszłość co noc zamykana na klucz.

I teraz, po latach, kiedy już wszystko przepadło, a na miejscu rzeźni powstała wypożyczalnia kaset wideo, kiedy pogrzebałem całą nadzieję, teraz nagle brat sam wręcza mi nóż, żebym pociął mu płótno. Pozwólcie, że wytłumaczę, na czym polega jego podłość. W ten sposób mój brat zrobił sobie ze mnie SŁUŻĄCEGO. Na przykład, w studio leży plastikowe pudełko po lodach, a w nim kupa czegoś w rodzaju pęset, to takie narzędzia, które dentyści wkładają ci do ust, żeby cię zranić w dziąsła. Więc o tych pęsetach nigdy nie ma mowy, kiedy Michael Boone wygłasza tyrady na temat Clementa Greenberga, który może sobie być technikiem radiowym etc. Moglibyście spytać mojego brata, oho, a po co ci ta cholernie wielka miska z pęsetami? A po to, żeby braciszek-idiota mógł pełzać przede mną na kolanach i wydłubywać z mokrej farby proszki-paproszki, nóżki, muszki, latające syfki i inne puszkę, które zakłócają idealną czystość DWUWYMIAROWEJ PRZESTRZENI.

Powiedziano mi, że nikt inny na całym świecie nie potrafiłby rozdzielić tego płótna długości dziewięciu stóp bez jednego błędu. Ale co mi zależy, wszystko to marność, i nie raz już sobie pomyślałem, że jestem tylko jednym wielkim zegarem, który syczy i ryczy, gulgocze i bełkoce, chodzi w tył i w przód po drodze do Bellingena, co dnia, wiosna, lato, muchy, ćmy, wszystkie te

55

furkoczące fruujące malutkie zegarki, zawieja zegarków, pędząca ku zapomnieniu. Niedogodności. Kto nas usunie pęsetką?

Nigdy nie chciałem umrzeć w północnej Nowej Południowej Walii, pośród pijawek, pcheł i pieprzonej wody wylewającej się ze strumienia, wszędzie tylko błoto i zgnilizna. Urodziłem się u stóp WERIBEE, więc proszę, dajcie mi jakiś suchy grób, wykopcie jamę w twardej, żółtej ziemi, w której każdy ślad łopaty zostaje na wieki, jak korytarz wyżarty przez larwy w skale. Nigdy nie chciałem umrzeć w takim miejscu, ale mój prawdziwy dom został przerobiony na wypożyczalnię kaset, matka i ojciec nie żyją, więc zostałem sam, biedny Hugh, biedny, pieprzony Hugh, czoło-wiek-zegar.

Rzeźnik Bones, oj, nie lubią go w Bellingena. W Bacchus też go nie lubili, bo i jak można lubić kogoś, kto goli głowę po to, żeby ojciec nie mógł go ostrzyć? Nie lubili go, tak jak nie lubili NIEMIECKIEGO NAUCZYCIELA, więc w końcu Rzeźnik pojechał sobie precz z miasta i wrócił tylko na chwilę, jak Biały Bones dostał wylewu, i chociaż matka płacząc błagała go, żeby wziął się do noża i tasaka, on nie, on wrócił do Melbourne i tam dorabiał potajemnie w fabryce mięsa u Williama Anglissa. Powiedział, że ma tylko jedno życie, ale to nieprawda. Teraz choruje na coś, co się nazywa AMNEZJA i chyba nie pamięta, jaką krzywdę zrobił całej rodzinie i domowi, bo tutaj w Bellingena bez przerwy tylko powtarza, jaki z niego WIEJSKI CHŁOPAK albo Jestem z Marsh", ale oni zaraz go przejrzeni, te jego ciemne, mrugające oczka, oszustwa i kłamstwa i zamawianie rzeczy na rachunek Jeana Paula Milana, a jedyne, co go ratuje, to to, że wszyscy tutaj okradają Jeana Paula.

To się zdarzyło któregoś dnia, jak Rzeźnik chlapał farbą, a ja szedłem do miasteczka. Za rzeką droga zaczyna

się wznosić, wylana woda już opadła i odsłoniła płachty trawy, leżącej na ziemi płasko jak trupy albo jak stare wymiociny, których nikt jeszcze nie zmył. Przy filarach mostu wokół starych prętów zebrały się PŁYWAJĄCE RUPIECIE, koszmarna zatoka śmieci, gałę-

56

zi, wszelkiego rodzaju roślin i minerałów, był nawet słup z resztkami drutów zwisającymi z czubka jak rybnie flaki. Wtedy go zobaczyłem, bardzo daleko, wyglądał jak mała, śniadaniowa kiełbaska, tylko że szaroniebieska. W tej samej chwili nadciągnęła trąba powietrzna, w powietrzu zawirowały tumany kurzu, brudu i kory, wszelkie żywe stworzenie uciekało z drogi we wszystkich kierunkach, nawet muchy wpadły w popłoch. Świat się kończy, pomyślały. Moje serce pompowało jak najęte, przelewając krew z jednej komory do drugiej. Mięso i muzyka, dwa uderzenia na sekundę. Skręciłem w wąską ścieżkę odchodzącą od drogi i przedarłem się na sam dół, do wody, na brzeg. To, co widziałem, to był suchy ogonek mojego szczeniaka, niebożątka. Niech to, aż mną wstrząsnęło, ale zaraz podszedłem go obejrzeć. Miał wywiniętą wargę i jakies paskudztwo już zaczęło go zżerać. Prawie cały tyłek wystawał mu z wody, okropieństwo, no więc wziąłem mój ostrugany kijek i podciągnąłem to małe, malutkie ciało, całe w jakichś farfoclach, a potem już nie wiedziałem, co zrobić. Wróciłem z powrotem na drogę, idąc rozdarłem sobie koszulę, bo zahaczyłem o płot. I myślałem, że muszę wziąć jakiś worek po ziarnie, żeby wsadzić tam szczeniaka i zabrać go do domu, znaleźć mu gdzieś w błocie miejsce wiecznego odpoczynku, gdzieś w środku NIZINY ZALEWOWEJ, pod skałami. Powinienem być iść do sklepu Kevina, tam by się mną zajęli, ale miałem bliżej do pubu. Więc poszedłem i usiadłem na swoim zwykłym miejscu koło radia. Nie położyłem psa na barze, pełna higiena.

Wszystko było inaczej niż zwykle, tylko Merle jak zawsze przyniosła mi mój kubasek i zabrałem się do picia, i nawet jeszcze wtedy usiłowałem być uprzejmy. Zwykle starałbym się, żeby mi starczyło tego piwa na dwie godziny, ale teraz chciałem skończyć od razu. I tak nadeszła godzina smrodu i mokrych popielniczek, oczywiście popielniczki czuć tylko do pierwszego pierdnięcia Kevina albo dokąd nie zapali fajki. Z początku nie miałem nikogo do towarzystwa oprócz jednego narkomana, chudego jak

57

szkieletor, dopiero potem przyszli bracia Guthrie. Jest ich dwóch, ten większy nazywa się Evan, ale drugi zwykle zachowuje się całkiem przyzwoicie. Podobno bracia Guthrie dostali trzytygodniowy kontrakt na stawianie płotów i nagle odkryli, że ich czek jest bez pokrycia, więc nieźle się wkurzyli. Gary Guthrie oświadczył, że weźmie D24, naciśnie spust i rozpirzy cały płot, całe trzy tygodnie pracy. Okropnie się żołądkował. No a że w pubie byli tylko oni, ja i narkoman, ale ten to się w ogóle nie odzywał, więc słyszałem każde słowo z ich rozmowy. A oni za to ciągle patrzyli na mojego szczeniaka. Evan nawet się do mnie nie odezwał, tylko powiedział Merle, że powinien to zgłosić do Inspektora Zdrowia. Więc zapytałem głośno, czy Merle nie mogłaby mi dać jakiegoś pudełka, najlepiej takiego na dwanaście butelek, bo akurat mój pies by się w nim zmieścił. Ale Merle powiedziała, że pudełka poszły na makulaturę. Narkoman wziął piwo i wyszedł na ścieżkę.

Evan wyraził wtedy opinię, że jestem kretyńcem, bo piję z martwym psem. Evan to naprawdę duży facet, z nogami jak słupy drogowe, no i przez całe życie grzebał się w ziemi. Nic nie odpowiedziałem, licząc na jego brata, ale Gary był wściekły i myślał tylko o zemście i o rozpiraniu trzech mil płotu. W dusznej, zawieszistej atmosferze wiejskiego pubu jego plany pienięży się bujnie jak SZARAŃCZA. Evan zaczął dociekać, co spowodowało uszkodzenia tylnych części ciała szczeniaka, ja nadstawiłem drugi policzek, ale kiedy Evan uczynił próbę skonfiskowania zwłok PRZEMOCA, zareagowałem błyskawicznie, BŁĘKITNY ZIMORODEK śmigający nad musztardowąpowłoką wód. Chwyciłem go za mały palec, kruchutki jak zasuszona wałka.

Evan należał do tak zwanego STAREGO RODU, od dawna mieszkającego w okolicy i miał nawet swój portret na ścianie, ale teraz musiał się zniżyć do poziomu listwy podłogowej i wyć i pełzać, tuląc do piersi ZŁAMANE ŚRÓDRĘCZE.

W MGNIENIU OKA sprowadziłem go do parteru.

Gary ruszył w moją stronę. Ostrożnie odłożyłem szczeniaka na bar i mściciel Evana natychmiast zrozumiał, co mu grozi.

58

Posłuchaj no, ćwoku, mówi do mnie, przekaz swojemu braciszce, pierdolonemu złodziejowi, że nie jest już dłużej mile widziany w okolicy.

I tak niesłusznie sądziłem, że to z powodu złamanej kości śród-ręcza Evana Guthrie mój brat i ja zostaliśmy skazani na banicję. Nie mogłem tego znieść. Całe życie wyrzekałem na Rzeźnika Bonesa i na to, co zrobił, a teraz okazało się, że jestem dokładnie taki sam. Wróciłem do domu bardzo przygnębiony, ja, Hugh, natrętna mucha, osa, WRÓG SZTUKI.

Rozdział ósmy

N, mogę winić Hugh - co za absurdalny pomysł - i nie mogę też porównywać się z van Goghem. Ale wolno mi zauważyć, że to święty, umęczony brat Vincenta, Theo przyniósł kres sześćdziesięciu dniom malowania w Auvers-sur-Oise. Możecie sobie znaleźć trzy tysiące albumów pełnych fatalnych reprodukcji i banalnych opinii, że sześćdziesiąt obrazów pochodzących z tamtego okresu stanowiło „łabędzi śpiew” geniusza, a kruki nad łanem zboża stanowią „oczywisty znak”, że Vincent zamierzał się zabić. Ale niech mnie cholera, kruk to tylko ptak i Vincent żył sobie w najlepsze, kruki latały nad łanami zboża jak wściekłe, a on codziennie malował nowy obraz. Miał niezłe narąbane w głowie, nikt nie mówi, że nie, cholernie monotony jako malarz, no i być może rzeczywiście nie pomieszkiwał u doktora Gacheta wyłącznie w charakterze gościa, ale artyści robią różne rzeczy, więc nie ma o czym gadać.

Po zachodzie słońca, bez światła, Vincent po prostu kładł się spać. W tym samym czasie pozostawał w telefonicznym kontakcie z Panem Bogiem, no i po sześćdziesięciu dniach pojechał paryskim pociągiem w odwiedziny do Theo. Nie planował żadnego pieprzonego samobójstwa, tylko chciał sprzedać trochę tych obrazów. Czemu nie? Bez wątplenia znał wartość swoich prac.

Z Auvers-sur-Oise do Paryża jest naprawdę blisko. Sam całkiem niedawno przejechałem tę trasę i nie potrafię sobie wyobrazić mniej romantycznej wycieczki, nawet gdyby się włączył po zachodnich przedmieściach Sydney. W moim przypadku wra-

60

żenie pogorszyło dodatkowo towarzystwo w przedziale. Jeden z panów miał paskudne opryszeki na wargach i za wszelką cenę chciał, żebyśmy wypili sobie wspólnie butelkę pernodu. Z gwintem, naturalnie. Półtorej godziny po wyjściu z tak słynnego obecnie ogrodu doktora Gacheta znalazłem się w Paryżu. Vincent tak samo. Theo był jego marszandem, jego patronem i jego bratem, człowiekiem, w którego ramionach Vincent wkrótce umarł, ale nie zapominajmy, że Szanowny Pan Niech Go Szlag Theo Van Gogh był również profesjonalnym dilerem sztuki i robił to, co dilerzy robią zawsze i od wieków: pieprzył o głównianej sytuacji na rynku, że Vincent musi zaczekać na swój moment, że kolekcjoner, który już-już miał coś kupić, właśnie umarł albo wyjechał, albo stracił wszystkie pieniądze przez kosztowny rozwód itd. Theo, niech mu Bóg wybaczy, po prostu wpadł w depresję. Sądził, że nastał najwyższy czas, żeby Vincent zmierzył się z

„rzeczywistością” i Vincent najwyraźniej się zmierzył, bo wrócił do Auvers-sur-Oise i dwa dni później strzelił sobie w klatkę piersiową.

Kiedy usłyszałem ryk Hugh, nadciągającego ku mnie zakurzoną drogą, miałem za sobą tylko czterdzieści siedem dni pracy i nic nie mogło mnie zatrzymać, ani kula, ani sznur. W zapyziałej szopie stało osiem ogromnych płócien, a dziewiąte leżało właśnie przede mną całkiem obnażone, na podłodze studia.

Twarz Hugh była zbita na miazgę i już zaczynała puchnąć, szerokie płachty policzków pokrywały cienkie smugi krwi i śluzu, skapujące powoli na zmaltretowane zwłoki, które kołysał w ramionach jak noworodka. Wydobyć z niego całej historii zajęło mi ponad godzinę, a i tak nie wszystko rozumiałem. Początkowo uznałem, że krew była rezultatem walki z Evanem Guthrie, i dopiero w tydzień potem dowiedziałem się, że widziano Hugh na drodze biegnącej nad rzeką, jak wali głową o stalowy słup. Wszystkie te rany i siniaki pokrywające twarz Hugh, wszystkie rozbite tkanki, które już niebawem napuchły, tworząc żółte, różo-

61

we i fioletowe wyspy, upodabniające jego policzki do galaretki na foie gras, wszystko to zrobił sobie sam, bo - podobnie jak ja - mylnie zinterpretował sytuację.

To nie był pierwszy złamany paluch w jego karierze, a tamten poprzedni przysporzył mi więcej bólu i cierpienia, niż mogę przyznać. Hugh i ja słusznie uznaliśmy, że znów jedziemy na tym samym wózku, ale, jak niebawem się przekonacie, chociaż nie myliliśmy się w sprawie rychłej eksmisji z domu, poza tym sprawy miały się zupełnie inaczej niż sądziliśmy. Tak czy owak, tym razem nie wyżywałem się na Hugh. Było mi ciężko na duchu, ale tego nie okazywałem. Zachęciłem go, żeby zrealizował swój plan, który polegał na znalezieniu jakiegoś suchego miejsca i pochowaniu tam psa. Sam pomogłem zapakować zwłoki do mojego najlepszego plecaka. Hugh wyruszył zatem w drogę, z psem na plecach, łopatą i pogrzebaczem w dłoniach, a ja wróciłem do płótna. Wiedziałem, że czas ucieka i że niedługo zaatakują nas armia skarłatych i zidiociałych oficjeli, zaczną się roić wokół jak kolonia larw białych mrówek, zagrażająca doskonałej powierzchni wciąż jeszcze żywej farby.

Cierpiałem na niedostatek materiałów, ostatnio napotkałem na opór Kevina, w związku z czym nie planowałem na ten dzień poważniejszej pracy, ale czas jest bezcenny i z każdym oddechem robi się go mniej. Postanowiłem zatem zmierzyć się z moim najgorszym demonem, obramowanym haftem, który nasza matka powiesiła nad swoim straszliwym łóżkiem. MOŻE WIDZIAŁEŚ KIEDY, JAK UMIERA CZŁOWIEK. PAMIĘTAJ, ŻE I TY ODEJDZIESZ W TĘ SAMĄ DROGĘ. GDY NADEJDZIE RANEK, POMYŚL, ŻE NIE DOCZEKASZ WIECZORA. WIECZOREM NIE OBIECUJ SOBIE TAK ŚMIAŁO PORANKA.

Coś nie pozwalało mi tknąć tych słów, tak jak nie położyłbym dłoni na rozpalonym żelazku, słyszałem ostrzegawczy syk skóry, czułem swąd palonego ciała. Poświęciłem ponad godzinę na dokładne wysprzątanie studia, wyszorowałem linoleum, wyłożyłem podłogę papierem i na wierzchu przygotowałem płachtę baweł-

62

nianego płótna. MOŻE WIDZIAŁEŚ KIEDY, JAK UMIERA CZŁOWIEK. Wyjąłem mieszadło z wiertarki i zacząłem je czyścić, chociaż nie było po temu większej potrzeby. Powoli zestrugałem pokłady starej farby, która oblepiała skrzyżowane spirale narzędzia. NIE DOCZEKASZ WIECZORA, cała ta malarska przeszłość układała się warstwami, jak lizaki z lukrecji, skały osadowe, pokłady zieleni, czerni, cudownej żółci, iskrzącej miki, złota idiotów, jak nazywają ją w Marsh. Nie chciałem zaczynać. Szorowałem łopatki mieszadła stalową wełną aż zaczęły lśnić, a potem skupiłem wzrok i wbiłem wirujące mieszadło w samo serce marsowej czerni, węglowej czerni, grafitu, 240 voltów, 100 obrotów na minutę, i jeszcze ftałowa zieleń z alizarynową

czzerwienią. Tak zacząłem. Wzięło mnie. Strząsnąłem krople z mieszała, ależ lodowata, wsysająca światło czerni stanęła przede mną olśniewające zło, uwięzione w puszcze. A w samym wnętrzu biło małe, wredne serduszko, karmazyn, i już widziałem krawędzie kształtów, które jeszcze się nie narodziły - te alizaryno-we obwódki niemal tak czarne jak czerni, ale skrywające w sobie OBIETNICĘ, jak płonące krawędzie liści w burzy ognia. I wtedy zaatakowałem ultramarynę całą potęgą słodkiej, palonej umbry, by narodziła się nowa czerni, ciepła jak zimowy pled dla konia wartego dwadzieścia tysięcy dolarów, a na koniec splamiłem moje bawełniane płótno dioksynowym fioletem, tak cholernie mocno rozwodnionym, że został z niego tylko perłowosząry poblask, jak sekretna skóra, którą można wypatrzeć pod smugami, powiedzmy sobie, WIECZORU i w kilku innych miejscach, tam gdzie porażający lęk mojej matki był szczególnie zwichrzony i poskręcany. Dziś możecie wpatrywać się w ślady jej wahań, wątpliwości, zmiennych opinii, widać je wszystkie, wymazane i pociągnięte pędzlem powtórnie, w opornych literach, które jak Syzyf wciąż na nowo zmuszałem do posłuszeństwa, bez rzymskiego dłuta i bez mowy poetów - aż NIE OBIECUJ SOBIE TAK ŚMIAŁO stało się tak ohydne i zarazem szlachetne, jak pożar mleczarni w 1953 roku, dziesięciu martwych mężczyzn

63

pośród powykręcanych kadzi i oparów dymu. Ostatniego dnia, bardzo wczesnym świtem, zrobiłem werniks, żel 9/10, jaśniejszy niż mgła nad strumieniem, i poprowadziłem go ukośnie przez czarne szczyty. Co do samego obrazu, wreszcie, po latach, możecie go zobaczyć w Australijskiej Narodowej Galerii Sztuki i nie będę was traktować jak jakichś pieprzonych handlowców, którzy wy-pytują mnie w samolotach, „czy powinienem znać pana nazwisko?”.

Ale pozwólcie tylko powiedzieć, że czyściłem, drapałem i skrobałem to płótno, aż stało się argumentem samo przeciwko sobie. Naprawdę, starczyło spojrzeć na te smugi potajemnej czerni, żeby poczuć w sobie prawdziwy strach przed Bogiem, żeby się udławić, żeby dostać orgazmu i wsadzić nagie stopy w ogień.

Praca trwała trzy dni. I dobiegła końca. W międzyczasie, co było złym znakiem, nie zjawił się nawet jeden gość. A Hugh zdążył się pozbyć swojego psa i włączył się teraz po cichu po domu, z zapadniętymi, przymrużonymi oczami, spędzając czas na wycinaniu ostów. Uznałem, że mądrzej będzie trzymać się z dala od Bellingen i unikać miejsca zbrodni, więc poświęcałem dodatkowe pół godziny na dojazd do Portu Coffa. I tak miałem kłopoty: ograniczone dostawy, brakowało ftalowej zieleni, co zmusiło mnie do niezamierzonej i niechcianej zmiany palety. Czwartego dnia po uszkodzeniu śródrcza Evana zjawił się pierwszy z atakujących, jakiś kretyn z Rady Bellingen, pan inspektor budowlany wystrojony w długie, białe skarpety i uzbrojony w klipbord. Przeszedł się po posesji krokiem prokuratora i pomierzył odległości między brzegiem rzeki a szambem. Oto jak małe miasteczko pozbywa się niechcianych gości. Donoszą, że twój dom łamie prawo budowlane. Gównu mnie to obchodziło, ten dom nie był mój.

Skończyła się kasa. Jedliśmy pieczone warzywa tak długo, że nawet mnie zaczęło się robić niedobrze na ich widok, ale Hugh -pocziwiec - ani razu nie skrzywił nosa. Przez cały ten czas nikt nam nawet nie powiedział, dlaczego właściwie tak nagle zostali-

64

śmy zniechęceni. Walczyliśmy w niewłaściwej wojnie, z niewłaściwych powodów i minęło aż jedenaście dni od złamania palca, kiedy przed domem zjawiła się policja. Nie lokalni, ale dwóch facetów w cywilnych ciuchach z kierowcą z Portu Cof-fa. Na widok samochodu Hugh dał dyla, rzucając się głową naprzód na zalane pola i odnalazł się dopiero po zmroku, kiedy usłyszał, że wóz policyjny nareszcie odjeżdża i wyłonił się, ubłocony, z obłędem w oczach, z jamy wombata.

Rozdział dziewiąty

Policja sztuki to też gliny, i tyle, ich wizyty spadają zawsze na ciebie jak grom z jasnego nieba albo Świadkowie Jehowy, w dodatku z równie głupich przyczyn. W każdym razie tamtego paskudnego dnia w Bellingen nie znałem się jeszcze na tym gatunku i błędnie założyłem, że moi goście zachowują się typowo.

Jeden z nich, starszy facet po pięćdziesiątce, był wysoki i zbudowany potężnie jak staroświecki wykidajło, ale chodził lekkim, niefrasobliwym niemal krokiem i co chwila obracał wielką, kwa-dratową głowę, jak gdyby wypatrywał jakiejś pieprzonej wieży Eiffla. Miał na sobie szczerowaty sweterek i palił cuchnącą fajkę, plując przy tym co chwila czymś w rodzaju smoły. Ów detektyw Ewbank charakteryzował się nieudolną dobroduszością urzędnika pocztowego na dwa tygodnie przed emeryturą i utrzymywał stały, niepokojący, wzrokowy kontakt z partnerem, który wyglądał na mózgowca.

Partner, Amberstreet, zwany przez towarzysza Barrym, mógł mieć nieco ponad dwadzieścia pięć lat, ale zdążył już się dorobić trójkątnych zmarszczek, które wskazywały na jego blade, szare Oczy jak małe strzałki. Cienkie, wykrzywione usteczka Barry'ego, zgarbione plecy i całkowity brak mięśni skłoniły mnie do przekonania, że gliny od sztuki to rzeczywiście cholernie wyjątkowa kasta glin. Podobnie jak widok pięknej żony Jeana Paula sugeruje, że w jej boleśnie przeciętnym mężu kryją się jakieś sekretne zalety, tak też niepokojące, ptasie oblicze Amberstreeta stawiało w innym świetle fajeczkę i powyciągany sweterek jego kumpla.

Gliny przyłapały mnie, oczywiście, na gorącym uczynku, jakżeby inaczej? Myślałem, że przyjechali po Hugh. Tym-

66

czasem oni chcieli przyjrzeć się mojemu obrazowi, więc zabrałem ich do szopy. Owszem, uzyskałem farbę i płótno drogą pod-szywania się pod kogoś innego, i co, zamierzali mnie za to powiesić? Owszem, sprzedałem jakąś tonę nawozu pani Dyson i podejrzewam, że Jean Paul w końcu się wkurwił. Bogacze tacy już są, nagle wpadają w panikę, że a nuż ktoś ich, broń Boże, wykorzystuje. Rany, jakież zwierzę zniżyłoby się do czegoś tak podłego?

Zaprowadziłem Ewbanka i Amberstreeta do szopy, jak gdyby byli kolekcjonerami z Melbourne zwiedzającymi studio i, muszę to przyznać, Ewbank zachowywał się uroczo jak cholera, chociaż nie omieszkął wspomnieć, że jestem notowany, czy też raczej - że moje nazwisko jest „znane policji”. Poza tym zadawał mnóstwo pytań o ogródek warzywny i indyjskie bydło, które Dozy wypuszczał na moje przydrożne pastwisko. Amberstreet tymczasem uparcie milczał, ale nawet to milczenie nie wydawało się groźne. Jak powiedział mi Ewbank, Barry martwił się głównie o to, żeby nie wdepnąć nowymi martensami w jakiś krowi placek.

Szopa jak szopa, była z tyłu w jednej trzeciej wyładowana belami siana pani Dyson, spoczywającymi na rampie, pozostałe dwie trzecie nie miały podłogi. Tutaj parkowałem traktor, trzymałem piłę łańcuchową, przecinak i wszelkie narzędzia ogrodnicze, których nie zostawiałem na dworze z uwagi na pogodę. Tutaj także umieściłem moich dziewięć płócien, owiniętych wokół wielkich, kartonowych tub. Stały oparte porządnie o ścianę, tak jak grabie, łopata, kosa i tak dalej. Oczywiście nie była to wymarzona przechowalnia, ale nie mogłem zostawić ich w studio, gdzie bez przerwy wrzeszczałyby mi do ucha.

- No dobra, Michael - powiedział Ewbank. - Teraz pora na pokaz z objaśnieniem.

Zażartowałem - nie pamiętam już jak - że muszą mieć nakaz.

- Jest w samochodzie - odparł Amberstreet. - Później okażemy.

67

To trochę mnie wytrąciło z równowagi, ale na krótko. W końcu, co w najgorszym wypadku mogłoby się stać? Oskarżyliby mnie o malowanie na rachunek Jeana Paula? Do diabła z Jeanem Paulem. Cierpliwość bogaczy łatwo się wyczerpuje. Ale zachowałem się jak grzeczny i posłuszny obywatel i rozwinąłem pierwsze płótno, JA, MÓWCA, BYŁEMKRÓLEM NAD IZRAELEM, rozkładając je na sprężystej poduszce z witaminizowanej paszy.

Wyobraźcie to sobie dokładnie, osiem mil od Bellingen, w sercu Nowej Południowej Walii, ja w szortach, na bosaka i Amber-street, który wygląda jak żuraw czy czapla, z krótkim tułowiem i długimi, chudymi nogami, ściągnięty paskiem, kumulujący energię z całego ciała w oczach, wpatrzonych w mój obraz. W tym spojrzeniu kryło się coś w rodzaju etykiety z napisem, ja pierdołę", pewnie dlatego, że, jak już chyba o tym wspominałem - zdążyłem scalić większość kolazu. Nawet w ciepłym, przymglonym świetle słońca wyglądało to cholernie dobrze.

Policjanci nie powiedzieli nic przez całą inspekcję, nawet wtedy, kiedy w jednej z rolek znaleźliśmy gniazdo pełne małych myszek. Prawdę mówiąc, prawie mnie to cieszyło. Nie mogłem iść do więzienia, a płótno wyglądało wspaniale, bez względu na smród mysich szczyń i falujący, jasnobrązowy zaciek, który biegł wzdłuż dolnej krawędzi jak hamon na japońskim mieczu.

Amberstreet życzył sobie obejrzeć Mówcę jeszcze raz. A ja jestem artystą. Lubię pokazywać swoje obrazy. Popatrzyłem jak mój krytyk stoi ze skrzyżowanymi ramionami, przygarbiony i dziwnie mały. Ewbank zagwizdał piosenkę Danny Boy.

- Ile to będzie warte? - zapytał Amberstreet. - Na rynku, na aukcji?

Zakładałem, że usiłuje wybadać możliwość zwrotu kosztów (fart) od Raphaelsona. Powiedziałem, że chwilowo płótno nie byłoby warte złamanego centa, bo wyszedłem z mody i nie sprzedałbym obrazu, choćby chodziło o moje pieprzone życie.

68

- Tak, wiem o tym, Michael. Pięć lat temu mógłbyś zgarnąć za to 35 tysięcy.

-Nie.

- Po co kłamiesz. Przecież pamiętam, po ile chodziły twoje obrazy. Kłopot polega na tym, że chwilowo zaliczasz swobodny spadek. Czyż nie?

Wzruszyłem ramionami.

- Proponuję piąta - powiedział nagle.

- O Boże - mruknął Ewbank i oddalił się, żeby skontrolować stan betonowych koryt dla świń, po czym zaczął je chlastać wężem irygacyjnym. - Jezus! - wykrzyknął. - Jezus Maria Józef!

- Bez podatku - dodał Amberstreet. Zobaczyłem błysk w jego oczach. - Gotówką.

Tymczasem Ewbank lał ze śmiechu, ubijając stertę czarnego tytoniu w wielkiej fai. Twarz jego kompana, dla kontrastu, pomarszczyła się jak bibuła, skrywająca błyszczące klejnoty jego oczu.

Kusiło mnie, nie powiem.

Ewbank odszedł kilka kroków, pykając fajkę w charakterystyczny, niezwykły sposób. Z każdym pyknięciem unosił gwałtownie grube, czarne brwi, przez co wyglądał jak gdyby ciągle go coś dziwiło.

- Nie dam rady wypłacić wszystkiego na raz. Spłcę w ratach przez rok.

Gdyby to była bardziej okrągła sumka, mógłbym się zgodzić, ale pięć patyków by mnie nie uratowało, więc odmówiłem. Nawet dziś nie wiem, czy to, co nastąpiło potem, nie stanowiło konsekwencji tej odmowy. Ale nie sędzę. Raczej Amberstreet pozwolił sobie na małąprzerwę i musiał potem wrócić do pracy.

Mój gość zmarszczył brwi i przytaknął.

- Rozumiem - odparł. - Masz taśmę, Raymond? - zapytał nagle partnera.

Ewbank wyjął z kieszeni najpierw brudną chusteczkę, a potem sprytną, malutką taśmę mierniczą, jakiej nigdy wcześniej nie

69

widziałem, zupełnie jak gdyby to był jakiś chirurgiczny instrument zaprojektowany w Tokio wyłącznie do zadań tak specjalistycznych, że nawet nie otrzymał angielskiej nazwy. Aż mnie ścisnęło w jajach.

- Zmierz ten dodatek - powiedział Amberstreet. Co za paskudne określenie na prostokąt zawierający jedno jedyne słowo BÓG, w którym odporne Ó wiodło intensywny bój z gęsią szarością i ftalowązienią.

Przyglądałem się, jak Ewbank zabiera się do roboty, takim wzrokiem, jakim można by obserwować własny wypadek samochodowy.

- Trzydzieści na dwadzieścia jeden i pół cala - ogłosił.

Amberstreet obdarzył mnie cherubińskim uśmieszkiem.

- Oj, Michael! - powiedział, chwytając rękami za pasek. Nagle zrozumiałem, że Amberstreet to strachliwy, gnidowaty gówniarz.

-Co?

- Trzydzieści na dwadzieścia jeden i pół - powtórzył. - Oj, Michael!

-Co?

-Nie brzmi znajomo?

-Nie.

- Te same wymiary, co Leibovitz pana Boylana.

O co tu chodzi, do cholery, pomyślałem. Kabała? Numerologia?

-Michael, a myślałem, że jesteś inteligentnym facetem. My znamy dokładne wymiary. Są w catalogue raisonne.

-Nawet jeśli są te same, to co z tego?

- Całkiem sporo z tego - odparł Amberstreet. - Bo, jak wiesz, dom pana Boylana został okradziony i obraz Jacques'a Leibo-vitza zaginął.

-Pieprzysz. Kiedy?

Słyszac to, Ewbank pyknął szczególnie energicznie, a jego brwi wystrzeliły w górę.

- Och - Amberstreet uśmiechnął się z niedowierzaniem. - Czyżbyś nie wiedział?

70

- Tylko bez tego sarkazmu. Skąd miałem wiedzieć?

- A słyszałeś, że John Lennon nie żyje? - wtrącił Ewbank.

- Na przykład z gazety - zasugerował Amberstreet. - Mógłbyś też włączyć radio.

- Lennon żyje, ty kutasie.

-Nie zmieniaj tematu, Michael. Jesteśmy tu, żeby poprowadzić śledztwo w sprawie tego włamania.

I dopiero wtedy, kiedy staliśmy tak wbijając wzrok w mój obraz, zrozumiałem, że dzieje się coś niedobrego.

- Ktoś rąbnął tego Leibovitza?

- Tak, szesnastego stycznia. Trzy tygodnie temu, Michael. Tylko ty wiedziałeś, że ten obraz tam jest.

- Boylan nigdy mi go nie pokazywał. Sami zapytajcie - zaprotestowałem, przypominając sobie nienawiść w oczach Dozy'ego, kiedy minęliśmy się we mgle.

- Ale wiedziałeś, że Boylan go ma. Wiedziałeś, że spędzi wieczór w Sydney.

- On zawsze jeździ wieczorem do Sydney. Naprawdę myślicie, że jestem takim kretynem, żeby przykleić obraz wart dwa miliony dolarów z tyłu własnego płótna i potem go zamalować. Do tego zmierzacie? Widać, że nie jesteście artystami.

- Nie twierdzimy, że cokolwiek gdziekolwiek przykleiłeś. Twierdzimy, że musimy zabrać ten obraz na prześwietlenie promieniami Roentgena i spektrografię.

- Ty draniu. Po prostu chcesz mi zajmować obraz.

- Uspokój się, bracie - powiedział Ewbank. - Dostaniesz pokwitowanie. Sam możesz sporządzić opis.

- Kiedy dostanę go z powrotem?

Brwi starego uniosły się niepokojąco wysoko.

- To zależy - powiedział Amberstreet.

- Od czego?

- Od tego, czy będzie potrzebny na procesie.

Naprawdę nie miałem pojęcia, co jest grane. Jakaś część mnie sądziła, że te fiuty właśnie mnie okradają. Inna podpowiadała, że wpadłem właśnie w niezłe gównno. Nie wiedziałem, która z tych części jest tą lepszą, więc w końcu potulnie spędziłem trzy go-

71

dżiny szykując pudło na moje płótno. Przez ten czas gliny obfotografowały moje narzędzia, a kiedy już

osobiście pomogłem im załadować obraz do wozu, panowie detektywi pokazali mi wielką tekę wycinków na temat kradzieży Leibovitza. Odczytałem nagłówki przy blasku świateł samochodu. Nie miałem pojęcia, o co chodziło z tym Johnem Lennonem, ale z ulgą przyjąłem wiadomość, że przynajmniej to nie ja zostałem okradziony.

Rozdział dziesiąty

Oczywiście ten szczył Michael Boone nie miał pojęcia o niczym, co nie mogło mu przynieść bezpośredniej korzyści, i niesłusznie użył w rozmowie na temat wombata tego wyrażenia NIEKUMATY, tak sobie można rzucać komunały w towarzystwie, ale naprawdę wombat to bardzo zmyślne stworzenie, potrafi nawet zrobić beczkę z piruetem wewnątrz jamy, podrapać się za uchem, rozpląszyc na ziemi jak ciasto pod wałkiem, a wiem to, bo WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY. Oczywiście nic nie mówiłem bratu o tym, jak się przygotowałem na przyjazd policji, chociaż już w momencie, kiedy złamałem palec Evanowi Guthrie'emu, zacząłem się spodziewać UAA-UAA-UAA-UAA migających niebieskich świateł KARZĄCEJ RĘKI PRAWA, a nie mogłem liczyć, że Rzeźnik mnie uratuje. Wiele razy grozili, że będą musieli mnie umieścić POD FACHOWĄ OPIEKĄ, gdzie mieli mi usunąć próchnicę z zębów.

Policjanci ŚLAMAZARZYLI się w nieskończoność, więc miałem czas poszerzyć długie rozgałęzienie w jamie wombata. Pierwszy raz wszedłem do labiryntu dzień po tym, jak pochowałem szczeniaka. Wziąłem ze sobą motykę i latarkę i jeszcze pokrywkę od czterogalonowej kadzi na melasę w charakterze tarczy, ale tak naprawdę nigdy nie musiałem walczyć z wombata-mi, bo szybko nauczyłem się, że podchodząc trzeba wydawać przyjazne chrupkanie. Najmniejszego nazwałem KOLEŚ, niech go. Czasem obwąchiwał mi włosy. Tego dnia, kiedy w końcu przyjechała policja, położyłem się w jamie, butami do wlotu, twarzą w stronę tunelu. Nic tam nie śmierdziało i kiedy musiałem

73

pierdnąć, było mi bardzo głupio. Po jakichś CZTERDZIESTU MGNIENIACH OKA wyszedłem i odkryłem, że niebo pokryła czerń zmieszana z ultramaryną i kamforowymi sylwetkami wawrzynów, rozdarła wielką, żółtą smugą światła płynącego od szopy, gdzie stał Rzeźnik Bones z piłą, którą atakował z furią sosnowe belki. Niech mnie, pomyślałem, oni szykują dla mnie trumnę.

Rzeźnik zawsze umiał sobie znaleźć kozła ofiarnego, w razie kłopotów zaraz tylko typał oczkami na prawo i lewo, kto się pierwszy nawinie. To była jego SPECIALITIE DE MAISON, zwalanie winy na innych. I kiedy policja w końcu odjechała i wyszedłem z ukrycia, nie mogłem uwierzyć, że oskarżycielski palec Rzeźnika nie został wymierzony we mnie.

- Ta suka, ta pieprzona suka - darł się mój brat, naprawdę się cieszyłem, że nie jestem kobietą. Szybko zrozumiałem, że to określenie dotyczyło Marlene, wielbicielki Magicznej wyprawy. Mój brat był na nią STRASZNIE NAPALONY, ale teraz wyszło na jaw, że to Marlene STOI ZA TYM WSZYSTKIM, i nagle zrobiła się z niej PODSTĘPNA MISTRZYNI ZBRODNI. Wiedziałem z doświadczenia, że oskarżenie ze strony Rzeźnika Bonesa to najlepszy dowód niewinności, i czekałem tylko, aż mój brat jak zwykle zmieni zdanie, oczywiście bez żadnych przeprosin. W każdym razie to nie ja ZAWINIŁEM i bardzo się cieszyłem, że nie wyląduję samotny w celi, żeby całymi dniami nucić piosenki, ale martwiłem się trochę, czy Rzeźnik nie zamknie zamiast mnie tej niewinnej kobiety. I co miałem zrobić? Te małe, dziewczęce uszka mojego brata były pełne wosku i przez to, zamiast słuchać, co mówię, zaraz zaczął się drzeć, że wybrudziłem nową koszulę, a potem zadzwonił do Dozy'ego Boylana przechwalać się, jak to ROZWIĄZAŁ ZAGADKĘ.

A Dozy odpowiedział, jeżeli jeszcze raz do mnie zadzwonisz, przyjadę i wpakuję ci kulkę w dupę.

Po tym telefonie Rzeźnik usiadł przy stole i długo milczał. Tylko gapił się w górę, na krokwie i zacząłem się bać, czy nie oszalał, więc zaproponowałem, że zrobię mu herbaty. Brak odpowie-

74

dzi, no ale zrobiłem i tak, z czterema łyżeczkami cukru, jak lubił. Oczywiście nie usłyszałem dziękuję - żadne zaskoczenie - ale objął kubek usmarowanymi żywicą dłońmi, to był taki stary, wyszczerbiony kubas, z którego piła kiedyś nasza matka KAŻDEGO RANKA PAMIĘTAJ, ŻE BYĆ MOŻE NIE DOŻYJESZ WIECZORA, biedna stara mama, niech jej Bóg błogosławi. Wtedy poczułem, jak gdybym miał WULKAN z tyłu głowy, więc zapytałem go, no i co teraz, Rzeźniku? Gdyby zaczął się ciskać i wrzeszczeć, i rzucać wyzwiskami, to wiedziałbym, że jestem W BEZPIECZNYCH RĘKACH, ale on uśmiechnął się CIENKO. Zaraz zrozumiałem, że całe powietrze z niego uszło jak z balonu, i potem zostawił mnie samego, wpełzł do łóżka i zasnął w ubraniu. Co miałem robić? Nie wolno mi było dotykać włączników od światła ani innych elektrycznych urządzeń, więc miałem jasno w sypialni przez całą noc, jak kurczak na fermie, i śniłem, że jest lato w Marsh, a ja i kucyk zgubiliśmy się gdzieś na Lerderderg Street, a potem schwytała nas katolicka bojówka... co za pieprzony koszmar. Obudziłem się następnego ranka, słysząc koszmarny jęk i wybiegłem z pokoju w piżamie, żeby zobaczyć, jakież to nowe NIESZCZĘŚCIE spotkało Rzeźnika Bone-sa. Był ciągle ubrany w to samo, co poprzedniego dnia, i trzymał w ręku wiertarkę z mieszadłem, ociekającym tą wściekle kar-mazynową farbą.

Co jest?

Nie widzisz? Skurwysyny wyłączyły nam prąd.

Najpierw pomyślałem, że to kara nałożona przez STANOWĄ KOMISJĘ ELEKTRYCZNOŚCI za palenie świateł przez całą noc, ale po trzech tygodniach bez prądu, kiedy musieliśmy nosić sobie wodę ze strumienia i wykopywać dziury na nieczystości, dowiedzieliśmy się, że to obywatele Bellingen wnieśli o odłączenie nas od sieci, jak gdyby chcieli nas wykurzyć z oblężonej twierdzy. I do tego jeszcze doszedł NAKAZ EKSMISJI i GROŹBA WNIESIENIA O ROZBIÓRKĘ, bo dom Jeana Paula stał za blisko strumienia. Oczywiście wiele lat wcześniej rada wydała

75

pozwolenie na budowę, więc widać w międzyczasie dom musiał się przemieścić bliżej wody. W każdym razie to wszystko był STEK KŁAMSTW, a jak już w końcu nas stamtąd wykurzyli, to dom zaraz wrócił na swoje dozwolone miejsce.

Co do samego Jeana Paula, jak powiedział Rzeźnik, powinni go skazać za nieprzepisową odległość między dupą chodnikiem publicznym. Przez całą drogę, jak uciekaliśmy samochodem do Sydney, całe osiem godzin jazdy mój brat wygłaszał te sarkastyczne komentarze o BURŻUJSKIM KOLEKCJONERZE, ale i tak było przyjemnie. Pojechał najpierw do Dorrigo, niech go, a potem na wyżynę Armidale, gdzie lata są suche, a padoki złote, i opuściliśmy okna, aż pasy zaczęły latać i uderzać o drzwi - trach, trach, trach. Stary wrak nie miał klimatyzacji, tylko LUFKIK otwierany dźwignią długą na stopę, więc jak go otworzyliśmy, to zaraz posypała się sterta starego kurzu. Boziu, ale zapachy się rozeszły, miód i guma arabska i węże ogrodowe. A my byliśmy Bracia Bones, dwaj olbrzymi upakowani w ciasnym samochodzie, tyłek w tyłek, i przy każdej dziurze któryś z nas musiał wyrzucić łbem w sufit. Mój brat jest ostrożnym i niepewnym kierowcą ale za nic nie chciał zejść niżej setki, bo inaczej wykrzywiony wał napędowy wpadał w nieznośne wibracje. Więc jechał tak, jak kiedyś jeździł nasz ojciec, z szeroko rozstawionymi łokciami, wypiętą klatką piersiową i wściekłym wzrokiem wbitym w dal. Pędziliśmy godzina za godziną przez złoto i błękit, jakjakiś pieprzony SIR ARTHUR STREETON albo FREDERICK McCUBBIN, tacy malarze, których Rzeźnik naprawdę uwielbiał, chociaż patrzył na nich z pogardliwym uśmiechem.

Pierdnąłem i wrzasnąłem, że „Pali się!”. Jeżeli znacie ten obraz Streetona, to wiecie, o co chodzi.

Wjeżdżając do Sydney byliśmy kompletnie spłukani, bo resztę kasy z nawozu wydaliśmy na paliwo. Na wysokości Epping Road zjechaliśmy z autostrady Pacific, długiej, swojskiej i krętej drogi używanej kiedyś przez czarnuszków, a potem powlekliśmy się

76

do Lane Cove i East Ryde. Obaj patrzyliśmy na wskaźnik benzyny i cicho myśleliśmy sobie, że właśnie wracamy na stare śmieci, do siedziby ROZWODÓW i PATRONATÓW, która mieściła się na tej samej ulicy. Boziu, zlituj się. Przed mostem Gladesville skręciliśmy w Victoria Road i stamtąd prosto w Mo-nash Street i jak wjechaliśmy w Orchard Court, to złamaliśmy już sądowy nakaz, żeby żaden z nas nie zbliżał się do MAŁŻEŃSKIEGO DOMU na mniej niż pięć mil. Czułem mrowienie w jajach. Co też mogło się teraz stać? Mój brat jak zawsze skręcił w prawo, w tę małą uliczkę, minął przystanek Małżeńskie Szaleństwo i wjechał prosto na trawnik Jeana Paula. A potem Rzeźnik Bones otworzył skrytkę i wyciągnął z niego młotek, niech mnie, do czego on doszedł?

Rozdział jedenasty

ałem te okolice lepiej niż własną piżamę, więc wdarłem się na idealnie utrzymany trawnik Milana ze stuprocentową świadomością tego, co uczyniłem, to znaczy wiedząc, że zanim zdążę zgasić silnik, sąsiedzi ze wszystkich stron już zaalarmują właściciela o wtargnięciu intruzów.

Na Orchard Court spędziłem niezły kawał życia i zyskałem sławę nie tylko jako gwiazda malarstwa, ale także zakochany idiota. To tu sprowadziłem moją pannę młodą. Tu wybudowałem dla niej pieprzoną wieżę do medytacji-poważnie! -i tu zrobiłem dla synka fantastyczny domek na drzewie, taki, o jakim mały chłopiec może tylko śnić, ale nigdy zobaczyć na jawie, trzy poziomy, dwie drabinki, wszystko schowane w gałęziach cudownej, starej jaka-randy o olśniewających, fioletowych płatkach, które teraz od dwóch miesięcy zalegały na szarym, spadowym dachu i gniły jak rozdarte serce. Byłem wtedy innym człowiekiem, tak naiwnym, że prawnicy i policjanci mogli później spokojnie uznać, że moje własne obrazy nie są moją własnością tylko wspólnym majątkiem małżonków. I tak zostały tam, w domu, praca całego życia, wyrokiem sądu „pozostawione do dyspozycji” Powódki.

W naszym gruchocie nie było miejsca na nic poza farbą i płótnem, więc nieprzypadkowo moje karmazynowe arcydzieło wylądowało na samej górze. Zdjąłem pokrowiec, po czym zaatakowałem skrzynię zakrzywionym młotkiem i ledwo stalowe śruby zajęczały pod kolejnymi uderzeniami jak mordowane dziewice, usłyszałem natarczywy brzęk telefonu dobiegający z domku nad basenem mojego patrona.

78

Chwyciłem Hugh za ucho i za pomocą lekkiej perswazji skłoniłem go do wyjścia z samochodu. Zamachnął się na mnie ładnych kilka razy, zanim wreszcie dotarło do niego, że bez względu na sądowe nakazy i zakazy, w jego najlepszym interesie jest rozłożyć mój obraz na trawniku Jeana Paula Milana.

Mój patron był skończonym, bezdusznym kutasem, ale cierpiał na wyjątkowo paskudne artystyczne zboczenie i nawet jeśli nie mógł się poszczycić bodaj śladem gustu, to łatwo się podniecał. Przez tę chorobę kupował niesłychaną ilość gówien, ale czasem trafiały mu się licytacyjne hity. Przyznaję, właśnie zrujnowałem mu skromną sadybę, skalałem Ziemię Obiecaną, okradłem go z nawozu i zdradziłem ponoć na tysiące innych sposobów, ale wszystko zostałyby mi wybaczone, gdyby tylko zdołał zrozumieć chociaż skrawek z tego, co zrobiłem i co leżało teraz na jego trawniku. Wtedy Jean Paul porzuciłby status psiego

gówna i zmieniłby się w coś srebrnego i olśniewającego.

Wieczne chmury roztoczyły liliworóżowy blask nad ogrodem, ale to nic nie szkodziło, obraz mógł wessać niechciany poblask chmur, burzuj skich trawników, ukrytych na tyłach basenów i wszystkiego, co za tym idzie. Był niewzruszony i niezniszczalny jak pieprzony wóz pancerny. Niecierpliwie, ale bez cienia niepewności, czekałem zatem, aż w oknie pojawi się wreszcie głowa mojego patrona, kołysałem się z lekka na piętach, a obok mnie stał biedny, wystraszony, zasmarkany Hugh, z twarząwykrzywioną w jakimś przerażonym uśmiezku, pełnym i nadziei, i obłądnego strachu; razem czekaliśmy na jedno suche, idealnie wyartykułowane, choć pozornie niedbałe „dobrze”, które, jeśli naprawdę porządnie się w nie wsłuchać - rany, ale ze mnie perwersyjny drań - przywodziłoby na myśl JFK.

Bitwa toczyła się początkowo idealnie zgodnie z planem - wóz na trawniku, telefon do domku przy basenie, obraz rozłożony dobrą stroną do przodu i, na koniec, głowa Jeana Paula w oknie.

79

Tyle tylko, że w oknie pojawiła się niewłaściwa głowa. Boże, prawie jej nie poznałem. To była Powódka, niegdyś sąsiadka Jeana Paula, kobieta, którą pieprzyłem od przodu, od tyłu i z boku na bok i tuliłem w ramionach, najpiękniejsze stworzenie na ziemi. Matka mojego syna, o surowych, malutkich usteczkach, stanowczym, dociekliwym nosie i z kosztowną opaleniznąukazała mi się na wysokościach w takiej pozie, że nie mogłem sobie nawet obejrzeć jej najcenniejszej części, butów. Zniknęła zza szyby po niecałej sekundzie. Hugh zawył, wdrapał się na siedzenie i zatrzasnął drzwi.

Bomba poszła w górę, nie ma co. Czekałem na patrona. Wreszcie i on wyrzał przez okno, wyczułem, jak chwyta przynętę, i po mniej niż dwóch minutach ofiara była moja - w obcisłym stroju do kąpieli i dzierganym swetrze, z wygolonymi, brązowymi nogami oraz ciemnymi okularami w zaciśniętej dłoni w drzwiach stanął Jean Paul Milan. Nie marnował nawet czasu na czcze powitania, tylko wyszedł prosto na trawnik i powoli okrążył obraz, nachylając się kretyńsko, jak jakiś pieprzony koneser. Aleja za dobrze znałem Jeana Paula, żeby się na to nabrać, więc powiem wam od razu, o czym myślał, bawiąc się subtelnie rączkami okularów, po pierwsze: Co to, kurwa, jest?, po drugie: Ile za to dostanę i dlaczego tak mało?

- Tysiąc - powiedział. - Gotówka. Od ręki.

Wiedziałem, że go mam, sans doubt, sans souci, sans, kurwa, wątpliwości, więc zacząłem powoli zwiąć płótno. Jeden patyk, wale, pomyślałem, możesz sobie w dupę wsadzić.

-Nie wygłupiaj się, stary, przecież wiesz, co się dzieje teraz na aukcjach.

Kretyn, z Rzeźnikiem nie należy się targować. Co gorsza, nazwał mnie „stary”, a to wyraźnie zdradzało, że ma chętkę. No i nie pomógł mu także nalot w wykonaniu policyjnego wozu, który nadciągnął w błękitnym blasku i z histerycznym wyciem, by bronić Orchard Court.

Hugh schronił się na podłodze samochodu, policjanci zaparkowali, po czym, ku mojemu zdziwieniu, wysiedli, zatraskując za

80

sobą drzwi. A wtedy z domu Jeana Paula wypadł mój synek, mój wielgachny, rumiany ośmioletni chłopak, który z mrozącym krew w żyłach skrzekiem czy raczej oślim rykiem skoczył mi w ramiona i objął za szyję, cudny, kościsty, żyłasty mały brutal. Spojrzałem na niego i mój syn zaczął wyrzucać z siebie potok słów, a w tym samym czasie Jean Paul, szuja, proponował mi półszepsem dwa tysiące, zaś gliniarz już zmierzał ku mnie

z wyrazem determinacji na twarzy. I właśnie wtedy braciszek Hugh, Panie zmiłuj się nad nim, wypętl z samochodu i skulony przy samej ziemi mszył przed siebie błyskawicznym ślizgiem, jak wom-bat na nocnej wyprawie. Gliniarz nie odznaczał się ani młodym wiekiem, ani gwałtownym temperamentem, ale kiedy Hugh wyłonił się znikąd i powalił go na ziemię, wrzasnął jak oparzony, po czym obaj panowie poturlali się w stronę ulicy.

- Dobra, niech będzie piątek - powiedział Jean Paul. -1 koszty prawnika.

Mój syn pachniał chlorem i keczupem. Miał wielkie łapska i za-padniętą klatkę piersiową całym niemałym ciężarem uwiesił mi się na szyi, oplatając moją głowę wszystkimi kończynami. Ucałowałem go w rękę i przejechałem policzkiem po słodkiej, miękkiej czuprynie.

- Zostań, tatusiu - powiedział.

- Zgadza się na dziesięć - zwróciłem się do Jeana Paula. -I załatwisz sprawę z gliniarzem. To moje ostatnie słowo.

Mówiłem poważnie. Popatrzyłem prosto w poważne, brązowe oczy mojego syna, otarłem mu łzy z piegawatych, Boonesowskich policzków.

- To nie moja wina - powiedziałem. - Przecież wiesz.

Chryste, dlaczego nasze dzieci muszą za wszystko płacić.

Wtedy wrócił mój patron, ściskając w dłoni znanąmi kopertę.

Nie po raz pierwszy zdradził w ten sposób swój sekret - zapasik studolarówek ukryty sprytnie pod kuchennymi szafkami.

- Przelicz - poprosił.

-Pieprz się.

81

Jean Paul miał też w wolnej ręce szklaneczkę whisky i pamiętam, że uznałem to za niezwykle naiwny pomysł: przekupywanie policjantów jednym marnym drinkiem. Miałem tak niską opinię o moim patronie, że nawet patrząc na to, co nastąpiło później, początkowo niczego nie rozumiałem. Jean Paul kazał Hugh wstać, po czym, zanim policjant zdołał się podnieść, wylał na niego całą szklankę whisky.

- Jest pan pij any - powiedział. - Jak pan śmie!

Jednocześnie wydarzyło się mnóstwo innych rzeczy, więc nie zarejestrowałem odpowiedzi policjanta, ale pamiętam, jak później wyrolowany nieszczęśnik mył twarz pod kranem ogrodowym. Ja tymczasem uczyłem syna, jak należy obchodzić się z nie-oprawionym płótnem. Co miałem robić? Iść popływać? Uklękliśmy razem na trawniku, łamiąc sądowy nakaz, po czym owinęliśmy najlepszy obraz mojego życia wokół kartonowej tuby. I tak oto, z krwawiącym sercem, oddałem Jeanowi Paulowi Milanowi obraz Ja, Mówca za dziesięć tysięcy dolarów. I co, powinienem być wdzięczny za akt grabieży?

Rozdział dwunasty

^Ile dowiecie się tego od Rzeźnika, ale znowu nasz patron wyciągnął nas z tarapatów. Tym razem wypożyczył nam czteropiętrowy KAPITAŁ ROZWOJOWY przy Bathurst Street, w świetnej lokalizacji, blisko George Street,

centrum rozrywki i komunikacji. Oczywiście mój brat geniusz nie uznał za stosowne zniżyć się do dziękowania Jeanowi Paulowi. Taki już przyjął WZORZEC ZACHOWANIA. Na przykład, nasza matka sprzedała dwadzieścia akrów w Parwan, żeby Rzeźnik mógł sobie skończyć studia, ale w żadnej z tysięcy NOTEK BIOGRAFICZNYCH wielkiego artysty nie ma ani słowa o pomocy rodziny. A opisał swój wyjazd z Marsh zupełnie tak, jak gdyby to było WYRWANIE SIĘ Z PIEKIEŁ, aż mu ogień tryskał z włochatej dupy.

Ledwo znaleźliśmy się w domu przy Bathurst Street, stanowiącym własność Jeana Paula, pierwsze, co zrobił mój brat, to dobrał się do drzwi z wiertarką i młotkiem, żeby zainstalować kłódkę z zewnątrz i galwanizowaną zasuwę od wewnątrz. Wszystkie te IRRACJONALNE DZIAŁANIA miały na celu odcięcie prawowitemu właścicielowi możliwości włamania się do środka i zapewne kradzieży NIENARODZONYCH ARCYDZIEŁ. Budynek służył kiedyś jako SZKOŁA TAŃCA ARTHURA MURRAYA, więc był znakomicie wyposażony w światła i lustra, miał TYSIĄC STÓP na każdym piętrze i świetnie się nadawał do tworzenia sztuki. Ale mojemu bratu chwilowo odwidziało się malowanie. Chyba zgłupiałem, że tego nie przewidziałem. Nie, Rzeźnik postanowił odzyskać pracę skonfiskowaną przez DETEKTYWA AMBERSTREETA, bo uroiło mu się w tym

83

pokręconym mózgu, że policja powiesiła sobie jego wielkie arcydzieło na ścianie kwatery głównej w Nowej Południowej Walii. Macie pojęcie?

Pierwszej nocy tak się ciskał po domu, że niechący kopnął mnie w jaja, Panie, ratuj nas, ależ on się miotał i wściekał, jak rzucał rozkazy na prawo i lewo. Dzień i noc bredził o miejscu w historii, które zdobył, a potem utracił. I to miało być to szczęście, jakiego szukał, uciekając z domu?

Rano musiał BEZZWŁOCZNIE, zaraz i natychmiast, porozmawiać z policją żeby oddali mu obraz. Nawet nie przyszło mu do głowy, że jest PODEJRZANYM w sprawie o kradzież, uczestnikiem NAPADU i winnym złamania nakazu sądowego, by nie zbliżać się na mniej niż pięć mil do MAŁŻEŃSKIEGO DOMOSTWA. Czyżby zapomniał, że jeszcze w zeszłym październiku UMIERAŁ ZE STRACHU, jak go wsadzali do Long Bay za WŁAMANIE. Powiedział mi, że policja może zrobić z tobą co chce. Musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć roju glin na ulicach wokół Szkoły Tańca Arthura Murraya, musiałby ogłuchnąć, żeby przestać słyszeć syreny, kiedy policja po nocach ścigała tak zwane AZJATYCKIE GANGI. Z powodu koszmarnej marcowej duchoty spaliśmy przy otwartych oknach i słyszeliśmy ZBOCZEŃCÓW pochowanych po alejkach i kłótnie NARKOMANÓW i nawet czasem ludzi uciekających przed Azjatyckimi Gangami. Nocą cieszyłem się, że chronią nas te dodatkowe zamki, ale nie lubiłem siedzieć sam zamknięty w domu, więc jak Rzeźnik ruszył na policję, ja zaraz byłem ZWARTY I GOTOWY, jak pies gończy, kiedy wypuszczaję elektryczną przynętę.

Zawsze mieszkalem poza domem, przez całe życie, kiedyś na krześle przed naszym sklepem, a potem na wozie z kucem, który jeździłem zbierać zamówienia. Tak samo w Bellinghen, ciągle w drodze, powietrze było aż gęste od wirujących nasion i pajaków, które przemierzały niezmierzone odległości uwieszone na pajęczynach, jak gdyby podróżowały balonem. I tak samo w mieście, w bezpiecznych porach zawsze wolałem włóczyć się po

84

dworze, brałem sobie składane krzeselko i siadałem na ulicy, żeby patrzeć, jak mijają mnie te wszystkie ludzkie zegary, pompujące, cykające mechanizmy - o, idzie jeden, i kolejny, i jeszcze jeden, a każdy z nich to centrum świata. Można oszaleć, jak się na nich patrzy, to tak jak przyglądać się gwiazdom w nocy i rozmyślać o nieskończoności. Ogromny wysiłek. Nasza mama tak potrafiła, wciąż wypatrywała wieczności tymi bladymi oczami, biedna mama, niech jej Bóg błogosławi.

Rozmyślałem tak raptem parę chwil, kiedy zjawił się jakiś młody policjant i powiedział, że w MIEŚCIE SYDNEY nie wolno tak sobie siedzieć bez zezwolenia na ulicy. Jako że SIEDZIBA RZĄDU była niedaleko, tuż za Św. Andrzejem, poszedłem, żeby to USTALIĆ, ale nikt nie rozumiał, co mówię, więc zacząłem włóczyć się po ulicach. W końcu się zmęczyłem i znowu rozłożyłem to NIELEGALNE KRZESEŁKO, ale nie na długo.

W Sydney policja jest wszędzie. Rzeźnik nigdy nie potrafił wyjaśnić do końca, jakie to powodowało niebezpieczeństwa, i raz wydzierał się, ile płaci za bilety parkingowe, a chwilę potem dał je na strzępki jak konfetti i twierdził, że jak się ich nie płaci, to giną gdzieś w systemie. Więc się zdarzało nie raz i nie dwa, że parkowałem za długo albo płaciłem za dużo, nawet przed kwaterą-policji na Oxford Street, gdzie bywałem szczególnie często. Za pierwszym razem czekałem w samochodzie, a on wszedł do środka w poszukiwaniu tego obrazu. Po powrocie nie powiedział nic o tym, jak zareagowała Policja, ale wieczorem znowu odezwał się JEGO PROBLEM ALKOHOLOWY.

Niedługo potem odwiedził nas niejaki Robert Colossi, chudy, kędzierzawy ĆPUN, który miał fotografować obrazy Rzeźnika dla galerii. Ale mój brat prędko pożałował, że wydał tysiąc dolarów na BEZUŻYTECZNE odbitki i wyrzucił je do kosza, a sam natychmiast pojechał do Redfern, gdzie znowu czekałem w samochodzie. Jak Rzeźnik wybiegł w pośpiechu, to zaraz zrozumiałem, że to musiała być rezydencja Roberta Colossiego, bo mój brat miał ze sobą bardzo ciężki aparat LUSTRZANKĘ

85

wart ponad 2000 dolarów i ten aparat potraktował jako ZADOŚĆUCZYNIENIE za poniesioną stratę. Potem mój brat ukrył ten WARTOŚCIOWY PRZEDMIOT na bojlerze z gorącą wodą i nie otwierał nikomu, bez względu na to, kto dzwonił. Ja stukałem kodem SOS, ale klucza nie dostałem, bo mógłbym zostać okradziony przez tego fotografa. Ale potem Rzeźnik sam dał klucz kompletnie obcej kobiecie, która pracowała w księgarni w gmachu imienia Królowej Wiktorii. Założę się, że była niska, z wielkimi cycami, ale nigdy nie użyła klucza, więc nie wiem.

Odbitki Colossiego okazały się KUPĄ GÓWNA, więc mój brat postanowił, że musimy razem zacząć chodzić po galeriach i pokazywać SAME OBRAZY. W następnym poniedziałek rano zaparkował samochód w niedozwolonym miejscu na Bathurst Street, więc mieliśmy SCYSJĘ z gliniarzem z drogówki, który zagroził aresztem i omal nie wlepił nam studolarowej grzywny, ale Rzeźnik powiedział, że to nieważne, bo mandat zginie w systemie. Kiedy ładowaliśmy płótna do samochodu, serce waliło mi jak CHIŃSKI ZEGAREK, ale szybko dotarliśmy do Paddington i Rzeźnik zaparkował przed frontowymi drzwiami PINAKOTHE-KI. Wnieśliśmy obraz do wielkiej, paskudnej sali z obrzydliwą betonową podłogą tak zwanymi dziełami sztuki na ścianach. Te obrazy były czerwone, niebieskie i zielone, tak fatalne, że kolory mrugały i skakały przed oczami jak muchy na kocu, wywołując NIEPOKÓJ, którego nie załagodziłoby nawet VALIUM.

Młody CHŁOPTAŚ recepcjonista wziął nas za kurierów z FE-DEKSU albo DHL i nie mógł się doczekać, żeby pokazać nam, gdzie nasze miejsce, czyli magazyn.

Gdzie Jim? pyta Rzeźnik Bones i stawiamy skrzynię na podłodze.

Nie ma żadnego Jima, odpowiada chłoptaś, i nie możecie wnieść tej przesyłki.

Ale Rzeźnik już wyszczerzył się w uśmiechu naszego ojca, takim cienkim i szerokim. Jim Agnelli, mówi.

86

Pan Agnelli umarł, odpowiada gość z recepcji.

Jeżeli Rzeźnikowi zrobiło się przykro, to nie miał czasu tego okazać.

No cóż, mówi, ja jestem Michael Boone.

Nazwisko nie wywarło pożądanego efektu, więc dodał jeszcze: I przyjechałem pokazać Jimowi, co mam nowego.

Nie powiedział, szkoda, że się minęliśmy, ale taki był ton.

W takim razie, mówi recepcjonista, z przyjemnością obejrzę pana portfolio. Może zechce je pan tu zostawić.

Czy pan wie, do kogo mówi? pyta Rzeźnik, ale chłopaczkę z recepcji na pewno nie czytywał SZTUKI AUSTRALII sprzed pięciu lat. No, zresztą nieważne, mówi dalej, zaraz się pan dowie, do cholery. Hugh, komenderuje, podaj mi wiertło.

T'jest sir, ale cały czas żałowałem, że nasz ojciec Bones nie widzi, jak wyciągam ŚMIERCIONOŚNĄ wiertarkę i końcówkę w kształcie śrubokręta i podłączam trzydzieści metrów przedłużacza do gniazdka z prądem. W mgnieniu oka wszystko było gotowe. I nikt jakoś nie zabraniał mi dotykać przełączników.

Ten młody z recepcji nie miał zachwyconej miny na widok wiertarki i zaraz zaczął coś SYCZEĆ DO SŁUCHAWKI, ale nic nie mogło zatrzymać Rzeźnika Bonesa, kiedy chodziło o jego SZTUKĘ, więc wiertarka zaraz zawyła i wyciągnęła wszystkie śruby po kolei, a potem rozłożyliśmy na podłodze płótno z tym koszmarnym bluźnierstwem. Moim zdaniem to ROBOTA SZALEŃCA.

Spodziewałem się, że chłopcaś dostanie DRGAWEK, ale tylko skrzyżował ręce na piersiach i przekrzywił główkę, po czym uśmiechnął się samiotkim kącikiem warg.

Och, Michael BOONE, powiedział. Naturalnie.

Owszem, mówi na to Rzeźnik, ale wcale się nie nadyma, tylko podbródek mu drży i mruży oczy jeszcze bardziej niż wcześniej. Wyszedł z mody. Nawet ja to zauważyłem. Pomogłem zwinąć płótno, bo Rzeźnik strasznie spieszył się do wyjścia. Młodemu

87

chyba zrobiło się go żal, bo pozbierał dla nas wszystkie śrubki, jakie porzuciliśmy w tym pośpiechu na podłodze.

Naprawdę o wiele łatwiej złożyć odbitki, powiedział, podając mi śruby.

Pewnie myślicie, że Rzeźnik się załamał, ale on tylko kupił 12 butelek wina po 40 dolarów sztuka i rano odzyskał parę. To, czego mu było trzeba, to garnitur od ARMANIEGO. Kiedy wróciłem do domu z krzeselkiem, mój brat wyglądał jak wykidajło z nocnego klubu. Nie pytałem, ile nam zostało pieniędzy, ale on natychmiast zdecydował, że pójdziemy razem na OTWARCIE i doradził, żebym jadł i pił to, co tam podadzą, bo kończą nam się fundusze i nie będziemy już jeść kolacji. Okazało się, że podali tylko ser i pickle, więc pomyślałem, że czeka mnie SMUTNA PRZYSZŁOŚĆ, gdyby ten stan rzeczy miał się utrzymać. Rzeźnik nagle odczuł potrzebę SOCJALIZACJI, bo odwiózł mnie do domu i zamknął DLA MOJEGO WŁASNEGO BEZPIECZEŃSTWA, niech mnie. Chodziłem w dół i w górę po schodach, potem przysiadłem na długi na krześle, tuż pod drzwiami wychodzącymi na ulicę. Raz ktoś usiłował wejść, a ja skutecznie udałem, że jestem wściekłym PSEM ŁAŃCUCHOWYM.

Następnego dnia wczesnym rankiem wrócił Rzeźnik, znowu załadowaliśmy obrazy do samochodu, potem

jeszcze raz ogolił sobie głowę i ruszyliśmy w drogę jak AKWIZYTORZY. Garnitur od ARMANIEGO cuchnął teraz jak gorzelnia ze wschodniego Melbourne, więc wcale mnie nie zdziwiło, że mój brat potrzebował KLINA przed kolejną wyprawą do galerii. To było dla niego naprawdę okropne, dzień po dniu bez wytchnienia, bez chwili RELAKSU, nie mogłem iść sobie na George Street i ustawić krzeselka w cieniu pod wiaduktem Cahill. Niektórzy właściciele zachowywali się bardzo miło i raz nawet zostaliśmy zaproszeni do chińskiej restauracji, ale większość młodych nie dawała ZŁAMANEGO GROSZA za Michaela Boone'a. Trzeciego dnia chłął już od świtu do nocy i przez to właśnie wjechał naszym grucho-tem w jaguara zaparkowanego pod galerią Watters. Jak zwykle

88

nie potrafił przyznać się do winy, próbował cofnąć jeszcze dwa razy i dwa razy przyrznął w tego jaguara, w końcu pognał na złamanie karku do końca ślepej ulicy, objijając się po drodze o wszystkie możliwe kosze na śmieci i inne auta, aż odpadł nam cały zderzak, który mógł potem stanowić DOWÓD W SPRAWIE.

W środę nie urządzano żadnych wernisaży, więc Rzeźnik kupił skrzynkę CLARETU McWILLIAMS po 8,95 dolara i zabrał mnie do świątyni Hare Kriszna w Darlinghurst, przy nich nawet mój brat mógłby uchodzić za AUSTRALIJSKIEGO TRADYCYJONALISTĘ. Nie dali ani kawałka steku czy kotleta, ani nawet jednej przyzwoitej kiełbaski. Myślałem, że oszaleję, jak musiałem jeść to obrzydliwe zagraniczne jedzenie, tak nisko upadliśmy. Postanowiłem wziąć moje składane krzesło i wrócić do Marsh i pewnie bym tak zrobił, ale nie mogłem znaleźć drogi. Czasem żałuję, że zrezygnowałem. Miałbym lepsze życie, gdyby nie ten ciągły strach.

Rozdział trzynasty

Ile razy wydaje się, że gość jest spacyfikowany, on właśnie wpada w jakieś gównno - burda, wypadek, kradzież, napad, podpalenie, nieporozumienie w sprawie zniknięcia złotej rybki. Każde nowe miasto, nowa ulica czy nowy dom to problem, więc naprawdę odetchnąłem z ulgą kiedy na Bathurst Street, na samym środku dawnego parkietu Arthura Murraya znaleźliśmy koślawe, poobijane, brązowe, stalowe krzesło, niewarte nawet dwudziestu dolców i nie bardzo nadające się do użytku, ale mimo wszystko coś więcej niż stołek do wkręcania żarówek i schowek na gandzię.

- Cholera, krzesło - powiedział Hugh. - Niech mnie. - Po czym bezzwłocznie objął krzesło w posiadanie, sadzając na nim wielki, kwadratowy zadek.

Mój brat chował się na krzesle, spędzał na krzesle całe życie, odkąd skończył trzecią klasę podstawówki, kołyszając się godzinami przed witryną sklepu. Więc kiedy wstał, złożył swój skarb, po czym wziął go w ramiona, nie musiałem pytać, dokąd się wybiera. Był tak cholernie szczęśliwy, że aż się uśmiechnąłem.

Na zewnątrz biegł przyzwoity, szeroki chodnik i chociaż w pobliżu przewalały się tłumy z George Street, miejsce odpowiadało doskonale potrzebom Hugh, który uwielbiał grzecznie obserwować tętniące wokół życie. Usadziłem go więc przed drzwiami, z torbą czipsów po jednej stronie i butlą coli po drugiej, a kiedy wracałem do środka, mój brat odwrócił się do mnie, marszcząc nos i mrużąc oczy, co świadczyło albo o tym, że jest bardzo szczę-

90

śliwy, albo że zaraz pierdnie. No cudnie, pomyślałem, przynajmniej jedno mam z głowy. Ale oczywiście nie miałem i kiedy pół godziny później wyjrzałem kontrolnie na zewnątrz, mojego brata już tam nie było.

Chciałbym móc powiedzieć, że za każdym razem jest łzej i że panikuje się tylko na początku. Ale to po prostu nie ma znaczenia, że Hugh jest wielki jak goryl i silny jak wół - i tak zawsze myślę, że zginął, utopiony,

przejechany, zabity, porwany przez bandytów w furgonetkach z suwanymi drzwiami. I nie mogę zrobić nic, tylko czekać, więc tak oto przez całe popołudnie jednocześnie usiłowałem otworzyć jakąś linię kredytową i latałem po schodach w górę i w dół, jak nowe, owłosione wcielenie naszej matki, wypatrującej ojca, który pojechał na mecz do Geelong. Za każdym razem była pewna, że zginął, i lamentowała nad naszą sierocą dołą, i za każdym razem ojciec wracał pijany w trzy dupy, aż musieliśmy go nieść przez hol do sypialni, sto kilo żywej wagi. „Rzeźnik, chodź no tu, mały, skocz za mnie do tego Chińczyka”. U Chińczyka nigdy nie widzieli twarzy mamy, więc bez problemu mogli kochać ojca.

I tak samo ja teraz czekałem na brata, a kiedy usłyszałem, jak się dobija do drzwi, w moich oczach zapłonęła furia mojej matki.

- Gdzieś był, ty głupi ciulu?

Cóż, najwyraźniej on i jego wierne krzesółko wybrali się na poszukiwanie przygód. Nieźle, prawda? Hugh lubił się włóczyć po okolicy, ale nie można mu było dać klucza do ręki, no i gdyby nie znalazł mnie w domu po powrocie, to chyba by dostał małpiego rozumu. I tak oto musiałem obwozić braciszka razem z jego krzesłem po galeriach i muzeach, ale co mi tam, miałem większe problemy. Na przykład dosyć szybko zrozumiałem, że nikt nigdy nie zrobi mi wystawy, jeżeli nie odzyskam dwóch najlepszych rzeczy, z których jedną ukradła mi policja, a drugą Jean Paul. Łatwizna, myślicie sobie, przecież można wypożyczyć. Ale Jean Paul by nigdy na to nie poszedł, ponieważ - no wyobraźcie sobie - przestał mi ufać.

91

- Sfotografuję go dla ciebie - obiecał. - Jeżeli potrzebujesz odbitek.

- Ma być dziesięć na osiem.

- Spokojnie, stary.

Ty chuju, wściekałem się w myślach, tylko mi nie mów, żebym się uspokoił, ty pierdolony złodzieju.

-Bez obawy, dostaniesz swoje dziesięć na osiem.

Te wszystkie „bez obawy” mają świadczyć o tym, że on i jego ojczulek wcale nie przybyli tu z Antwerpii trzecią klasą, nie pracowali przy budowie szop do strzyżenia owiec i nie musieli żreć gotowanych papug na kolację. I skąd się nagle wzięły zrasane „obawy”? Przypomniała mi się stara lady Wilson, najmująca parobków do strzyżenia owiec - Czy miałam przyjemność zatrudniać pana w ubiegłym roku? Nie? Bez obawy, z pewnością po-doła pan zadaniu.

-1 kiedyż to otrzymam moje odbitki? - zapytałem.

- Jutro - odparł Jean Paul, mrużąc oczy.

Odczekałem jeden dzień, po czym zadzwoniłem do niego do biura, gdzie oczywiście nikt nic nie słyszał, a co do Jeana Paula, to szef przemawiał na konferencji w Adelajdzie, poświęconej Chirurgicznemu Usuwaniu Majątków Osób Starszych i Obłożnie Chorych.

Trzy razy odwiedziłem posterunek i cztery razy zadzwoniłem na numer podany przez Amberstreeta, ale on, wielmożny pan glina, nie raczył, rzecz jasna, oddzwonić. W tej sytuacji - do cholery z tym wszystkim - wrzuciłem krzesło Hugh na tył auta i pojechaliśmy zwiedzić obrzydliwy bunkier, który policja postawiła sobie w Darlinghurst. Marzec już się kończył, ale słońce ciągle paliło jak wściekłe, więc przygotowałem zapasik coli i chipsów i chciałem usadzić Hugh razem z krzesółkiem i wałówką w cieniu przed

oksfordzką halą gimnastyczną.

Ale Hugh bał się policji, a na widok bunkra ostatecznie odmówił opuszczenia samochodu, zamknął drzwi, po czym zakrył łapami wielkie, mięsiste uszyska.

- Ty kretynie - powiedziałem - upieczesz się.

92

W odpowiedzi pierdnął. Mój słodki kwiatusek.

Wkroczyłem do kwatery głównej policji z zamiarem znalezienia Amberstreeta, ale błyskawicznie zdałem sobie sprawę, że jeszcze chwila, a żaden zasrany gliniarz nie powstrzymałby mnie przed zrobieniem czegoś bardzo głupiego. I tak to dziesięć minut później wysiadłem z windy na trzecim piętrze i zobaczyłem słowo SZTUKA przygwożdżone do ściany. Spośród tysięcy ludzi, którzy bywali w tym koszmarnym budynku, mało kto zdobyłby się na tak specyficzne ujęcie motywu ukrzyżowania. Obok, za podwójnym korytarzem, znajdowała się spora, pozbawiona okien przestrzeń, na tyłach której stała żelazna klatka, jak dla małp w zoo. Tam właśnie spoczywały skrzynie i płótna, trzydzieści dwa brązowe Rodiny, które bezustannie są przedmiotem kolejnych pozwów i mnożą się jak króliki na wiosnę. Drzwi klatki były uchylone, ale zanim wykonałem nieodzowny następny krok, przeszkodziła mi filigranowa kobieta o wspaniałym, rzymskim nosie.

-Kim pan jest?

Zapytałem o Amberstreeta.

- Detektywa Amberstreeta nie ma - odparła. Miała okropnie długi warkocz, srebrną biżuterię i przenikliwe, jasnoniebieskie oczy.

- A detektyw Ewbank?

-Nie żyje.

Dobry Boże, przecież ten kretyn miał mój obraz!

- Och nie! - krzyknąłem. - Nie!

Ze łzami wzruszenia w oczach, pogłaskała mnie po rękawie.

- Był w Porcie Coffa - powiedziała.

-1 co się stało?

- Chyba dostał ataku serca.

Ale co z moim obrazem? Może utknął gdzieś w szpitalu okręgowym w Coffa? A jeżeli gdzieś wypadł i wylądował w jakiejś przechowalni bagażu na lotnisku, zmięty jak szmata i przygnieciony byle czym, jak menu pizzerii na telefon w biurowej szufladzie?

93

- Detektyw Amberstreet pojechał na pogrzeb - powiedziała kobieta z nosem rozdętym od współczucia. - Do La Perouse.

Gdyby nie te intymnie rozchylone nozdrza, zapytałbym o przynależność religijną zmarłego. Taka informacja

bardzo by mi się przydała, bo cmentarz La Perouse jest wielki jak cholera. Wjechałem z Hugh przez bramę dla prezbiterian, po czym objechaliśmy Żydów i omal nie wpadliśmy na mur fabryczny, który stanowi północną granicę cmentarza, więc pozostało nam tylko skręcić w wąską ścieżkę wiodącą do chińskich mauzoleów. Dalej leżeli katolicy, a na samym końcu, tuż przy chińskich straganach biegnących wzdłuż rzeki, wypatrzyłem grupkę żałobników. Szanse były znikome, ale na wszelki wypadek wyprowadziłem nasz wóz z trawy i zaparkowałem. Hugh wyciągnął swoje krzeselko, ja ruszyłem w stronę toczącego się aktu pochówku.

Schodziłem wąską wybetonowaną dróżką prowadzącą do wzgórza i doszedłem mniej więcej do połowy, kiedy za moimi plecami rozległo się wściekłe wycie. Obróciłem się, by zobaczyć Hugh, który pokazywał ręką w kierunku lotniska i terminala kontenerowców w Botany Bay. Nie wiedziałem, do jakiej religii należy ta część cmentarza. Czyby Hugh zobaczył tam Barry'ego Amberstreeta?

Przez chwilę nie mogłem zdecydować, co robić, ale zaraz potem Hugh zaczął staczać się ze wzgórza wraz z krzesłem, koziołkując przez nagrobki, przez sekcję prezbiterian i metodystów, mknąc niepowstrzymanie w stronę stacji energetycznej Bunnin-gyong. Niemal przy samym murze stała samotna postać w garniturze, na oko wystarczająco szczupła, by być naszym poszukiwanym. Miałem na sobie skórzane klapki, nienadające się do biegów długodystansowych, ale Hugh zerwał się do biegu w mokasynach, z głową wysuniętą do przodu i uniesioną lewą ręką osiągając taką prędkość, jak gdyby go gonili instruktorzy z oks-fordzkiej hali gimnastycznej.

Tuż za mnąjechały samochody katolickich żałobników, zresztą, co ja tu właściwie robiłem? Dlaczego nie mogłem zobaczyć się z Amberstreetem następnego dnia? Bo nie mogłem, kurwa, znieść faktu, że nie wiedziałem, gdzie jest mój obraz. Bo to była

94

moja ostatnia nadzieja. Bo jeśli ten obraz wylądował w Porcie Coffa, to ja wylądowałbym tam najbliższym samolotem. Bo zachowywałem się jak dzieciak, wystraszony, rozemocjonowany kretyn, więc natychmiast ruszyłem świńskim truchtem ścieżką biegnącą równoległe do trasy mojego przerośniętego, opóźnionego w rozwoju brata i tak zasuwaliśmy przed siebie symetrycznie jak jakaś pieprzona podwójna helisa. W końcu dotarłem, już bez butów, do najniższych partii cmentarza, w okolice anabaptystów i Świadków Jehowy, ale wtedy poczułem się jak kundel, który stracił z oczu patyk, bo gość w garniturze gdzieś przepadł. Przed sobą miałem już tylko płot z siatki i Hugh. Mój brat powoli piął się na górę, brutalnie szarpiąc krzesłem za każdym razem, kiedy nogi zaczepiały o stalowe oczka. I dopiero widok tej plaży naprawdę mnie wykończył, przypawił o ukłucie w oczach i ból w gardle, ta plaża, taka podobna do innych plaż - obraz Hugh z moim małym synkiem w ramionach, pośród perlistej piany na wybrzeżu Whale Beach. Tymczasem Hugh wygramolił się właśnie na zatruty, brudny piasek w zasranym La Perouse, zdjął su-permarketowąkoszulkę, odstawiając kremowo-różowe zwały ciała i usiadł, by przyglądać się zardzewiałym kontenerom na odległej kei. Za nim, jak w amfiteatrze, zebrały się tłumnie rzędy zmarłych, a ja zacisnąłem palce na siatce i zacząłem szlochać.

Rozdział czternasty

Ł/ysol wkurzył się na piasek z La Perouse i oczywiście sprawa była osobista, to znaczy ruchy górotwórcze, pieprzone skały i przyplawy, martwe muszle, pękające rafy koralowe, ścieranie się płyt, wszystko uwzięło się, by prześladować Rzeźnika i każde ziarnko piasku na siedzeniu samochodu przybyło tu z wieczności WYŁĄCZNIE po to, żeby uwierać go w dupę. Nasz ojciec Bones zachowywał się dokładnie tak samo i my bracia uciekaliśmy, gdzie pieprz rośnie, przed jego gniewem, kiedy tylko na dywanikach VAUXHALLA CRESTY wykryty został NANIESIONY PIASEK, bo to zawsze kończyło się krzykiem i groźbami

chlastiania brzytwą i biczowania, i rażenia prądem, Boziu, ależ on miał usta ten nasz tatuś, okrutne, jak blizna na twarzy. Jako chłopiec nigdy nie rozumiałem, czemu czyściutki piasek wywołuje takie przerażenie w przekrwionych oczach ojca, ale wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, jak wygląda klepsydra, i nie wiedziałem, że kiedyś umrę. Nikt nie będzie oszczędzony i kiedy wybiła godzina mojego ojca, wtedy odwieczny wicher pustyni przewiał mu flaki i rozdarł wnętrzności, niech Bóg ma go w opiece, starego grzesznika. Biały Bones nie zaznał więcej spokoju w życiu niż po śmierci ani nie rozumiał, co to znaczy zostać ziarnkiem piasku i przesytać się wśród szeptu miliardów przez palce samego Pana.

Na Bathurst Street mój brat oświadczył, że NANIOSŁEM f PIACHU do dawnej Szkoły Tańca Arthura Murraya, po czym zaczął wykazywać OZNAKI NIEZRÓWNOWAŻENIA PSYCHICZNEGO, jak nasza matka, biedna mama, zawsze z miotłą,

96

zawsze wszystko wysprzątane na wypadek wizyty OTOM JA SŁUŻEBNICA PAŃSKA. Niepamięć, och tira rira rira. Oczy Rzeźnika załśniły oskarżycielsko, więc wysprzątałem pokój, tak jak sobie życzył, bo kiedy wyrzucił z trzaskiem na bruk aparat tego ćpuna, zrozumiałem, że nie należy z nim teraz dyskutować. W tym tygodniu poniósł już tyle porażek, że nie mógłby znieść odmowy. Szybko wykończył swojąskrzynkę McWilliamsa za 8,95 dolarów i oświadczył, że wychodzimy coś zjeść. Miał wystarczająco dużo kasy, żeby zafundować mi prawdziwe jedzenie, nerki, bekon, nóżki, stek, wieprzowe kiełbaski, ale on oszczędzał pieniądze na NIEŚMIERTELNOŚĆ, więc wiedziałem, że zanosi się na kolejny upiorny WERNISAŻ, i z naprawdę ciężkim sercem patrzyłem, jak Rzeźnik szoruje gąbką garnitur, typie do lustra z poczuciem winy w małych oczkach, po czym wylewa na siebie jakieś śmierdzące perfumy jak alfons, o Boziu, aż przypomniałem sobie Bellingen.

No chodź, młody, powiedział, i weź ze sobą to pieprzone krzesło.

Chciałem odmówić, ale zabrakło mijaj, niech mnie, jeden Bóg wie, co ja mógłbym jeszcze zmalować. Pojechaliśmy do Galerii Australiskiej w Paddington, całą drogę mój brat milczał jak zaklęty, nawet kiedy PIERDNAŁEM JAK Z ARMATY, jak mawiał nasz tata, albo jeszcze, PÓKI KOŃ PIERDZI TO NIE ZDYCHA. Rzeźnik był w ponurym nastroju, gdy skręciliśmy w aleję, wypachniony pastą do zębów i olejkiem do włosów, tylko na nosie wyskoczyło mu jedno czerwone naczynko. Oto nadchodzi sławny niegdyś Michael Boone. Zaraz po nadejściu odnalazł BOHATERA WIECZORU i wygłosił pean na jego cześć, bez zmrużenia powieki, po czym wypił trzy kieliszki tasmańskiego pinot noir. No, ten obraz to po prostu powala! A ten, kurwa, cudo! Tylko ja widziałem ukrytą furję, wrzący OCEAN pod kocim futerkiem Rzeźnika. Adresat jego fałszywego świadectwa był ŚLICZNYM CHŁOPACZKIEM o długich, wijących się blond włosach, który naiwnie rozkoszował się szyderstwami, biorąc je ZA DOBRĄ MONETĘ, i ja nie mogłem tego znieść, niech

97

mnie, bałem się o nich obu i o siebie też, bo gdybym stracił brata, to byłby mój koniec. Z powodu poprzedniego NIEPOROZUMIENIA nikt nie chciał już się mną zaopiekować. Usiłowałem odwrócić uwagę Rzeźnika, ale on miał już pot w oczach, ukryty głęboko pod źrenicami ciemnymi jak wino, więc tylko zabrałem swoje krzesło daleko od regionów pinot noir i usiadłem w alkwie, gdzie nawet kelnerzy by mnie nie szukali. Byłem okropnie głodny, ale jeszcze bardziej przestraszony i tam siedziałem, kołyszając się na krześle, w przód i w tył, człowiek zegar, pompujący krew z sykiem i hukami, co jakiś czas oddychałem głęboko, żeby dostarczyć jej TLEN i nadać jasną ostrą karmazynową barwę, rany, gdybyście mi wtedy poderżnęli gardło, to bym zapaskudził całą ścianę. Ale bym narobił, o Boziu. I tak sobie myślałem, kiedy usłyszałem głos tej kobiety.

„Nie śpiewa się hymnów ludziom, którzy akurat mająkatar”.

To był CYTAT ze wspaniałej książki okropnego malarza, Normana Lindsaya.

Nie poznajesz mnie?

Kobieta była ładna i bardzo szczupła, jak mówią taka HERMAFRODYTA, z małutkimi cycuszkami, ubrana w jedwabną sukieneczkę, którą można by nosić w kieszeni razem z chustką do nosa.

Co słyszeć u twojego brata?

Niech mnie, to była Marlene Leibovitz, chociaż wyglądała zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy zepsuł jej się ten wynajęty samochód. Tym razem wystąpiła w ARTYSTYCZNYM STYLU, z fryzurą typu PROSTO Z ŁÓŻKA, ale zachowywała się bardzo przyjaźnie i przykucnęła przy mnie i poczęstowała przekąskami. Pewnie pomyślała, że jestem jakimś GŁUPKIEM, bo tak się ucieszyłem na jej widok, ale zdaniem Rzeźnika, to ona ukra-^{ła} obraz i zrujnowała nam życie. Powiedziałem, że mamy kłó-, poty z policją i że musieliśmy opuścić dystrykt, zabierając wy-? łącznie obrazy i to, co się zmieściło do samochodu. Na to Marle-' Be położyła mi rękę na ramieniu i wyznała mi, że jej życie też się

98

zawaliło przez tę samą katastrofę. Jej mąż nie podźwignął ciężaru odpowiedzialności i od czasu tamtej kradzieży ODDALILI SIĘ OD SIEBIE.

Miała bardzo specyficzny kolor włosów, kukurydzianożółty, i nigdy ich nie farbowała, dzięki czemu nie musiała co miesiąc płacić BAJONSKICH SUM za trwanie w kłamstwie. Oczy Marlene były niebieskie i wodniste, więc pomyślałem, że może jest Holenderką albo nawet Niemką, tak jak Nauczyciel. Szybko znalazła wolne krzesło i razem urządziliśmy sobie piknik, a kelnerzy w garniturach i z kucykami musieli się nachylać, żeby nam usługiwać, jak rozmawialiśmy o Magicznej wyprawie. Potem jeszcze opowiedziałem jej, jak Rzeźnik zbudował swój emu byłemu synowi domek na drzewie, prawie dokładnie taki sam jak na obrazku BUDYNIOWE PODWÓRKO na stronie sześćdziesiątej trzeciej i Marlene od razu wiedziała, o co chodzi.

I tak opowiedziałem jej o tym, jak straciliśmy chłopca, i Budyniowe Podwórko, i o wszystkich innych nieszczęściach, jakie spotkały Braci Bones. Wyznałem szczerze, że wpadliśmy w NIEZŁE BAGNO, że policja nie chciała oddać arcydzieła, a szychy z galerii nie raczyły nawet z nim porozmawiać.

Twój brat jest wielkim malarzem, powiedziała, a że nikt tak o nim nie mówił od 1976 roku, to trochę się zdziwiłem. A Marlene dodała jeszcze, że nie powinien tak cierpieć.

I wtedy kątem oka zobaczyłem Rzeźnika Bonesa, który złożył przeciwko niej fałszywe świadectwo. Rzeźnik właśnie przyssał się do kogoś nowego i odstawił wielką szopkę, przytakując z po-wagą przechylając się pod kątem 45 STOPNI, żeby ofiara uznała go za najbardziej interesującego i zainteresowanego faceta na planecie. Któżby odgadł, że te czerwone, okrągłe nalepki na ścianie były dla mojego brata jak rozżarzone igły wbijane pod paznokcie. Wstałem, żeby przesunąć krzesło poza zasięg wzroku Rzeźnika, ale oczywiście przyciągnąłem przez to jego uwagę i natychmiast odwrócił się do nas, wielki, obleśny pijus, i wyciągnął rękę, rycząc:

Dobry Boże, a oto zaginiony skarb rodziny Leibovitzów.

Chciałem się zastrzelić.

Rozdział piętnasty

Tej nocy, kiedy rozmawiałem z Marlene w Bellingem, byłem jeszcze prawie przyzwoitym człowiekiem. Ale na obrzydliwym pokazie Stewarta Mastersa chciało mi się już tylko rzygać, wszystko, na co patrzyłem,

wyglądało jak fałszywki, nędzne pozory, błyskotki, jak zasłony z koralików zamiast drzwi u taniej wróżki. I nagle, właśnie wtedy, pojawiła się ona - zmrużone oczy, nabrzmiałe usta i dwa miodowe zagłębienia nad obojczykami. Uśmiechnęła się i przymykając oczy podała mi rękę, a ja pomyślałem, to ty ukradłaś tego pieprzonego Leibovitz.

A Hugh - niech go szlag - j jeszcze na mnie, kurwa, mrugnął.

Pieprz się, powiedziałem w myślach.

Ale on już szykował się do drogi i złożył krzesło, a jego kieliszek wyleciał w powietrze, po czym ślizgiem wpadł na ścianę i roztrzaskał się w drobny mak.

Marlene Leibovitz wstała, żeby uchylić się przed spadającymi odłamkami.

- Idziemy! - Hugh kopnął resztę kieliszka pod biurko. - Ban-kankany. Bo-bu-buła. - Skracam, żeby wam oszczędzić tego bełkotu, nie macie czego żałować, bo przekład na ludzką mowę nie istnieje, mogę tylko wyjaśnić, że przez „Bankankany” mój brat chciał powiedzieć „Bałkany”; chodziło o restaurację na Oxford Street, gdzie zgodnie z jego zamierzeniem miałem zabrać rozmowę panią Leibovitz, podczas gdy on mógłby sobie napychać paszczę grillowanym, chorwackim mięsem, wielki, tłusty mięsożerca. I wiecie co? Pięć minut później cała nasza trójka siedziała już w samochodzie i gnaliśmy w stronę Oxford Street,

100

z tyłu grzechotało krzesło Hugh, a obok mnie spoczywała złodziejka obrazów - bo tak ją wówczas nazywałem - zwiewna i jedwabista jak marzenie. Moi pasażerowie pogrążyli się w rozmowie. Hugh perorował na temat konieczności rozbijania mięsa nienarodzonych cieląt za pomocą drewnianego młota, na co Marlene, słyszałem wyraźnie, zrewanżowała się wyznaniem, że miała ostatnio kłopoty z policją. Ta interesująca informacja przedarła się przez opary wina Pinot Noir, ale akurat musiałem przejechać na czerwonym świetle przez Union Street, więc zanim dotarłem do placu Taylora, zacząłem się już zastanawiać -bracia w nałogu z pewnością nie zrozumieją- czy cała rozmowa przypadkiem mi się nie przyśniła.

Parkując, już zamierzałem zapytać o to Marlene, ale sama wszystko mi opowiedziała, kiedy opuszczałem szyby, żeby uchronić złodziejasków i siebie przed zbędnymi kłopotami. POLICJA SZTUKI włamała się do jej mieszkania.

- Ale przecież ty już o tym wiesz - odparła.

- Chyba jednak nie.

Zmarszczyła brwi.

- Przecież jest już na listach Interpolu.

-Kto taki?

- Olivier, mój mąż. Uciekł. Nie czytasz gazet?

Mój brat torował sobie właśnie drogę przez tłum, wymachując krzesłem z taką energią, że nie miałem czasu odpowiadać.

- Pamiętasz chyba - naciskała, przyspieszając kroku.

Nadal koncentrowałem uwagę na Hugh, wobec czego Marlene ponowiła natarcie.

- Rozmawialiśmy o moim mężu.
- W pewnym sensie.
- Nie. - Chwyła mnie za rękaw. - W bardzo specyficznym sensie. Obrazy jego ojca przyprawiają go o mdłości. Zapomniałeś?

Nie wiedziałem, co powiedzieć i gdzie obrócić wzrok, a już na pewno nie chciałem dociekać, jak kogoś może mdlić na widok wielkich obrazów.

101

- Policja prześladowuje jedyne go człowieka na ziemi, który absolutnie nie mógł tego zrobić.

Dlaczego tak strasznie chciała mnie o tym przekonać?

- Olivier nie byłby w stanie nawet tknąć Leibovitza.

Wzruszyłem ramionami.

Skrzyżowała ręce, po czym demonstracyjnie odwróciła głowę i tak w milczeniu czekaliśmy, aż przygotowano nam stolik i Hugh rozłożył swoje krzeselko. Patrząc na niego, Marlene przybrała zadziwiająco łagodny wyraz twarzy, a potem, kiedy się uśmiechnęła- leciutko, unosząc górną wargę -przez jedną krótką chwilę myślałem, że zaraz zacznie płakać.

- Ty myślisz, że ja to zrobiłam, prawda? - zapytała, szarpiąc bułkę i wpychając sobie kawałek do ust. - Zaginiony skarb Leibovitzów. Co za nieuprzejme powitanie.

-Nazywasz się Leibovitz i dawno cię nikt nie widział.

- Jasne - odparła.

Brzoskwińsiowa sukienka otulała jej cudowne, brązowe ciało jak jedwabna powłoka.

- Przepraszam, jeżeli zrobiłem ci przykrość. - Nie mogłem znieść tego łzawego spojrzenia. - Cała ta afera naprawdę na-bruździła mi w życiu. Przede wszystkim, straciłem studio.

- No dobrze - powiedziała spokojnie. - Skoro chcesz wiedzieć, to Honore le Noel ukradł obraz pana Boylana.

Ale wtedy przyszedł kelner, Hugh miał szczególne wymagania co do swojego zamówienia i tylko kątem oka zauważyłem, że Marlene ukradkiem wydmuchała nos.

- A teraz słuchaj - rozkazała, kiedy nalewano nam wino.

I opowiedziała mi jeszcze raz, jak Honore le Noel został przyłapany w łóżku z Rogerem Martinem. Dominiąque wyrzuciła go na zbity pysk z lokum przy 157 Rue de Rennes, z czym zresztą pogodził się bez większego trudu, także dlatego, że czekała na niego o wiele przyjemniejsza kwatera w Neuilly. Ale kiedy zażądała rezygnacji z Komitetu, stanął dęba. Aż do tamtej chwili Dominiąque była przekonana, że Komitet stanowi jej wyłączną własność. W końcu to ona go powołała. A teraz, gdy zażyczyła sobie, by Komitet usunął jednego ze swych członków, usłyszała,

102

że pan le Noel jest uznanym ekspertem od malarstwa Leibovitza i nikt nie zgodzi się na tak absurdalny i szkodliwy akt. Powoli, stopniowo zapełniła Komitet swoimi sojusznikami, ale proces ten zabrał jej całe lata, a przez cały ten czas Honore bawił się w najlepsze, mając Dominique i jej spiski głęboko w dupie.

W 1966 roku Dominique jak zwykle cierpiała na niedobór gotówki, w związku z czym wywlokła na światło dzienne nowe arcydzieło z późnego okresu, zatytułowane Ampere. Wystawiła je na aukcji w Nowym Jorku, ale w Sotheby's, nie znając jej reputacji, zażądali ekspertyzy Komitetu, więc płótno zapakowano i wysłano z powrotem do Paryża. Honore z pewnością tylko na to czekał - kto wie, może nawet naszeptął coś w uszka prominentom Sotheby's - i zdołał przekonać wystarczająco wielu członków Komitetu, że płótno nosi wyraźne ślady machinacji Dominique. Tak się złożyło, że była to kompletna brednia, ale pan le Noel jako ekspert okazał się człowiekiem, z którym nie należy popadać w konflikt, bo niespodziewanie udało mu się zrobić wodę z mózgu niemałej części Komitetu. Nie dokonał tego wprawdzie jednej nocy, ale w ciągu tygodni i miesięcy. W szczytowym punkcie dyskusji Dominique wkroczyła na salę obrad i wylała na niego dzban wody, ale to tylko osłabiło jej wiarygodność. W rezultacie Komitet odmówił wydania certyfikatu, a po tym fakcie Sotheby's nie zdecydowałoby się przyjąć płótna, choćby za jego autentyczność ręczyło dziesięć droit morale.

- Nie tylko ogłosili, że Ampere to fałszerstwo - powiedziała Marlene - ale w dodatku kazali je zniszczyć.
- Co takiego?
- Spalili obraz.
- Jaja sobie robisz.
- To Francja. Musisz mi uwierzyć. Takie jest francuskie prawo. Dlatego właśnie należy trzymać swoje obrazy z dala od tych wszystkich rad i komitetów. Zrobili to pod policyjnym nadzorem. Oczywiście później wszystko się wydało. Puścili z dymem arcydzieło - no i wybuchł niezły skandal.
- Spalili Leibovitza!
- Płakać się chce.

103

- Dlatego le Noel postanowił ukraść obraz Dozy' ego.

Przeżuła kolejny kęs bułki, po czym przytaknęła energicznie.

- Znajdzie się we Francji. Sam zobaczysz.

-Jak? Dlaczego?

- Le Noel jest bogaty i nie ma co robić. Zachowuje się jak jakiś opętany zdetronizowany król, który liczy, że w ten sposób odzyska imperium. Dostał obsesji na punkcie Leibovitza. No i przypadkiem usiadł koło Boylana w samolocie, w pierwszej klasie. Zaczęła się pogawędka. Boylan ma obraz Leibovitza. Honore przysysa się do niego, jak pijawka do żyły. Potem jedzie do Australii, pobiera próbki farby, a przecież nie jest znany ze zdolności manualnych. Wraca do Paryża, pisze raport z oględzin obrazu. Stek bzdur. Twierdzi, że to dzieło ze środkowego okresu, podretuszowane tak, żeby wyglądało na wcześniejsze i więcej warte. Skąd niby o tym wie? Co daje mu prawo do takich opinii? On po prostu czuje w sobie ducha Leibovitza. Jest ekspertem. Ponoć dysponuje dowodami w postaci prześwietleń rentgenowskich, ale nikt ich nigdy nie widział. Wierz mi, Michael, ja nie mam tu nic do zyskania. Nie zniósłabym machinacji przy dziele sztuki. Proszę, nie myśl o mnie źle, naprawdę bardzo mi z tym ciężko.

Ku mojemu zdziwieniu, Hugh nagle położył zatluszczoną łapę na obnażonym ramieniu Marlene, a ja, widząc wzbierające łzy zawieszane gdzieś pod rzęsami lewego oka, sięgnąłem po jej dłoń. No i co tu zrobić z własnymi emocjami? Dusić czy wieszać na ścianach?

Rozdział szesnasty

Marlene została dziewczyną mojego brata, poczułem się, jakby wyrwali mi flaki, jak to zobaczyłem, ale trudno, nic nowego, powinienem się domyślić już dawno, że tak będzie. Czasem miałem ochotę wyrzucić go w ryj, walić, prać i łomotać ten okrutny pysk. Rzeźnik nawet nie wie, że kochałem się w tak zwanej Dziwce Utrzymance, i to bardziej niż on. Pod tym względem byliśmy jak bliźniaki, po prostu identyczni. W Bankankanach położyłem rękę na drobniutkim ramieniu Marlene i patrzyłem na tę smutną wodę, wyciekającą z jej cudownych oczu, nie widzieliście takiego błękitu - niech mnie, prążki ultramaryny, pobłyski opalu, ułożone w kształt ludzkiej źrenicy.

Rzeźnik zawsze twierdził, że nie ma Boga ani cudów, więc sam zasiadł na tronie sędziowskim i uznał Marlene za winną kradzieży, ale kiedy zobaczyłem ten paskudny uśmiezek na jego twarzy, zrobiło mi się niedobrze, bo od razu wyobraziłem sobie, co robi tym grubym kutasem, którym posługiwał się bez zarzutu, nie bacząc na fakt, że wcześniej wydał na nią wyrok i skazał bez sądu. Podobno artysta żyje zawsze w samotności, jak MNICH, KSIĄDZ albo KRÓL, jednak mój brat zawsze wolał znaleźć sobie jakąś kobietę, która pozwoliłaby mu wetknąć tę WIELKĄ IRLANDZKĄ GĘBĘ między piersi. Kto by nie zasnął, wdychając woń lawendy unoszącą się z ciała kobiety?

Kiedy poprzednio zamieszkiwaliśmy w Sydney, brat zabierał mnie do ELEGANCKICH PRZYBYTKÓW w SunyHills, chociaż zawsze wcześniej wygłaszał jakieś przerażające instrukcje na temat prezerwatyw i tego, co można brać do ust, a czego nie.

105

Znałem się na tym lepiej od niego, dziękuję bardzo. Dziewczyny były strasznie miłe NIE TRZEBA ŻADNYCH WSPOMAGA-CZY POBAWMY SIĘ RAZEM SKARBIE, co najmniej trzy zbierały na szkołę dla dzieci, ale Rzeźnik zawsze czekał przed drzwiami, aż skończą. Mówił, że nie żałuje tego czasu, po prostu sobie rozmyślał, ale wiele rzeczy po prostu nigdy nie przyszłoby mu do głowy i kiedy dotknąłem ręki Marlene, moje uczucia należały do takiej krainy, która przed nim była zamknięta na cztery spusty, zakaz wstępu i koniec. Łódeczką bez wiosła pod prąd STRUMIENIA GÓWNA.

W Bacchus Marsh znaleźliśmy mnóstwo dziewczyn, których imiona wymawiało się jak Maa, Waa, Laa. To taki żart. Daa-łaa ciao-łaa! To inny żart.

Maa-liin, nie mylić z Maa-lein, także znalazłoby się sporo, Marlene Warriner i Marlene Boatwright i Marlene O'Bien i Marlene Repetti, więc nawet się nie zdziwiłem, że Marlene Leibovitz naprawdę nazywała się Marlene Cook i urodziła się w Benalli, bardzo sympatycznym miasteczku w północnej części Wschodniej Wiktorii, niewiele większym od Bacchus Marsh.

No a mój brat zdziwił się okropnie, bo już jej przypiął etykietkę NOWY JORK. Ale to była Marlene Cook, córka właścicielki kafejki KAWOWY PAŁAC. Jedna z tych, co to wysyłają tysiące listów z prośbami o informacje na temat HISTORII CUKRU albo AUSTRALIJSKICH SAMOCHODÓW. Jak się o tym dowiedziałem, to zaraz pomyślałem smutno, że na pewno będzie pasowała do mojego brata, bo przez niego nasza skrzynka pocztowa numer 46 wiecznie pękała od BROSZUR i DARMOWYCH PRÓBEK ze szkodą dla ważniejszych przesyłek.

Wszystkie te listy i ulotki odgradzały ich, mojego brata i Marlene, od własnego otoczenia, ona stała się NIBY-AMERYKANKĄ, ekspertem od dzieł Leibovitza, chociaż jej edukacja zakończyła się w momencie, kiedy wyrzucili ją liceum w Benalli za niesubordynację - sama tak powiedziała. Nigdy nie zapomniałem, jak się czułem, kiedy sam wyleciałem z czwartej klasy. Schowałem się w łóżku i przez cały tydzień rysowałem po przeście-

106

radłach. Nigdy się nie dowiedzieli, jakie obrazy miałem przed oczami, jak blisko otarli się o gwałtowną śmierć, Panie wybacz mnie grzesznemu. Krew tryskała z ich oczu i uszu.

Proszę, dla ciebie też jest, Hugh, powiedziała, j edząc Wieprzowinę Cevapicci na Taylor Square. Kto by pomyślał wtedy, w Bacchus Marsh?

Nie podzielałem jej gustów, ale nie przeszkadzało mi to, bo miło się przebywało w jej towarzystwie. Dzięki niej Rzeźnik trochę się uspokoił, minął mu ten ATAK ŚLEPEJ FURII, wywołany pracami ładnego chłopca z wernisażu i faktem, że WYSZEDŁ Z MODY. Marlene zamówiła naleśniki ze śliwkami i TRZY WIDELCE i kiedy byłem już OB JEDZONY PO DACH, wróciliśmy wszyscy razem na Bathurst Street, chociaż po drodze Rzeźnik kupił jeszcze dwie butelki D'ARENBERG SHIRAZ po 53 dolce za sztukę, co najlepiej świadczyło o tym, że chce, by Marlene polubiła go bardziej niż mnie. Taki los. Kto wie, co on w ogóle pamięta z tej nocy, która odmieniła mu życie. Czasem wspomina tylko, jak wróciliśmy się do restauracji po moje krzesło i musieliśmy długo tłumaczyć kelnerowi, że to naprawdę nasza własność. Nie moja wina, że o tej porze po Darlinghurst kręci się tylu podejrzanych, agresywnych pijaków i kryminalistów.

W końcu wdrapaliśmy się po schodach na piętro naszego domu przy Bathurst Street, nie zatrzymując się nawet na parterze. Oświetlenie w dawnej szkole tańca było nadspodziewanie dobre, a Rzeźnik już wcześniej poprzewieszał lampy i skierował je wszystkie na najdłuższą ścianę i teraz, pomimo obrażeń odniesionych w walce o moje krzesło, pomógł mi w ustawianiu obrazów do prezentacji. Jeden dla pieniędzy, dwa na wystawę. Jak pieprzony altannik, rozkładający przed samicą muszle po ślimakach i zdechłe pająki, puszcący piórka, żeby wydać się większym, pływający do tyłu i do przodu, cholera, ciuk-ciuk-ciuk.

Aż do tej pory pani Leibovitz wydawała się DELIKATNA i KRUCHA, ale teraz z jej oczu znikły ostatnie ślady osobistych uczuć i przyjęła pozę profesjonalistki, DOKŁADNIE TAKĄ SAMĄ, jakąpóźniej przyjął detektyw Amberstreet, podpierając

107

lewy łokieć prawą ręką i przestaniając dłoniąbrodę i wymowne, ładne usta. Chyba nie tak to sobie mój brat wyobrażał?

Nie powiedziała ani słowa, tylko kiwała głową, kiedy już dosyć się napatrzyła i na ten znak dwaj potężni mężczyźni także bez słowa zwijali jedno płótno i prezentowali kolejne. Niech mnie, nie byłem taki pewny, co się właściwie dzieje. Nikt nawet nie tknął wina, chociaż zostało wystawione razem z innymi muszlami i pająkami.

A potem przemówiła: Mogę ci załatwić wystawę w Tokio.

Niech mnie.

Nie spodziewałem się tego. Co do mojego brata, nie mam pojęcia, co myślał, ale na jego miejscu zacząłbym płaść po pokoju z wrzaskiem i przytupem, TANIEC RZEŹNIKA, choreografia: Arthur Murray. Ale zmrużył te

ciemne, małe, rzeźniczkę oczka i wyglądał dokładnie jak nasz ojciec, kiedy się zastanawiał, czy korzystnie wyceniona sztuka może cierpieć na UKRYTE CHOROBY.

Gdzie?

Usta samca przypominały wąską szczelinę, podczas gdy dzióbek samicy rozchylił się ze zdziwienia. Przez otwarte okna z ulicy dobiegały jakieś krzyki, może to ZACHODNI TWARDZIELE przyszli przydzwonić tutejszym AZJATYCKIM MIĘCZAKOM, jak ich nazywali. Kobieta podrapała się po nagim, brązowym ramieniu, po czym zapytała go, czy wie, co to takiego Tokio. A on potraktował ją, jak gdyby usiłowała wyczyścić mu kieszenie.

Jak mogliby mnie wystawić w Tokio? Jego twarz przypomniała najajko albo kamień, gładka powierzchnia bez jednej rysy, w którą można uderzyć, żeby stłuc skorupę.

W Mitsukoshi, odparła z uśmiechem, wysoko unosząc brwi -jej czoło pomarszczyło się jak woda przy odpływie albo piasek, kiedy gdzieś pod spodem szaleje spanikowana dżdżownica.

W Mitsukoshi?

To galeria handlowa.

Galeria handlowa, on na to, jak gdyby kupowanie skarpetek stanowiło obrazę dla normalnego człowieka albo jak gdyby on

108

sam nie spędził piętnastu lat życia na zapleczu u rzeźnika, którego sklep powinien był przejąć jako rodzinne dziedzictwo.

Marlene nie mogła wiedzieć, że groziło nam kazanie zbudowane z pomysłów, które podsunął mojemu bratu pieprznęty Niemiecki Nauczyciel. Niemniej jednak w tej samej chwili popełniła kolejne NIEWYBACZALNE BŁĘDY, najpierw otworzyła Shi-raza za pięć dych i nałała go do filiżanek po kawie, a potem zaczęła cierpliwie wyjaśniać mojemu bratu, który chodził w kółko po parkiecie jak koń na lonży, że w Japonii wszystkie najważniejsze wystawy odbywają się w galeriach handlowych. Nie rozumiałem, dlaczego jest dla niego taka cierpliwa, ale oczywiście na tym polega PRZYWILEJ tak zwanych geniuszy, że wolno im się zachowywać jak TOTALNI KRETYNI. Marlene Leibovitz nalegała i nalegała, aż w końcu wyciągnęła notes z torebki, z notesu garść papierów różnej wielkości, a z garści wizytówkę obramowaną srebrem. Na tej wizytówce znajdowały się trzy ważne informacje. Po pierwsze, nazwa Mitsukoshi, po drugie nazwisko tego nawiedzonego faceta od kropek, Jacksona Pollocka, ale dopiero na widok słowa KSIĘŻNICZKA mój brat wreszcie, OOO RAAANNY.

O żesz kurwa, powiedział Rzeźnik.

Za cholerę nie rozumiem, jak człowiek, który kompletnie nie toleruje KRÓLOWEJ ANGLII ELŻBIETY, mógł się tak podniecić na myśl o księżniczce Japonii, ale on naprawdę zaraz aż zeszywniał i całe ciało PULSOWAŁO MU JAK WOREK PEŁEN PASIKONIKÓW. I kimże jestem ja, by próbować pojąć te jego sekretne pokłady mózgu? Wiem tylko, że Rzeźnik zobaczył srebrne japońskie krzaczkę z tyłu karty i w tej samej chwili nawrócił się na Mitsukoshi z takgorliwością że nie zmienił zdania, nawet jak usłyszał, że wystawę Jacksona Pollocka otwierała jakaś OSOBOWOŚĆ TELEWIZYJNA.

Od tamtej nocy datuje się również jego upodobanie do surowych ryb i w wyniku spożycia TUŃCZYKA PROSTO Z KUTRA zaraził się kiedyś pasożytem, powodującym puchnięcie, łamanie w kościach, biegunkę i nieokreślone problemy z kiszka. Ale to tylko jedna z atrakcji nadchodzących miesięcy.

Rozdział siedemnasty

Zawsze jest jeszcze Hugh, jego krzesło, jego kanapka z kurczakiem i sałatą, nie mogę się wyszczać nie myśląc o nim, i tak wygląda moje życie, odkąd Hugh skończył dwadzieścia lat, a dokładnie mówiąc - od dnia jego pieprzonych dwudziestych urodzin, które chciał uświetnić, topiąc naszego ojca w wannie. Jednak tata Bones to był kawał drania, silny chłop, zwinny jak wielki wąż, błyskawicznie powalił synalka na łopatki i pośród rozpaczliwych krzyków i szamotaniny omal nie zalał mu płuc mydlaną wodą. W tym momencie do łazienki wparowała mama, uzbrojona w toporek do mięsa. Hugh z pewnością pominąłby ten drobny incydent, gdybyście zapytali go o dzieje naszego rodu, a to dlatego, że kochał tatusia do granic obłędu. Z tego też powodu cała nasza czwórka odegrała wyjątkowo głośny i wyjątkowo rozdzierający serce melodramat w dniu, w którym przyjechałem, żeby zabrać brata do Melbourne. Ach, nasza biedna matka, kiedyś była taką piękną dziewczyną.

Od tego czasu nasze losy zostały nierozdzielnie, kurwa, związane i nie zamierzam się katować wspomnieniami o pierwszych latach wspólnego mieszkania. Omal nie oszalałem z furii i rozczarowania, kiedy wylądowałem na zapleczu u Williama Anglis-sa w Williamstown i całymi dniami siekałem wołowinę, a mój brat nieraz porządnie obrywał, porzucany przeze mnie nocami w samochodzie, w pubach po godzinach zniknięcia, wydany na pastwę miejscowych złodziejasków, ćpunów i pijanych studentów. W czasie gdy poznałem Powódkę (jak ostatnio życzy sobie, bym ją nazywał), stanowczo odmawiał zostawiania pod czyją-

110

kolwiek opieką nie miałem wyboru, jak tylko nadal się nim zajmować.

Kupiłem dom na East Ryde w chwili, kiedy moja stawka na aukcjach poszła raptownie w górę, czyli w 1973 roku, a Galeria Sztuki z Nowej Południowej Walii nareszcie zaszczyliła mnie retrospektywą. Nie potrafię opisać, jak piękna była wówczas ta dzielnica, wtedy jeszcze praktycznie nieuprzemysłowiona, wolna od Jeanów Paulów, domków przy basenie i parkujących wszędzie bmw. Ogródek wychodził na północny stok wzgórza i porastał dzikimi kwiatami, delikatnymi żonkilami i malutkimi po-midorkami cherry ukrytymi w trawie, gdzieś wykwitały poskręcane, stare jabłonie, Ribston's Pippin, Laxton's Fortune, odmiany wyeliminowane potem przez jakichś sadowniczych managerów, nabywców z supermarketów i inne szkodniki, gorsze od mszyc.

Powódka była wysoka i poruszała się z kociągracją, a ja, próżny i głupi jak tylko można być w wieku dwudziestu ośmiu lat, uwielbiałem kąpać się w świetle fleszy z moją tygrysyką boku. Któż by mi nie zazdrościł? Olśniewająca jak gwiazda filmowa, o miodowej karnacji i zagadkowym pochodzeniu, robiła na ludziach wrażenie królowej. Od dnia, kiedy ją poznałem, mój bezosobowy dom zaczął wydzielać apetyczne aromaty - kardamo-nu, bazylii, kminku, porów podduszanych na wysłużonej patelni. Właśnie kończyło się lato i ogród był pijany od sfermentowanych owoców i świeżo ściętej trawy, a w niepozornym rogu studia stanął stolicek, przy którym Powódka rysowała bardzo małe obrazki zmyślonych roślin, całkowicie oryginalnych, jedynych w swoim rodzaju. Te obrazki pracowicie ryła potem w drewnie i robiła odbitki. Kochałem tę pozorną skromność i niewielkie wymiary, wpadałem w szal, gdy po raz kolejny te małe cuda przepadały w konkurencji z wielkim, rozpasanym kiczem sydneyjskiej sztuki. I tak, kochałem się w niej i walczyłem o nią, może czasem w żenującym stylu. Owszem, sterroryzowałem moją galerię, żeby wystawiała jej ryciny, a także przyjaciół - żeby je kupowali. Któż

111

nie dostrzegłby cienkiego jak włos pęknięcia w marmurowym piedestale? Ja, wysoki sądzie, za cholere.

Oczywiście kłóciliśmy się jak wszyscy diabli. Ale dla kogoś, kto dorastał w domu, gdzie mama co wieczór musiała chować i zamykać na klucz dwadzieścia siedem noży taty, te nasze kłótnie były jak fiywolne przepychanki. Pokłóciliśmy się jak cholera, kiedy zażyczyła sobie, żebym relegował Hugh do szopy w ogrodzie, ale jednocześnie nazywała go Brat Hugh, Frere Hugh, Braciszek Bones. Całowała go w wielki, tłusty policzek, aż się rumienił. Specjalnie dla niego przyrządziła cevapicci, podawała wołowinę, baraninę, wieprzowinę, czosnkowy pieprz cayenne, ale z drugiej strony, jak natknęła się na niego, gdy włóczył się niestosownie ubrany tylko w te swoje żalosne gatki, nagle zażądała, żebym zamykał go na noc w pokoju. Zapytałem, czy zwariowała, i ani na chwilę nie przyszło mi do głowy zadać to pytanie poważnie. Twierdziła, że strasznie boi się porywaczy, a ja tylko pomyślałem, ach, więc o to chodzi, i - tylko się nie śmieście - założyłem wielki, solidny zamek po wewnętrznej stronie drzwi od naszej sypialni.

Słyszałem, że podobno wszyscy widzieli, że nasze małżeństwo to katastrofa, ale wtedy dymałem ją trzy razy dziennie i ten za-1 mek był jak maluteńki przyszczyk, ludzka niedoskonałość na po-: liczku jej idealnej, boskiej dupy. Nie przewidziałem szturmów mszyc : i nadciągających czerwi.

Gdy urodził się Billy Bones, przez cały czas trzymała tego cudnego małego drania w naszej sypialni, co napełniało mnie głębo-, kim wzruszeniem, dopóki nie odkryłem, że moja żona tak naprawdę boi się Hugh, który mógłby zakraść się w nocy, wyłaniać drzwi i pożreć dziecko. Matka trzymała więc straż, chroniona przez mój wielki zamek, i może do dziś siedzielibyśmy tam ■wszyscy razem, Powódka, ja i Billy, drapiący nas po nogach chłopięcymi paznokciami, gdyby żołądek matki lepiej znosił pizenikli-|yąwoń brudnych pieluch. Smród niemowlęcej kupyprzypra-ał ją o zadławienie, w związku z czym Billy Bones szybko

112

wylądował w pokoiku dzieciennym, strzeżonym przez elektroniczny alarm Fischer Price. A kto kupił alarm? Ja.

Tymczasem potencjalny kanibal trzymał się ostrożnie z dala od dziecka, obserwując je jak kot obserwuje nowego szczeniaka gospodarzy - uważnie, ale z dystansu. Jednak matka nie traciła czujności i nie pozwalała sobie na sen, choć ja chrapałem jej w najlepsze w ucho. I wiecie co? Biedny, stary Hugh został przyłapany na gorącym uczynku. Ten skończony cwany wombat prze-kradł się korytarzem do pokoju dziecka i usunął dwie baterie AA z alarmu na drzwiach. Ale nic, najwyraźniej, nie ujdzie uszu matki. Przyprawiono mnie na miejsce zbrodni, pod wszystkie te ruchome zabawki, które pełen zapału zawiesiłem pod sufitem w pokoju dzieciennym. Tam, w półmroku, w cieniu stada orłów i altanników, których drewniane skrzydła kołysały się leniwie w upalnym powietrzu Sydney, czerniała wielka, zgarbiona sylwetka Mięsożercy, nachylona nad naszym synem.

-Hugh!

Poderwał się gwałtownie, trzymając dziecko w ramionach i stało się jasne, w blasku światła awaryjnego, że machinacje mojego brata nie ograniczyły się do alarmu Fischer Price. Zapaskudzona pielucha została zastąpiona nową, a młody Bill Bones przemienił się w estetyczne, czyściutkie i schludne zawiniątko, jak paczka kiełbasy. Proszę uprzejmie, droga pani, czy podać coś jeszcze?

Powódka, powiedzmy to na jej korzyść, wybuchnęła śmiechem.

I tak oto Frere Bones natychmiast, w jednej chwili, stał się na prawie siedem lat ukochanym Wujkiem Bonesem, zapaśnikiem i nianią w jednym. I kiedy potem w Bellingen patrzyłem, jak nosi w zagłębieniu ramienia tego szczeniaka, a potem jego zwłoki, omal mi serce nie pękło, bo dokładnie tak samo trzymał kiedyś mojego syna.

A mój syn kochał wujka, czemuż by nie? Przez całe dzieciństwo uganiał się za nim po trawie, wcinał jabłka przyprawiane anyżkiem i puszczał łódeczki na małym, zielonym stawie. Zarówno Hugh, jak i Bill uwielbiali zapasy. Mój syn już w wieku sześciu miesięcy najbardziej na świecie kochał, kiedy turlało się

113

nim brutalnie po ziemi. Od chwili, gdy postawił pierwsze kroki, szarżował na nasze męskie nogi jak byk i ledwo mnie zobaczył, żądał, abym się z nim siłował. Trudno to teraz oceniać, ale mój brat był wtedy naprawdę szczęśliwy. Jak wielkie psisko, które pozwala na wszystko bandzie rozochoconych szczeniaków, dawał się szczypać, gryźć i skubać, znosząc to z niewyczerpaną cierpliwością. I dlatego nie wiem, czemu właściwie któregoś dnia cierpliwość nagle się wyczerpała. Może Bill po prostu nie chciał mu dać spokoju albo przypadkiem uraził go w najczulsze męskie miejsce. W każdym razie Hugh zrobił wtedy Billowi dokładnie to samo, co ja zawsze robiłem jemu, kiedy nie potrafiłem sobie z nim poradzić w żaden inny sposób.

Ich podwójny skowyt dobiegi: mnie w studio, głęboki ryk Hugh i przenikliwy, metaliczny, rozedrgany wrzask bólu Billy'ego. Wciąż mam przed oczami tę scenę. A wołałbym nie mieć. Mój brat, podający mi syna, jak gdyby chciał go wyrzucić, wepchnął z powrotem w zasnutą pajęczyną szczelinę czasu. Nie od razu zrozumiałem, co widzę: mały palec mojego chłopczyka, zwisający bezwładnie na skrawku skóry, jak szyja kurczaka.

Po szczegóły odsyłam do zeznań Powódki. Zaznaczam tylko, że od samego początku nie zamierzałem zrzekać się ani brata, ani syna, co tylko dowodzi, jak bardzo przeceniałem wagę moich decyzji. W rzeczywistości wybór w ogóle nie należał do mnie, tylko do sędziego w krawacie od Pierre Cardina, który nałożył na braci Bones sądowy zakaz odwiedzin i wtedy po raz pierwszy sens zamka objawił mi się w pełnym świetle.

Teraz łatwiej wam przyjdzie zrozumieć, dlaczego, kiedy boska Marlene Leibovitz obiecała mi wystawę w Tokio, moja pierwsza myśl nie dotyczyła jej moralności -nie jest to rozsądne kryterium oceny marszandów - ale Hugh. Bo zawsze jest jeszcze Hugh i nie wiadomo, co z nim zrobić.

Rozdział osiemnasty

(Chciałbym dostawać dolca za każdym razem, kiedy Rzeźnik wygania mnie do wyra, żeby nie przeszkadzał, ale wtedy obeszło się bez słów. DYSKUSJA z Marlene Leibovitz tak nabierała tempa, że wolałem się zmyć, zanim musiałbym się za nich wstydzić. Niech ich. Kiedy wstałem, pocałowała mnie w policzek i powiedziała coś w obcym języku, co brzmiało jak dobranoc. Nie wnikałem.

Więc zostawiłem ich, żeby sobie spokojnie PONEGOCJO-WALI i przysiadłem na schodach między piętrami, ale nagle zadudniło i zjawił się Rzeźnik, rozjuszony jak WŚCIEKŁY BYK zerwany z łańcucha. Co ja niby sobie myślę? Chętnie przyłożyłbym mu w nos, ale ojciec nauczył nas, że nie należy bić się na schodach, więc zszedłem na dół, ale usłyszałem tylko, jak Rzeźnik biegnie z powrotem na górę zatraskuje za sobą drzwi i zasuwają rygiel, zamek, czy co tam jeszcze?

Odkąd wyrzucili mnie z Państwowej Szkoły nr 28 BEZ ŻADNEJ WINY Z MOJEJ STRONY, większość czasu spędzałem na szarym, stalowym krześle kupionym od firmy dostawczej AR-BEE, a w letnie, niedzielne wieczory patrzyłem, jak nadciąga ku nam sznur samochodów z Ballarat i wzgórz Pentland, to były pojazdy ze stali, ale dla mnie wyglądały zupełnie jak pełnokrwiste bestie, psy zgrzane od upału, jeden za drugim obwąchujące sobie ogony, nieskończony łańcuch kobiet i mężczyzn, dziewczyn i chłopaków, głów opartych o ramię partnera, szczipłych ramion owiniętych wokół oparcia siedzenia. Jedna para za drugą w godowym tańcu, czerwone tylne światła jak klejnoty w naszymyjniku, błyszczącym pośród ciemności ponurego wieczoru.

A potem sze-

115

dłem do dziupli do spania, jak nazywaliśmy część werandy, którą Stary Bones zabudował przy pomocy nielegalnych płyt azbestu. Odkąd mój brat wyjechał, nie było tam nic ciekawego: stalowe prycze, resztki brązowej taśmy klej ącej, j edyny ślad po zabranych ŚWIĘTYCH OBRAZKACH Marka Rothko, tego malarza, który już nie żyje.

Na Bathurst Street zaniósłem moje TANDETNE krzeselko na dół, pod schody, przez cały czas czując WYRZUTY Rzeźnika, osiadające gdzieś w pobliżu mojej szyi. To natychmiast rozgrzało mi silniki, zaczęły sapać i turkotać i pompować krew, dostarczając ELEKTRYCZNĄ moc do mięśni przedramion, a w takich sytuacjach zawsze muszę się kawałek przejść. Nie lubię ciemności, ale nie miałem wyboru, musiałem się przepychać przez te wszystkie pary i pijacków, który wykrzykiwali, żebym pilnował własnego kutasa. Strącone anioły, upiory i demony butelkowo ciemnej nocy. Czy to ja ich urodziłem? Moja wina, że wylądowali tam, na tej ulicy?

A co do innych spraw - nie wiem, co Rzeźnik zrobił swojej pani, aleja bym jej nie WINIŁ za to, że w końcu się go pozbyła. Ona należała do ludzi, których tacy jak my, Bracia Bones, po prostu nie spotykają. Zawsze była dla mnie miła, dopóki nie dałem jej powodu, by przestała być. I urodziła wspaniałego chłopca, znacznie LEPSZY MODEL, niż jakiegokolwiek samodzielne dzieło Rzeźnika. Ja zostałem wtedy awansowany na MAJORDOMA, portiera, kamerdynera, lokaja, pielęgniarkę, odźwiernego, kelnera, naczelnego pomywacza butelek, a mój RODZONY BRAT wbił sobie do głowy, że być służącym to dla mnie upokarzające, ale on po prostu nie rozumiał, co ja wtedy czułem, Boziu kochana, zajęty ważną przydatnąpracącały dzień od świtu do nocy, ceniony i użyteczny, aż nagle NIECH MNIE CHOLERA. Wystarczy już o tym.

W każdym razie.

Nigdy nie miałem tylu zajęć, co wtedy, kiedy byłem wujkiem Hugh.

116

Wystarczy już o tym, chociaż żałuję, że nie poderżnęli mi gardła na śmierć, i tyle.

Jednak jako niezbyt odważny człowiek zachowałem życie i tak uciekłem od cudzołożników z Bathurst Street. Ruszyłem w tłum mroczny jak WINO, przepychając się w stronę wybrzeża, aż w końcu chodniki trochę opustoszały, i to podobało mi się o wiele bardziej, chociaż ciągle wypatrywałem uważnie, tak jak mi przykazano, czy w pobliżu nie kręcą się ZBOKI. Gdybym miał chociaż trochę rozsądku, to natychmiast wróciłbym w bezpieczne okolice domu, ale czasem zachowuję się jak jakiś PIEPRZONY PÓLMÓZG, więc polazłem prosto w stronę podejrzanych cieni pod wiaduktem autostrady Cahill, a potem nad cuchnący brzeg zatoki o kolistym kształcie i barwie sosu pomidorowego. Marynarz pokładowy właśnie chciał podnieść trap, prowadzący na prom Hunters Hill. Rzuciłem się biegiem i tak gwałtownie wpadłem na pokład, że deski trapu odskoczyły w górę i uderzyły z trzaskiem o keję. Marynarz był chudy i miał obrzydliwy tatuaż na nosie, ale potrząsał groźnie głową jak KTOŚ WAŻNY. Rany, całe szczęście, że Rzeźnik go nie widział, bo by się obraził.

Nie mogłem wracać do domu. Wszystko, co straciłem, było 600 mil stąd. Jeszcze zanim okrążyliśmy przylądek Dawes, poczułem oleisty powiew dochodzący od tankowców zakotwiczonych przy Koziej Wyspie, a mewy roiły się wokół pylonów mostu jak larwy białych mrówek. I tak prom płynął przez czystą i spokojną wodę, północno-wschodni wiatr wydymał mi koszulę, wciskając się między materiał a skórę i nie czułem już żadnego innego ciężaru na duszy. Przez chwilę byłem zupełnie szczęśliwy, a potem nagle, koniec, wystarczy już tego.

Wystarczy.

Złożyłem krzesło i szedłem pod pokład, czując pod stopami wibracje wielkich silników Diesla, które przypominały mi o miejscach znanych tylko Billy'emu Bonesowi i mnie, o naszych STARYCH KRYJÓWKACH.

117

Lepiej o tym nie myśleć.

Odkąd wskoczyłem na pokład, nie miałem wyboru, gdzie płynę, jak woda po zmywaniu w rurze od szamba. Pierwszy przystanek promu to było nabrzeże Darling Street w East Balmain, tam gdzie mieścił się dom SŁAWNEGO PRZESTĘPCY, jego front wychodził na rzekę, ale w oknach zawsze wisiały płócienne zastony. W czasach przed NAKAZEM SĄDOWYM często przychodziłem tu z synkiem Rzeźnika i brałem go na barana, żeby mógł się przypatrzeć, ale nigdy nie wytropiliśmy tam żywej duszy, już nie wspominając o samym przestępcy. Z tego miejsca chodziliśmy czasem na targ, w górę Darling Street, albo wracaliśmy na keję i stamtąd łapaliśmy SILVER BREAM lub późniejszy prom na przylądek LONG NOSE, gdzie mogliśmy odwiedzić stocznię i jeżeli akurat nie było nikogo z DYREKCJI w biurze, kumpel pozwalał nam wchodzić na pokłady ZAGRANICZNYCH STATKÓW i długich, niskich BAREK, a raz nawet przemycili nas nielegalnie na wyspę Cockatoo. Tak, tak, Billy Bones i ja mogliśmy trafić do więzienia, bo nie mieliśmy PRZEPUSTEK. Tam, na wyspie, nielegalnie weszliśmy na teren stacji energetycznej, która wyglądała od środka jak wnętrze radiostacji, fioletowe światła, iskry i SUPERTAJNY tunel, prowadzący z jednej strony wyspy na drugą. Billy odziedziczył krzepę Bonesów i nigdy się nie męczył. I jeżeli to się nazywa być służącym, to, tak czy owak, byłem szczęśliwy. Każdego dnia działo się coś nowego. Mogliśmy popłynąć sobie promem do Greenwich i pochłapać się w kąpielisku - były i BICZE WODNE i MEDUZY i nawet cudowny, stary, dobry BRODZIK. Nie jest dobrze wspominać. Po cholere faziłem nad tę zatokę.

Gdy prom dopływał do East Balmain, zacząłem wątpić, czy ten NIEPRZYJEMNY MARYNARZ pozwoli mi opuścić pokład. Zeskoczyłem więc, zanim jeszcze zdążył rzucić cumę na keję, nawet nie obejrzałem się na DOM PRZESTĘPCY, tylko od razu pobiegłem w górę Darling Street, z moim krzesłem pod pachą. Na pewno wyglądałem jak jakiś świrus, kiedy tak gnałem

118

pod górkę do Balmain, no, niech mnie cholera, ależ musiałem mieć wtedy szkarłatną krew. Po ulicach nie kręcił się już nikt oprócz PIJACZKÓW, którzy wylewali się z pubów jak flaki ze śmiertelnej rany. Nie było ulicy, która nie przypominałaby mi Bil-la Bonesa, tam, w tym parku koło izby przyjęć, zbudowałem kiedyś największy dom z lego w historii świata, kiedy Bill sparzył się w rączkę, chociaż nic złego nie zrobił, i musiał wylądować w szpitalu.

A przed meliną Willy'ego Wallace'a goście popijali sobie na chodniku, powiedziałem: przepraszam, bo ich trąciłem przechodząc, ale i tak zaraz przyspieszyłem, ściskając mocno moje krzesło, moją TARCZĘ PRZECIWKO WROGOM. Doskonale wiedziałem, gdzie jestem - ten zapach gazu i kocich szczyń i oleju z zatoki Mort - więc kiedy pijaczkowie w końcu mnie dopadli, rozpoznałem, że stoję blisko miejsca, gdzie w 1972 roku miał miejsce wielki napad. Wiele razy chodziłem z Billym W TO HISTORYCZNE MIEJSCE, gdzie gangster tańczył między kulami RAT--TA-TA-TA-TA.

Mój brat twierdzi, że ja sam przyciągam kłopoty, ale jak mógłbym się sam zaatakować, i to od tyłu? Z bandziorem na plecach, mogłem tylko uderzać na oślep tarczą. NIE MOGĘ ZNIEŚĆ TEGO, CO ZE MNĄ WYPRAWIAJĄ I NIE ZAMIERZAM CZEKAĆ, AŻ JEZUS TO ZA MNIE ZAŁATWI. Dranie pokuśtykały w dół ulicy, skowycząc jak zbite kundły, szakale, oposy, wombaty, pobici budyniowi złodzieje. Z tego, co słyszałem, nigdy

nie wnieśli skargi i pewnie nie byłoby żadnego problemu, gdyby nie ten nieprzyjemny koleś z promu - nie mam dowodów, ale jak policja na to wpadła, żeby czekać na mnie na przystani? No i ci oficerowie oczywiście chcieli wiedzieć, skąd tyle krwi na mojej koszuli i krześle.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy, i o północy byłem już w domu w łóżku. Marlene Leibovitz sama wyszorowała moje krzesło windeksiem. W wersji Rzeźnika jestem krzyżem, który musi dźwigać, no niech mnie, pewnie muszę być SKRETYNIAŁYM DZIKUSEM, jedną wielką pieprzoną katastrofą.

Rozdział dziewiętnasty

Moja apteczka zawierała niewiele więcej niż podręczny zestaw opatrunkowy, ale nie brakowało whisky do dezynfekcji | krwawiącego podbródka mojego brata. Na wąsatym poboju - | sku porozsiewane były teraz strzępki chusteczek higienicznych, r które uwięzły w gąszczu j ak owcza wełna w kłębie drutu kol-I czastego. Patrząc, jak Marlene delikatnie zbiera i wyrzuca brudne | bawełniane kłębki, miałem w nosie, czy ukradła ten obraz, czy | nie. Mogła nawet obrabować narodowy bank Australii, nic by | mnie to nie obeszło. Oczywiście „kochaliśmy się” już wcześniej, I ale teraz dopiero wyszło na jaw najważniejsze: Hugh nareszcie I przestał być przeszkodą, przeciwnie, wydobył z niej to, co nadal | wydaje mi się godne podziwu, jej namiętne oddanie wszystkim | wyrzutkom, dziwakom, odstawionym na boczny tor. I Nie przyszło mi do głowy, że to nadspodziewanie czułe serce i krwawiło zapewne także dla zranionego 01iviera. Chcecie praw-I. dy? W ogóle o nim nie pomyślałem. Czułem się jak nastolatek, k bez skrupułów i bez wyrzutów sumienia, nawet nie zastanawiali łem się, dokąd poniesie mnie moje naiwne uczucie, nie rozumia-1 łem, że taki nagły poryw namiętności może nie tylko wpłynąć na 1 to, co maluję i gdzie mieszkam, ale nawet, gdzie umrę. I oczywi-I ście nie traciłem cennych sekund na rozważanie konsekwencji g; wpłynięcia w trującą orbitę wpływów Le Comite Leibovitz. By-1 łem zakochany.

I Jean Paul uznał, że w moim romansie z Marlene tak napraw-1 dę chodziło o wystawę w Tokio. Moi tak zwani kumple, tak, kur-I wa, subtelni psychoanalitycy, że od samej rozmowy z nimi chcia-K ło się umrzeć, wszyscy myśleli o tym samym, ale gdyby chociaż

120

przez sekundę mogli widzieć tę przepiękną kobietę, prosto jak z obrazu Rembrandta, nachylającą się czule nad poczerniałymi obrażeniami sponiewieranego Falstaffa, pojęliby wszystko, co się stało potem, albo przynajmniej część.

Wkrótce cała nasza trójka zasnęła na tym samym piętrze. Tuliłem Marlene do piersi, a Hugh, leżący metr od nas, chrapał jak przytkana rura hydrauliczna. Marlene idealnie wpasowała się w moje ramię i leżała tak przez całą noc, cicha, spokojna, ufna i pełna - nawet we śnie - słodkiej czułości, która za nic nie pasowała do jej oficjalnej reputacji. Zachodni wiatr zawodził w gałęziach drzew aż do świtu, przyganiając hordę chmur, które przesłoniły wspaniały, drżący księżyc. Nad ranem powietrze się uspokoiło i zobaczyłem najpierw błękit wody, a potem ultramarynę -jej otwartych szeroko oczu. Brudną szarżynę Sydney, wszystkie trucizny wywiały daleko wiatr.

Nie mieliśmy do dyspozycji prysznicza, ale moja kochanka ochlapała się lodowatą wodą z kranu i była absolutnie wspaniała. Skończyła dwadzieścia osiem lat. Ja też - kiedyś, dawno temu w Sydney.

Na Sussex Street, w lekko zapyziałej piwnicy, mieściła się kafejka, którą musiałem skreślić z listy z uwagi na klaustrofo-biczne reakcje Hugh. A tu proszę, mój poraniony brat radośnie rozparł workowaty tyłek na pokrytym cętkowaną skórą stołku, po czym wygłosił listę żądań.

- Na.. śniki - zabełkotał, bębniąc poranionymi palcami o kontuar. - Dwa na...śniki z czekoladą.

Kiedy Hugh zajął się rozprowadzaniem śniadania po koszuli, ja kupiłem trzy wielkie banie kawy. Marlene natychmiast zabrała się do interesów.

- Daj mi numer tego faceta.

-Jakiego?

- Tego, który ma twój obraz.
- Po co?
- Bo zamierzam mu go odebrać, skarbie.

Prawdziwa Amerykanka.

121

-Niech mnie - szepnął Hugh, gdy Marlene odeszła skorzystać z telefonu właściciela. - Nie puszczaj jej. Trzymaj mocno. Kurde. -1 drań cmoknął mnie w policzek.

Marlene wróciła do stolika, wykrzywiając górną wargę ze złośliwą satysfakcją.

- Lunch - oświadczyła. - Sushi Go-Go na Kellett Street.

W końcu zaczęła sączyć kawę, pokrywając wyżej wzmiankowaną wargę lepką pianką. Ale wtedy dostrzegłem tajemniczy wyraz triumfu w jej zmrużonych oczach i nagle poczułem ukłucie paniki, coś w rodzaju: Kim ty, do cholery, jesteś, Kobieto z Bajki? Gdzie jest twój popieprzony mąż?

- Sza, Rzeźniku! - Położyła mi palec na górnej wardze.
- Nie masz innych zajęć?
- Muszę podjechać po stare katalogi Mitsukoshi do mieszkania-powiedziała. - Spodobajaci się, o ile, oczywiście, zechcesz pójść ze mną. A potem, jeżeli starczy czasu, pójdziemy na policję i pogadamy z tym wykrętnym pieprzonym policjancikiem. Jeszcze dzisiaj odzyskamy twój obraz.
- Naprawdę?
- Oczywiście.

Jej mieszkanie mieściło się w jednym z tych przedwojennych budynków u stóp Elizabeth Bay Road: bez windy, tylko wyślizgane, betonowe schody, u szczytu których spotykała cię nagroda w postaci widoku na zatokę. Każdy malarz z Sydney musi znać tę nieruchomość - wieżę Gotham, Wazelinowe Wzgórza niemieckie karaluchy, inkrustowana kuchnia, ceramika art deco, sztuka ambitna. Tym razem jednak moja wizyta wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle i kiedy Hugh wparował na górę, objając nogi krzesła o zielonąporęcz, ja spodziewałem się, że nareszcie poznam szanownego męża-rogacza, znanego mi ze zdjęcia jako dzieciak w objęciach nagich ramion matki. Frontowe drzwi były wykonane z grubego, szarego metalu i wykazywały wyraźne ślady niedawnego włamania. Wewnątrz ani śladu męża, nawet jednego drobiazgu, który mógłby sugerować obecność syna Jacques'a Leibovitz, nic, co mógłbym zidentyfikować jako jego własność, poza numerem „Wyścigów Samochodowych” z pre-

122

numeraty oraz medojedzonąpołówkąbrzoskwini, porzuconą na pastwę mrówek w zlewie. Marlene Leibovitz pozwoliła sobie usunąć ten ostatni przedmiot z widoku i niebawem spadł z plaśnięciem jak pijany opos, odbijając się od palmy i lądując u stóp drzew kuczukowych.

- To była brzoskwinia - powiedział Hugh.

- Brzoskwinia - powtórzyła Marlene, unosząc brwi, jak gdyby chciała powiedzieć „no proszę, nie miałam pojęcia”. Hugh ruszył do kuchennego okna, a że jego krzesło w każdej chwili mogło coś rozwalić, wdaliśmy się w krótkąprzepychankę, w której wykazał nadspodziewaną energię. Zacząłem podejrzewać, że jest zazdrosny, i usadziłem go bezpiecznie pośrodku pokoju. Wtedy wróciła nasza gospodyni, taszcząc stertę lśniących katalogów, wydobytych z powykrzywianej szafki, która sprawiała wrażenie, jak gdyby przeszła brutalny atak rozszalałego pogrzebacza.

- Dobrze, możemy iść.

- Bardzo tu miło - oznajmił Hugh, składając kontuzjowane ręce na potężnych kolanach. - Bardzo czysto.

Czysto i dziwnie - niemal ani jednego śladu po czymkolwiek, co moglibyście nazwać sztuką. Tylko pojedyncza waza od Clari-ce Cliff, zresztą rozbita i niezbyt starannie posklejana. Poza tym rząd małych, szarych, rzecznych otoczków, ułożonych na najwyższej półce regału.

- Prawie wszystkie nasze rzeczy sąjeszcze w magazynie.

Nasze?

-Przyjechaliśmy w sporym pośpiechu. O1ivier został tu przysłany z misjąocalenia klienta przed lokalnymi kłusownikami.

I gdzież jest teraz, rozpaczliwie chciałem zapytać.

Mój brat obrócił się do Marlene z przejęciem.

-Kto tu mieszka?

-Co?

-Kto tu mieszka?

- Banda wariatów - odparła. - Szybko, musimy się stąd zbierać.

Rozdział dwudziesty

W Marsh życie toczyło się bardzo powoli, chociaż nie przypominało specjalnie PUDEŁKA CZEKOLADEK ten zimny wiatr znad wzgórz Pentland, potem lodowaty deszcz przez całą zimę, cztery razy miałem rany na szyi od gradu, nie wspominając już o mrozie na szybach naszego VAUXHALLA CRE-STY, które wyglądały jak pokruszone diamenty w marznącym świetle dnia. Ten ostatni kawałek to wymyślił Rzeźnik, którego wszyscy zawsze prześladowali za POETYCKIE WYRAŻENIA, bo natychmiast uznali, że przejął je od Niemieckiego Nauczyciela. Pieprzone pokruszone diamenty, powiedział ojciec, jak to miał w zwyczaju, to znaczy miał w zwyczaju wygłaszać sarkastyczne uwagi, kiedy o szóstej zamykano pub. Specjalnie dla Białego Bonesa, w prezencie urodzinowym, Rzeźnik skonstruował od-mrażacz z gumowymi przysawkami, które przystawiało się od wewnątrz do szyby. No i, Boziu droga, ten odmrażacz zaraz wykończył nam akumulator i KONIEC

PIEŚNI, jak to mówią. Pieprzone pokruszone diamenty, powiedział ojciec. Pokruszone diamenty, niech je, kurwa, szlag.

Nie zawsze wszystko grało jak trzeba, przyznaję, ale na swój sposób to był taki spokojny czas, kolejne wydarzenia nie goniły jedno drugiego, tylko szły sobie po kolei, jak mrówki przełazące przez ścieżkę. Na trasie między Darley a Commoidą trafiało się co jakiś czas truchło oposa albo zdychający na miskomatozę królik. f Plujki są klepsydrą dla przyrody. Niech je, kurwa, szlag. Głos ojca ciągle świszczy mi w uchu, od tyłu lat.

Więc chyba o to chodzi: o przerwę na złapanie oddechu, nawet nie to, co straszego się dzieje.

124

Ale Sydney, no niech mnie, to było jak PETARDY w rocznicę spisku Guya Fawkesa trach-trach-trach, raz za razem, bez litości, a każda z eksplozji przyprawiała mnie o elektryczne spięcia w mięśniach i, szczerze, wolałem już te niedzielne popołudnia w Bacchus Marsh, kiedy mama płakała zamknięta w pokoju A GDY NADEJDZIE NOC, NIE WAŻ SIĘ WYCZEKIWAĆ ŚWITU. Czas płynął wtedy bardzo wolno, nie miałem nic do roboty, mogłem najwyżej podkraść lód z chłodni i ukradkiem macać topniejące kostki w kieszeni. A o świcie patrzeć jak mrówki pełznąścieżkąprosto do studzienki, kto wie, co one myślały o słońcu, cieniu, światłach na drodze do Ballarat.

Ale w Sydney, Boziu zmiłuj się, ledwo zaliczyłem porządne mordobicie, wpakowałem się w kłopoty, przeszkadzając Rzeźni-kowi W AKCJI z Marlene Leibovitz, a potem przyszedł PIA-SKUN, który przynosi sny, ale zaraz zrobił się nowy dzień i poszliśmy zatruwać krew KOFEINĄ i poczułem się jak myszo-skoczek w młynku treningowym.

Nikt nic nie powiedział, ale od razu zauważyłem, że w mieszkaniu Marlene było WŁAMANIE, bo czuło się zapach przestępstwa, ale Rzeźnik, jak ostatni KRETYN, zaczął latać w kółko po pokoju, podziwiając jakieś kamyki i stłuczony wazon, chociaż każdy PRZECIĘTNIE INTELIGENTNY człowiek zaraz by się zorientował, że włamywacze potraktowali mieszkanie pogrzebaczem, łomem, młotem i co jeszcze im wpadło w rękę. Nawet frontowe drzwi wyglądały jak OFIARA MORDERSTWA. Bardzo się martwiłem, jak uda nam się teraz ochronić naszą nową przyjaciółkę o cudnych oczach, w których tak często krył się uśmiech.

Chcąc pomóc OSZACOWAĆ STRATY, dobrałem się do szafki z dokumentami. Tu także działali włamywacze, zaatakowali całe drzwiczki i teraz mebel wyglądał jak pozostałość po WYPADKU DROGOWYM, jakaś skrzynka pocztowa zmiażdżona przez śmieciarkę.

Bardzo tu przyjemnie, powiedziałem. To była ZWYKŁA UPRZEJMOŚĆ. Tak mnie wychowano, na przykład jak ojciec

125

cisnął udźcem baranem w ścianę tak mocno, że utkwiał w tej ścianie na sztorc, z kością wymierzoną prosto we mnie, to nikt nawet się nie zająknął. Zajmij się jedzeniem.

Zresztą na ogół nic się w domu nie działo, miałem spokojne i ciche dzieciństwo. Mogłem siedzieć przed artystycznie pobielonym szyldem ojca MIĘSO Z LOKALNEGO UBOJU i przypatrywać się choinkom, ustawianym na werandzie hotelu Court-house. Te choinki nazywały się PINUS RADIATA, bo nie wymyślili jeszcze wtedy bardziej przyjaznej nazwy. Więc te Pinus Radiata więdły w upale jak skazańcy, nie było przyjemnie, ale dało się wytrzymać i nie miałem żadnych tematów do rozmyślań, tylko własny puls w szyi i strzykanie w tyle głowy, chociaż to może bardziej pod wieczór niż rankiem.

Rzeźnik nie okazał cienia zainteresowania STRATAMI, dopóki nie zapakował nas wszystkich do zapiaszczonego wozu. Zapalił silnik i poczułem łaskotki w uszach od wyraźnego, wysokiego pogwizdywania pompy wodnej Holdena. Ruszyliśmy w drogę do kolejnego PORTU PRZEZNACZENIA, Boziu pomóż mi, związanego z FATALNYM NIEPOROZUMIENIEM z policją co najwyraźniej szalenie cieszyło Marlene i Rzeźnika, nie wiedzieć czemu. Migający sygnalizator skrętu cykał rytmicznie ze straszliwą częstotliwością jak serce jaskółki albo ryby -jak oni mogą to znieść? A Rzeźnik nagle pyta tę cudowną kobietę, czy mógłby obejrzeć katalogi i w rezultacie po całym samochodzie ROZLEWA SIĘ nieznośna woń zagranicznego tuszu, smród podobny do GAZU MUSZTARDOWEGO, a jeśli nie do gazu, to w każdym razie do jakichś innych obcych substancji, całkiem niepodobnych do aromatu sztuki, którą ci zagraniczni wydawcy podobno reprezentowali.

I co sądzisz, Hugh? - zapytała Marlene.

Powiedziałem, że obrazki bardzo ładne i, szczerze mówiąc, rzeczywiście, może to nie te chemikalia przyprawiły mnie o taki ból głowy. W mieszkaniu wyczułem zapach dwudziestki dwójki mojego ojca tuż po wystrzale - KORDYT - królik wciąż wije

126

się z bólu na ziemi, dopóki nie skręciłem mu karku. Jak już mówiłem, panował zapach NARUSZENIA PRYWATNOŚCI, ale czy to było legalne, czy nie, tego nie mogłem ustalić. Wiedziałem, że jakieś PSY PASTERSKIE zaganiały nas na równię pochyłą pro-wadzącą do wystawy w Japonii, a potem, jak zobaczyłem Rzeźnika głaszczącego kartki katalogu, on sam wyglądał jak PIES, liżący sobie kutasa na środku autostrady, chociaż w każdej chwili może go przejechać tir.

Jedno MGNIENIE OKA i już wylądowaliśmy w dyżurce komendy głównej policji. Rzeźnik chyba ubrdał sobie, że jest jakimś rozgrywającym w meczu o Wielki Finał w MADDINGLY PARK, bo pognał od razu na skrzydło, łudząc się, że zaraz strzeli gola, ale tymczasem sędzia odgwiżdżał spalonego i musieliśmy najpierw wypełnić formularze przy biurku dyżurnego. Nie mogłem skupić uwagi w tych okolicznościach. Zapach dezynfekującego płynu do podłogi był strasznie silny.

Detektyw Amberstreet już u nas nie pracuje.

Taką wiadomość w końcu otrzymaliśmy i w tej samej chwili uprzejmość Rzeźnika zwarzyła się jak nieświeże mleko w filiżance herbaty, ale jeszcze zanim zdążył wybuchnąć, Marlene wzięła od niego pokwitowanie DZIĘKI BOGU i pokazała je WYGADANEMU SIERŻANTOWI za biurkiem. Powiedziała, że chciała tylko odebrać swoją własność, zatrzymaną do wyjaśnienia sprawy, która została już rozwiązana.

Wygadany sierżant zaofiarował się, że zaprowadzi Marlene do właściwego pokoju.

Dziękuję, trafię.

W windzie zaczęła się rumienić, co przy jej SKANDYNAWSKIEJ APARYCJI wyglądało bardzo atrakcyjnie, ale trochę zagadkowo, zresztą nieważne.

Na górze na trzecim piętrze zobaczyliśmy wielki napis SZTUKA na ścianie, który Rzeźnik już kiedyś opisywał, a w pomieszczeniu siedziała policjantka, także w stopniu sierżanta, z KINO-LEM jak mrówkojad. Na nasz widok podniosła głowę, Jezus

127

Maria Józefie Święty, CO ZA NOZDRZA. Za nią był jeden wielki bałagan, jak u Eddiego Toola albo w

ekspresowych dostawach Jacka Hogana, który czasem przewoził mięso naszego ojca do Ameryki, chociaż to była tylko ZAWIEDZIONA NADZIEJA, jak mówią. W każdym razie stało tam mnóstwo SZTUKI, zapakowanej w skrzynie i pudła, a także pojedyncze dzieła owinięte w papier, folię z pęcherzykami, niekończące się różańce poliestru, niezniszczalne i nierozkładalne aż do Sądu Ostatecznego. Trochę jak w dziale części zamiennych w garażu Waltzera. Stewart Waltzer trzymał tam nie tylko pasy i sprężyny, ale także węże w formalinie, magnesy w kształcie liter i ręcznie robione oprawy do książek. Rzeźnik miał w nosie Stewarta Waltzera i Jacka Hogana. Dla niego Marsh znikło z powierzchni ziemi, więc pokornie złożył kwit na ręce pani sierżant, która wsadziła nos do klatki ze sztuką, po czym pogmerała w zgromadzonych tam rzeczach, przyglądając się ze smutną miną etykietom. Już czułem drobne elektryczne ukłucia w ramionach, kiedy Rzeźnik wkroczył do klatki BEZ ZEZWOLENIA i na ten widok zakręciło mi się w głowie, jak to mówią.

Mózg to dziwne urządzenie, zawsze poszukuje najbardziej życzliwego wyjaśnienia tego, co widzi, więc jak spojrzałem na jakiś czarny, miękki przedmiot w rękach Rzeźnika, to mój mózg najpierw uznał, że to musi być jeden z tych orientalnych dywaników, które wozi ze sobą, przenosi od jednej kobiety do drugiej. Mój brat wyglądał trochę jak wielkie, stare psisko, wlokące za sobą cuchnący koc, ale zaraz on i Marlene zaczęli rozkładać ten dywanik na betonie i usłyszałem okrzyki zgrozy, a potem zobaczyłem, że to jednak dzieło sztuki, zmaltretowane ponad wszelkie wyobrażenie. PANIE BĄDŹ NAM MIŁOŚCIW. Biedny obraz mojego brata. Słowa naszej matki, czarne jak źrenice jej oczu, zostały potraktowane jak jakieś ścinki podkładki, Panie, wybacz im, wyrzucone na zaplecze jak zapchlony dywan, a ta sierżant Nochal jeszcze dogadywała I PO CO TE KRZYKI NIC WAM Z TEGO NIE PRZYJDZIE.

128

Była jak urzędniczka na poczcie, MAŁY HITLEREK w spódnicy, musiała sprawdzić sobie dokładnie numerki z kwitu i z etykiety, brutalnie przyszpilonej do rogu czarnego płótna. Słowa mojej matki, narodzone z nocy nad Main Street. Pani Nochal porównała jeszcze etykietkę z REJESTREM, ale nie miała pojęcia, co czyni. Nie była nawet mrówkojadem, tylko zwykłą mrówką, muchą plujką na ścianie królewskiego pałacu, a mój brat, gładząc płótno, które przyciąłem mu kiedyś tak idealnie, dusił w sobie jednocześnie FURIĘ i CZUŁOŚĆ, tak samo jak wtedy, kiedy kładł dwie monety na oczach naszej BIEDNEJ MAMY, kochana Mama, nigdy by nie pomyślała, jaką ścieżką potoczy się jej życie. Biały Bones był kiedyś PRZYSTOJNYM MĘŻCZYZNĄ, napastnikiem drużyny z Bacchus Marsh XVIII i jak mama mogła zajrzeć w przyszłość, skoro widziała tyle, co koliber na gałęzi. Mój brat rozłożył płótno na dywanie w kolorze NIKOTYNOWEGO BRĄZU, takim samym jak w naszym motelu w Ar-midale, 28 dolców za noc, KOLOROWY TELEWIZOR w pokoju. BÓG o wymiarach trzydzieści na dwadzieścia cali, który przedtem był przyklejony równiutko na środku skóry, został wydarty, razem z wielkim kawałem płótna. Rzeźnik podniósł ten bluźnierczy strzęp z głośnym lamentem i z twarząmiętąjak używana pościel. NA TYM PIEPRZONYM POKWITOWANIU JEST NAPISANE SKONFISKOWANE W CELU PRZEŚWIETLENIA.

NIC TO PANU NIE POMOŻE.

KURWA TWOJA JEBANA MAĆ WIECIE W OGÓLE COŚCIE ZROBILI?

Sierżant oświadczyła, że jeszcze chwila, a Rzeźnik zarobi grzywnę w wysokości sześciuset dolarów za obsceniczny język. W odpowiedzi na tę groźbę mój brat wyrzucił w górę fontannę śliskich dwudziestodolarówek, co wprawiło nas wszystkich w lekkie osłupienie. I potem, no niech go, zafundował nam wykład. Akt o Wulgaryzmach pozwala obywatelowi mówić wszystko, co mu się tylko, kurwa, spodoba, o ile tylko ma racjonalny powód. A on, Rzeźnik, nigdy w życiu nie widział BARDZIEJ RACJONALNEGO POWODU, niż zachowanie ignorantów i barbarzyń-

ców, Hunów? - kto to taki? nie miałem pojęcia - ignorantów i barbarzyńców, którzy potrafili rozedrzeć dzieło sztuki na strzępy. Czyżby to ślady po prześwietleniu? Roześmiał się paskudnie. Chętnie wsadziłby Amberstreeta do paki.

Sierżant na to, że Amberstreet wyjechał za granicę.

Rzeźnik na to, że gówno go to obchodzi. Zamierzał prześwietlić pana detektywa tak gruntownie, aż jego pierdolone plemniki pogubią swoje małe, merdające ogonki.

Gdybym potrafił znaleźć wyjście z budynku, pewnie bym stamtąd uciekł, ale zamiast tego pozbierałem pieniądze, które Rzeźnik chciał zmarnować, i pomogłem Marlene zanieść płótno do windy, podczas gdy Nochal została w klatce z pokwitowaniem w rękę. Mój brat wyszedł z siebie. Wreszcie podszedł do nas, wyrwał nam płótno z rąk, przewiesił je sobie przez ramię i wyszedł, w nastroju, który kompletnie nie pasował do planowanego BIZNESOWEGO LUNCHU z Jeanem Paulem.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Już w wieku czterech lat mój syn bardzo poważnie podchodził do obowiązków w studio. Można mu było dać do ręki pęsetę i błyskawicznie zabierał się do wydfubywania kurzu i włosów z farby, aż na koniec cała powierzchnia wyglądała gładko i czysto jak topniejąca tafla lodu. Dzieci chowane na Kosmicznych Najeźdźcach i innych strzelankach szybko by się znudziły -ani wroga do rozwalenia, ani złotych monet - ale mój Billy miał w żyłach prawdziwą krew Bonesów i potrafił długo pracować u boku Ojca i Wujka, poważny, piegowaty, z wysuniętą dolną wargą i jęzorem sięgającym czubka nosa. Wiele dni przy East Ryde spędziliśmy razem, we trzech, pogrążeni w słodkiej, milczącej monotonii obowiązków domowych, a rutynę naszych zajęć burzyły tylko pieśni kosów w ogrodzie albo natarczywe wrzaski papug z okropnymi czerwonymi plamami na policzkach, jak gdyby od seksualnego zakłopotania. Oczywiście mój asystent miał też własne zajęcia, jak wspinanie się na drzewa, spadanie, wycie, wiszenie na wysokości sześciu metrów nad ziemią z rozdartą nogawką zaczepioną o gałąź, ale Bill kochał Hugh i kochał mnie, więc cała nasza trójka razem spędzała pracowite dni, podjadając tylko tutki z sałaty i białego cukru i nigdy nie chcieliśmy kolacji, dopóki nie zeszliśmy się wszyscy razem, a żołądki skrzypiały nam jak deski w starej łodzi, która płynie do przystani, by spędzić tam bezpieczną noc.

W dniu, kiedy przyjechaliśmy wraz z moim poranionym płótnem na Bathurst Street, Bill był ze mną, a jednocześnie go nie było - jak fantomowy ból w amputowanej kończynie. Ciało z me-

131

go ciała zostało ode mnie odcięte mocąpieprzonego prawnego nakazu i od tego czasu całe Sydney, drogi, rzeki, koleje, dzielnice, skurczyły się wokół tej wyrwy jak opiłki żelaza, zbierające się wokół magnetycznego bieguna. Ale wciąż czułem jego obecność, jego cienia, jego odbicia, tym, kurwa, wyraźniej, że Marlene Leibovitz tworzyła taki sam obraz na radarze moich uczuć, coś bardzo podobnego kształtem do Billa, coś pełnego dobroci i - dzięki Ci, Panie - cudownie spragnionego miłości.

Wkroczyłem na Bathurst Street rozwścieczony do obłędu, niosąc na ramieniu własne zwłoki - Ja, Mówca - zhańbione jak bugatti porzucone w garażu przy West Street i odnalezione potem w kurzu i ptasim gównie, z rozładowanym akumulatorem i martwym silnikiem.

Marlene poszła zadzwonić do Jeana Paula, a Hugh pomógł mi posprzątać na drugim piętrze, chociaż moje wspomnienia z pew-nościąpełne są błędów, tak jak wszystkie zeznania naocznych świadków, te zlepkki bzdur,

tylokrotnie wykorzystywane do wieszania niewinnych ludzi. Kto wie, co naprawdę się stało? Kogo to obchodzi? Bracia Bones byli jak piechota morska w ostatnim dniu wojny, wyrzuciliśmy helikoptery za burzę, przeciągnęliśmy materace na podest i zwaliliśmy je na dół po schodach. Rzeczywiście, zniszczyłem tym samym prywatną sypialnię, ale seks się w tym wszystkim nie liczył. Znaleźliśmy słomianąmiotłę, sztyw-najak dobry pędzel Duluxa, i zamiotłem pośpiesznie podłogę, otwierając przy okazji wszystkie okna, a przez cały ten czas ofiara leżała zwinięta i zgnieciona na podeście, martwa jak zmasakrowane zwłoki.

Hugh potrafi być cichy i nieśmiały, ale na ogół bulgocze coś pod nosem, jak czajnik pełen wrzącej wody - oo-ppauu-ppaa -a kiedy rozwijaliśmy - iii-tiaaaa - płótno na podłodze, zaczął wibrować i turkotać. O, dobry Boże, mój brat zmienił się w samochód, i porykiwał jak vauxhall cresta pędzący sto na godzinę pod górkę. Takie rzeczy trochę działają na nerwy, ale wytrzymujemy, zasuujemy dalej i chociaż ja mam kwaśną minę, a on zachowuje

132

się jak debil, razem tworzymy zgrany zespół, brygadę remontową, szarpiemy, rozciągamy i walczymy ze sztywnym, niesfornym płótnem, a każdy triumf świętujemy małą eksplozją, kiedy przybijamy kolejną zszywkę, przymocowując obraz do pieprzonego, twardego parkietu Arthura Murraya. Hugh rozebrał się do śmierdzących skarpetek i szortów khaki, odsłaniając całą różaną, spoconąprawdę o swoim rubensowskim ciele, błyszczących od potu krągłościach i nawisach. Zmaltretowany Mówca dłuższym bokiem zajął niemal całą długość pokoju, ale na szerokość nie dał się już tak łatwo dopasować i mocowanie dłuższych krawędzi przypominało grę w tenisa na halowym korcie - ta pieprzona linia końcowa zawsze była za blisko, ale co na to poradzić.

- Bill - powiedział Hugh.

Nie było to szczególnie pomocne, chociaż rzeczywiście, bez cienia, kurwa, wątpliwości - zapomnijcie o tym kretynie nasłanym z sądu, z trzema długopisami w kieszeni - Bill naprawdę potrafił obsługiwać zszywacz. A tak, dwóch niebezpiecznych bandytów musiało radzić sobie bez pomocy, dwa kroki naprzód, jeden wstecz, w miarę jak płótno - naprawdę solidnie zmoczone - tu i ówdzie ustępowało o milimetr czy dwa.

Skonstruowałem maszynę parową, biorąc za punkt wyjścia czajnik Birko i przemysłną dyszę. Dokupiłem tanią strzykawkę, napełniłem jąGAC 100 i za jej pomocą podnosiłem pęknięte im-pasto tak precyzyjnie, jak gdybym obsługiwał molekularny lewar. Pierwszego dnia nie ruszyliśmy się z pokoju, dopóki światło zachodu nie zahaczyło o kontury kościoła św. Andrzeja i nie załało naszej pracowni słodową whisky, Laphroaig, Lagavulin, dobry Boże, niech żyjągorzelnie z Islay. Ale pić zacząłem dopiero po ósmej.

Następnego, skacowanego ranka, tuż po przebudzeniu przywitała mnie myśl o wielkim, martwym wielorybie, wyrzuconym na brzeg na piętrze, i ta koszmarna myśl zajęła samo geometryczne centrum mojego mózgu. Jeden prostokąt kolażu nie miał wcale wymiarów 30x20 1/2, ale było za późno na dyskusję. Klu-

133

czowy fragment z szarym, gęsim napisem BÓG został oddarty od podłoża na rogu, żeby ujawnić to samo, co zobaczyli już na zdjęciach rentgenowskich i podczas prześwietleń w podczerwieni, tzn. że niczego tam, do kurwy nędzy, nie było, może jakiś podma-lunek, ale z całą pewnością zaginiony Monsieur et Madame Tourenbois. Bóg jeden wie, ile czasu zajęło im prześwietlenie, ale ostatni sprawdzian w wykonaniu glin trwał jakieś pięć sekund, wystarczająco dużo, żeby naciągnąć i rozdrzeć podobrazie, pozostawiając pięć zerwanych wątków tkaniny. Nie będę was nudził opisem chirurgicznej operacji, koniecznej do usunięcia tych

nici. Konserwator zabytków albo chirurg z pewnością mieliby sporo frajdy, ja nieszczęśliwie. Gdzie w takiej pracy twórczość, ryzyko, odkrycie, nic tylko narastające podejrzenie, że niszczę własne dzieło, wysysam z niego ten święty, czarny blask, który w nie wlałem jako artysta wiedziony ręką Boga, lecący na oślep z głową między nogami aniołów.

Szykowała mi się wielka wystawa. Nie miałem obrazów. Szykował mi się wielki romans. Nie byłem w stanie o tym myśleć. Musiałem się spieszyć. Nie mogłem przyspieszyć pracy. W tamtej chwili opanowały mnie te same siły, które zmieniają artystów w nieznośne, podłe bestie. Kradłem i wysysałem miłość, jak fialowa zieleń wysysa światło słońca. Przyjmowałem każdą, monumentalną nawet dawkę pomocy i życzliwości od Marlene, która pojawiała się i zniknęła, jak seria niespodziewanych podarków. Przychodziła co dzień, jak sześciokrzydły serafin, z zaróżowionymi policzkami, mrużąc oczy w błogosławieństwie, przynosząc mi w darze, na przykład, kawał wosku i żelazko, które miały mi posłużyć do opatrzenia poranionego kolażu, gdyby już udało mi się go wyprostować i wygładzić. Wszystko w tymi podarunku wzruszyło mnie do żywego, ale najbardziej, aż do bólu, wstrząsnęło mną żelazko, zwykłe, z funkcją wyrzutu pary, co najmniej dziesięcioletnie, z białoniebieskiego plastiku, przypominające mi sobotnie poranki, radiowe transmisje z wyścigów i naszą matkę, prasującą coś w zaduchu sypialni. Życie w półmroku piekielnych otchłani, jakie to dalekie od sztuki.

134

Pół życia upłynęło mi na kontaktach z marszandami i pieprzonymi właścicielami galerii, ale nigdy nikomu z nich nie przyszło do głowy, żeby dać mi wosk i żelazko. Jak na uciekinierkę z liceum w Benalli, Marlene okazała się naprawdę niezłe poinformowana. I czasem, w tym pierwszym, szalonym tygodniu, kiedy oddałem własną sypialnię Mówcy, a Hugh chrapał na podłodze, Marlene i ja po prostu oglądaliśmy razem japońskie katalogi. Ona mówiła, a ja głaskałem jasne, rozświetlone włoski na jej opalonych ramionach, przerażony własnym szczęściem.

W końcu zapytałem o męża, ale ona trzymała sprawy dotyczące prywatnego życia w cholernie ścisłej tajemnicy, jak turystka ścisła w garści torebkę w nocnym pociągu, więc dowiedziałem się na temat O1iviera Leibovitzza mniej więcej tyle, ile można wydedukować z kilku błyskawic, które migną gdzieś nad wzgórzami. Przed zaśnięciem wdychałem jej zapach.

Rano najczęściej była radosna i wyluzowana, ale dwa razy na subtelnej płaszczyźnie jej czoła wystąpiła pojedyncza, czerwona żyła i w chwilę później Marlene opuszczała mnie gwałtownie, zostawiając po sobie tylko brudną filizankę po herbacie w zlewie. Szła wtedy na spotkanie z mężem. Omal nie oszalałem, a jednak nigdy nie zapomnę tego tygodnia czułości, kiedy pracowaliśmy razem nad Mówcą, który wymagał leczenia, klepania, czyszczenia i gładzenia. Był jak delikatne dmuchnięcie za uchem kochanki.

Postępy w restaurowaniu płótna spowolniła deszczowa pogoda, która przyniosła zimniej sze i bardziej wilgotne powietrze, w którym farba wolniej wysychała, ale zanim jeszcze powrócił życzliwy północno-wschodni, mój obraz znowu wyglądał jak szanujące się dzieło sztuki. Czwartego wieczora usunąłem wystające strzępki materiału i wypiaskowałem złamane zszywki łączące płótno-matkę i kolaż. Następnego ranka przystemplowałem skraj kolażu do właściwego rogu i stopniowo, za pomocą subtelnych podmuchów pary lub brutalnych szarpnięć, wygładziliśmy cały bok, połączyliśmy wszystkie wątki. Siódmego dnia miałem

135

przed sobą żelazko, wosk i idealnie gładziutkiego Boga, uwolnionego z prokrustowego łoża na parkiecie. Pomalutku, krocze za kroczeniem.

- Słuchaj - powiedziałem do Hugh - chciałem zabrać Marlene na kolację. - Tu wręczyłem mu dwie kanapki z kurczakiem i wielkąbutlę coli. Hugh otaksował wzrokiem daninę, po czym spojrzał na mnie czerwonymi oczkami, przenikliwie jak krokodyl.

Uniosłem brwi.

Hugh zakołysał się leciutko, rozważając mojąpropozycję. Nic nie mówił, ale obserwowałem uważnie nader wymowny mięsień jego opadającej dolnej wargi i zrozumiałem, że gdybym zabalował zbyt długo, to czekały mnie cholerne kłopoty.

Powiedziałem, że będziemy tuż za rogiem, u Chińczyka, co było aluzjądo jedynej restauracji w Marsh.

Hugh bardzo uważnie zbadał wzrokiem własny zegarek, ale nie zaszczyił mnie spojrzeniem. Obaj zachowywaliśmy się jak żałośni kretyni. Ale dziesięć minut później uleciały ze mnie ostatnie iskry milczącej furii i siedziałem u boku olśniewającej kobiety w Bukit Tinggi, nawiasem mówiąc, restauracja ta nie ma absolutnie nic wspólnego z oryginalnąkuchnią chińską.

Była zmęczona i miała zapadnięte oczy.

- Nie pytaj - poprosiła. - Nakarm mnie.

Itak właśnie zrobiłem. Siedzieliśmy obok siebie jak dzieci, aja karmiłemjąwołowinąrendang i straszliwie pikantnąrybąw curry, ocierając jej usta opuszkami kciuka. A Marlene opowiadała o różnych japońskich dziwactwach i chociaż nie poruszyliśmy żadnego innego tematu, wiedzieliśmy, że omijamy sedno sprawy.

- Będziemy mieszkać w Asakusa - powiedziała. - Trochę tam obskurnie, ale mająporządnąknajpę.

- Jestem bankrutem - odparłem. - Nie stać mnie nawet na autobus do Wollongong.

- Oni zapłacą przecież będziesz ich gościem - zaśmiała się Marlene.-Kretyn.

- Ty też?

136

- Kretynka? Nie. Ja jestem w pakiecie, skarbie. - Położyła mi dłoń na ustach, po czym pogłaskała mnie po uchu. - Ja pełnię funkcję ułatwacza transakcji.

-Kto to taki?

- To po japońsku. Znaczy, że się stawia drinki.

Nie miałem serca jej powiedzieć, że dla mnie to wszystko były tylko marzenia. Nigdy nie wyjeżdżałem z Australii, bo po prostu nie miałem takiej możliwości. Nie mógłbym znowu porzucić Hugh. Nie mogłem nawet posiedzieć zbyt długo w Bukit Tinggi, więc o dziewiątej prowadziłem biednąMarlene po koszmarnych schodkach do domu przy Bathurst Street. Zawsze jest jeszcze Hugh.

Złapałem go na gorącym uczynku, z pieprzonym pędzlem w dłoni i idiotycznym, tępym uśmiechem na twarzy.

Cofnął się o krok, kiedy ruszyłem, żeby go dopaść, i dla wzmocnienia efektu - kretyn - wciągnął ten swój rozdęty bandzioch.

-Coś ty zrobił?

Odpowiedź brzmiała: ten palant malował po moim obrazie. Chciałem zabić skurwiela. Wrzasnąłem na niego z całych sił.

- Csii - powiedziała Marlene, aleja byłem głuchy, zaślepiiony wściekłością i żalem nad wszystkim, co straciłem i co miałem jeszcze stracić, moim synem, moim życiem, moją sztuką. Wycofał się, speszony, ale i wystraszony, kiwając głową i machając rękami, jak gdybym był chmurą dymu.

Płacą mi za to, żebym widział więcej i lepiej niż wy albo John Kutas Berger, albo Robert Pojeb Hughes, ale wtedy, patrząc w czerwone, złośliwe oczka mojego brata widziałem tylko wrednego debila i przeoczyłem kompletnie fakt, że malował tylko na tym fragmencie płótna, które następnego dnia miało zostać na wieki zakryte. Na tym dziewiczym prostokącie, podejrzanym niegdyś o ukrywanie obrazu Leibovitza, Hugh napisał szalony i zupełnie nieartystyczny tekst, przywodzący na myśl ścianę w szkolnym kiblu.

WANDAL AMBERSTRIT WYRZONDIŁ TE SZKODY DNIA 30 STYCZNIA 1981. NASTEMPNYM RAZEM URWĘ CI USZY I POTEM ZJEM.

PODPISANO HUGH BONES 25 MARCA 1981

137

Marlene powiedziała później, że warknąłem jak zwierzę. A przynajmniej tak, że mój ważący ponad sto kilo braciszek wycofał się pod ścianę. Ale jednocześnie wciąż się uśmiechał, szczerząc małe ząbki jak de Kooning, i kołysał tułowiem.

- Ołów - powiedział.

-Ty chuju!

- Ołów.

- Ołowiana farba!

Kompletnie nie rozumiałem tego uśmieszku.

- Czemuś to zrobił, idioto?

Puknął się w czoło i wybuchnął śmiechem.

-Wszystkie klepki jak na parkiecie.

- Csii - powtórzyła Marlene, głaszcząc mnie po ramieniu.

- Wystawa - rzekł Hugh.

Wyrwałem mu pędzel z ręki i wyrzuciłem przez otwarte okno.

- Przestań - powiedziała Marlene - Będzie widać tylko na zdjęciu rentgenowskim.

Potrafiła szybko myśleć. To ona pierwsza zrozumiała, że Hugh napisał swój sekretny list ołowianą farbą żeby dało się go potem odczytać podczas prześwietlenia.

Wciąż pamiętam jej oczy rozszerzone ze zdumienia. Już nigdy nie pozwoliła sobie na to, by nie doceniać mojego brata jako odbiorcy sztuki.

W końcu ja sam pojąłem, co się stało, i przytuliłem tego wielkiego, śmierdzącego kretyna, obejmując go za owłosioną szyję, podczas gdy on omal mnie nie zadusił i chichotał mi do ucha.

Któż wie, jakie mroczne tajemnice kryją się w pokrętnym mózgu Powolnego Bonesa?

Rozdział dwudziesty drugi

Przez całe życie byłem Powolnym Bonesem, chyba że akurat ktoś SPOZA RODZINY mógł wyjaśnić moje żarty. Och ty, powiedział w końcu mój brat, kiedy wreszcie DO NIEGO DOTARŁO, o co chodzi w moim obrazie, och ty, sprytny draniu.

Nie mogłem odwzajemnić komplementu.

Następnego ranka naprawa została zakończona, ale nie było mowy o DNIU ODPOCZYNKU, za to zdarzyła się kolejna katastrofa, to znaczy Jean Paul wyjechał do Nowej Zelandii na konferencję i oczywiście zrobił to z premedytacją, specjalnie po to, żeby nabrudzić mojemu bratu, który chciał odzyskać obraz przed wyjazdem do Japonii. Wszyscy wiedzieli, że Rzeźnik bał się wyjeżdżać z Australii i w ogóle bał się wszystkich nowych miejsc. Więc skąd ten nagły pęd do podróżowania? Przecież niemożliwe, żeby nagle stał się NIESPOKOJNYM DUCHEM.

Marlene nie знаła naszego dobroczyńcy, więc słyszała o nim tylko to, co jej powiedział mój brat. Czyli, że Jean Paul nie jest Francuzem, tylko Belgiem, nie nazywa się Jean Paul Milan tylko Henk van Kraligan, no i Rzeźnik z dużoprzyjemnością opowiadał, że WALONIA leży gdzieś w Nowej Zelandii, a HENK VAN WALIKOŃ nosi buty na koturnach. A jednak ten Belg ocalił nas wiele razy od poważnych kłopotów, a kiedy Rzeźnik trafił do więzienia za kradzież własnych obrazów z domu żony, to właśnie Jean Paul zachował się jak DOBRY SAMARYTANIN, chociaż bardzo się bał, że jestem Z TYCH AGRESYWNYCH. Więc kiedy mój brat został ZAPUSZKOWANY, Jean Paul dał mi pokój w swoim domu opieki Edgecliffe I ODCHODZĄC RZEKŁ DO NICH DBAJ O NIEGO I CO TAM JESZCZE

139

NADEJDZIE DZIEŃ KIEDY POWRÓCĘ W CHWALE I BĘDZIESZ NAGRODZONY.

Takich tekstów mój brat nigdy by nie powiesił na ścianie.

W domu opieki zaprzyjaźniłem się z Jacksonem, stróżem. Bardzo ciekawy gość, zapalony GOŁĘBIARZ, pokazał mi nawet te swoje latające zegarki, ale już lepiej być Powolnym Bonesem niż ptakiem.

A czy Rzeźnik powiedział Marlene o całej pomocy, jaką otrzymaliśmy od Jeana Paula? Ani słowa. Podkreślił tylko, że jego patron kupił sobie zegarek od Cartiera za 40 tysięcy dolarów. I to podobno usprawiedliwiało dewastowanie NIERUCHOMOŚCI INWESTYCYJNEJ piłami i młotkami i wbijanie stempli w parkiet, bo Rzeźnikowi nawet przez myśl nie przeszło, że niszczy taki parkiet, jakiego nasi rodzice nigdy nie dotknęli stopami. Dopiero po śmierci odzyskali taki spokój, jaki bił od nich, kiedy tańczyli razem FOXTROTA. Popłakalibyście się, widząc, jak delikatnie mój ojciec otaczał spuchniętą, fioletową łapą kruche plecy mojej matki.

Wraz z końcem deszczów pogoda znów zrobiła się gorąca i sucha, a Rzeźnik, który nie potrafi wytrzymać jednego dnia bez myślenia o sobie, postanowił znów TWORZYĆ. Pomyślałem, że już lepiej, żeby miał jakieś zajęcie, ale wszystko poszło na opak. Mój brat zaczął się awanturować już nie tylko z powodu ZWYKŁYCH MUCH, które przylatywały zwabione smrodem jego brudnych gaci, ale także odgłosów burd, które dochodziły zza okna. Hugh, czy przeszkadzałoby ci, gdybym zamknął okno? Ha ha, niezły żart. Po prostu

zatraskiwał mi okno przed nosem, a jak raz je uchyliłem w nocy, to potem zabił je gwoździami na stałe. Proszę, twoja kanapka z kurczakiem. Och, dziękuję uprzejmie. PHHHHHHH!

Niedługo MIAŁ NA TAPECIE już dwa ogromne obrazy, jeden na górze i jeden na dole, więc nie bardzo miałem gdzie się położyć. Kiedy patrzy się na Rzeźnika przy pracy, można docenić jego lepsze strony, TALENT, który odkrył w nim Niemiecki Nauczyciel. Oczywiście ten cudzoziemiec potem wyłądownął

140

w koszu, porzucony gdzieś w West Footscray, gdzie uczył GRAFIKI REKLAMOWEJ w tamtejszej polibudzie.

W Sydney Rzeźnik wykorzystał pozostałe fundusze na zakup nowych farb i chyba musiał wytropić jakąś wyprzedaż. Te tubki były tak stare, że musiał odkręcać je obcęgami. Zatkąłem nos. Bakterie miały niezłe używanie na tych farbach, niech mnie szlag, już raz to przerabialiśmy. Czerwienie wydzielały woń DOŁU Z SZAMBEM, błękity cuchnęły gnijącymi brzoskwiniami. Nasze kwatery błyskawicznie wypełniły się CIĘŻKIM AROMATEM upału i zgnilizny, spotęgowanym przez chemię SPOCONYCH CIAŁ.

Więc musiałem wyjść, chociaż nie wiedziałem dokąd - jeszcze nie - ale polerując krzesło, przypomniałem sobie to ładne, białe mieszkanie Marlene Leibovitz. Zapach WŁAMANIA na pewno szybko się ulotnił, a nie sądziłem, by ktokolwiek próbował tej sztuki jeszcze raz, nie teraz, gdy na straży stali BRACIA BONES. Oczywiście nie miałem zaproszenia.

No ale mimo wszystko.

No ale mimo wszystko naoglądałem się już dość tych ZAKOCHANYCH GOŁĄBKÓW, a Marlene zachowywała się bardzo DYPLOMATYCZNIE w kwestii brzydkich zapachów na Bathurst Street w czasie niejednej, a trzech wizyt, więc uznałem, że przyszła pora, by opracować trasę do Elizabeth Bay.

Mapy nie sąmojąmocną stroną, w przeciwnym razie już dawno wyjechałbym z Sydney i gdybym nie miał SPECJALNYCH potrzeb, wyłądownałbym gdzieś na drodze do Melbourne, tam gdzie pies PIERDZIAŁ w skrzyni z żarciem, dziesięć mil od Gunda-gai, chociaż oni twierdzą, że w tej SŁYNNIEJ AUSTRALIJSKIEJ PIOSENCE podobno pies SIEDZIAŁ w skrzyni z żarciem, ale nie słuchajcie ich, bo to kompletni kretyni. Nikt nie układa piosenek o siedzeniu. Inaczej już bym o tym wiedział. Rzeźnik pokazał mi nawet jakiś pomnik siedzącego psa, ale to tylko efekt DEZINFORMACJI i dlatego ten posąg psa jest BARDZO PRZECIĘTNY, jeżeli nie wręcz SŁABY, jak zauważył mój brat, przejeżdżając obok.

141

Większość ZWYKŁYCH OBYWATELI posiadających mapę może zwyczajnie pójść sobie prosto do celu. Ja co innego, ja muszę zrobić sporo kótek i zawrotek, żeby się upewnić, że będę potrafił wrócić potem do domu, pierwszy raz cofam się najwyżej od połowy drogi. Zatem trasa, którą ZWYKŁY OBYWATEL pokonałby z mapą w dwadzieścia minut, Powolnemu Bonesowi zajmuje jakieś trzy godziny, ale kiedy już raz się jej nauczę, to nigdy nie zapominam, jest wypalona w moim mózgu na zawsze, jak kiedy wyrzyje się coś w rozgrzanym do czerwoności metalu, a potem schłodzi go w głębokim korycie z wodą. Wyciosane w kamieniu, na amen. Szukałem Elizabeth Bay metodą prób i błędów. Bardzo to czasochłonne i nie będę się wypierał, kosztowało mnie to trochę nerwów i strachu, krew mi pulsowała w uszach i miałem elektryczne iskry w nogach i w rękach, jak musiałem co chwila wracać do punktu wyjścia. Z zewnątrz to pewnie nie wyglądało tak strasznie, ale nie życzę wam doświadczyć czegoś takiego na własnej skórze. ZWYKŁY PRZECHODZIEN pomyślałby pewnie, że spieszę się na pociąg albo do dentysty. Po drodze mogłem potrącić kilka niewinnych ofiar, ale niezbyt wiele. U wylotu William Street spotkałem parę CIĘŻKICH PRZYPADKÓW, już bez śladu tyłka w

spodniach, z czerwoną skórą na łokciach. Wyglądali zupełnie jak NARKOMAN z Bellingen, więc od razu się domyśliłem, że idą na Kings Cross. Powinienem być wrócić się na Bathurst Street, ale ci narkomani okazali się błogosławieństwem, bo szli bardzo szybko i zaprowadzili mnie na posterunek policji przy Kings Cross, a tam już zobaczyłem tabliczkę z napisem Elizabeth Bay Road.

Naprzód, jak mawiał mój tata, naprzód ferajna. Zapisałem sobie, gdzie jestem, i ruszyłem dalej. Nie mów, że na darmo trzodzi się ludzki ród.

Na końcu Elizabeth Bay Road, za sklepem należącym do WYBUCHOWEGO GREKA i przede wszystkim obok SUPER-WAŻNEGO sklepu z winem, znajduje się wielki, trawiasty park, obsadzony DRZEWAMI POCHODZĄCYMI Z KRAJÓW NASZYCH BYŁYCH WROGÓW i ledwo rozstawiłem tam

142

swoje krzesło, zaraz poczułem się jak w domu, miałem trzy minuty drogi do Marlene, dobrze wiedziałem, jak wrócić na Bathurst Street, no i nic mi nie strzelało w ramionach.

Bardzo miło mi się tam siedziało, bo dookoła prawie nie było ruchu, oprócz taksówek i wielkich figowców z zatoki Morton, w których czasem plątały się LATAJĄCE LISY; takie same lisy podróżowały na zachód przez rzekę Bellingen, godzina za godziną, przez cały wieczór i aż po środek nocy, szwadrony za szwadronami maszerowały na zachód, jak żołnierze na wojnę o nieznanym ludziom regułach. Ale akurat tego ranka lisy się nie pojawiły. Zdjąłem koszulę, żeby poczuć słońce na ciele. Wokół spokój, nic denerwującego, może poza automatyczną bramą jakiegoś bogacza, która co chwila otwierała się i zamykała BEZ STOSOWNEJ PRZYCZYNY, jak to mówią. WSZYSCY JESTEŚMY POD OBSERWACJĄ- twierdzi mój szalony brat, bo on sam nie mógłby żyć, gdyby nikt na niego nie patrzył, nie otaczał podziwem jego tysej pały. Przymknąłem oczy, ale zaraz usłyszałem znany odgłos POMPY HYDRAULICZNEJ, zwiastujący przybycie policjantów, którzy chcieli mnie poinformować, że nie wolno mi siedzieć w tym parku. Byłem pewny, że nie mają prawa mnie stamtąd ruszyć, ale oni źle zinterpretowali sobie moją bieliznę, a ja ciągle pamiętałem, jak Rzeźnik ZOSTAŁ ARESZTOWANY i zamknięty w celi. Natychmiast wciągnąłem z powrotem koszulę i złożyłem krzesło, a zanim zdążyłem to zrobić, zjawiła się żółta taksówka z Marlene Leibovitz w środku.

Hugh, wykrzyknęła, och, mój Boże, Hugh. I policjanci NIC nie mogli nam zrobić, BŁAAA. Marlene zaprowadziła mnie po schodach na górę i postanowiłem już nie opuszczać więcej jej mieszkania, bo było bardzo spokojne i czyste, a jak otworzyłem okno, to słyszałem skrzypienie płynących jachtów i trzepot żagli na zatoce Rushcutters i widziałem poblask wody tańczący na białym suficie jak falujący basen powietrza. Biedna mama, nawet sobie nie wyobrażała czegoś podobnego, marząc o Wszechmocnym Bogu, nawet nie pomyślała, że gdzieś na świecie istnieje tyle jachtów i tyle czasu, by na nich żeglować i, wiem to na

143

pewno, nigdy nie słyszała tego dźwięku, połączenia wiatru, światła, stalowych konstrukcji i nieskończonego popołudnia.

Chciałbyś tu zamieszkać, Hugh?

Powiedziałem, że tak.

Marlene na to, że pójdzie jeszcze po mojego brata. Wolałbym, żeby kochała tylko mnie, tylko moją twarz gładziła suchą, jasną dłonią dziesięć mil od Gundagai.

Zapytałem, czy mieszkała już kiedyś z wariatami. Odpowiedziała, że tylko z jednym, ale on już sobie poszedł.

Potem wyrzuciła coś przez okno, usłyszałem, jak obija się o gałęzie drzew, ale miałem przy sobie swoje krzesło, szumiał wiatr, a światło falowało mi nad głową jak dwudziestoamperowa sieć. Po raz pierwszy, odkąd palec małego Billa złamał nam życie, naprawdę czułem, że lubię Sydney, niech mi Bóg wybaczy.

Rozdział dwudziesty trzeci

Oli i Levi Leibovitz egzystował poza ramami naszego obrazu, zepchnięty za krawędź życia, a jednak wciąż wywierał na nas wpływ, unosił żonie brwi, jak za dotknięciem pilota, marszczył moje własne czoło, na przykład wtedy, gdy otwierając szafę Marlene - czyli podobno moją szafę - znalazłem jego garnitury i koszule, każda w innym odcieniu bieli, jak pył wróżki. Chętnie wyrzuciłbym je przez okno, ale zdecydowałem się na bardziej rozważny tryb.

W klitkowej sypialni mieścił się wyłącznie jeden, niezbędny mebel. Trzydziestoletnie okna w stalowych ramach wychodziły na ogród na szóstym piętrze, zbudowany z białych kamieni rzecznych i bambusów. Sypialnia była wprawdzie mała, ale jedną ścianę wypełniało niebo i chociaż w dzień kamienie oślepiały blaskiem, w nocy odbijały poświatę księżyca, a my leżeliśmy przytuleni do siebie twarzami, jak w perłowej muszli, spowici pomarszczonymi, Ingresowskimi cieniami, skąpani w bielach zmąconych kroplami perłowego rózu i zieleni.

Hugh nie spał na dachu. Toteż o-mało-co-sławny aktor mieszkający niżej nie musiał się skarżyć na chrzęst kamyków nad głową a my dzięki temu nie baliśmy się ani niespodziewanego wtargnięcia Hugh do naszej sypialni, ani telefonów od rozwścieczonych sąsiadów. Przez całe cudowne trzy tygodnie mogliśmy otwierać wszystkie okiennice i leżeć w świetle księżyca i mogliśmy nareszcie kochać się bez pośpiechu. Jej oczy. Miały barwę zwaną dziecięcy błękit i tak wyglądały, jak oczy dziecka, zanim do akcji wkracza melanina. Te oczy sprawiały mi jeszcze większą ra-

145

dość, niż ta młoda, nieskazitelna skóra, przez którą widać było całą duszę jak przez przeźroczysty całun bez jednej plamki czy rozdarcia. Upał nie ustępował, więc kładliśmy się na prześcieradłach, słuchając przez sen skrzypienia jachtów. Oprócz nas nie było w pokoju nikogo ani niczego, żadnej przeszłości, żadnych szaf z trupami, nic, co należałoby do kogokolwiek innego, nie licząc odcisków palców na szklach oprawionych w pompejański kit i zardzewiałe okienne ramy.

Aż w końcu ktoś nam przeszkodził.

Obudziłem się nagle niedzielnej nocy i zobaczyłem zjawę, stała i patrzyła na mnie z wysokości. Nie byłem pijany, ale wyrwany z głębokiego snu, a tu, Jezu Chryste, u stóp łóżka jakiś upiór w perłowej, powłóczystej sukni. Upiór powoli zmienił się w mężczyznę, wysokiego przystojniaka prosto z filmów,

0 podpuchniętych powiekach i tak jaskrawosinych wargach, że w rzeczywistości musiały być karmazynowe. Powłóczysta suknia okazała się garniturem albo koszulą zapakowaną w folię z pralni chemicznej. Folia wychwyciła blask księżyca

1 uwieźliła go w sobie, jak bardzo groźne tropikalne stworzenie z akwarium.

-Olivier?

Któż inny mógłby mieć klucz? Upiór nagle kichnął, co zabrzmiało jak rozdarcie kurtyny, po czym nastąpił nagły błysk światła, który został błyskawicznie stłumiony, i w sekundę później usłyszałem trzaśnięcie frontowych drzwi i dziwnie nieśpieszne stąpanie skórzanych butów na schodach.

Dziesięć lat wcześniej urządziłbym wielką scenę i nawet teraz w pierwszym odruchu chciałem obudzić żonę O1iviera, ale na starość zmądrzałem. Szklaneczka boskiej Lagavulin znakomicie ukołała moje nerwy i złagodziła wzburzenie. Obudziłem się z obrazem O1iviera przed oczami, ale chwilę później Hugh spalił < Sobie skarpetki, usiłując je wysuszyć na tosterze, i zrozumiałem, że nasza kuchnia o poranku nie stwarzała właściwej scenerii do rozmowy na temat męża Marlene. Chwyciłem termos i kanap-

146

kę, po czym zapowiedziałem, że wieczorem, po powrocie, zmieniam zamki.

Marlene czyściła właśnie poszkodowany toster, ale przerwała w pół ruchu, po czym zmierzyła mnie spojrzeniem idealnie przejrzystych oczu i potarła nos nadgarstkiem.

- Okej - powiedziała, kiwając głową.

Oboje pomyśleliśmy, że wiemy, co to drugie ma na myśli.

I rzeczywiście, tej nocy w łóżku położyła mi śliczną, małągło-wę na ramieniu i gładząc mnie po włosach, opowiedziała, jak poznała O1iviera Leibovitzą w Nowym Jorku. Historia z zamkiem uruchomiła lawinę, to było dla mnie jasne.

Poznała Leibovitzą na Trzeciej Alei, ledwie cztery lata po ucieczce z Benalli. Miała więc dopiero dwadzieścia jeden lat i nigdy nie próbowała francuskiego szampana, a już z pewnością nawet sobie nie wyobrażała, kim właściwie jest Leibovitz czy kim są jego ojciec, Miro, Picasso, Braque, a nawet Gertruda Stein, która ponoć powiedziała kiedyś, mając na myśli małego O1iviera: „Nie lubię dzieci, ale on mi się podoba”.

Wszystkie dane, dostępne pracownikom agencji reklamowej McCain - od rozmiarów gabinetu Leibovitzą po jego miejsce na liście dystrybucyjnej raportów z konferencji - wskazywały, że OHvier nie cieszy się jakimś szczególnym znaczeniem. Był odpowiedzialny za peryferyjną grupkę reklamodawców z branży ubraniowej i miał tylko jednego naprawdę ogólnokrajowego klienta, rodzinny biznes z bazą w Austin w Teksasie, którego szefowie, panowie Tom, Gain i Royce, żywili bałwochwalczą cześć dla dziadka, sprzedawcy różowej masy dentystycznej do klejenia sztucznych szczęk oraz mroczną fascynację O1ivierem, tym zagranicznym Żydem. Ale, jak już mówiłem, Marlene była dwudziestolatką z Benalli. Wiedziała tylko, że O1ivier jest uroczy i że trzyma konia w stajniach Claremont na Zachodniej 87 Ulicy po to, by co rano udawać się na nim na przejażdżkę po Central Parku. I stąd ta cudowna woń, skryta pod talkiem, zapach konia, który Marlene kojarzył się z arystokracją, czyli z Carym Grantem.

147

Wrażenie potęgował nie tylko fizyczny czar Oliviera, ale także jego duchowe odcięcie się od desperackich ambicji, charakterystycznych dla agencji McCaina zarówno wtedy, jak i dziś, choć dziś agencja nazywa się już McCain, Dorfman i Lilly. Marlene zachowywała się jak rasowa Australijka, więc zasada O1iviera, by nigdy nie wysilać się bardziej, niż to absolutnie niezbędne, nie kojarzyła się jej z lenistwem, przeciwnie, sprawiała wrażenie jakiejś niezwykle wyrafinowanej odmiany arogancji.

Sama Marlene była nikim, zupełnie nikim, asystentką asystentki, maszynistkąsadowionąprzedjaskrawoczerwoną maszyną do pisania IBM, a jej cały świat kręcił się wokół stert kartek z nagłówkiem RAPORT Z KONFERENCJI. Nosiła bluzki od Billa Blassa i buty Pacco Rabane na obcasach dla dziwek, ale mieszkała w gorącej, dusznej norze w paskudnej okolicy na Zachodniej 15 Ulicy numer 351, łazienka w kuchni, tylko cztery domy od Dziewiątej Alei i często zostawała po pracy, bo w biurze było chłodniej i nikt nie szczał pod ścianami. No i jak moglibyście przewidzieć, O1ivier Leibovitz również

często pracował wieczorami, a pewnego dnia, gdy wybrała się, by ukraść trochę cienkopisów z działu do spraw sztuki agencji McCain, niespodziewanie zastała go przy Leniwej Lucy, jednej z tych wielgachnych kopiarek, obsługiwanych przy pomocy kółek i dźwigni, które obrabiały obrazki jeszcze przed nastaniem ery komputerów.

Dopiero później przyszło jej do głowy, że Olivier, jako księgowy, podobnie jak ona nie miał zupełnie nic do roboty w dziale sztuki. Wtedy jednak odebrała jego zakłopotanie jako zdziwienie.

- Nie wiedziałaś, że jestem artystą? - uniósł brwi i uśmiechnął się do Marlene. Miał naprawdę czarujący akcent, nie francuski, ale też i nie amerykański.

Podeszła bliżej, ale tylko po to, żeby ukryć za plecami pudełko z sześćdziesięcioma cienkopisami. Podejrzewam, że także się uśmiechnęła.

-Nie wierzysz? Pokażę ci.

Odsunął się, by mogła wejść na niską platformę, po czym razem wsadzili głowy za zasłonkę, jak para zakochanych, wygł-

148

piająca się przed aparatem do zdjęć na jakiejś stacji metra. I co ona spodziewała się zobaczyć?

- Sztuczne szczęki - powiedziała mi Marlene.

Tymczasem przed nią widniała płachta podświetlonej kalki

i po chwili - wdychając upajającą woń talku i mężczyzny, z pewnością sam Cary Grant pachniałby tak samo - ujrzała, jak na papierze pojawia się coś zupełnie nieoczekiwanego. W rzeczywistości była to odbitka Chaplin mecaniąue, z kolekcji Muzeum Leibovitzza z Pragi. Ale tego dowiedziała się później. Teraz Olivier, zgrabnie niczym trener tenisa, nachylił się, żeby poprawić odbitkę i podkreślić odrobinę atmosferę. W lipcu 1974 roku młoda Marlene Cook nigdy w życiu nie widziała jeszcze czegokolwiek podobnego do tych chybliwych uszek, lśniących, perłowych piramid, uroczego, ale i upiornego dziecka z wąsami, uśmiechającego się z okna. Anioł to, czy diabeł, kto wie?

- Właśnie je przycinam - powiedział. - To nic takiego.

- Sztuka współczesna?

Zerknął na nią dziwną uwagą.

Marlene uniosła brwi. Czuła, że wychodzi na idiotkę, ale czuła też podniecenie i upartą ciekawość. Bo tego obrazu za cholerę nie dało się określić jako „nic takiego”. Później odkryła, że ma naturalny gust, ale już wtedy była pewna, że trafiła na naprawdę wielką sprawę. Oczywiście nie wiedziała, co powiedzieć, a zmieszanie i onieśmienie własną ignorancją zlały się z jego zapachem i delikatnym dotykiem ramienia, kręcącego kołem maszyny.

- To prawda, że masz konia?

Odwrócił się do niej, a blade kolory Chaplin mecaniąue odbijały się w jego oczach i na policzkach.

- Prawda.

- Ach tak.

-Jeździsz?

- Troszeczkę.

149

Gdy już wynurzyli się zza czarnej, aksamitnej kurtyny, poddał jąwnikliwej i szczerzej ocenie. Australijki naprawdę do niczego się nie nadają, pomyślała. Gówno wiemy i jesteście brzydkie jak cholera. Tymczasem O1ivier był idealnie zbudowany pod każdym względem, a to, co odbiegało od doskonałości, jak ciężkie powieki i odrobinę obrzmiałe usta, nadawały jego twarzy tę nie-zwykłągodność i oryginalność. Dzięki nim O1ivier wyglądał zawsze zarazem zaskakująco i znajomo, jak ktoś, kogo chce się oglądać wciąż od nowa.

- Jadłaś coś?

-Nie, raczej nie.

-Moglibyśmy skoczyć do Sardiego? Lubisz?

-Do TEGO Sardiego?

- Do TEGO Sardiego - odparł, po czym z rozbawieniem wrócił do swojej maszyny.

Marlene nonszalancko odsunęła cienkopisy, jak gdyby zwyczajnie robiła sobie miejsce, żeby przysiąść na szafce. Po kilku minutach O1ivier wyłączył kopiarke, wyjął niewielką dość podrapaną folię, po czym, trzymając jąpod światło, pokazał Marlene, jak zlokalizował mikroskopijne serce obrazu. Mógł teraz owinąć sobie jego część - uśmiechniętego chłopczyka-psychopatę - wokół kubka z kawą.

- I co teraz? - zapytała. To ten delikatny zapach konia, roztaczający się wokół O1iviera, sprawiał takie znajome wrażenie.

- Zabiorę go do mojego znajomego Rosjanina z 31 Ulicy, a on zrobi mi sto dwadzieścia tysięcy kopii po dwadzieścia trzy centy.

- Czemu?

Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, zaciskając wargi z niespo-dziewanąnieśmiałością.

-Powiedzmy, że nie dla mojej żony.

- Ach - odparła. - Myślałam, że jesteś rozwiedziony.

Przyłożył długi palec do ust.

I -Dokładnie. Stąd biorę pieniądze na konia. Ale to tajemnica.

150

Dopiero całe lata później dotarło do niej, że O1ivier zawsze jada w barze Jedna Pięta i nikogo poważnie nie zaprasza do Sar-diego. Zaproszenie dla Marlene, nawet jeżeli nie wynikało z wyrachowania, z pewnością zostało bardzo dobrze przemyślane. Wywarł na niej kolosalne wrażenie i gdyby nie wstydziła się tak strasznie swojej sfatygowanej łazienki w kuchni, z pewnością pozwoliłaby, żeby odprowadził jądo domu jeszcze tamtego wieczoru. Nie chciała się spieszyć, ale nie mogła oderwać od niego oczu, od tej pochylonej sylwetki,

podpuchniętych oczu, miny, która mówiła, że życie jest gorzkie, i skomplikowanego poczucia humoru.

Niedługo później wyjechał na wakacje do Maroka i w trakcie jego niespodziewanej nieobecności Marlene znalazła dość czasu, by dowiedzieć się, że Olivier jest synem Jacques'a Leibovitz'a i jeszcze paru innych drobiazgów. Agencja reklamowa McCain mieściła się na rogu Trzeciej Alei i 53 Ulicy, a Biblioteka Publiczna Miasta Nowy Jork na rogu Piątej i Czterdziestej Drugiej, w odległości nietrudnej do pokonania nawet w tamte upalne, śmierdzące, sierpniowe dni. Marlene nie była studentką w Benalli każdy zaraz by to powiedział. Była matką, a już na pewno rozrabiaką ale tego młody, gejowaty bibliotekarz z łupieżem we włosach z pewnością nie zauważył, bo niefrasobliwie wręczył jej pewnego dnia monografię Milтона Hessego, Krąg Picassa Gilberta Steina i Philipa Tompkinsona, a nawet podsunął powieści Simenona.

Tuż przed Świętem Dziękczynienia umówili się na dwie czy trzy randki, jeśli akurat sobie o nim przypominała, za każdym razem motywacja przychodziła jako nagły impuls, nigdy nie planowali z wyprzedzeniem, przez co ich wspólne wyjścia często łączyły się z długimi wędrówkami od jednej restauracji, gdzie nie mieli zarezerwowanego stolika, do drugiej, gdzie akurat zamykali kuchnię. Stukot jej chybliwych obcasów o chodniki burmistrza Abe Beane'a wprowadzał element zagrożenia, irytacji lub jednego i drugiego w ich wspólne wieczory. W końcu pozwalała, by zostawiał ją przed wejściem do jej realnego mieszkania i dwukrotnie musieli żegnać się czule na tylnym siedzeniu taksówki,

151

podczas gdy bujne życie Zachodniej 15 Ulicy toczyło się w najlepsze w samochodach i korytarzach wszędzie wokół. Marlene nie miała pojęcia, że mieszkała w towarzystwie duchów malarzy, że Marsden Hartley wynajmował pokój pod tym samym adresem, że Ernest Roth mieszkał w klitce za numerem 232 na Zachodniej Czternastej - tym sławnym, artystycznym zaułku. Osobiście ani mi się śniło słuchać o tych bzdetach, o Marsdenie, Rotcie, a zwłaszcza o synalku Jacques'a Leibovitz'a szorującym jej językiem w gardle i macającym tyłek. Uśmiechałem się i przytakiwałem. Niech go szlag. Jeszcze dziś robi mi się niedobrze na samą myśl. Rozdział dwudziesty drugi

eźnik kupił plastikowy brodzik, po czym skonstruował metalową ramę i przybił ją do podłogi, a potem mogliśmy przeciągnąć płótno przez zagłębienie, jak odporne cielę. Bracia Bones, po jednym z każdego końca, chwycili płótno za rogi i przeciągnęli je pod INSTALACJĄ, po czym rozpostarli na podłodze, żeby Rzeźnik mógł nad nim popracować jak hydraulik. Gadał teraz w kółko o Japonii, nawet z gęby cuchnęło mu surową rybą, i powtarzał tylko w kółko DOMO ARIGATO i PING CING PONG, chociaż zawsze miał kompletnie DREWNIANE UCHO do języków i nie zdał nawet francuskiego dla początkujących, nie wspominając o tym, że NIE BYŁ W STANIE opanować języka Niemieckiego Nauczyciela, poza słowem BAŁ-HAŁS, które oznaczało miejsce, gdzie ten Niemiec studiował, zanim musiał uciekać do Bacchus Marsh z podkulonym ogonem.

Czy mój brat ośmieliłby się wyjechać z Australii? Nie sądzę.

Ja sam nie umiałem nawet pół słowa po japońsku, ale nikt nie proponował, żebym zaczął się uczyć. To mogło o czymś świadczyć, ale mogło i nie. Na razie łąziłem wszędzie za Marlene i Rzeźnikiem. Gdziekolwiek obrócili kroki JAK POWIADA PISMO, tam i ja podążałem za nimi, nasłuchując każdego słowa. Raz byliśmy na sushi w go-go na Kellett Street i zjawił się Jean Paul, rzekomo po to, żeby negocjować warunki wypożyczenia obrazu Rzeźnika na wystawę w Tokio. Mój brat kupił szampana KRUG, ale Jean Paul nie chwycił przynęty WARTEJ DWIE STÓWY,

153

więc Rzeźnik zamówił SASHIMIDELUXE za 15 dolców i szybko się dogadali, że Jean Paul wypożyczy obraz na

wyjazd do Tokio i że wydrukują katalog tej samej jakości, co przy ostatniej wystawie Barnetta Newmana, i że Jean Paul będzie mógł przejrzeć materiały przed wydrukowaniem, oczywiście wyłącznie w celach KONSULTACJI, bez prawa do INGERENCJI, a obraz PIERDU PIERDU miał zostać oficjalnie przypisany do Zbiorów Jeana Paula Milana i opatrzony jego adresem i telefonem, specjalnie na użytek japońskich napaleńców. I ani razu Rzeźnik nie powiedział, że naprawdę wyjedzie z kraju.

Jean Paul zaczął ZGADYWAĆ, ile może kosztować taki pokaz i ile Rzeźnik zgarnie za obrazy. Było jasne, że usiłuje utargować dla siebie jakiś KAWAŁEK TORTU, wspominał nawet o pokryciu kosztów obu biletów lotniczych. Nie powiedział, dla kogo te bilety miałyby być. Milczałem jak lśniący gład. Mój brat nagle spojrzął na mnie i zapytał głośno, czy lubię surową rybę, bo to jedzą ludzie w Tokio.

Więc spytałem, czy ja też jadę do Japonii.

Zamiast odpowiedzi zmusił mnie do przełknięcia OSTRYG, oślizgłych i obrzydliwych jak rzygi rekina. Omal się nie zadławiłem. Zerknąłem na Marlene, która zrobiła się PURPUROWA, i nagle zrozumiałem, że zostanę porzucony w Sydney, a oni nareszcie będą mogli się PIEPRZYĆ JAK KRÓLIKI.

W Marsh mieszkał kiedyś taki jeden Muldoon i taki drugi Anglik, Barry, który nosił perukę i o tej peruce wciąż gadali ludzie w hotelu Royal. Muldoon był mistrzem skakanki w całym stanie Wiktorii, do czasu tego wypadku na motocyklu, po którym wszedł w ZWIĄZEK z Barrym. Nikt nigdy nie wiedział dokładnie, gdzie oni śpią, ale niebawem otworzyli dwa sklepy, jeden przy Geelong Road, a drugi tuż obok hotelu Royal i co rano spotykali się na pogawędkę przy poczcie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to tylko taki PIC NA WODĘ i goście mówili im, ej, możecie sobie gadać przez telefon. Ale tylko tak żartowali, bo Barry i Muldoon byli HOMO. A potem Barry otworzył trzeci sklep w Geelong

154

i Muldoon powiesił się na werandzie przed pocztą, tam gdzie zawsze się spotykali.

Chodzi mi o to, że ludzie często DAJĄ SIĘ PONIEŚĆ fantazjom i planom, więc zapytałem, gdzie będę siedział w samolocie. I wtedy rozmowa ożywiła się tak nagle, jak gdyby ktoś japołał benzyną podпалиł, Jean Paul zaczął opowiadać coś KOMPLETNIK BEZ ZWIĄZKU o szopie do strzyżenia owiec, a potem

0 Armidale, a jeszcze potem o rzece Styks i o brązowych węzłach, które okropnie się ostatnio rozplenily, przy czym nasz CHO J-RAK zaraz dodał, że jak się jest ukąszonym przez takiego węzła, to nie ma co męczyć konia i gnać do lekarza. Starczy od razu spisać testament, ha ha ha.

Ha ha ha, pieprz się, skurwysynu.

Nie mogłem uwierzyć, że te bezduszne dranie zamierzały mnie porzucić i zostawić, tak żebym dłużej nie ZASZCZYCAŁ ich towarzystwa, więc zabrałem krzesło i usiadłem sobie na Kellett Street i długo przyglądałem się klientom wchodzącym do burdelu po przeciwnej stronie ulicy. Moi tak zwani przyjaciele NIE POŚWIĘCILI WIĘCEJ UWAGI mojej osobie, ale trochę się odprężyli i w chwilę później podchwyciłem, że kombinującoś jak BUDYNIOWI ZŁODZIEJE i ostrzą noże na osetce.

Japońskie FYI zabiło wielu naszych chłopców. Buddy Guilline

1 Moth White byli torturowani. Mothowi ucięli głowę w Penang. Dlaczego miałbym się włączyć po zaszraną Japonii, zamiast siedzieć w domu i robić kiełbasy, bo na to zawsze mi pozwalali, dopóki ojciec nie kupił hydraulicznej maszyny do napychania. No i przydawałem się jeszcze do brudnej roboty, jak gotowanie flaków. A teraz walnij kijem w ten martwy, biały brzuch, grzeczny Hugh, ŚWIETNIE SOBIE RADZISZ, ale nikt

nie dałby mi noża do ręki. To mój brat dostał tasak. I w zamian sprzedał pamięć o naszych chłopcach dla zakichanej księżniczki Japonii. BŁAAAAA, Boże wybacz mu. Dobrze, że jego ojciec już tego nie widzi.

Mój brat spędzał teraz z Marlene całe noce, słyszałem, jak trzęsą materacem, a potem zaczynają rozmawiać i gadają ga-

155

dają; a ja oczywiście nie miałem ŻALU, ani trochę. Na tarasie było bardzo przyjemnie i kładłem się spokojnie, jak stary wół z wystawionym tyłkiem, GŁOWA DO ZIEMI I DUPA NA WIATR, jak mawiał nasz ojciec. Czasem spisywałem niektóre wypowiedzi, które zdarzało mi się usłyszeć, lub pojedyncze słowa, które uwierały jak kamyk w bucie albo nóż przyciśnięty do żeber. Kamienie i kije, żyły, tętnice, świńskie łby wirowały mi przed oczami.

Rozdział dwudziesty iąty

Ko, kto pochodzi z Benalli, nigdy, nawet w najśmielszych snach nie potrafi sobie wyobrazić, że mógłby porozmawiać z kimś, kto naprawdę, serio, napisał książkę. Więc kiedy Marlene przeczytała w nowojorskiej Bibliotece Publicznej monografię Milтона Hessego na temat Leibovitz, długo nie była w stanie sobie uświadomić, że autor mieszka kilka domów dalej. Dopiero nowy przyjaciel, bibliotekarz i gej, pokazał jej ogłoszenie w „Village Voice” - LEKCJE RYSUNKU. PROWADZI AMERYKAŃSKI MISTRZ MILTON HESSE. I adres przy Allen Street.

-To on?

-On.

Stacja kolejki mieści się dosłownie parę minut drogi od czytelnicy. Delancey Street jest siedem przystanków na południe. Marlene znalazła kwaterę Milтона Hessego w ruderze na skraju dzielnicy slumsów, dwadzieścia brudnych okien ponad fabryką koszul. Hesse stawał się wtedy ucieleśnieniem naszych najgorszych lęków - zgorzkniałym starym malarzem, zapomnianym przyjacielem sław, z pracownią pełną siedmiometrowych kolosów, których nikt nie chce kupić.

Milt powoli dobiegał sześćdziesiątki, wyglądał jak mały, czarny byczek o ciemnych oczach i pomarszczonym, niskim czole.

- Masz portfolio? - zapytał gościa, trzymając w ręku ociekające sitko pełne soczewicy.

- Jestem z Australii - odparła.

Odstawił sitko na stół, wyciągnął z kąta zdezelowane sztalugi, po czym wręczył Marlene ołówek i ustawił jej kilka kostek i kul

157

na parapecie. Ciekawe, co też sobie myślał. Nawet w tym wieku, nawet będąc w przegranej sytuacji, Milt wciąż był gotów uczynić niemal wszystko dla dobra swojego fiuta.

- No cudownie, to się nadaje wyłącznie do kosza. - Roześmiał się ze zdumienia.

-Wierno tym.

- Ach, wiesz-uniósł krzaczaste brwi i zmrużył oczy.

-Przykro mi.

- Jak nie masz talentu, to nic ci nie poradzę, laleczko.

- Muszę się dowiedzieć czegoś o Jacques'u Leibovitzu. To sprawa osobista - odparła.

To dało mu do myślenia.

- Ach tak! - powiedział.

Zarumieniła się po uszy.

- Chcesz powiedzieć, że chodzi o tego nic niewartego synal-ka? - Jej policzki przybrały barwę cegły, a on był naprawdę zachwycony. - Tego playboya?

- Zapłacę - oświadczyła, wciąż z płonącymi policzkami. Musiała naprawdę wyglądać cholernie uroczo, bo inaczej wykopałby jąstamtąd na zбитy pysk.

- Do jakiego koledżu chodzisz?

- Jestem sekretarką.

-No, no, niezły numer!

-Nie rozumiem.

- Stać cię na dziesięć dolców za godzinę?

Skłamała, że tak.

-Właściwie czemu by nie spróbować - powiedział ze śmiechem. - No, czemu nie! Powodzenia, skarbie - wykrzyknął, po czym usiłował cmoknąć jąw policzek.

Oczywiście zazwyczaj nie zachowywał się tak w stosunku do kolegów malarzy, pasożytów na pół etatu i marszandów, których spotykał przypadkiem w domach aukcyjnych - do czasu, kiedy wszyscy po kolei się zaprzędali, kiedy został ostatnim, który ni-1 gdy nie chciał lizać nikomu dupy, chociaż nawet teraz, po tylu latach, usiłował im mówić, jak mają malować. Jeżeli chcecie widzieć, musicie najpierw stwardnieć na kamień, jako miękkie

158

ciałka nigdy nie zobaczycie niczego ciekawego - i tak w kółko, jak gdyby wciąż wierzył, że może wspiąć się na wyżyny panteonu, jeżeli po prostu zepchnie resztę w błoto.

Jednak nawet ci, którzy odwrócili się od Milta, zawsze przyznawali, że jego uwielbienie dla Jacques'a Leibovitza było całkowicie szczere. Nawet jeśli wszyscy inni malarze na świecie -przynajmniej w chorym umyśle Milta- stanowili konkurencję i zagrożenie, to Leibovitz cieszył się prawami Mistrza. W łazience pracowni Milta wisiał nawet list od Leibovitza, bezwstydnie oprawiony w ramki, w którym mistrz stwierdzał: vouspresentez un peintre remarquable. Milton Hesse est un americain, jeune, qui possede une originalite extraordinaire.

Dwa lata później, gdy odwiedziłem tę pracownię w towarzystwie Marlene, gospodarz wielokrotnie nakłaniał mnie do obejrzenia toalety, początkowo łagodnie, później coraz natarczywiej, aż w końcu, kiedy uparcie nie chciałem zrozumieć, czego się ode mnie oczekuje, otrzymałem jednoznaczne wskazówki, żeby iść tam i,

kurwa, przeczytać wreszcie ten pieprzony list. Oczywiście francuski nie jest oficjalnym językiem miasta Marsh, w związku z czym Milt zafundował sobie dodatkową przyjemność, polegającą na tym, że musiałem zdjąć rękopis ze ściany i przynieść do studia, gdzie Milt odczytał mi go zdanie po zdaniu, najpierw po francusku, a następnie po angielsku. Podziwiał Jacques'a Leibovitz'a tak ślepo, jak gdyby wciąż miał dwadzieścia sześć lat, stypendium dla weteranów i leżał u stóp Wielkiego Człowieka.

Kiedy kobieta nazywa jakiegoś mężczyznę „swoim przyjacielem”, zawsze należy oczekiwać, że oznacza to coś znacznie gorszego. Więc nie lubiłem Milta, odkąd tylko dowiedziałem się o jego istnieniu.

- To Michael Boone, znakomity malarz - powiedziała w końcu Marlene, przedstawiając mnie „przyjacielowi”.

Milt zmierzył mnie takim wzrokiem, jak gdybym był ulubionym zwierzątkiem Marlene, prawdopodobnie karaluszkiem. Nawet

159

w szacownym wieku sześćdziesięciu dwóch lat obawiał się, czy nie zdiele go niespodziewanie jego własnym malsztukiem. Stanowczo za dużo myślę o tym upartym gadzie, nawet nie dlatego, że z całą pewnością pieprzył moją ukochaną zachlapanej podłodze, ale dlatego, że odmienił jej życie.

Dwa razy w tygodniu wędrował z panną sekretarką na wycieczkę po galeriach malarstwa współczesnego i na Madison Avenue i ani razu więcej nie zapytał, czemu właściwie chciałyby wiedzieć rzeczy, których ją uczy. Ciekawe. Może nie chciał się prostytuować dla prostytutki. Ech, jakież gęste opaiy mgły skrywają te wzniosłe moralne dylematy. Na pewno nigdy nie zdał sobie sprawy z tego, kim Marlene naprawdę jest i co się może wydarzyć.

Twierdził, że ignorancja w niczym nie przeszkadza. Pilnuj jej, jak najcenniejszego skarbu, laleczko. Uczył, że jedyny wielki sekret sztuki polega na tym, że nie ma żadnego sekretu. Ani ukrytej strategii. Zapomnij o strategiach, mała. Prawdziwi artyści niczego nie planują. Patrząc na obraz, nigdy nie pytaj o autora. Zachowaj otwarty umysł. Dobra sztuka nie daje się wytłumaczyć. Cezanne nie potrafił wyjaśnić, o co chodzi w jego obrazach. Picasso tak samo. Kandinsky za to tłumaczył gładko wszystko, a be ce i QED. Oglądanie obrazów jest jak zapasy, mawiał Milt. Trzeba się przedtem dobrze wyspać i najeść. Cytował Joy-ce'a, Pounda i Becketta, a nawet kupił swojej podopiecznej „kanon klasyki”. Cytował Rimbauda i Emily Dickinson: „Wiem, że to poezja, kiedy czuję, jak gdyby właśnie odleciał mi czubek głowy - czyż jest lepsza metoda?”.

Jego przeznaczeniem było dorabiać jako marszand. Nienawidził handlarzy i ich klientów nawet bardziej niż Marcela Ducham-pa. („Grał w szachy, bo nie było j eszcze telewizji, a gdyby była, oglądałby ją od rana do nocy”). Nikt nie kłamie i nie oszukuje tak jak marszandzi, twierdził Milt. I nikt tak się nie boi wyjść na idiotę jak bogaci klienci.

Czasem brał tylko pięć dolarów. Czasem w ogóle nic. I tyle powinniśmy wiedzieć na ten temat.

160

W zbiorach MOMA znajdowały się cztery obrazy Leibovitz'a, z których tylko trzy bywały kiedykolwiek wystawiane. O czwartym powszechnie mówiono, że został „poprawiony” przez Dominiq-ue, co dla Marlene stanowiło czystą korzyść. Milton przez całe życie podlizywał się kuratorom, członkom rad i administratorom i chociaż MOMA raczyła mu przyjąć tylko jedną litografię, mógł zabierać Marlene na dół, do magazynów, gdzie wspólnie przypatrywali się z bliska przerobionemu dziełu. I to właśnie dzięki temu płótnu, o wymiarach osiemnaście na dwadzieścia cali, Marlene zapoznała się tak dokładnie z nieporządną fakturą kreski Dominiq-ue, tak odmienną od pedantycznie wymierzonych, idealnie równoległych smużek Leibovitz'a.

Oczywiście nie od razu pojęła, na czym polega różnica, ale po jakimś czasie nie mogła zrozumieć, że mogła kiedyś nie widzieć, w jaki sposób ojciec O1iviera buduje wrażenie masy, kształtując ją pojedynczymi pociągnięciami pędzla.

Ja tylko powtarzam to, co usłyszałem do niej. Sprawdzanie faktów nie należało do moich zadań. Mieszkałem w Sydney, w East Ryde, miałem syna o wiecznie podrapanych kolanach i sad pełen jabłek, gnijących w letniej trawie i - w każdym razie - nie obchodziło mnie kompletnie, dlaczego ktokolwiek robi cokolwiek ani też, jak to się stało, że jakiś podłotek prosto z liceum w Benalli wdarł się na salony i utknął na skrzyżowaniu orbit dwóch mężczyzn, pięknego pokrzywdzonego oraz egoistycznego potwora. Rozdarta przyciąganiem obu orbit, wciąż znajdowała siłę, żeby skakać na boki, tak więc chociaż pracowała jako asystentka asystentki i mieszkała o trzy godziny drogi od Dziewiątej Alei, stopniowo, po cichu, ale triumfalnie, wkraczała na niezbadane wody. I tak jak Cortez, albo jak sam Keats, przystanęła, oszołomiona tym, czego do tej pory jako dziewczyna z Bellingen nie miała okazji zobaczyć - cholernym cudem sztuki, który leży u podstaw wszystkiego.

Rozdział dwudziesty zty

Xrzeźnik, który kiedyś został Niemcem w imię sztuki, teraz nagle zaczął się przerabiać na Japońca. Naprawdę zaciekawiało mnie, jak usunął dolną część rynny z balkonu Marlene i na jej miejsce zamontował długi łańcuch, po którym potem spływała deszczówka JAK NA TYM FILMIE, który podobno jest arcydziełem japońskiej kinematografii. Czy to miało znaczyć, że jednak zamierzał jechać do Tokio, gdzie nikt nie znał jego imienia?

Po moim trupie.

A jednak w milczeniu obserwowałem, jaki się robi orientalny, pod każdym względem. Już nie tylko napychał kiszki surowymi rybami z pasożytami, ale zaczął używać FAKSU, który terkotał i huczał całymi nocami, wyrzucając z siebie zwitki nagrzanego papieru, o centymetry od mojej bolącej głowy.

Dopiero odkąd usłyszałem tego Panasonica, zrozumiałem, co znaczy wyrażenie BOŻE MŁYNY. Gdy ryk tego diabelstwa dzwonił mi w uszach, przypominałem sobie matkę, haftującą: MŁYNY BOGA MIELĄPOWOLI, ALE DOKŁADNIE. Biedna mama, przy każdym oddechu na nowo wyobrażała sobie własną śmierć.

Po jej śmierci Rzeźnik zaczął się kłócić z Jezusem, wszystkie robótki mamy wylądowały w ujściu rzeki Darling, ale całe życie naszej matki przeniknęło już do naszej krwi, pięć kwart wspomnień pulsowało nam w żyłach i tryskało na obrazy mojego brata, Panie, nie gniewaj się, ciul nie wiedział, co czyni.

Rzeźnik i Marlene byli w sypialni, za zamkniętymi drzwiami, jej oczy rozświetlały się za każdym razem, gdy patrzyła na jego

162

TĘPE OBLICZE. Usiłowałem się dowiedzieć od Rzeźnika, czy pozwalała mu pakować ten głupi ryj między jej nogi, ale zaraz mi przyłożył. A JA PRZECIEŻ TYLKO PYTAŁEM. Bo na przykład matki dzieci ze szkoły podstawowej w Sydney zwykle nie miały większych oporów. Jesienny deszcz bębnił tak mocno, że nie mogłem podsłuchać, o czym rozmawiają, nawet z ogrodu. GRUCHNĘŁY LAWINY WÓD, otworzyły się WROTA NIEBIOS i sznur wody nieprzerwanie wił się po ogniwach ARTYSTYCZNEGO ŁAŃCUCHA, rozbijał się o ściany i zalewał aktora, sąsiada z dołu, który przez to stracił rolę KENNY'EGO w The Removalists.

Czy oni zamierzali mnie porzucić? Nic nie słyszałem.

Pewnego słonecznego ranka całą trójką złamaliśmy sądowy zakaz i przejechaliśmy przez most Gladesville, Marlene cały czas obejmowała Rzeźnika, zanurzając palce w szczecinie na jego karku.

To musiało mieć coś wspólnego z Japonią.

Na tyłach domu Jeana Paula cienie kładły się warstwami jak kurz, a pod palmami i krzewami mirtowymi, w zielonkawym półmroku, spoczywały HINDUSKIE BÓSTWA, zrobione z małych, czarno-białych kwadracików terakoty. No i do tego te osy w basenie. Falujące światło, nic stałego we wszechświecie.

Pan kolekcjoner miał na sobie płaszcz kąpielowy, by zaprezentować się w pełnej krasie.

Porzucą mnie, czy nie?

Marlene wyjaśniła naszemu patronowi, że japońska reprodukcja Mówcy wyszła fatalnie z powodu zielonego nalotu, ale że ona, Marlene, RĘCZY GŁOWĄ za naprawienie błędu.

Jean Paul, który początkowo skoncentrował się na podziwianiu nóg Marlene, podniósł głowę, a jego oczy zrobiły się szare jak martwe drewno w jego własnym płocie. Nie, nie zamierzał nigdzie składać swojego AUTOGRAFU, dopóki reprodukcja nie zostanie poprawiona.

A potem padło wiele różnych słów, ALLELUJA i pomyślałem, że to już koniec, Bogu niech będą dzięki, nic z tej wystawy nie wyjdzie. Widząc, jak Jean Paul usiłuje wyłowić dokumenty

163

z basenu, dziękowałem Bogu, że dał Rzeźnikowi taki wredny temperament.

Niestety, wkrótce miała miejsce DRUGA PRÓBA, tym razem w sushi go-go przy ulicy Kellett i jeszcze zanim Jean Paul w ogóle się zjawił, ja zacząłem mieć złe przeczucia. Mój brat znowu usiłował udowodnić, że na pewno nie wytrzymałbym w Japonii, tym razem zmuszając mnie do jedzenia ŻYWYCH morskich paskudztw jeszcze pływających w muszlach i te świństwa smakowały jak małpie mózgi albo jeszcze gorzej.

Usiadłem przy stole, czekając, aż ten obrzydliwy gad wyda na mnie wyrok. A tymczasem zamiast niego zjawił się ten wypier-dek, ten policjant-wandal, którego mój brat poprzysiągł zmiąć, zwinąć i przypiąć zszywkami do parkietu.

Na widok detektywa Amberstreeta Marlene opuściła wzrok i zarumieniła się z uśmiechem.

Rzeźnik zerwał się z miejsca, przez chwilę myślałem, że zaraz go zamorduje, ale zamiast tego położył mu rękę na ramieniu, jak gdyby byli starymi kumplami ze szkoły. Mój brat promieniał, detektyw cały rozdziawił się w uśmiechu, jakjaszczurka w pysku psa.

No, no, powiedział do Rzeźnika, kiedy uwolnił się już od jego ręki, podobno jedziesz z Marlene do Japonii.

I tak dowiedziałem się, co mnie czeka.

Rozdział dwudziesty iy

Po tym, jak wybebeszył mój obraz i postrzępił płótno, pomyślelibyście, że pan detektyw-modliszka powinien się mnie bać, ale mimo nastroszonej fiyzury a la wściekły kot, patrzył na mnie co najwyżej z lekkim zainteresowaniem, jak na coś smacznego do jedzenia. I nie, nie zrobiło na nim wrażenia, kiedy mój opóźniony brat groźnie uderzył pięścią w otwartą dłoń. Marlene oddaliła się od nas, Hugh polazł za nią. Nawet nie zastanowiłem się, dlaczego to robią, całąmojąuwagę pochłaniał ten mały wandal ze świńskimi,

zmrugniętymi oczkami. Skrzyżował pałeczki na stole, po czym podniósł jedną, by wymierzyć jąw moją twarz.

- Michael - powiedział.
- Tak mam na imię.
- Michael. - Schylił głowę, po czym ułożył z pałeczek literę „V”. -Michael i Marlene.
- Bystrzak z ciebie.
- Owszem, Michael - powiedział, po raz kolejny zwracając się do mnie po imieniu w najlepszym stylu policjantów z Nowej Południowej Walii. (Pozwól tutaj, Michael. I co my z tobą zrobimy, Michael? Chyba nie brałeś narkotyków, Michael?) - Mam tytuł MA, Michael, z Uniwersytetu Griffith.
- Słyszałem, że już nie pracujesz w policji.

Zamrugnął.

-Nie, nie, stary, na to nie licz.

- Skąd wiedziałeś o wystawie w Tokio?

Amberstreet wyciągnął spod krzesła tanią torbę na ramię do noszenia obrazów, potem zauważyłem, że były one niezwykle

165

popularne wśród samotnych starszych panów odwiedzających Muzeum Sztuki Współczesnej. Z torby wydobyl ostatni numer „Studio International”, który w Sydney nie był jeszcze w sprzedaży.

- Wyj eździałeś za granicę?

Detektyw zamrugnął szybko dwa razy, ale wytrzymał moje spojrzenie, a ja tak się skupilem na tym, żeby go złamać, że dopiero po chwili zobaczyłem reklamę na pół strony, którą właśnie podsuwał mi pod nos. MICHAEL BOONE, przeczytałem wreszcie, Mitsukoshi, Tokio, 17-31 sierpnia. Nagle puściły mi wszystkie mięśnie twarzy, słowo daję.

- Gratuluję, Michael.

Zatkało mnie.

- Wkraczasz na międzynarodowe salony, stary, pewnie jesteś bardzo dumy.

No, jamyślę. Bez względu na to, kto gratulował ani dlaczego. Byłem dumny jak cholera. Żaden Amerykanin nigdy nie zrozumie, co to znaczy być artystą z końca świata, mieć trzydzieści sześć lat i pojawić się w „Studio International”. I nie, to nie to samo, co pochodzić z Lubbock w Teksasie albo Grand Forks w Północnej Dakocie. Każdy Australijczyk może sobie twierdzić, że od 1981 roku wszystko się zmieniło, że historia się nie liczy, że w każdym razie i tak niebawem nasz kraj stanie się pieprzonym pępkiem świata, stolicącywilizacji, pałacem elit czy co tam chcecie, ale powiem wam szczerze, że za moich czasów coś takiego byłoby w ogóle nie do pomyślenia i naprawdę nie obchodziło mnie ani trochę, że reprodukcja wyszła trochę za bardzo zielonkawa - chociaż pewnie powinno, ale serio, miałem to w dupie, przecież na stronie obok dali późnego Rothko. Rozumiecie to? Bo w końcu, rany, ile się zmieniło od czasów papierowych reprodukcji przyczepianych taśmąklejącą do ściany nad łóżkiem! Od czasów Bacchus Marsh? Od czasów malarskiej stawy

na miarę Sydney?

- Wszystko już ładnie popakowane, prawda? - zapytał.
- Owszem.

166

- Ale jeszcze przed odprawą celną.
- Możliwe, że już po.
- O nie, Michael, jeszcze nie.

Fiutek uśmiechał się, jak gdyby właśnie ograł mnie w pokera.

- To Marlene urządza ci tę wystawę, Michael?

-Tak.

Uśmiechnął się, po czym zaczął przeglądać magazyn, w którym na pierwszy rzut oka było podejrzenie dużo Marka Rothko.

- Śmierć Rothko zmieniła wszystko - przeczytał głośno. -Tak tu piszą, Michael. Odmieniła znaczenie jego dzieł, dodała każdej jego wystawie niezwyklej wagi. Oni chcą odczytywać teraz jego twórczość jako Wielką Spowiedź. Aleja się zupełnie z tym nie zgadzam i myślę, że ty również.

Zamknął pismo, po czym uśmiechnął się promiennie.

- Tak się cieszę, że Japońców wzięło to, co robisz. Poważnie.

Nie waż się, pomyślałem, nie waż się mówić o mojej

pracy.

- Kto odpowiada za pakowanie?

-Woollahra.

- Znakomicie, Michael, oni są po prostu nie do pobicia. No, ale widzę, że chciałbyś sobie zerknąć na to „Studio International”.

Niczego nie podejrzewając wziąłem do ręki magazyn i zupełnie nie byłem przygotowany na widok trzech żółtych kartek maszynopisu, które wysunęły się z pisma i z cichym szelestem spadły na stół jak trzy ciosy miecza. Jacques Leibovitz, głosiła pierwsza strona, „ Monsieur et Madame Tourenbois ”. Raport ze stanu dzieła.

Och ty podstępny mały kutasie, pomyślałem, co tam znowu kombinujesz?

- Przeczytaj - zachęcił mnie, po czym otarł bezkrwiste wargi wierzchem dłoni. - Bardzo interesujące, moim zdaniem. Czytałeś kiedyś taki raport?

Tobyłnader dziwny dokument, jaskrawożółty, z nagłówkiem oddzielonym wyrazistą, różową kreską. Zastanawiałem się, czy

pochodził od Honore le Noela. Jeśli tak, musiał być niezwykle godny zaufania, jak raport dentysty z wyjątkowo precyzyjnego przeglądu, zaczynający się od dziąseł, czyli ramy. Autor opisywał budowę blejtramu i stan płótna - czyli, w tym wypadku, jak obraz Monsieur et Madame Tourenbois prezentował się, zanim został porzucony przez złodzieja obok pudełka z naleśnikami w proszku na blacie u Dozy'ego Boylana. Informacja o oryginalnym „urządzeniu do naciągania stożkowatej konstrukcji” wykonanym własnoręcznie przez Leibovitza przyprawiła mnie o gęsią skórę, podobnie jak - cytuję dosłownie - „brak strukturalnych elementów dotyczących powierzchni podobrazia”. Rogi zostały „złożone na pół, sklejone i przybite cienkimi gwoździkami”. Z tyłu podobrazie zostało oznaczone farbą: 25 avril XIII.

- Co to znaczy avril?
- Kwiecień - odparł. - Wiosna.

Ale to nie wszystko. Podobrazie było wykonane z lnianego płótna, prawdopodobnie zagruntowanego klejem z króliczej skóry lub podobną substancją. Policjant obserwował mnie czujnie jak tygrys, ale ja znalazłem się wtedy w wymiarze, do którego on nie miał dostępu, nawet gdyby umarł i poszedł do nieba.

Z tyłu Monsieur et Madame Tourenbois znajdowały się trzy etykiety, z których pierwszą, bez daty, za to z numerem 67 i adresem Rue de Rennes 157, umieścił tam autor czy może Domini-que, albo nawet sam le Noel. Obok widniała naklejka z 1963 roku, dziewięć lat po śmierci Leibovitza, pochodząca z paryskiej wystawy w Galerie Louise Leiris. Była także koperta z fotografią o wymiarach 4x5 cali, autorstwa Honore le Noela.

Policjant nachylił się nad stolikiem. Odsunąłem krzesło, chociaż nie udało mi się uciec poza pole rażenia odoru tetrachlo-rydu węgla, emitowanego przez lśniący garnitur pana detektywa.

- Kłopoty ze wzrokiem - powiedział. - Odczytaj na głos, proszę.

- Pieprz się. Sam odczytaj.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, usłuchał.

- Liczne uszkodzenia i otarcia - przeczytał - zarówno w warstwie malarskiej, jak i w podobraziu, widoczne na górnej krawędzi od środka aż do prawego górnego rogu. Sięgajmniej więcej jednej trzeciej blablabla... Badanie w świetle ultrafioletowym wykonano... Blabla... Badanie ujawniło... No, wreszcie, mój drogi Michaelu, tego szukaliśmy... Ubytek farby i późniejszy retusz wykonany na obszarze od 13 do 290 milimetrów od lewego górnego rogu płótna do centrum obrazu. Szerokość pociągnięć pędzla pomiędzy 4 a 6,5 centymetra, odbiegająca od techniki stosowanej przez artystę w innych znanych pracach. Widzisz? Naprawdę cudowne. No i jeszcze tu, tu przeczytaj koniecznie... Analiza zdjęć rentgenowskich wykazała, że wierzchnie warstwy farby pokrywają malunek, który wydaje się podobny do pracy artysty wykonanej po 1920 roku. Rozumiesz, Michael. Monsieur et Madame Tourenbois jest datowany na 1913 rok, ale to niemożliwe, bo został namalowany na czymś z 1920. Coś tu troszkę śmierdzi, nie czujesz? Troszenieczkę.

-Co na przykład?

- 1913 to najlepszy okres Leibovitza, wart fortunę. 1920... Daruj, ale nie bardzo.
- Stary, przecież ten obraz jest we wszystkich albumach. Wisi w MOMIE. Wszyscy go znają.

- Wisiał w MOMIE, Michael, ale się go pozbyli. Jak sądzisz, dlaczego?
- A dlaczego mi to pokazujesz?
- Myślałem, że to oczywiste.

Oczywiste? Oczywiście było tylko to, że ten kutas ukradł moje płótno, po czym bestialsko je zniszczył. Pan detektyw podał mi raport o stanie dzieła.

- Myślę, że z punktu widzenia śledztwa znaczenie tego dokumentu jest jasne.
- Wiesz co, Barry, szczerze mówiąc, gównu mnie to obchodzi

169

- Wiem - odparł. - Ale wyobraź sobie, Michael, że to ty podpisałeś certyfikat autentyczności. Pewnie życzyłbyś sobie, żeby to płótno po prostu znikło. Albo chciałbyś, na przykład, przeszmuglować je do Japonii, gdzie obowiązująinne przepisy.
- Ach tak.
- Ach tak - odparł, składając wielkie białe dłonie w dole brzucha.
- Więc sądzisz, że o to właśnie chodzi w mojej wystawie?
- Przykro mi, Michael.
- Jak myślisz, Barry, czemu za każdym razem, kiedy ktoś odnosi sukces za granicą, wszyscy myślą, że to lipa. A co, jeżeli naprawdę jestem wielkim malarzem?
- Jesteś, Michael. I dlatego nie mogę patrzeć, jak dajesz się wykorzystywać.

Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że zmierza ku nam autorka certyfikatu we własnej osobie. Odsunąłem dla niej krzesło, ale najpierw nachyliła się nad stołem i nagle, jednym gwałtownym ruchem, wyrwała mi z dłoni dokument. Odwracając się, zobaczyłem Marlene, jakiej kompletnie nie znałem - o kościstych, napiętych policzkach i zmrużonych z wściekłości oczach.

- To są bzdury - powiedziała do Amberstreeta. - Dobrze o tym wiesz. Co więcej, ten dokument nawet do ciebie nie należy.
- Jednak wszedł w moje posiadanie, Marlene.
- O tak! - Usiadła obok mnie, rozejrzała się wokół z szaleństwem w oczach, zamówiła szklankę wody, wstała i wypła ją duszkiem tak gwałtownie, że oblała sobie sukienkę. - O tak, wszedł w twoje posiadanie - powtórzyła, odstawiając szklankę z hukiem. -Bo włamałeś się do mojego mieszkania i ukradłeś mi go z szafki. Zbyt długo zadawałeś się z marszandami, przyjacielu. Masz chociaż pojęcie, kto w rzeczywistości napisał ten stek bezczelnych kłamstw? Poważnie wierzysz, że obraz został kiedykolwiek prześwietlony?

170

Amberstreet podniósł brodę, jak gdyby spodziewał się, że zaraz ktoś go pocałuje.

- Musimy badać wszystkie ścieżki - odparł. - Na tym polega nasza praca.

- W takim razie spieprzaj - powiedziałem. - Zbadaj tę ścieżkę. - A potem zerknąłem w bok i zobaczyłem właściciela restauracji, Hiroshi, po czym zamówiłem butelkę Utamaro Sake. Gdy znów spojrzałem przed siebie, detektyw już zniknął, Marlene zalewała się łzami, ale egzemplarz „Studio International” pysznił się dumnie w promieniach letniego słońca. Wyciągnąłem po niego rękę, a Marlene, kochana dziewczyna, uśmiechnęła się promiennie.

-Podobało ci się moje ogłoszenie, skarbie?

Jakże cię kocham? Pozwól, niech pomyślę.

Rozdział dwudziesty y

Tak, proszę pana, nie, proszę pana. Mój brat uparł się, żeby LIZĄC DUPEŁ szanownemu panu policjantowi, Tak jest, nie, dziękuję, tralalila lila, cud, że śmiał jeszcze oddychać. Ależ skąd, nie mam pretensji, że zniszczył pan moją sztukę. MIĘCZAK, jak mawiał nasz tata, kiedy Rzeźnik ROBIŁ W GACIE zamiast walczyć o swoje, rany, co za ohyda. Natychmiast oddaliłem się z moim krzesłem na Kellett Street, to właściwie tylko krótka uliczka, ale łączy się z większymi alejami i autostradami, więc nie daje takiego schronienia, jak można by się spodziewać. W dodatku moje krzesło nie mieściło się na wąskim chodniku i ZAKŁÓCAŁO RUCH, przez co nie miałem gdzie odpocząć. W pobliżu znalazłem ulicę Elizabeth Bay, CO ZA POKUSA, wprowadziłem już raz przeszedłem tamtędy do GRECKIEGO BARU MLECZNEGO i SKLEPU Z ALKOHOLAMI, ale pamiętałem, że siedzenie było tam lokalnie ZABRONIONE, a policja ZACHOWYWAŁA CZUJNOŚĆ.

Naprzeciwno go-go sushi mieścił się burdel, popularny wśród NIECIEKAWYCH KLIENTELI. Długo patrzyłem na wchodzących i wychodzących, ale nawet kiedy czułem się wyjątkowo źle, ani razu nie zachowałem się jak ostatni kretyn i nie pozwoliłem, żeby MOIM MÓZGIEM RZĄDZIŁ KUTAS. Skręciłem w lewo, tam gdzie poszła przedtem Marlene, minąłem sklep SPORT ITALIA, przed którym ZNANY KRYMINALISTA strzelił kiedyś w szyję PEWNEMU KOLOROWEMU BIEGACZOWI. Dzięki Bogu, że ja sam nie miałem broni. Bardzo blisko tego miejsca przestępstwa WCIĄŻ SKROPIONEGO PRZE-

172

LANĄ KRWIĄ, zaczynała się ulica Bayswater, onieśmielająca tymi wszystkimi mostami, tunelami i samochodami, które wjeżdżały, zjeżdżały i pokonywały otchłań rzeki. ANI ŚLADU ŻYWEGO DUCHA, Panie w niebiosach! Co się ze mną stanie? Szukałem wzrokiem Marlene, krążąc między Bayswater a Elizabeth Bay, wystukiwałem w chodniku szpary i wgniecenia, które potem miały zakwitnąć na różowo, żółto, zielono, w barwach SWEET BREADS. Robiłem sobie mapę. Za późno. Powinienem być już dawno zacząć naukę większego obszaru, jak dzieci, które układają piosenki z własnym planem dnia.

Pamiętam, miałem sześć lat i biłem się z bratem, całym w przyszczach, na siedzeniu vauxhalla cresty. To nie ja zacząłem wojnę, ale nie mogłem jej sam zakończyć, aż nagle Biały Bones zatrzymał samochód przy niecce solnej w Baliang East.

Wysiadaj, powiedział.

Właśnie zmierzchało. Kiedy posłusznie wysiadłem, ojciec wystawił długą, żylastą rękę i zatrzasnął drzwi samochodu, a potem odjechał, zostawiając mnie ze smakiem słonego pyłu, pokrzykiwaniami kruków, czerwienią słońca, gasnącą w ciemnościach, szesnaście mil od Marsh, od domu i od bezpieczeństwa. Księżyc już dawno był na niebie, kiedy wreszcie STARUSZEK wrócił po swojego zapłakanego chłopca. Dał mi wtedy do myślenia, jak powtarzał nie raz i nie dwa.

Traf chciał, że usłyszałem głos Marlene, dobiegający zza winorośli, które porastały miejsce zbrodni.

Zajrzałem przez liście do zacienionego ogrodu i zobaczyłem języczek z Jeanem Paulem, siedzących przy okrągłym stoliku, z tym okropnym katalogiem rozłożonym na zielonym blacie. Rozmawiali na temat JAPONII. Bez trudu wyplątałem krzesło z pnączy na bramie i usiadłem pomiędzy chmurą jaśminowych perfum, a jego brut de bratem. Tam dowiedziałem się, że Jean Paul wyraził zgodę na wywóz MÓWCY przez firmę Woollahra jeszcze tego samego dnia.

Zacząłem się GŁUPKOWATO UŚMIECHAĆ, jak to mówią.

173

Jean Paul zapytał, co u Rzeźnika.

Bardzo bolała mnie twarz.

Usłyszałem, że nasz patron pyta, czy nie chciałbym znaleźć sobie pracy, ale on chyba nie rozumie mojej sytuacji. Gdybym otrzymał LEGALNE ZATRUDNIENIE, instytucje społeczne przestałyby mi wypłacać rentę inwalidzką, a po stracie pracy nigdy bym jej już nie odzyskał, w ramach kary za OKŁAMYWANIE RZĄDU. Rzeźnik na pewno zaraz by wszystko wytłumaczył, ale go nie było, a Jean Paul nie chciał mi wierzyć. Stwierdził, że chyba nie radzę sobie w pracy i nie toleruję, jak na mnie krzyczą, co zresztą sam wiedział najlepiej z własnego doświadczenia.

To znaczy chodziło mu o pracę na czarno.

Co by nie było to NA CZARNO, przyprawiało mnie o ból żołądka. Powiedziałem, że urzędnicy są jak MAŁE HITLERKI i czasem nasytają kontrolerów, którzy grzebią w śmieciach i sprawdzają, czy nie dorabiam na boku i nie kupuję sobie, na przykład, tasmańskiego pinot noir.

Nie, powiedział, nikogo nie nasytają.

Uśmiechnąłem się do Marlene jak pies. Położyła mi dłoń na ramieniu, jej ręka ważyła tyle, co ćma. Jean Paul nie powie nikomu, że pracujesz, wytłumaczyła, ale da ci pieniądze.

Tylko że Rzeźnik już raz wylądował w więzieniu i omal go to nie zabiło. Chciałem porozmawiać o naszych bezustannych kłopotach z detektywem Amberstreetem, ale Marlene mnie uciszyła, zamykając mi usta dłonią, zwiewną jak szept.

Czy zechciałbyś popracować z Jacksonem w Domu Opieki Edgecliffe?

Zapytałem Marlene, czy zna Jacksona.

Nie, ona na to, Jean Paul mówił mi, że kolegowaliście się, kiedy Rzeźnik siedział w więzieniu. Podobno razem puszczaście gołębie.

Nikt niczego nie rozumiał.

Może chciałbyś z nim popracować jako nocny strażnik przez tydzień czy dwa. Za pieniądze. Na czarno.

Zapytałem Marlene, co o tym myśli.

174

Poradziła mi, żebym się zgodził, więc powiedziałem, że chyba przyjmę ofertę.

Wtedy Marlene wstała i wyszła, bo chciała jeszcze ZŁAPAC Rzeźnika w go-go sushi barze. Obiecała, że zaraz

wróci, po czym znikła za bramą, a po każdym kroku jej cudownych stóp, obutych w sandały, nad żwirową ścieżkę wznosił się tuman białego pyłu.

Uśmiechnąłem się do Jeana Paula, ale jednocześnie coś mi stanęło w gardle.

Nasz patron odsunął krzesło od stołu, po czym powiedział: Będziesz musiał siedzieć przy drzwiach przez całą noc i jak ktoś się źle poczuje, wezwiesz przez telefon dyżurną pielęgniarkę.

Zapytałem, czy dostałem tę pracę po to, żeby mój brat nie musiał mnie zabierać do Japonii?

Odparł, że tak, nie usiłował kłamać.

Zapytałem, kiedy zaczynam, ale prawdę mówiąc nawet nie słyszałem już jego słów. Dobry Boże, ale szkód mógłbym narobić, gdyby zostawili mnie samego.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Powódka miała swego czasu konia, bardzo płochliwą arabską klacz o imieniu Pandora, która pewnego dnia zahaczyła pę-cinąo drut kolczasty i w trzy tygodnie później zrzuciła Powódkę z grzbietu, przyprawiając ją o sześć złamań kości w jej - tak zwanej - pracującej ręce. Do tego czasu ja zdążyłem się już wyleczyć z koni.

I dlatego też guzik mnie obchodziła chabeta, którą Olivier Lei-bovitz trzymał w stajni przy Osiemdziesiątej Siódmej Zachodniej i nigdy nie dopytywałem się, co to dokładnie był za zwierzak. Myślałem tylko - bo tak powiedziała mi Marlene - że koń nie miał nic wspólnego ze szkółkajeździecką Claremont, mieszczącą się pod tym samym adresem i słynącą z wrednych, rozkapryszonych rumaków, które z lubością ciskały jeźdźcami o ściany domów na 102 Ulicy. Przygoda z końmi z Claremont wyczerpuje listę hippicznych doświadczeń Marlene, która zresztą nie kochała jeździectwa, lecz Oliwier, a ściślej mówiąc: Oliviera na koniu, jego prezencję, jego zapach i, przede wszystkim, bijące od niego szczęście.

Wbrew temu, co pomyślałem, gdy zobaczyłem japo raz pierwszy na błotnistym podwórzu z tymi kurewskimi butami w ręku, Marlene naprawdę uwielbiała sprawiać przyjemność tym, których kochała. Stawała na uszach, żeby zorganizować dla mnie wielkie ogłoszenie w „Studio International”, robiła Hugh rodzynkowe tosty z masłem albo czytała na głos Magiczną wyprawę, a wiele lat wcześniej, kiedy w wyniku rozwodu Oliwier został kompletnie splukany i musiał sprzedać swojego konia, musiała się zmierzyć z całym sądem i towarzystwem spod

176

Centre Street 60. Ale Leibovitz dostał konia z powrotem, już ona tego dopilnowała.

Na początku opłatę za utrzymanie rumaka pokrywały zyski z żalonych prób Oliviera sprzedaży licencji na reprodukcję trzech Leibovitzów. Wybór obrazów nie był dyktowany oceną jakości dzieł, a raczej tym, co udało mu się wyszukać pośród podrapanych odbitek walających się po biurze wśród spinaczy, ołówków i strzępków fachowej korespondencji na temat sztuki. Korespondencja prowadzona była przeważnie po francusku, języku, który Olivier doskonale znał, ale udawał, że nie rozumie z niego ani słowa.

W momencie, gdy zdarzył się wypadek z Marlene, która nakryła go przy kopiarce, Leibovitz myślał, że skutecznie ukrył niepozorny dochód z licencji przed prawnikami żony, ale oczywiście czekało go okrutne rozczarowanie. Powszechnie wiadomo, że to on jest właścicielem droit morale i po wliczeniu organizacji do wspólnego majątku małżonków, sąd wyduślił z niego każdy cent z tych ubocznych profitów. Jak się okazało później, miał szczęście, że prawnicy - Filistyni, ignoranci i barbarzyńcy - oszacowali wartość droit morale

biorąc pod uwagę wyłącznie przeszłe zyski z jej działalności, które były, łagodnie mówiąc, żadne.

Wiosną 1975 roku, gdy stracił konia i stajnię, miał już nową sekretarkę w osobie Marlene i tym samym zapewnił sobie opiekę nadpuszkąPandory zatytułowaną „Francuskie dokumenty”.

- Co z tym zrobić? - zapytała.

Zerknął do wnętrza szarej, metalowej szafy, pękającej od nadmiaru teczek, przewiązanych wstążkami stert papierów, pojedynczych świstków, pożółkłych, zbrązowiałych, niszczących kartek. Wzruszył ramionami w geście, który Marlene Cook wydał się typowo francuski.

- Czy to dotyczy sztuki? - ponowiła pytanie.

- O tak - odparł zaskoczony. - Z całą pewnością.

Nie mógł wiedzieć, że Marlene była już za pierwszym zakrętem swojej ścieżki edukacyjnej, a ona nigdy by się nie ośmieliła mu opowiedzieć o swoich lekturach, o Berensonie i Vasarim, Marsdenie Hartleyu i Gertrudzie Stein. Ale pytając, czy doku-

177

menty dotyczą sztuki, rozumiała już dosyć, by zdawać sobie sprawę ze znaczenia listów od takich korespondentów jak Vuillard i van Dongen i zjadła wystarczająco dużo hot dogów w przerwach na lunch w trakcie aukcji w domu Sotheby's, by zadać sobie pytanie, czy ta skrzynia postrzępionych papierów nie pokryłaby wszelkich wydatków na konia, stajnię i parę innych rzeczy. Oli-vier nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go kochała. Sądziła, że pod żadnym względem nie dorasta mu do pięt, czuła się brzydsza, głupsza i mniej wyrafinowana. Nawet nie zauważył, że stała się jego aniołem, który opatrywał mu rany i pomagał dojść do zdrowia.

I tak zwróciła się do starego zgreba Milтона Hesse, który legł u jej stóp po pierwszej wizycie. Łatwo powiedzieć, że wykorzystała biednego dziadka, ale wątpię, czy którekolwiek z nich widziało sprawy w ten sposób. Marlene rozumiała, że Hesse gardzi Oli-vierem i że nic nie przekona go do zmiany opinii w tej sprawie, ale nie przeszkadzało jej to robić dla Milta zakupów u Gri-stedego. Przyrządzała mu zapiekankę z tuńczykiem według przepisu „Australijskiego Tygodnika dla Pań”. I płaciła mu, regularnie, co najmniej pięć dolarów tygodniowo.

- Przynieś mi te listy - powiedział Milton. - Zobaczmy, coś tam wynalazła.

- Będę musiała poprosić o pozwolenie.

-Pozwolenie! Eeetam. Po prostu pożycz, laleczko. Niema sensu robić zamieszania, jeżeli są nic nie warte.

I Marlene posłusznie wtargnęła dwa ciężkie pudła do wagonu kolejki i trzymała je na kolanach przez całą drogę na przystanek Druga Aleja, nie zważając na to, że ciężkie kartony wrzynały jej ; się w uda. Na miejscu, w lodowatym studio, w czasie, gdy ona , gotowała zupę z soczewicy, staruszek Hesse przeczytał coś, od ■Czego oczy wytrzeszczyły mu się jeszcze bardziej niż zwykle, owym czasie, wiosną 1975 roku - taką datę nosiły najnow-listy - na rynku znalazły się, bądź miały się znaleźć wkrótce, otrzymaniu certyfikatu autentyczności od Oli-viera Leibovitza,

178

następujące dzieła: Le Poulet 240V{ 1913), Le Dejeuner avec les travailleurs (1912), Nature morte (1915).

Całkowita wartość prac wynosiła w przeliczeniu na dzisiejsze pieniądze około dziesięciu milionów dolarów amerykańskich. Teraz znajdziecie te tytuły w każdym porządnym albumie, ale wtedy oficjalnie nawet nie istniały, ponieważ Dominiąue w nader niejasnych okolicznościach pominęła je przy sporządzaniu kontrowersyjnego catalogue raisonne.

-1 Dauphin nie odpowiedział na żaden z tych listów? - zapytał Milton, po raz pierwszy porzucając wizerunek szarżującego byka na rzecz starego, żydowskiego mędrca z krzaczastymi brwiami i okularami bez oprawek na czole. Wyglądał teraz tak uczenie i tak obco, że Marlene ledwo go rozpoznała.

- Jak mógłby? - odparła. - Przecież on naprawdę nie zna się na sztuce. Obrazy go nie obchodzą.

- Tu nie trzeba wiedzy, cycuszk, tylko świadectwa urodzenia.

-Nie potrafiłby.

- Dziecinko, to naprawdę nie jest takie skomplikowane. Wystarczy umieć rozpoznać rozmazane i nieporządne kreski Mamon Dominiąue, co zresztąpotrafisz, bo sam wiem najlepiej, i jak je widzisz, to mówisz: podróba. Nikt tego nie mówi głośno, ale w tym celu nie trzeba kończyć uniwersytetów. Możesz to zrobić zaraz, dzisiaj, bez kursów z fizyki jądrowej.

Marlene Leibovitz nawet nie zauważyła, że właśnie odmieniło się jej życie.

-A ty byś nie mógł, Milton? Zostałbyś jego doradcą...

-Nie.

- Proszę cię.

Złożył okulary, po czym zamknął je z trzaskiem w metalowym futerale.

-Nie tak powinny wyglądać moje relacje z Jacques'em.

Za bardzo go lubiła, żeby dostrzec, jaki jest patetyczny. Uśmiechnęła się i początkowo wymogła na nim w ten sposób

179

tylko pomoc przy ponownym zapakowaniu kartonów. Po chwili jednak jeszcze raz wyjął okulary z futerału.

- Przeczytaj to - powiedział tonem ustępstwa. - Od Monsieur L'Huilliera z szesnastego okręgu.

- Wiesz, że nie znam francuskiego.

-No to ci przetłumaczę. Jeśli pan Olivier Leibovitz zechciałby skontaktować pana L'Huillier z kupcem na obraz Leibovitz, będący obecnie w posiadaniu pana L'Huillier, pan L'Huillier podzieli się z panem Leibovitzem prowizją.

- Ale Oliwier nie zna ludzi, którzy kupująobrazy.

- Istotnie, nie zna, bo, wybaczone, jest idiotą. Na szczęście nie musi znać. To taki kod, laleczko. L'Huillier już ma kupca. Potrzebuje, teraz skup się, cycuszk, potrzebuje certyfikatu autentyczności. Mówi tyle: pan potwierdzi, że to Leibovitz, a ja panu dam wór gotówki, może być w skórzanej aktówce, jeśli pan woli. Oto jak wygląda dzisiaj sztuka. Marszandzi to najgorsi złodzieje na tej planecie. We Francji nawet prawo traktuje ich jak najgorsze łajzy, poniżej wszelkich standardów.

- Dobry Boże - powiedziała Marlene Leibovitz. - Ale ze mnie głupia gęś.
- Teraz już rozumiesz? - zapytał Milton, po czym położył wielką, umięśnioną dłoń na jej ręce, zadając tym samym zupełnie inne i o wiele smutniejsze pytanie.

Rozdział trzydziesty

Jak mój brat wyjechał, żeby lizać dupy Japończykom, Jackson został moim przyjacielem i dawał mi pieniądze NA CZARNO. Jackson nigdzie się nie wybierał, spokojna głowa, Jackson siedział na miejscu, bez obaw. Jackson był okablowany jak generator elektryczny, tak mówił, i w nocy strzelały mu iskry z palców. Kiedyś pracował jako KOMIWOJAŻER i przejeżdżał setki mil dziennie. Biały kurz na jagodach porastających pobocza, DLA KAŻDEGO COŚ MIŁEGO, kobiety ubrane w same szlafroki, z dżunglą włosów zamiast majtek między nogami. Jako MŁODZIENIASZEK, Jackson miał jaskraworudą grzywę i nawet teraz została mu jeszcze na głowie PORZĄDNA SZOPA, którą czesał zawsze, gdy tylko czas na to pozwalał.

Po latach mieszkania w ciężarówce Austin model A40 i wielu paskudnych, mroźnych nocach, zwłaszcza na południowych wyżynach, Jackson wrócił do zawodu jako WYMYŚLACZ. W Warrnambool w stanie Wiktorii Jackson wymyślił wózek na zakupy do używania w supermarketach. Nikt przedtem na to nie wpadł. W Warrnambool działała ta słynna wielka fabryka spodni Fletcher Jones, wniosek: w Warrnambool można zarobić miliony. Jackson skonstruował wózek ze SKŁADANEGO KRZESŁA i dwóch metalowych koszyków, które zdjął z rowerów DWÓCH STARYCH PANIEN-NAUCZYCIELEK z liceum. A ja, Powolny Bones, nigdy nawet sobie nie uświadomiłem, jakie możliwości tkwią w składanym krześle, chociaż przez wszystkie te lata SIEDZIAŁEM NA ŻYLE ŻŁOTA. Nieużywane wózki Jacksona można składować wzdłuż ściany supermarketu, a ręczne koszyki ustawia się jedne w drugich, jak talerze w zlewie.

181

W tym czasie na tak zwanej SIELSKIEJ PROWINCJI nie było jednak żadnych supermarketów, gdyby nie to, Jackson zostałby bogatym człowiekiem i nie poszedłby do więzienia za kradzież dwóch koszyków.

Jackson dwa razy się żenił, więc ma album ze zdjęciami powódek, panien młodych i tym podobnych, a także fotki pięciu psów, z których dwa zginęły pod kołami tej samej ciężarówki, ale w różnych latach. W domu opieki Jackson zajmował pokój numer 1 i pracował od ósmej rano do śniadania nad SRAJĄCĄ BRYGADĄ. Nosił do pacjentów swoje najlepsze wyścigowe gołębie, żeby mogli je głaskać, i robił to Z DOBREGO SERCA, ale wciąż pojawiały się skargi na widoczne na nich PASOŻYTY, i to ze strony ludzi, którzy mieli tak słaby wzrok, że nie zobaczyliby nawet własnego nekrologu.

W wypadku nagłych problemów zdrowotnych i utraty pamięci Jackson BRAŁ SPRAWY W SWOJE RĘCE i nie zawsze spotykał się z zasłużoną wdzięcznością. Miał także specjalną umowę z MANAGEREM SKLEPU SAFEWAY, żeby pacjenci mogli zabierać wózki na dół i zostawiać je na trawniku przed biurem Jacksona. I nie raz, i nie dwa Jackson zasuwał potem w górę Edgecliff Road, pchając przed sobą długi rząd wózków, j jaka to surowa pokuta, często mawiał. Los nazaczył go na swo-| jąofiare. Jedyne, co otrzymał w darze, to wielki fiut, całe CZTER-f- NAŚCIE CALI, nigdy byście nie zgadli, sądząc po tych chu-| dych, piegowatych ramionkach.

Miałem moje własne, składane krzesło i zostałem ZATRUDNIONY NA CZARNO do pchania wózków zamiast Jacksona. Z przyjemnością ułożyłem mu w cierpieniu. Poza tym na parkingu przed sklepem Safeway natrafiłem kiedyś na porzucony wózek dziecienny, to taka smutna historia, że wyrzuciłem ją pamięci, matkę i dziecko, kto wie, gdzie oni teraz są.

Ale z drugiej strony, ten wózek był wodoodporny i mało używany, więc mogłem go napełnić kruszonym

lodem i wsadzić do ; środka moją colę i na wierzch położyć kanapkę z kurczakiem

182

i kiedy mój brat uciekł za granicę, nie żyłem w strachu, tylko pływałem się w luksusach na ganku domu opieki.

Oczywiście zjawiała się policja, ale wiedzieli, że jestem LOKALNYM DZIWAKIEM, a jak Jackson dał mi te PSYCHODELICZNE OKULARY, to polubili mnie jeszcze bardziej i po jakimś czasie zaczęli przystawać na mój widok, żeby pogawędzić i zerknąć, co tam trzymam w tym wózku, z którego zawsze kapała woda. Raz nawet kupili mi JEDNORAZOWĄ PIELUSZKĘ na butelkę z colą. Wiedzieli, że lubię sobie pożartować.

Edgecliff Road jest stroma i kręta. Neurony strzelają jak pręciki tropikalnych meduz, kiedy się patrzy na wszystkie te samochody wpadające z wizgiem opon w wiraż i ciężarówki, które pędzą gdzieś jak szalone o czwartej po południu i gubią po drodze cegły z ładunku. Nigdy nie sądziłem, że mógłbym zostać lokalnym dziwakiem w tak ruchliwym miejscu, ale nie miałem racji.

Co to za ULGA nareszcie znaleźć się tak daleko od tego ciągłego głędzenia o sztuce i walki o wzbudzenie stosownego medialnego zainteresowania wokół mojego genialnego brata. Może mi nie uwierzycie, ale nigdy nie zaznałem takiego spokoju, jak tam, u wybrzeży Edgecliff Road, rzeki gumowych opon, spadających cegieł, pisku hamulców i wykrzykiwanych przekleństw.

Szczerze życzyłem mojemu bratu smacznej surowej lyby i bzykania do upadłego. Złamana obietnica to był jego problem, trali la li la, i to on musiał cierpieć z jej powodu, nie ja.

Rozdział ziesty iewy

zdarzało mi się mówić okropne rzeczy na temat komercji, coś nawet na ten temat publikowałem, ale jako artysta często sam muszę sobie radzić w świecie kupna i sprzedaży. I tak kazałem stewardowi dolać wina, a było to, cholera, tasmańskie PinotNoir, a Marlene zjadła ostatnią czekoladkę, wypła drugiego armagnaca, złożyła mi głowę na ramieniu i tak przespaliśmy prawie całą drogę do Narity. Nawet z pękającym pęcherzem czułem się pozbawiony wagi jak astronauta.

Oczywiście ta wycieczka nie mogła mi ująć bezkarnie, ale potem miało być potem; na razie było cudowne teraz, a ja od czasu tamtego rozpaczliwego, morderczego roku, kiedy uciekłem z Bacchus, żeby studiować życie, rysując w Footscray Tech, nawet sobie nie wyobrażałem, jak to jest chociaż na chwilę uwolnić się od kościstych łokci mojego brata, jego cuchnącego oddechu, spoconego ciała, które zjawiało się niespodziewanie w środku nocy i wyrывało mnie ze snu. Przez cały czas lądowania boeinga, przez całą odprawę, podróż pociągami, przez wszystkie te dni czułem się taki wolny i radosny. Wybaczcie, ale nie martwiłem się o Hugh. Nawet przez sekundę nie zastanawiałem się nad tym, co on czuje.

W Tokio ludzie postawili sobie za cel, żeby zabetonować się na śmierć, ale i tak miasto mnie zachwycało, było jak trójwymiarowy obraz mojego pulsującego jak neony serca.

Zgodnie z przewidywaniami Marlene, moje obrazy zostały przetrzymane w Sydney, żeby Amberstreet i inni geniusze kryminalistyki mogli zdewastować opakowania. Po cóż innego miał-

184

bym wysyłać płótna do Japonii, jeśli nie po to, żeby schować w nich skradzionego Leibovitza? Kurwa mać!

Oczywiście nie udało im się odnaleźć Tourenbois, w związku z czym wybulili kilkaset dolarów otrzymanych

od podatników na ponowne zapakowanie obrazów. Jakimś cudem ich nie uszkodzili i po jedynie dwóch dniach opóźnienia zobaczyłem je w stanie nienaruszonym w Mitsukoshi.

Miałem zwyczaj doprowadzać galerie do obłędu ciągłym przewieszaniem i przesuwaniem, ale tym razem postanowiłem zostawić sprawy w ich rękach i przez trzy dni bawiliśmy się z Marlene w miesiąc miodowy. Oszczędzę wam słodkich widoczków z Asa-kusa i krzyków ptaszków, trzymany w klatkach w recepcji naszego hotelu. Byłem szczęśliwy - w Japonii, u boku Marlene, widząc jej jasne, dociekliwe, psotne oczy.

Każda najprostsza rzecz sprawiała mi przyjemność, bo robiłem ją razem z nią, każdy widok, każdy leniwy spacer boczną alejką, zagubienie w labiryncie podziemnych korytarzy, oznaczonych kolorowo jak lego, dyskusja na temat cienkiej gazy sierpniowego światła okrywającej potężne masywy placów budowy. W końcu dotarliśmy do Mitsukoshi w porze, gdy ubrani w białe rękawiczki portierzy rozpoczęli poranną pracę. Na trzynastym piętrze znaleźliśmy moje obrazy, co prawda podpisane BONE, ale nic mnie to nie obeszło. Nie obeszło mnie też oświetlenie, skierowane punktowo na każde płótno, tak że ani jeden promyk nie padał na ściany. Ani to, że na sali znajdowały się również dekoracyjne drobiazgi, powiedzmy sobie, dość odległe od tego, co towarzyszyło moim płótnom w Bellingen. Czy to ważne. Mój obraz i tak mógł odgryźć widzowi nogę i wypluć kosteczki na podłogę.

Cały czas miałem przy sobie Marlene, tak blisko, cień na podłodze, muśnięcie rękawa, szept dłoni, ciepłe tchnienie życzliwości na policzku.

- Widziałeś to? - zapytała.

-Co?

- To. - Powiodła ręką, jak mi się wydawało, po całej galerii. Pięć sal, dziesięć dużych płócien, nie sposób na raz zobaczyć

185

więcej niż jedno dzieło. Numery i tytuły wisiały również oddzielnie i z dala od obrazów, na osobnej ścianie.

-Tytuły?

- Kretyn. Popatrz tutaj, Rzeźniku. - Obok każdego z tytułów widniał niewielki japoński znak, czarny na białym tle. - To japońska wersja czerwonej nalepki. Znaczy, że obraz już został sprzedany. Tak, wszystko poszło, cała kolekcja, mój kochany.

I wtedy, na środku pustej galerii, Marlene skoczyła na mnie i objęła mnie nogami w pasie.

- Cholera.

- Tak, cholera, tak. Gratuluję.

To było coś, czego prowincjonalna szuja Amberstreet nie mógłby zlekceważyć. Wystawa nawet się jeszcze nie zaczęła, a ja sprzedałem wszystko bez jednej kolacyjki albo śliskiej rozmowy z krytykiem. O ileż łatwiej niż w Australii. Nawet w najlepszych latach nigdy nie udało mi się wyprzedać, zanim podano pierwsze drinki. Całując jej miękkie, zmysłowe usta, jednocześnie - wybaczenie - przeliczałem w myślach kwoty, mnożyłem, odejmowałem, dodawałem. Po odliczeniu komisji i cła zostawało mi dwieście pieprzonych tysięcy dolarów. I już.

Później odbyła się ceremonia otwarcia, na temat której trudno coś ciekawego powiedzieć. Z pewnością nie

spodziewałem się, że w kraju Hokusai i Hiroshige zostaną zaprezentowany przez lesbijską loliczkę, ale to nic w porównaniu z tym, co działo się wcześniej.

Kilka dni później wybraliśmy się do drukarza, niosąc ze sobą profesjonalnie zapakowaną butelkę Lagavulin. Mieliśmy złożyć podziękowanie panu Utamaro, który wydrukował katalog mojej wystawy. Oprócz tego wiedziałem tylko, że jego biuro mieściło się przy końcu ślepej uliczki w Ikekuburo. Bóg jeden wie, do czego służyły pozostałe budynki, magazyny, czy też coś innego -• nie mam pojęcia. Pan Utamaro wyszedł po nas do windy ubrany w fartuch drukarski, po czym poprowadził nas do swojego poko-prostego i oszczędnego jak pracownia konserwatora. Okna

186

w stalowych ramach wychodziły prosto na pobliską drogę szybkiego ruchu, tak że na raz widać było najwyżej pięć pędzących hond. Pod oknem i wzdłuż wszystkich ścian stały głębokie, drewniane regały z szufladami, z których każda miała porządną etykietkę z japońskimi znakami. Przystanęliśmy, ogłuszeni hałasem z ulicy, a pan Utamaro nieopisanie uprzejmym gestem zdjął plakat wystawy Pollocka i katalog Matisse'a, po czym złożył je pieczołowicie na jasnym, wyszorowanym stole, zajmującym środek pokoju.

Staruszek był dość przystojny, pokryty dziwnymi piegami, o wysokim czole, z którego co chwila musiał odgarniać grzywę siwych włosów. Jego usta i dłonie wyglądały miękko i delikatnie, co zdradzało, że Utamaro jest kimś więcej niż zwykłym drukarzem. Nie sądzę, żebym w tych pierwszych chwilach nie poświęcił mu należytej uwagi, ale bardzo trudno było mi go zrozumieć, a poza tym nie planowałem dłuższej rozmowy. Dopiero, gdy poczułem, że od grzeczności drętwieje mi szczeka, pozwoliłem sobie na drugą szklaneczkę whisky. Och, pieprzę to, w końcu urodziłem się w Australii. Czego oni się spodziewali?

Samochody na ulicy zaczęły zapalać światła, a my utknęliśmy na dobre u pana Utamaro. Blask bijący od twarzy przejeżdżających kierowców, pozamykanych w swoich jednoosobowych kokonach, przypominał mi smutne parady, które w każdą niedzielę wieczorem przelewały się przez środek Bacchus Marsh.

Nalałem sobie jeszcze raz, a czemu nie?

Pan Utamaro rozłożył na stole miękką, szarą serwetę, po czym postawił na niej torbę i zerkając wyczekująco na Marlene wyjął ze środka niepozorną broszurkę, jakieś osiem cali na sześć, czarno-białą, błyszczącą, ale odbarwioną ze starości.

- Michael! - krzyknęła, wyciągając do mnie rękę, choć nie spuściła wzroku ze stołu. Na okładce broszury widniała, jak sądziłem, reprodukcja obrazu Dozy'ego Boylana.

Marlene wydała z siebie gotębie sapnięcie.

- Ochch.

187

Utamaro skłonił się uprzejmie.

- Chryste - powiedziałem. - Monsieur et Madame Tourenbois.

Utamaro uśmiechnął się uprzejmie.

- Nie, nie, ćśśś. - Marlene była mocno zarumieniona, przybrała kolor zbliżony do aspeńskiego różu. - To inna praca - powiedziała, wskazując na tytuł i wymiary, zapisane po angielsku pośród morza japońskich

znaków.

Cóż, wiedziałem, że ma oko, ale ja też trochę się znam na malarstwie, a czarno-biała reprodukcja Monsieur et Madame Tourenbois towarzyszyła mi przez całą młodość.

- Nie, to ten sam obraz.

- Masz rację, kochanie. - Pogłaskała mnie po rękę, żeby złagodzić cios. - Ale niniejszy. 28 cali na 18. Studium.

Moje własne płótno zostało zdewastowane przez bandę kretynów tylko dlatego, że jego fragment miał rzekomo wymiary 20x12 1/2, więc dobrze sobie zapamiętałem te liczby.

- Widzisz - powiedziała. - Ma tytuł Tour en bois, quatre, numer czwarty, drewno.

Nawet jeśli ten zbieg okoliczności trochę mnie zirytował, to nie miałem powodu do niepokoju - artyści potrafią zrobić nawet dwadzieścia studiów do większego dzieła. Właściwie nie było tu nawet mowy o zbiegu okoliczności, ale i tak trochę się wkurzyłem.

- Wiem, co to znaczy Tour en bois - powiedziałem.

- Csiiii, skarbie. Oczywiście, że wiesz. Ale mimo wszystko spojrzij. - Widząc, jak zsuwał dłoni białe, bawełniane rękawiczki nigdy byście nie pomyśleli, że nie spędziła ostatnich dwudziestu lat pracując w Tate Gallery. Wzięła do rąk stary katalog i powąchała go jak kwiat róży. A potem jednym, miękkim ruchem odłożyła go na szarą serwetę, a pan Utamaro skłonił się raz jeszcze,

; tym razem z powagą, i włożył swój skarb z powrotem do torby.

Zapadły ciemności, a światła samochodów stwarzały na ścianie jeden wielki obraz jak płótna Jima Doolina, którego wypędzili z Melbourne w 1966 roku. Oczywiście, mogliśmy sobie po pro-

188

stu pójść, ale jednak przeszliśmy do niewielkiej wnęki, gdzie pan Utamaro uprzejmie napełnił po raz kolejny mój kieliszek, po czym opowiedział nam historię Tour en bois, quatre, które przybyło do Japonii razem z wystawą prac Dumonta, Legera, Leibovitza, Metzingera i Duchampa, zorganizowaną przez galerię Mitsukoshi po to, by zaprezentować Japończykom kubizm. Był rok 1913. Ojciec pana Utamaro sfotografował obrazy, po czym Jacques Leibovitz spotkał się z nim osobiście. I proszę, proszę, oto dodatkowy, specjalny eksponat - potężny japoński dżentelmen usadowiony u boku starego kozła na czarnym, ciężkim krześle w stylu empire, w eleganckiej restauracji.

- Wiesz, kto to jest, Michael?

- Oczywiście, że nie.

- To przyjaciel pana Utamaro, pan Mauri, który w 1913 roku kupił Tour en bois, quatre.

Przytaknąłem.

- Michael, przecież znasz jego syna.

- Nie sędzę.

- To on kupił całą twoją wystawę. Przecież ci mówiłam. - Wystarczyło zerknąć na to, jak bardzo się

zarumieniła, by zrozumieć, że wcale nie jest podekscytowana, ale raczej zdenerwowana. - Więc kiedy w końcu go poznamy, skarbie, może pokaże nam Tour en bois, quatre.

Spojrzałem na pana Utamaro i ukloniłem się na siedząco w nadziei, że to wystarczy jak na włochatego barbarzyńcę z Australii.

Marlene wstała. Pan Utamaro wstał.

Dzięki ci, Jezu Chryste, pomyślałem, już po wszystkim.

Jakże się myliłem.

Rozdział ziesty di

Marlene zapytała, czy pękam z dumy.

Odparłem, że cieszę się jak cholera, co było skandalicznym kłamstwem, ale zupełnie nie mogłem sobie pozwolić na szczerość. A prawda wyglądała tak, że jest kurewsko nieprzyjemnie oddawać wszystkie obrazy jakimś obcym ludziom. Do muzeum - okej, to zupełnie co innego. Ale z tego, co wiedziałem, mój nabywca pracował w jakiejś zwykłej, japońskiej korporacji. Prosimy, oferta specjalna: Empire State Building. Bierzcie tyle van Goghów, ile chcecie. Kupcie sobie nawet Leibovitza, cóż mnie to obchodzi? Ale co, do cholery, taki pan Mauri miał zamiar zrobić z Mówcą? Tak zwanej Powódce dostały się wszystkie płótna sprzed naszego małżeństwa, a teraz jakiś Japoniec zgarnął całą resztę. Już chyba nie można szybciej dać się wymazać z historii.

I wszystkie te niewdzięczne, paskudne myśli kotłowały mi się w głowie przez kolejne dwanaście godzin, to znaczy do momentu, gdy usiedliśmy razem do śniadania, na tatami, w towarzystwie czterdziestu Japończyków, którzy pili piwo i jedli surową rybę.

Wtedy nie wytrzymałem i wypowiedziałem głośno niewybaczną prawdę, a Marlene nachyliła się, żeby dotknąć moich rzeźnickich dłoni i przytuliła każdy ohydny, kiełbaskowaty paluch z osobna, jak gdyby to one stworzyły Ostatnią Wieczerzę. Na koniec, nie przerywając ani na chwilę pieszczot, zwróciła moją uwagę na jasne strony sytuacji. Na przykład przyznała, że po-| twierdziła kiedyś autentyczność obrazu Leibovitza dla Henry'ego J. Beigela, południowoafrykańskiego milionera, który, co wyszło na

190

jaw przy okazji, jakimś sposobem wszedł w posiadanie 126 obrazów amerykańskiego malarza Julesa Olitskiego. Beigel to ostatni łachmyta, powiedziała, ale miał oko, prawdziwe oko i powoli podciągnął ceny za Olitskiego do bardzo przyzwoitego poziomu. No i Beigel, podobnie jak Mauri, lubił kupować całe wystawy. Tak więc będąc na miejscu Julesa Olitskiego mógłbyś być pewien, że będziesz się dobrze sprzedawać i że twoje obrazy wylądują w przyzwoitych muzeach, dodała Marlene, mrugając bardzo długimi rzęsami, które we wszechobecnym świetle jarzeniówek wyglądały jak narysowane długopisem. Miałbyś zapewni-| ną przyszłość, i to nie przez jakiegoś żalostnego sprzedawczyka jak Jean Paul, ale przez wykształconego i pazernego kolekcjonera sztuki.

Owszem, zgoda, Henry Beigel, rozumiem, ale kim, do kurwy nędzy, był pan Mauri? Nie chciałem narzekać. Cieszyłem się, to jasne, cieszyłem się jak cholera. I czułem ogromną wdzięczność. Kochałem ją, nie tylko rzęsy i policzki, ale także delikatność, wspaniałomyślność, a nawet - chociaż to zabrzmiało dziwnie - jej przebiegłość. Należałem do niej, do tego szczupłego, zwiewnego ciała i niebieskich oczu bez dna.

Rano, po śniadaniu, razem powróciliśmy na miej sce zbrodni, do Mitsukoshi. Sądziłem, że poczuję się lepiej. Oboje tak sądziliśmy. Ale moje obrazy nagle wydały mi się obce i stracone na wieki, właściwie pozbawione znaczenia, jak smutne niedźwiedzie polarne w zoo w północnym Queensland. Co oni sobie myśleli, ci gapie? W końcu nie wytrzymałem i zacze piłem jednego gościa z blond pasemkami na głowie, ale to było dopiero później, po lunchu. Piłem, Marlene mnie uspokajała, a potem wyszliśmy na ulicę i pospacerowaliśmy trochę, nie odwiedzając po drodze barów.

Przefaksowane zaproszenie od pana Mauri już czekało w tak zwanym Ryokan. Składało się z dwóch stron, z których pierwsza przedstawiała delikatnie naszkicowaną mapę, a druga niezwykle formalny list, brzmiący jak parodia rządowych dokumentów.

191

Postanowiłem zgrywać dżentelmena i trzymać się z daleka od pana Mauri.

Marlene nie powiedziała ani słowa na tę wspaniałomyślną propozycję, tylko zaprowadziła mnie do pokoju. Potem odczekała jeszcze kilka chwil, zdjęła sandały i przykucnęła koło stoliczka.

- No dobra, Michael, koniec wygłupów. - Przeszyła mnie spojrzeniem wężowych oczu. - Po pierwsze, ten człowiek jest bardzo ważnym kolekcjonerem. Po drugie, prowadzę z nim mnóstwo interesów. Po trzecie, nie narobisz mi teraz wstydu.

W moim grzesznym, minionym życiu taki tekst doprowadziłby do ognistej awantury, która potrwałaby do wczesnych godzin rannych i zakończyłaby się moją wizytą w ukraińskim barze. Teraz spojrzałem na Marlene Leibovitz i powiedziałem: „Okej”.

-Co okej?

- Okej, nie przyniosę ci wstydu.

Było mi trochę głupio poddawać się bez walki. Wciąż z łatwością mógłbym doprowadzić się do furii, ale już sięgnąłem po marynarkę od Armaniego, a Marlene zaczęła wiązać mi krawat.

- Och - powiedziała. - Naprawdę cię kocham.

Z Marlene zawsze czułem się jak na wycieczce zagranicznej.

Oczywiście każdy oprócz mnie wie, co to Roppongi. To tu, w snobistycznej dzielnicy miasta, ojciec pana Mauriego prowadził słynny bar, ulubione miejsce nocnych pogawędek amerykańskich szpiegów, gangsterów i gwiazd filmowych. To ojciec pana Mauriego wymyślił, jak zjaponizować automat do gry w pinball: ustawił go tyłem do przodu, zmniejsz szył rozmiary, żeby więcej mogło się zmieścić na niewielkiej przestrzeni, po czym zainstalował chytry mechanizm złożony z miękkich pluszaków i kurewsko wąziutkich korytarzyków i tak narodziło się PACHINKO. Oczywiście był zbie rem, oszustem i prawdopodobnie mordercą, ale kolekcjonował sztukę na wielką skalę i znakomicie wychwytywał i rodzące się trendy. Syn wdał się w tatusia pod każdym wzglę- dem. Wizyta w gabinecie Mauriego juniora rozpoczęła się od

192

wyprawy do świata jego dziedzictwa, baru z menu wypisanym kredą na tablicy, paskudną pizzą włoskimi kulkami mięsnymi, nędznym wspomnieniem po kowbojskich latach okupacji.

O tej porze, zanim jeszcze do akcji wkraczało legendarne oświetlenie, Blue Bar Mauriego wydawał się tak

samo żałosny i nudny, jak teatr przy zapalonych światłach na widowni. Naprawdę trudno było zrozumieć, dlaczego ktokolwiek chciałby zapłacić dwadzieścia dolarów za martini w tej norze. I taki los zgotowali bogowie moim obrazom, jakież to przygnębiające. Wjechaliśmy windą na osiemnaste piętro, gdzie młody pan Mauri prowadził firmę o nazwie Korporacja Dai Ichi, przy czym Dai Ichi znaczy Numer Jeden.

Recepcjonistka, odziana w beznadziejny szary kostiumik, odznaczała się niezwykle fryzurą przypominającą hełm, wyjątkowo wydatną, spiczastą brodą i srogim obliczem, ale nie kazała nam się oglądać zbyt długo i niebawem zostaliśmy wprowadzeni do antyszambru, a następnie do samego gabinetu mojego nowego kolekcjonera. Nic w tym nudnym, aluminiowo-drewnianym wnętrzu nie sugerowało, że właściciel mógłby być obdarzony smakiem czy elementarną wrażliwością, co tylko spotęgowało moje zdziwienie zainteresowaniem, jakie w nim wzbudziłem. Pan Mauri okazał się być poważnym, uczonym trzydziestolatkiem.

W czasie rozmowy siedzieliśmy przy ogromnym, niemal pustym biurku, na którym leżała tylko teczka zawierająca oprócz wycinków prasowych na mój temat także niemałą kolekcję reprodukcji, które mój nowy patron, czy też właściciel, co jakiś czas badał pod światłem lampy, wygłaszając obszernie komentarze. Rozumiałem prawie wszystko i często potrafiłem nawet zidentyfikować źródło cytatu, jakąś pochwałę ze strony Herberta Reeda (1973), parę słów Elwyna Lyna (1973), urywek z Roberta Hughesa (1971). Zadumałem się nad japońskim systemem edukacji i zaletami uczenia się wszystkiego na pamięć. Zerknąłem na Marlene, ale unikała mojego wzroku. Siedziała przycupnięta na krawędzi obitego perkalem krzesła, z rękami złożonymi na kolanach i od czasu do czasu kiwała głową.

193

I znów utknąłem w czyimś gabinecie, patrząc jak mrok ogarnia Tokio, niebo za oknem wypełniające różowe i zielone światła neonów reklamujących bary sushi i tajskie masażytki. Pan Mauri zakończył prelekcję, po czym zaprowadził nas do sąsiedniego pomieszczenia, wyposażonego w wygodne, trochę za mocno wypchane fotele i udekorowanego paroma obrazami z początku dwudziestego wieku, w tym całkiem niezłymi Matisse'ami.

A obok lśnił złotą farbą w halogenowym blasku Tour en bois, quatre. Jeżeli przeżyłem ukłucie rozczarowania, to nie dlatego, że to było tylko studium. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, by runął mit Leibovitza-geniusza, jaki stworzyłem sobie jako nastolatek, zapatrzony w jedną, marną, czarno-białą reprodukcję. Wyobrażałem sobie coś nierealnego, transcendentnego, żarzącego się niezliczonymi pokładami koloru.

- Dobry Boże - powiedziała Marlene, po czym bez żadnych japońskich wstępów rzuciła się do płótna. Mauri natychmiast znalazł się przy niej; jak świnia przy korycie, pomyślałem. W jego dłoniach, złożonych za plecami, lśniły złote oprawki.

- Rany boskie - odezwała się znowu Marlene.

Czy to już wszystko, zapytałem w myślach. Płótno wydawało się takie codzienne, tu mały odprysk, tu zgrubienie na powierzchni kadmowej żółci. Wszystkie te drobiazgi, które każdy konserwator naprawiłby bez trudu, rzucały się w oczy jeszcze bardziej niż powinny z powodu koszmarnej ramy i naprawdę z trudem oderwałem się od obrazu marzeń z młodości. W końcu jednak zobaczyłem przed sobą te cudne, sprytnie, zwinne pociągnięcia pędzla, całą brawurę starego Leibovitza, który wkroczył na tereny niesyntetycznego kubizmu w czasach, gdy nawet Picasso jeszcze się na to nie odważył. I oto pośród stożków i cylindrów przebiegała prosta, wyraźna linia łącząca Cezanne'a z Leibovitzem.

- Mogę? - zapytała Marlene.

Zdjęła obraz ze ściany i obróciła go na drugą stronę.

- Spójrz - powiedziała do mnie. Pan Mauri delikatnie pochylił mi głowę, tak żebym mógł zobaczyć ukryte sekrety płótna, odbarwienia, ślady po stemplach i etykietach, pamiątkach po eks-
cjach i podróżach, japońskie znaki wybite na blejtramie, któ-

194

re, jak zgadywałem, pamiętało czasy wystawy w galerii Mitsukoshi w 1913 roku. Była też zasuszona mucha szypułkooka, której pewnie bym nie zauważył, gdyby nie tyle nocy, które spędziłem walcząc z tymi wrogami sztuki malarskiej. Zaraza złożyła jaja, po czym złapała się w pułapkę za płótnem Leibovitz'a i tam zdechła, a jej zwłoki wyschły i skruszały, ale przez tyle lat nie zostały przez nic pożarte. Ta smutna śmierć długo ciążyła mi na duchu.

- Może być problem - powiedział pan Mauri. - Nie chcę sprzedawać Japonia. - Uśmiechnął się krzywo.
- Japońskie ludzie nie lubią bardzo Leibovitz'a.

-Rozumiem.

- Może St. Louis?

Dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, co tu jest grane. Mauri prosił Marlene, żeby sprzedała jego obraz. Spojrzałem na nią, ale unikała mojego wzroku.

- Po pierwsze - odparła z lodowatym spokojem - trzeba go wywieźć do Nowego Jorku.

-Nie do Freeport?

- To niepotrzebne.

Pan Mauri zamilkł i popatrzył na płótno.

- Dobrze - powiedział, po czym ukłonił się Marlene, Marlene ukłoniła się jemu, a ja ukłoniłem się wszystkim.

I już po sprawie, pomyślałem. Pewnie trzeba będzie jeszcze załatwić jakąś robotę papierkową, jakiś podpis właściciela droit morale, ale certyfikat autentyczności został już wydany. Tyle to nawet ja załapałem.

Spodziewałem się, że pan Mauri zechce omówić z nami przebiegłe sposoby podbijania cen moich dziewięciu obrazów, ale nic podobnego nie nastąpiło i w kilka minut później j jeszcze raz przeszliśmy przez sławny bar, a po chwili znaleźliśmy się na ulicach, w centrum rozrywkowej dzielnicy miasta, pośród tłumów. Marlene wzięła mnie za rękę i uniosła ją wysoko w górę, ruszając

195

w podskokach w dół stromych schodów wiodących na stację Oedo.

- Co się stało? - zapytałem, kiedy wrzucaliśmy monety do automatu z biletami.

- Och, kochanie - powiedziała. - Jestem taka szczęśliwa. Tak bardzo cię kocham.

Odwróciła się do mnie, unosząc podbródek. Jej oczy były lśniące i przeźroczyste jak woda na schodach do metra.

- Zawróciłaś mi w głowie.

-No pewnie - odparła, po czym zaczęliśmy się całować, tam, na oczach tłumów, na oczach kanara w białych rękawiczkach, pośród mas rozrywkowych dziewcząt w krótkich spódniczkach, które przepychały się obok nas, nie wiedząc, że dotykają innych światów, nici historii, które prowadziły do Nowego Jorku, do Bellingen i do Hugh, bo zawsze jest jeszcze Hugh, siedzący na ścieżce z wózkiem pełnym lodu.

Rozdział ziesty zei

Jean Paul przyjechał mnie odwiedzić w spinkach do mankietów i cały wyperfumowany. Był wściekły, bo Marlene Leibo-vitz przesłała mu piętnaście tysięcy dolarów. Dlaczego czuł się urażony? Zapalił papierosa i dmuchał na mnie dymem.

Spędził całe rano W TOWARZYSTWIE PRAWNIKÓW. Chryste przenajświętszy, Marlene Leibovitz wyłudziła od niego zgodę na prawo do sprzedaży Mówcy w Japonii. A przecież ten obraz stanowił jego WŁASNOŚĆ. Nie zamierzał go sprzedawać ZA ŻADNĄ CENĘ, więc Marlene zachowała się jak KANCIARZ i WYŁUDZACZ. Jean Paul powiedział, że doniesie na nią do INTERPOLU, kiedy tylko wymyśli, jak to zrobić.

Podziękowałem mu za tyle dobroci i życzliwości - włożenie w dupę bez wazeliny - na co nasz patron natychmiast zażyczył sobie zobaczyć mój pokój. I zaraz pożałowałem, że otwierałem gębę, ale moje OSOBISTE DROBIAZGI leżały na swoim miejscu, łącznie z radyjkim, które dostałem od policjantów. Jean Paul zaraz zrobił zamyśloną minę, wsadził papierosa pod kran i powiedział, że martwi się o moje bezpieczeństwo. Ja na to, że Rzeźnik niedługo po mnie wróci, a on wtedy spojrział na mnie z taką litością, że coś mi się wywróciło w żołądku.

PARĘ MINUT PÓŹNIEJ zostałem poinformowany przez Jacksona, że moje łóżko będzie potrzebne dla nowego KLIENTA i muszę przenieść wózek do pomieszczenia gospodarczego, gdzie miałem mieszkać aż do czasu wyjaśnienia sytuacji. Mój brat ZALEGAŁ Z OPŁATAMI. Co teraz ze mną będzie? Rzeźnik zmusił mnie kiedyś do zamieszkania na tylnym siedzeniu swojego FC holdena. LEGALNIE pozostawałem pod jego opieką, kiedy pę-

197

tał się po ulicach St. Kilda, Mordiallac, wschodniego Caulfield i innych miejscach, dokąd zagnała go jego chuć i pogoń za kobietami, które zgodziłyby się, żeby położył im tę wielką, brzydką głowę między piersiami. Żółte latarnie, czerwone cegły, znaki PARKING, plamy z oleju na betonie i ani żywej duszy, nie licząc ŁAJZ i BEZDOMNYCH, WYGNAŃCÓW i WYRZUTKÓW, pętających się nocą po tym świecie.

Samochód cuchnął mokrymi petami, naciąkartofli, która kiełkowała w wilgotnej, przerdzewiałej podłodze i stertami gnijących gazet, a przez cały ten BURDEL nie dało się rozłożyć tylnego siedzenia, więc nie było mowy o spaniu.

W East Ryde, a nawet jeszcze w Bellingen i potem na Bathurst Street myślałem, że te czasy już minęły, ale los zgotował mi kwatery w pomieszczeniu gospodarczym, na końcu korytarza w kształcie litery L i jeszcze pięć stopni w dół po schodkach, obok pralni zatopionej w kwaśnych oparach czyszczonych szmat, gorszych niż WYZIEWY samochodu Rzeźnika. Zapytałem Jacksona, czy nie mógłbym dostać ładniejszego pokoju. Powiedział, że nie, a potem usiłował mi wcisnąć pieniądze z roboty na czarno, ale nie ośmieliłem się przyjąć.

Jak uważasz, powiedział.

Nie chciałem, żeby klienci wiedzieli, że mi płacą, więc z nikim nie rozmawiałem, a oni oczywiście uważali mnie za przyjaciela Jacksona i przez to mnie nie lubili. I tak z czystej głupoty zostałem zupełnie sam.

Tęskniłem za bratem i zastanawiałem się, czy kiedykolwiek usłyszy moje wołanie.

I Samson zakrzyknął O PANIE BOŻE, PAMIĘTASZ MNIE? I powiedział: PROSZĘ CIĘ, PRZYWRÓĆ MI SIŁY PRZYNAJMNIEJ NA TEN JEDEN RAZ. I UJAŁ SAMSON OBIE KOLUMNY, NA KTÓRYCH STAŁ CAŁY DOM, OPARŁ SIĘ O NIE: O JEDNĄ- PRAWĄRĘKĄ, O DRUGĄ- LEWĄ RĘKĄ.

Nie powinni byli mnie tak zostawiać.

Rozdział ziesty zwty

Pomknęliśmy metrem do Shinjuku i stamtąd ruszyliśmy zygzakiem ulicąpełnąbarów, a Marlene lśniła srebrnym blaskiem jak ryba pośród nocy, w górę, wspięliśmy się na schody, by dotrzeć do tej ogromnej, mrocznej, głośniejszaj krainy - Irasshaimase! - gdzie dawali gotowane grzyby, krewetki i coś, co moim zdaniem było kawałkami psich gówien, ale sake lała się równym strumieniem, a Marlene siedziała przy mnie, z twarzą zanurzoną w pomarańczowych ognikach, noc gwiazdzista, galileuszowskie niebo płonęło w jej migdałowych oczach. Kiedy wzniosła toast za moje zdrowie, przypomniało mi się, jak uniosła do twarzy katalog pana Utamaro, i delikatnie go obwąchała. Ten gest stawał mi przed oczami przez cały dzień. Marlene stuknęła moją czar-kę.

Twoje zdrowie, powiedziała. Wygrała tę bitwę. Pijmy za zwycięstwo.

Jeszcze nigdy nie wydawała mi się bardziej zadziwiająca ani piękniejsza. Miała długie strzępki grzybów w ustach, rozświetlone policzki, pachnącą szyję, pulsującą ciepłem i wrzała z pożądania.

- Dlaczego powąchałaś ten katalog?

Jej usta smakowały ziemiście i słodko zarazem. Pogroziła mi palcem, po czym napiła się jeszcze sake i położyła dłoń na moim udzie.

- Sam się domyśl - powiedziała, pocierając nosem o mój nos.

Marlene promieniała. Rozwrzeszczani kucharze pokroili ka-

łamarnicę i wrzucili cząstki na metalowąpatelnię, na której podskakiwały jak stwór rodem z piekła mojej matki.

199

- Katalog wcale nie jest stary? Ten cwany Japoniec Utamaro wydrukował go na twoje zamówienie?

Zamiast zaprzeczyć, uśmiechnęła się.

- Rany boskie! - wykrzyknąłem. - Rany boskie, ale z ciebie numer!

Wyglądała teraz cudownie, podekscytowana, ze lśniącymi wargami.

- Michael - powiedziała, przesuwając dłoń w kierunku mojego ramienia. - Czy teraz mnie znienawidzisz?

Opowiadałem tę przekłątą historię już tyle razy i przywykłem do niedowierzającego wyrazu twarzy słuchaczy. Muszę omijać jakiś istotny szczegół. Najprawdopodobniej ten szczegół to jakaś cecha mojego charakteru, wada przekazana mi za pośrednictwem parszywej spermy Białego Bonesa, złego nasienia, które padło na podłg glebę. Bo nigdy nikt nie mógł naprawdę poczuć, dlaczego jej wyznanie tak mną wstrząsnęło i

dlaczego chciałem pochłonąć na zawsze jej śliskie, miękkie, prężne usta, migoczące w świetle wiejskiej zabawy przy grillu nieopodal stacji kolejowej Shinjuku.

Zatem Marlene była kanciarą!

Co za koszmar! Ja pierdołę!

Tak: miała podejrzaną płótno, a raczej płótno z niejasną przeszłością. Tak: wymyśliła historyjkę o lipnym katalogu. Tak: było jeszcze gorzej. Rozumiecie, uprzejmie przepraszam wszystkich, których moja wypowiedź mogłaby dotknąć, ale bogaci kolekcjonerzy mogą zadbać o siebie sami, do jasnej cholery. Na przykład mogą wyłudzić ode mnie obrazy, kiedy jestem w dołku, i sprzedać je za grube baksy później. Trudno. Pies ich drapał. Marlene Leibovitz sfałszowała katalog, i to łącznie z tytułem (jak niebawem się dowiecie). Jednym ruchem przemieniła bezwartościowe, osierocone płótno w coś, za co ludzie chcieli płacić miliony dolarów. To Marlene orzekła, co jest autentyczne. Taki zawód.

- Czy w Tokio w 1913 roku w ogóle urządzono jakąś wystawę kubistów?

-Jasne. Diabeł tkwi w szczegółach.

- Masz wycinki? Był na niej Leibovitz?

200

Wtuliła głowę w mojąszyję.

- Japoński „Times”. „Asahi Shimbun” także.

Przez cały ten czas oboje się uśmiechaliśmy, nie mogliśmy się powstrzymać.

- Oczywiście akurat ten konkretny obraz Mauriego nigdy się na wystawie nie pojawił?

-Nienawidzisz mnie.

-Nikt jeszcze nie zrobił współczesnych reprodukcji, prawda? No i, naturalnie, gazety nie podają wymiarów obrazów.

- Nienawidzisz mnie teraz?

- Jesteś bardzo niegrzeczną dziewczynką - odparłem.

Ale w tym biznesie można spotkać tylu gorszych drani, bestie, złodziei we frymuśnych garniturkach, indywidua o jednym oku, spaślaków, zwracających uwagę na wszystko, tylko nie na właściwy obraz. O tak, katalog Marlene był podróbką, ale katalog to nie dzieło sztuki. Żeby oceniać obrazy, nie trzeba czytać żadnych pieprzonych katalogów. Trzeba patrzeć, patrzeć, jak gdyby zależało od tego nasze życie.

-Nie nienawidzisz mnie?

-Przeciwnie.

- Rzeźnik, pojedź ze mną do Nowego Jorku, proszę.

- Dobra, wpadniemy na dzień czy dwa.

Piliśmy. Wokół panował hałas. Dużo czasu mi zajęło, żeby zrozumieć, że ona nie ma na myśli jednego dnia. A

Marlene znów nie pojmowała, jak mogłem od razu tego nie pojąć. Czyżbym nie słyszał, co mówi? Czy Mauri prosił ją o sprzedaż Leibovitza? Ona prosiła, żeby Mauri przewiózł go do Nowego Jorku. Nie miała wyboru.

-To już wiesz, skarbie.

- Chyba wiem - odparłem, ale czułem już nosem kłopoty. Bo zawsze był jeszcze Hugh. Może i pisałem wam, że nie myślałem o nim od przyjazdu do Tokio, ale kto uwierzył w takie bzdury? Hugh, mój osierocony brat, mój podopieczny, syn mojej matki. Miał moje własne, zgarbione ramiona, mojądolną wargę, owło-

201

sione plecy i chłopskie łydki. Pojawiał się w moich snach, w odbitkach Hokusai, w dzieciennym wózku w Asakusa.

- Hugh jest w dobrych rękach.

-Może i tak.

- Lubi Jacksona.

- Może i lubi. - Ale nie chodziło tylko o Hugh. Myślałem o Marlene. I o tym, skąd ten obraz wziął się w Tokio. Fałszywy katalog twierdził, że przyjechał w 1913 roku. Ale przecież, o ile pamiętałem, wyglądał identycznie jak skradziony obraz, w każdym cholernym szczególe.

-Powiedz mi - objąłem jej obie dłonie jedną swoją. - Czy to jest płótno Dozy'ego Boylana?

- A pojedziesz ze mną do Nowego Jorku, jeśli powiem ci prawdę?

Kochałem ją. Jak sądzicie, co odpowiedziałem?

- Bez względu na to, jak ta prawda brzmi? - Jej uśmiech był cudownie nieokreślony, jak różana smuga, którą zazwyczaj daje się wytłumaczyć w terminach farby, dotknięcia kciukiem, krótkich, sztywnych pędzli.

- Bez względu na to - powiedziałem.

W jasnych, przepastnych oczach Marlene tańczyły odbite blaski.

- Jakiego wymiaru ma płótno Dozy'ego?

-To jest mniejsze.

Wzruszyła ramionami.

-A może to jaje zmniejszyłam?

-Niemożliwe.

- Rzeźnik, proszę cię. Jeszcze tylko parę dni. Zostaniemy w Plaża. Hugh nic nie będzie.

Marlene, sekretarka bez matury i wychowanka Milтона Hes-sego, mogła sobie zostać wbrew wszelkim oczekiwaniom najlepszym ekspertem od Leibovitza, ale o moim bracie nie wie-, działa nic. Ja nie miałem takiej wymówki.

Rozdział ziesty iąty

X tak pięknego, wrześniowego popołudnia, za panowania Ronalda Reagana, znaleźliśmy się w sercu imperium. Przez chwilę wszystko szło mniej więcej jak trzeba, ale nagle, w wypożyczalni aut, zaczęło się sypać. Australijska karta bankowa Marlene została odrzucona przez wysoką Murzynkę w rogowych okularach i z cienkimi, szyderczymi ustami.

- Dobra - powiedziała. - Poproszę inny kolor.

Po osiemnastogodzinnym locie włosy Marlene wyglądały jak zboże po przejściu huraganu.

- No, proszę spróbować jakąś inną, jakąkolwiek.

- Mam tylko tę jedną.

Urzędniczka zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, oceniając wszelkie walory, przygaszone nieco długą podróżą.

- Mhm - mruknęła, po czym po sekundzie wahania wyciągnęła rękę w moją stronę.

- Nie, ja w ogóle nie mam kart.

- Ach, pan nie ma kart. - Uśmiechnęła się. - Pan nie ma kart.

Nie zamierzałem jej tłumaczyć, jak przebiegał mój rozwód.

- Czyli żadne z państwa nie posiada karty kredytowej? - powiedziała, po czym potrząsając głową zwróciła się do faceta stojącego za mną.

- Następny proszę.

Oczywiście miałem dwieście tysięcy dolarów, ale nie przy sobie. Co do karty Marlene, to ktoś coś spieprzył w biurze pana Mauri albo w banku, w każdym razie nie mogliśmy tego ustalić, bo w Tokio wybiła właśnie trzecia nad ranem. Zresztą, niech to cholera, zadzwoniłem do Jeana Paula, owszem, na jego koszt,

203

ale dopiero co przesłaliśmy draniowi piętnaście tysięcy dolarów - całą moją zaliczkę - za Mówcę, więc i tak zarobił na straconym obrazie. W Sydney dochodziła piąta rano, zgoda, trochę wcześniej, ale to jeszcze nie powód, żeby niszczyć mi bębunki wrzaskami na temat sądów, po których zamierzał mnie włóczyć. Nie przerywałem patronowi potoku bluzgów, bo to w końcu on płacił. W końcu trochę się uspokoił, ale po chwili zaczął psioczyć na Hugh, który rzekomo dewastował jego „ośrodek”.

- Zerwał ze ściany suszarkę do bielizny.

- Co ja ci poradzę? Jestem w Nowym Jorku.

- Pierdol się, złodzieju. Zaraz każę go zamknąć, i to dla jego własnego dobra.

Po tym, jak mój patron trzasnął słuchawką, udałem się z Marlene do baru i wypłem pierwszego budweisera w życiu. Smakował jak kocie szczyny.

- Nie martw się - powiedziała Marlene. - Jutro wszystko wróci do normy.

Aleja myślałem o Hugh. I chociaż trzymałem Marlene za rękę, przez cały czas byłem sam, sam ze swoim wstydem i znużeniem. W takim stanie przejechaliśmy autobusem na stację Ne-wark, potem do Penn, a

potem cuchnącym pociągami numer dwa na Times Square, skąd jakiś wariacki wypacykowany graffiti pojazd zabrał nas na Prince Street. Wylądowaliśmy w Soho, ale nie w tym Soho, gdzie kupuje się Comme de Garçon. Właściwie nie miałem pojęcia, gdzie jestem, wiedziałem tylko, że zrujnowałem mojemu bratu życie i że syreny wyjąk oszalałe, a taksówki za cholere nie chcą się zamknąć i gdzieś niedaleko czekało schronienie. Marzyłem o dżinie, toniku i wielkiej, chrzęszczącej garści znieczulającego lodu.

O zmierzchu dotarliśmy nareszcie na róg Broome i Mercer, w porze, gdy fabryki metalowych płyt toną w mroku, prąd jest wyłączony i tylko sieć schodów przeciwpożarowych wysyła ostatnie filigranowe błyski pełgające po zgaszonych obliczach fabryk.

204

Na rogu Mercer Street Marlene oświadczyła niespodziewanie: „Teraz stanę ci na ramionach”.

Posłusznie wyciągnąłem ręce i Marlene Cook wspięła się na mnie jak napastnik na polu karnym na stadionie krykietowym w Melbourne. Po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak wiele tajemnic pozostaje jeszcze przede mną zakrytych. Moja towarzyszka oparła się o moje dłonie, po czym z wielką torebką wciąż przewieszoną przez ramię wskoczyła mi na ramiona. Ważyła najwyżej czterdzieści siedem kilo, ale odbiła się z takim impetem, że moje kolana zdrząły jak uschłe łodygi pod ciężarem makówek. Zanim zdążyłem dojść do siebie, Marlene już wspinała się na zardzewiałą drabinę, po czym przelazła zygzakiem po stiuko-wych ornamentach w stronę okna na piątym piętrze. Usłyszałem pyknięcie wyważanej antywłamaniowej szyby, jak gdyby zablokowana arteria nagle została udrożniona. Rany boskie, kim jest ta kobieta?

W oddali pojawił się wóz policyjny, jechał wolno, od czasu do czasu mrugając światłami. Kim właściwie byłem ja, do cholery? Miałem wyłącznie japońskie pieniądze. Mój paszport został razem z bagażem w szafce na stacji Penn. Z mrocznych niebios spadł srebrny klucz i odbił się od bruku. Samochód zahamował wyczekująco. Wszedłem w smugę światła rzucaną przez reflektory, podniosłem klucz, po czym wycofałem się w ciemność. Samochód powoli ruszył naprzód, ciągnąc za sobą snop światła jak zerwany łańcuch kotwiczny.

Nie, to nie było Sydney. To rzucało się w oczy.

- Chodź na górę - zawołała moja kochanka. - Piąte piętro.

Po drugiej stronie drzwi ziały nieprzeniknione ciemności, więc powoli wspinałem się po schodach. Minąłem podest pokryty obrzydliwym, śmierdzącym papierosami dywanem, potem kolejny, cały w rozłożonych kartonach, aż wreszcie na czwartym piętrze dostrzegłem migoczące światełka świec, które wydobywały się zza uchylonych, sponiewieranych, metalowych drzwi.

-1 jak ci się podoba?

205

Było prawie pusto i prawie biało. Marlene stała w samym środku, jej wielka, czarna torebka leżała za nią na podłodze, pod wielkim oknem z szerokim parapetem, pośród chaosu drewnianych drzazg, które znaczyły jej przejście.

Na parapecie leżał porzucony łom, pieprzony, stalowy pręt z zakrzywionym szponem do wrywania gwoździ na jednym końcu i śmiercionośnym, zwężonym czubkiem na drugim.

- To twoje, skarbie?

Wzięła go ode mnie bez jednego słowa.

- Kto tu mieszka? - zapytałem, patrząc, z jaką wprawą Marlene obchodzi się z łomem.

Przypatrywała mi się uważnie, marszcząc brwi.

- Departament do spraw Sztuki Rządu Nowej Południowej Walii - odparła. - Udostępniają na gościnną kwaterę dla artystów.

- Tylko gdzie ten artysta?

- A ty? - zbliżyła się w błagalnej pozie, pochylając ramiona, by lepiej dopasowały się do mojej klatki piersiowej.

- Kto tu mieszka - powtórzyłem, wrywając Marlene łom.

Zraniłem ją w rękę, ale tylko się uśmiechnęła, delikatna i obolała jak rozbita brzoskwinia na trawie.

- Skarbie, jutro przyjdą pieniądze z Tokio.

- Jutro muszę lecieć do domu.

- Michael - powiedziała. A potem pękła i zaczęła szlochać. Gaudier-Brzeska, Wyndham Lewis, siatka szczelin na marmurowym obliczu, uroda niszcząca samą siebie, skalana rysami i uszkodzeniami, oczy ukryte w jamach jak zwierzęta, Boże zlituj się, odrzuciłem żelastwo daleko za siebie i przytuliłem ją do siebie, tak niewiarygodnie malutką, obejmując dłońmi jej główkę. Marzyłem, by opatulić ją kocem.

- Nie j edź - powiedziała.

-Tomój brat.

Spojrzała na mnie przez łzy.

- Sprowadzę go tutaj - oświadczyła nagle. - Nie, nie - zaprotestowała, widząc mój nieprzyjemny uśmiešek. - Naprawdę, sprowadzę. - Złożyła ręce jak do jakiejś buddyjskiej medytacji. - Mogę to załatwić. Olivier go przywiezie.

206

Och, nie, pomyślałem, tylko nie to.

- Olivier też przyjeżdża?

- Oczywiście. A coś ty myślał?

- Nic na ten temat nie mówiłaś.

- Przecież to Olivier jest właścicielem droit morale. Ja sama nie mogę niczego podpisać.

- Przyjeżdża tu? Do Nowego Jorku? - bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

- A jak inaczej miałam to załatwić? No, naprawdę, jak tyś to sobie wyobrażał?

- Wyobrażałem sobie, że to taka romantyczna włóczęga.

- Bo jest - odparła. - Bo jest.

I po to zdradziłem matkę i brata? Pierdolony O1ivier miał być świadkiem cudzołóstwa?

-Nie waż się ze mną pieprzyć, Marlene.

Jako nieodrodny syn Białego Bonesa, nawet nie wiem, co mówiłem później. Na pewno cisnąłem paskudnym żelastwem o ścianę.

- Co to jest - ryknąłem. - Co to, kurwa, jest?

-Nie wiem.

- Jasne, że wiesz.

- Chyba nazywa się łom.

-Chyba?

- Tak.

-1 nosisz to w torebce?

- Do stacji Penn trzymałam go w bagażu.

-Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

- Gdybym była facetem, nigdy byś mnie o to nie zapytała.

I wtedy wyszedłem. Znalazłem sobie bar o nazwie Fanelli gdzieś na Prince Street, gdzie obsługa uprzejmie pozwoliła mi zapłacić tysiąc jenów za szklaneczkę whisky.

Rozdział ziesty zty

Pewnej niedzieli w Marsh.

Pewnej niedzieli w Marsh zjawił się biskup, wygramolił się z zakrystii jak krab, rano jeszcze mieszkał w Sydney, ale wcześniej był torturowany przez chińskich komunistów. Rozsiekali mu biczami skórę na plecach, a obnażone ciało wyschło i zaskorupało jak droga Morrisona przeryta śladami wielkich opon, wysychającymi po deszczu na kamień. Po pierwszym psalmie wyjaśnił, dlaczego nie należy głosować na Australijską Partię Pracy, a potem zdjął sutannę NA OCZACH WIERNYCH i matka powiedziała wtedy - Panie bądź nam miłościw, ale tatuś ograniczył się do pytania, kiedy biskup jadł śniadanie, skoro był w Sydney.

Co to za pytanie?

Jak długo trwa lot z Sydney?

Godzinę, odpowiedział biskup.

Matka kopnęła ojca pod ławką, ale on, Biały Bones, miał w nosie opinie ludzi Kościoła i z całą pewnością nie zamierzał dostosowywać swojego zachowania do wymogów stawianych przez damskie czółenka rozmiar cztery. Nasz ojciec należał do INDYWIDUALNOŚCI miasteczka. W oczach mojego ojca godzinna podróż z Sydney to był jakiś cholerny cud, więc domagał się odpowiedzi biskupa - jak minął lot, czy bardzo trzęsło?

Biskup na to, że nie bardzo.

Pan Bóg jeden wie, co by powiedział mój ojciec, gdyby wstał z grobu i zobaczył mnie uwięzionego w pomieszczeniu gospodarczym w domu opieki Jeana Paula. Na pewno spuściłby mi niezłe MANTO za zniszczenie PRYWATNEJ WŁASNOŚCI. W po-

208

rządku. Dopiero po wymierzeniu sprawiedliwej kary zrozumiałby, że Rzeźnik uciekł do Nowego Jorku i znowu mnie porzucił.

To by do niego dotarło. Aha, powiedziałyby, a jak długo tam się leci?

Trzynaście godzin.

Wielkie nieba.

Mój tatuś TO BYŁ GOŚĆ, jak mówią. Wszyscy go pamiętają. CZEMUŚ MNIE OPUŚCIŁ?

Rzeźnik Bones twierdzi, że policjanci to małe Hitlerki, ale kiedy zalegałem z opłatami w Domu Opieki, wcale nie uznali mnie za przestępcę. Dopóki siedziałem w pomieszczeniu gospodarczym, wszystko grało. Przynosili mi różne ciekawe przedmioty, które odkryli przy okazji podróży, w tym miśka z jakiegoś barku z pączkami.

Mój ojciec był twardym facetem, który żył w epoce cudów i zadziwienia. Olśnienie naszło go tej nocy, kiedy rozważał cud CHŁODZENIA. Przed erą chłodziarek musiał jeździć do Ma-dingley, żeby złapać pociąg do Melbourne i przywieźć lód do komory chłodzącej. A potem zjawily się lodówki; EUREKA myślicie sobie, ale tymczasem PRZECIĘTNI KLIENCI wcale nie lubili schłodzonego mięsa i kupowali tylko to, które wisiało na hakach na miejscu u rzeźnika, KRETYNI, jak mawiał tata. Zawsze popierał postęp, nawet kiedy chodziło o poszerzenie głównej ulicy i wycinanie drzew. Mój ojciec był REALISTĄ i wszyscy o tym wiedzieli. W końcu przez te drzewa liście zatykały odpływy rynsztoków, jak tata wielokrotnie podkreślał w czasie rozmów w barze hotelu Royal.

Siedziałem na krześle przed sklepem, wiele lat temu, dobry Boże, jeszcze żył wtedy Biały Bones. Przyjechali tacy dwaj faceci z Melbourne, mieli samochód marki HOLDEN, o której usłyszałem wtedy po raz pierwszy w życiu. Jeden nosił garnitur w pa-seczki, a drugi szorty w szkocką kratę, boki można było zrywać na ich widok. I ten w garniturze chciał mi zrobić zdjęcie. Nie rozumiałem do końca O CO CHODZI, więc zawołałem ojca i poznałem po minie, że się zgodził, to była para PEDZIÓW, ale jemu to nie przeszkadzało, bylebyśmy mogli pozować razem, ojciec

209

i syn. Pedzie mieli taki aparat POLAROID i po zdjęciu stanęliśmy wszyscy dookoła, a ja patrzyłem na fotografię, na której powoli pokazywał się mój obraz, jak topielec wypływający na powierzchnię kanału.

No popatrz tylko, powiedział tatuś, widzisz, kompletnie do niczego.

Od razu zobaczyłem, o co mu chodzi, bo na zdjęciu z Białego Bonesa widać było tylko fartuch. Oni wtedy zgodzili się zrobić jeszcze jednego Polaroida i tata mógł go zatrzymać, proszę bardzo, nie ma sprawy.

Więc zrobili portret, dokładnie taki, jak sobie Biały Bones zażyczył, a potem wręczyli mu go w prezencie i ZMYLI SIĘ nie wiadomo dokąd.

Spójrz tylko, powiedział ojciec, wpatrując się we własną podobiznę. Miał twarz jak siekiera i wściekłe czerwone oczy, ale kiedy położył odbitkę na półce, stał się innym człowiekiem. Spójrz no tylko, powtórzył. Przekrzywił głowę. Prawie się uśmiechnął. No spójrzcie tylko, kurwa jego mać.

Później Polaroid zaczął blaknąć, a potem było jeszcze gorzej, bo nie minął nawet tydzień, jak zdjęcie kompletnie WYPAROWAŁO. Myślelibyście, że ojciec dostał furii, ale nie, nic z tych rzeczy, a Polaroid leżał na półce, dopóki tylko ojciec żył, i czasem widziałem, jak zerka na to zdjęcie, jak gdyby sprawdzał coś na barometrze albo na zegarze. A potem umarł, wszystko przepadło i chwasty zakradły się przez podłogę do naszej sypialni.

Siedziałem w pomieszczeniu gospodarczym przez wiele dni, czekając, aż mój brat ureguluje ZALEGŁE NALEŻNOŚCI. To był paskudny pokój z umywalką, koszem i termą gazową, która potrafiła zaryczeć nagle w środku nocy. GRRUUUCH. GRRU-UUCH. Ratuju, Panie Boże. Ustawiłem sobie misia i wieniec i jeszcze zainstalowałem radio, które co prawda nie grało, ale widok zielonego światełka bardzo mnie uspokajał.

Pewnego ranka otworzyłem oczy i zobaczyłem parę unoszącą się z prania, promienie słońca, które przesywały chmury i NIEBIAŃSKĄ ISTOTĘ, wprowadzie PŁCI MĘSKIEJ, ale pięk-najak na słynnym obrazie FILIPPINO LIPPIEGO - miał garni-

210

tur barwy srebrnego pyłu, jak spodnia strona skrzydeł ćmy, umieraj ącej w blasku boskiej światłości.

I tak oto odsunięto kamień i podążyłem za nim korytarzem, na którym co krok pojawiali się ludzie, ostrzegający mnie, że zaraz potknę się o kabel zwisający z radia. Musiało być przed ósmą, bo Jackson ciągle siedział za biurkiem.

Daj mu jego pieniądze, powiedziała niebiańska istota.

Jackson wręczył mi kopertę. Bez urazy, stary, dodał.

Na zewnątrz czekał na mnie biały mercedes benz, jak gdybyśmy jechali na ślub. Usiadłem obok Istoty. Miała ciemne, lśniące loki, świeżo zakręcone i ułożone. Bardzo mi miło cię poznać, powiedział anioł. Zdaje się, że będziemy razem podróżować.

Święci pańscy. Podróżować? Dokąd? Nagle zacząłem się bać.

Nazywam się O1ivier Leibovitz i dzisiaj zabieram cię do Nowego Jorku. Nie, no, wybaczenie, ale myślałem tylko o tym, że mój brat PIEPRZY jego żonę. Może powinienem mu o tym powiedzieć? Co by się ze mną stało? Na razie powiedziałem, że nie wziąłem swojego krzesła i że muszę po nie wrócić.

W Nowym Jorku jest mnóstwo krzesel, mówi na to anioł, kupię ci coś na bazarze przy trzeciej zachodniej.

Na Międzynarodowym Lotnisku Mascot O1ivier zażył pastylkę. Proszę, ty też lepiej weź. Dał mi colę i dwa lekarstwa. Połknąłem oba naraz, po czym odkryłem nagle, że mam paszport. Wcześniej nie wiedziałem nawet, jak paszport wygląda. Wsiadając do samolotu myślałem o ojcu.

Spytałem O1iviera, jak długo leci się do Ameryki.

Trzyście godzin do Los Angeles. Boziu kochana, mój biedny, kochany, zmarły tatuś. On by tego nie zniósł, nie zniósłby widoku mnie w fotelu w samolocie.

Rozdział ziesty iy

tamtych czasach w Soho były tylko dwa bary. Jeden nazywał się Kitty's, a drugi Fanelli 's, i to w tym ostatnim w pół godziny później znalazła mnie Marlene z bardzo podpuchniętymi oczami. Zjawiała się przy moim stoliku bezszelestnie jak ćma, przynosząc dwa Samy Adamsy, z których jednego po chwili wahania postawiła mi przed nosem.

- Kocham cię - powiedziała. - Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Przeniknięty uczuciem, nie odważyłem się odezwać.

Wślizgnęła się na ławę naprzeciwko i uniosła butelkę do ust.

- Ale nie możesz mnie kochać, nie wiedząc, z czym się związałaś.

Dokładnie o tym myślałem. Wypiłem łyk piwa.

-1 dlatego zamierzam ci wszystko wyjaśnić. - Ostrożnie odstawiła butelkę na stół. - Wiesz - podjęła po chwili milczenia - gdy zobaczysz mnie po raz pierwszy... W tych idiotycznych butach, które wprawiły cię w takie podniecenie.

-Były okropne.

- Owszem. Aleja nie jestem. Nie myśl tak o mnie, nie zniosłabym tego. I nie martw się o Hugh. Ja się nim zajmę.

Prychnąłem z niedowierzaniem, ale muszę przyznać, że Marlene mnie wzruszyła. Jeszcze nikt nigdy nawet nie udawał, że zamierza zrobić dla mnie coś takiego.

- OHvier zatwierdził autentyczność obrazu Dozy'ego Boylana -powiedziała w końcu. - Musiałam wyjechać, a kiedy wróciłam do Australii, już było po wszystkim. Jezu! Co za kretyn. Boylan przyjaźnił się z klientem O1iviera i O1ivier wstydził się przyznać, że nie ma za grosz pojęcia o dorobku ojca.

212

- To słynny obraz. Gdzie tu ryzyko?

- Gdyby Olivier zdołał wyrzeć poza koniec własnego nosa, zauważyłby, że został odrzucony przez Muzeum Sztuki Współczesnej. Innymi słowy, cisnęli go do kubła.

- Wiem, co to znaczy, skarbie.

- No więc rozumiesz także, że to powinno być dla niego światło ostrzegawcze. Dlaczego właściwie odrzucili? Nawet O1ivier mógł sobie zadać takie pytanie.

- Ale sama mówiłaś, że płótno jest w porządku. To jedna z pierwszych rzeczy, jakie w ogóle od ciebie usłyszałem. „Teraz pan Boylan nareszcie wie, że jego Leibovitz jest autentyczny”.

- Ćśśś, posłuchaj. - Ścisnęła moje dłonie między swoimi i uniosła je do ust. - Posłuchaj mnie, Michael. Mówię prawdę.

- Ten Leibovitz to lipa? Tak?

- Moim zdaniem? To niedokończone powojenne płótno, zgarnięte przez Dominique i Honore tej nocy,

kiedy stary cap umarł.

- Kurwa, Marlene!

- Ćś. Uspokój się. Obraz nie był cenny, ale oni zaczęli przy nim majstrować, aż stał się cenny. Datowali go na 1913 rok. MOMA rzuciła się na niego, ledwo ukazał się na rynku w 1956 roku. Pochodził wprost ze schedy malarza, miał nie budzącą wątpliwości przeszłość i niezłe reprodukcje. Ale też został niezłe podrasowany. Honore oczywiście wiedział dokładnie, gdzie i w jakim stopniu poczyniono poprawki. Nie potrzebował w tym celu prześwietleń, Dominique pewnie zrobiła to na jego oczach.

- Ale przecież znalazłaś rachunki za farby w archiwum? O kurwa. Sama je sfalszowałaś?

- Skarbie, proszę, nie myśl o mnie źle. Naprawdę nie zawsze byłam taką oszustką. Mogliśmy po prostu wykupić płótno od Boylana, ale kto by nam pożyczył półtora miliona dolarów na ten cel?

- Tak więc podrobiłaś rachunek za tytaniczną biel.

- To było jak hamowanie przecieku gumą do żucia. Przez jakieś dwa dni obraz znowu miał wszystkie papiery w porządku.

213

Ale w każdej chwili mogli zrobić prawdziwe prześwietlenie i zobaczyć, że, wybaczyć, ale jest kompletnie popieprzony.

Nagle zrozumiałem.

- Obraz został ubezpieczony. Więc załatwiłaś, żeby go ukradli.

Jej oczy stały się nieco zamglone, a światła dobiegające z Prince Street były delikatne i błękitne. Cały czas, opowiadając tę historię, wydawała się zrozpaczona, więc dopiero po chwili zauważyłem cień uśmiechu gdzieś w kątku jej warg.

- Ukradłaś go osobiście.

-No cóż, Olivier umył ręce.

- Przeszłaś milę przez busz, po nocy?

W Nowym Jorku zaczęło padać. Wielkie, nabrzmiące krople uderzały w okno Fanellię i rzucały cienie na parkiet i na tę cudowną, samotną twarz. A Marlene opowiadała dalej, co chwila wypatrując mojej reakcji, jak to zapłaciła gotówką za parę wzmocnionych rękawic ogrodniczych, zestaw śrubokrętów, nóż do dywanów, przecinak do drutów, dłuto do drewna, wyciągacz do gwoździ, latarkę, rolkę taśmy i łom. Na dwa dni zamieszkała w motelu w Grafton i kiedy Dozy wyjechał do Sydney, pojechała jedną z tych cudownych tylnych dróg prosto do Ziemi Obiecanej. Zaparkowała wynajęty wóz na porzuconej dróżce dojazdowej, skąd ruszyła na przełaj krawędzią uskoku i chociaż z trudem udało jej się zlokalizować właściwy słup, potem bez problemu wspięła się na szczyt i odłączyła prąd i telefon.

- Skąd wiedziałaś, jak to wszystko zrobić?

Wzruszyła lewym ramieniem.

- Przygotowałam się.

Gdy dotarła do frontowych drzwi Dozy'ego, noc wyglądała już jak deszcz kryształowych gwiazd na tle aksamitnego nieba. Pracując jedynie przy świetle księżycy i innych ciał niebieskich, udało jej się za pomocą tomu wypchnąć listwy szklanych paneli w drzwiach. Zapamiętałem to z raportu prasowego, miejscowi detektywi twierdzili, że włamywacz cierpiał na „obsesję na punkcie

214

porządku". Marlene zostawiła listwy ułożone równiutko na zlewie.

Dozy już wcześniej pokazał jej dokładnie, gdzie trzyma obraz i jak go zabezpiecza. Teraz przecięła kable piłą do metalu, po czym ostrożnie zdjęła ramę, która zawsze ją drażniła. Owinęła obraz w kilka poszewek na poduszki, okręciła taśmą, po czym ruszyła z powrotem przez busz.

-I co dalej?

Opuściła głowę, w jej otwartych szeroko oczach pojawił się chłód.

- Czy ty jeszcze chcesz mieć ze mną coś wspólnego? To jest właściwe pytanie.

Powinienem być przerażony, ale nie byłem.

- Muszę najpierw wysłuchać całej historii.

Uniosła brwi.

- Chcesz zeznanie na piśmie?

- Chcę całą prawdę.

-Ach tak, no proszę - powiedziała, trochę zirytowana.

- Pamiętasz, jak przyszedł do mnie po raz pierwszy i zobaczyłaś, nad czym pracuję?

- Nigdy nie kłamałam na temat twoich obrazów. Nigdy przenigdy.

- Nie mam na myśli płótna.

- Tak, tak, pokazałeś mi prześliczne rysunki owadów.

- Szkice różnych much, os, trochę motyli...

- Mhm, pamiętam, jak pomyślałam sobie, dzięki Bogu, rysować to on umie. - Zaczerwieniła się. - Poniosło mnie.

- Między innymi pokazałem ci szkic muchy szypułkookiej.

- Michael, już mi to opowiadałeś. Ta mucha nazywa się Boro-bodur i występuje bardzo rzadko, a jednak Boylan złapał ją pod domem.

-Borboroidini. Mucha wombacia.

-Wiem, wiem.

- Kiedy oglądaliśmy Tour en bois, quatre, w gabinecie pana Mauri, z tyłu, za blejtramem była stara pajęczyna ze złapaną muchąszypułkooką. To typowo lokalny, australijski owad.

Dopiero po chwili do niej dotarło, o czym mówię, ale chyba nawet się ucieszyła.

- Jesteś bardzo inteligentny - powiedziała z uśmiechem.

- Owszem, jestem.

-No to teraz powiedz mi, skarbie, jak zmniejszyłam ten obraz?

- Ty mi powiedz, kochanie.

Dokładnie w tym momencie ktoś zgasił światło w barze. Marlene nachyliła się nad mokrym, laminowanym stolikiem i pocałowała mnie w usta.

- Musisz sam się domyślić - powiedziała.

Wybiła godzina zamknięcia, więc wyszliśmy chwiejnie na ulicę, po czym powlekliśmy się po śliskich kocich łbach w stronę naszego ponurego, ciemnego strychu. Właściwie nic już nie mówiliśmy, ale tej nocy kochaliśmy się tak rozpaczliwie, jakbyśmy chcieli rozdrzeć nasze zrosnięte ciała, na śmierć, na zatracenie. Ukryć się w cudownej tajemnicy skóry.

Rozdział trzydziety

Siedzenie było za wąskie, a sufit za niski, ale Olivier dał mi kolejne dwie żółte pastylki i właściwie zaczęło mi się podobać to podróżowanie nad chmurami. Ojciec nigdy czegoś takiego nie widział. Przez całe życie. Królowie Anglii nie mieli o tym pojęcia. Nikt z całej Biblii nie oglądał niczego podobnego, chyba że Pan Bóg zapewnia takie widoczki w czasie WNIĘBOWSTĄPIENIA. Biały Bones nawet sobie nie wyobrażał, jak ja, ROZCZAROWANIE jego życia, wiszę wysoko nad ziemią pośród aniołów i cherubinów i tańczę po niebie jak piłeczka ping-pongo-wa, z odsłoniętym sercem, pompującym krew.

W nocy moja dusza zanurzyła się w wieczystej rzece niebios jak strzęp bibuły wrzucony do kałamarnicy. Olivier nie mógł wyglądać przez okno, bo podobno przypominał sobie wtedy, że jest niczym. Powiedział, że właściwie to może sobie być niczym. Chce tylko Marlene. Nie obchodziło go, że podpaliła liceum w Benalli. Początkowo ta informacja przyprawiła go o szok, ale przestał się przejmować. Palenie szkół to świetna sprawa.

Kelnerka zaproponowała mu drinka, ale powiedział, że już i tak ma niezły odlot. Ja poprosiłem o piwo.

Olivier pachniał kosmetykami i talkiem jak PUPCIA NIEMOWLĘCIA. Odkąd tylko przyjechaliśmy, panie kelnerki NIE ODSZĘPOWAŁY GO na krok. Kiedy zdejmował tę prześliczną, białą marynarkę, zobaczyłem delikatny, srebrny błysk, lśniące stworzonko, które wyleciało z głębi nocy i przycupnęło na ścianie nad łóżkiem kobiety.

Szepnął do mnie, że ma w nosie, czyjego żona jest PSYCHOPATYCZNĄ OSZUSTKĄ, ale nie może znieść jej litości. Cze-

mu Marlene nie umie się zachować jak normalna kobieta i po prostu wyrzucić go na bruk?

I dodał jeszcze, że Marlene kocha albo mojego brata, albo jego obrazy, ale nikt się nie dowie, które z tych dwojga. Ona jest romantyczną naiwniaczką i nie ma pojęcia, jacy dranie siedzą w artystach, powiedział.

Powiedziałem, że ja coś o tym wiem.

Olivier na to, że on wiedział od urodzenia.

Ja tak samo. A jak usłyszałem jeszcze, że jego ojciec był egoistyczną świnią, uściśnałem mu dłoń.

Kelnerka przyniosła kolację na tacy. Olivier zdecydował, że chce CHOTAPEG, a skończyło się na samej whisky. Ja piłem piwo.

DWA CZTERY SZEŚĆ OSIEM NIE DŁUB W NOSIE BOŚ NIE PROSIĘ.

Olivier podtubał w swoim KRÓLIKU, ale po chwili miał dosyć i zaczął ustawiać butelki w szachownicę na tacy.

Zapytał, czy opowiedzieć mi o swoich pigułkach.

Zgodziłem się.

Zaczął wychwalać TEMAZEPAM, ale powiedział, że ATI-VAN też jest w porządku i czy nie strzeliłbym sobie YALIUM. Na tym się nie skończyło. Najpierw poszły te, których nazwy przynajmniej znałem, ale Olivier zażywał jeszcze ADDERALL. A potem połknął tabletkę CODIS i jeszcze jedną czy dwie kapsułki i popił tasmańskim pinot noir, mówiąc, że wino SPOTĘGUJE efekt pigułek.

Tylko nie pomyśl sobie, że jestem pijus, kochany Hughie. Ja po prostu cierpię. Kocham ją ale to straszna, potworna kobieta.

Nie wiedziałem, co mówić, bo Marlene była mojąprzyjaciółką i w dodatku ona i mój brat PIEPRZYLI SIĘ JAK KRÓLIKI, nie bez mojej wiedzy. Ile razy musiałem wciskać głowę pod poduszkę, żeby zagłuszyć hałas. W moim pojęciu stałem się WSPÓŁWINNY ZBRODNI.

Zapytaj, ile miałem kobiet, powiedział Olivier.

Z tymi czerwonymi wargami i czarnymi lokami wyglądał jak gwiazda filmowa, a jego powieki były miękkie jak świeżo wykąpany penis. Strzeliłem, że dziesięć.

218

To go rozśmieszyło. Poklepał mnie w łokieć i zmierzwił włosy, po czym powiedział, że żadna nie dorastała Marlene do pięt. Ale mimo wszystko odkrycie, że spaliła szkołę, podziałało jak SYGNAŁ OSTRZEGAWCZY. Dowiedział się o tym w okropnych okolicznościach, od klienta firmy. Facet słyszał tylko, że żona Oliviera pochodzi z Benalli.

Tak, a ile ma lat? pyta klient.

A dwadzieścia trzy, mówi Olivier.

No to musiała tam być, kiedy ta wariatka Marlene Cook podpaliła liceum. Jak się nazywa pana żona?

GinaDavis.

Jak ta gwiazda filmowa?

Właśnie tak.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy uznali, że jestem za tępy, żeby wrócić do Państwowej Szkoły Podstawowej nr

28 w Bacchus Marsh. Chętnie przerobiłbym ich na kupę popiołu, gdybym tylko miał jakieś pigułki na strach przed karą. Boziu kochana, najdroższa, byłem grzeczny z czystego tchórzostwa, nic więcej.

O1ivier pozwolił mi wypić jeszcze jedno piwo, bo przy takiej wadze alkohol się wchłonie. Spytał, czy wiem, że Marlene jest złodziejką, ale powiedziałem, że się z nią przyjaźnię.

Na to O1ivier jęknął, że on też, na nieszczęście. A potem zaczął opowiadać różne potworności i dopiero po chwili zorientowałem się, o kim mówi. Miał na myśli swoją matkę, okropną kobietę, całe szczęście, że już nie żyje. O1ivier wpadł we wściekłość na samo wspomnienie.

Nagle został odwołany przez kelnerkę i pomyślałem, że to pewnie z powodu wulgarnego języka, ale po chwili wrócił z parą firmowych, samolotowych skarpetek, które kazali mi włożyć. Przepisy obowiązują wszystkich. O1ivier USŁUGIWAŁ MI, klęcząc; pomógł mi zdjąć sandały i zaśmiardłe skarpetki, które schował do plastikowej torebki. Poprosił też, żebym starał się ograniczyć EMISJĘ GAZÓW do tylnej części samolotu, gdzie mogły się przydać, a potem wybuchnęliśmy śmiechem.

Szkoda, że nie jesteś bogaty, stary, powiedział, mógłbyś mnie zatrudnić na stałe do zmieniania skarpetek.

219

Kelnerka przyniosła nam po brandy i schowała moje skarpetki i buty do szafki na górze.

O1ivier powiedział, że sam miał być bogaty, ale jego matka, dziwka i złodziejka, ukradła mu cały spadek i na samą myśl o tym chciało mu się rzygać. Żałował, że nie jest bogaty, nie ma lekkiego życia, nie może opiekować się koniem i jeździć, ile tylko chce. Spojrzał na mnie i zrozumiałem dokładnie, o co mu chodzi - o krew pulsującą w sercu, szczęście, lęk, cykanie ludzkiego zegara w rzece dni.

Zrzurowała mnie, powiedział. Sądziłem, że mówi o matce.

Jestem jej pieskiem pokojowym - ciągnął, więc domyśliłem się, że tym razem to o Marlene. Bo widzisz, tak dokładnie to wygląda. Ona napełnia miskę i czesze mi sierść. Już wolałbym trafić do schroniska.

Ja też mogę ją zniszczyć. Ironia losu. Naprawdę mogę. Ale po cholere miałbym to robić, co, stary? Gdybym ją zniszczył, przestałaby mnie drapać za uszami.

Obudziłem się wysoko na niebie, nad Ameryką z ustami pełnymi kurzu, zapachów wymyślnych pianek do golenia i damskiego mydła.

To już Los Angeles, powiedział O1ivier.

Zobaczyłem je pierwszy raz w życiu i niewiele rozumiałem, ale później nauczyłem się czytać w tych rojach małych światełek porozsiewanych po powierzchni nocy, oznaczających miasta i autostrady Ameryki, pięknych jak białe mrówki, sygnały godowe termitów przesyłane przez pulsujące, błyszczące końcówki tułowi. Żaden prorok nie zapowiedział takiej plagi.

O1ivier stuknął mnie w kolano. Czuję się gorzej, stary. Dał mi pigułki i poczęstował wodą z własnej butelki. Powiedział, że gdyby zjadł orzeszki, to by umarł, po ostrygach by się udławił, ale bez Marlene mógłby równie dobrze poderżnąć sobie gardło kozikiem.

Oddałem mu pigułki. Sam zażył jedną.

Właśnie postanowiłem, że jej tego nie podpiszę, oświadczył.

Zapytałem, czego.

W końcu to ewidentna podróba. Dosyć, czas pokazać, że nawet ja mam jakieś zasady.

220

Zapytałem, o czym mówi.

Olivier na to, że Marlene nigdy by się po nim czegoś takiego nie spodziewała. Ale popatrz jej w twarz, stary, popatrz na jej minę, kiedy odmówię.

Czy to ją zniszczy? - mówię.

Olivier długo się śmiał, urywał nagle, prychnął, krztusił się i znowu wybuchnął śmiechem, aż już myślałem, że zwariował.

Wreszcie zapytałem, co go tak, kurwa, rozśmieszyło, ale wtedy samolot zaczął, jak ogłosili, PODCHODZIĆ DO LĄDOWANIA i po chwili dotknął ziemi, więc moje pytanie pozostało bez odpowiedzi.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

i aksówki w Nowym Jorku to koszmar. Nie pojmuję, jak nowojorczyki mogą tolerować, i nie chodzi mi tu o wypatroszone siedzenia, zdarte resory i brawurowe skręty w lewo, ale raczej o wspólną wiarę tych malajskich sikhów, bengalskich Hindusów, muzułmanów z Harlemu, chrześcijan z Libanu, Rosjan z Coney Island, Żydów z Brooklynu, buddystów, zaratustrian - i Bóg wie kogo jeszcze - ich niezłomne przekonanie, że wystarczy zatrzeć, a morza rozstąpią się przed tobą jak przed, kurwa, Mojżeszem. Być może uważacie, że nikogo nie obchodzi zdanie byle prostaczka, syna rzeźnika z Bacchus Marsh, ale do cholery, pierdolić ich!

Zgoda, to szalony pomysł, edukować przez pierdolenie, panno Dobre Maniery, ale jak widzę tego kretyna za oknem, leżącego na klaksonie...

I tak musiałem jeździć do supermarketu w porze, kiedy miałem szansę odbyć tę wycieczkę w miarę sprawnie, bo wszystkie uroczne żydowskie babcie siedziały w domu, w łóżku albo w kuchni, gdzie przygotowywały swoją niepowtarzalną gefilte fisch na Rosz Haszana czy co one tam pichcą - a zresztą może te tłumy babinek w Grand Union to były chrześcijanki albo Tatarzy, albo Bóg wie kto jeszcze, tak czy owak stanowiły wyrazistą kategorię klientów, gotowych zmiążyć wózkami każdego, kto nie nadązał za ich tempem. A ja byłem oszołomiony po podróży, obcy w mieście i powolny. Panie miej mnie w swej opiece.

Amerykański supermarket to nie przelewki, ale supermarket w Nowym Jorku to już naprawdę niezły bajzel - trzeba się urodzić w alejce numer pięć, żeby rozumieć, o co w tym wszystkim

222

chodzi. Jak już z pewnością się domyśliliście, poszedłem tam kupić jajka. Najpierw w ogóle nie mogłem ich znaleźć, a potem objawiły się moim oczom w sąsiedztwie fety. Nie wiedziałem, że istnieje tyle rodzajów jajek, gatunków, wielkości i kolorów, tymczasem inni kupujący zaczęli się niecierpliwie. Blokowałem im alejkę, więc zaklinowali mi wózek, a że kolejne fale kretynów napływały nieustępliwie z alejek numer dwa i trzy, po chwili powstał gigantyczny korek jak u wylotu tunelu Holenderskiego.

Kupiłem brązowe jajka, bo wydały mi się w miarę normalne - naprawdę jestem prostaczkiem z prowincji - ale pięć bloków dalej, dochodząc do rogu Mercer i Broome, przystanąłem w przerdzewiałym cieniu schodów przeciwpożarowych i odkryłem, że te małe, drogie cholery miały skorupki z betonu. Czy już mówiłem, że w

liceum byłem zabójczo dobry w krykieta? Wyrobiłem sobie niezawodne oko i potężną rękę, ale jakbym nie podkręcał i nie ciskał tych jajek, po prostu odbijały się od szyb wyjących taksówek.

Marlene nie próbowała ani mnie zachęcać, ani powstrzymać, kochane stworzenie. Dopiero, kiedy wszedłem przez otwarte okno, spojrzała na mnie z obskurnej kanapy, gdzie leżała w towarzystwie „New York Timesa”.

- Chodź tu, mój geniuszu.

Była tak nieskończenie piękna, z promieniem lampki do czytania oblewającym jej lewy policzek jak strumień złotego pyłu, wznoszący się nad szaroniebieskim tłem.

- Kretyn z ciebie. - Otworzyła ramiona.

Przytuliłem ją, wdychając jaśminową woń skóry i świeżo umytych włosów. Czy powiedziałem, że ją kocham? Oczywiście. Przesunąłem dłoń po kręgosłupie mojej kociej włamywaczki, dotykając każdego kręgu na tej supełkowatej linii życia. Marlene, moja złodziejka, kochanka, tajemnica, cudowna seria olśnień, która oby nigdy się nie skończyła. Zaczynała się nasza trzecia noc w Nowym Jorku. Dostaliśmy już pieniądze i spędziliśmy naprawdę udany dzień, co zawdzięczaliśmy nie tylko skrzynce Bourgeil i butelce Lagavulin, chociaż to na pewno był miły akcent, ale głównie faktowi, że płótno Dozy'ego Boylana wraz z muchą zostało bezpiecznie zamknięte w fortecy sztuki na Long Island. Jedyne

223

wejście, jak powiedziała mi Marlene, prowadziło przez tunel, który nocą zalewały fale przypiływu. Skarbiec pękał od Mondrianów, De Koonigów i właśnie wzbogacił się o cennego Leibovitz, którego jej popieprzony mężulek miał niebawem zatwierdzić.

- Zapomnij o taksówkach. Jesteśmy w Nowym Jorku, czego się spodziewałeś? W końcu się przyzwyczaisz.

Oczywiście miała rację. Urodziłem się w Marsh, gdzie autostrada numer 31 biegła tuż obok okien mojej sypialni, całą noc mogłem nasłuchiwać ryczących ciężarówek, czekać, aż spuszczą z tonu na wzgórzu Stanford i wtoczą się prosto na główną ulicę, wznecając tumany kurzu na sklepowych werandach. Oczywiście, że w końcu przyzwyczałem się do tych pieprzonych taksówek, ale to, co wciąż mnie wytrącało z równowagi, to fakt, że Marlene na mnie nie wrzeszczała. Moja ślubna dziwka już dawno wezwałaby gliny. A tu - mogłem sobie strzelić lufę Lagavulin - niech Bóg błogosławi pracowitym mnichom z Islay - po czym wyszedłem kupić jakieś lepsze jajka. Marlene powiedziała, że jestem idiotą, i wsadziła mi język do ucha.

O tej porze w Sydney czynne byłyby tylko baii, ale w Grand Union w Nowym Jorku tłoczyli się kulejący czarni staruszkowie, którzy przychodzili tam wrzucać puste puszki i butelki do automatów. Zjawiała się także nowa fala babć - odkryłem, że okolice obfitowały w mafijne matki chrzestne, a wspominam o tym, bo matka Johna Gotti została tam później napadnięta przez jakichś pieprzonych wykołajeńców. Co ja wtedy wiedziałem? Na moje szczęście zachowywałem się uprzejmie wobec wszystkich groźnych typków i kiedy dyskretnie wypróbowałem jedno czy dwa jajka na ścianie lodówki, nikt nie pokwapił się, żeby ukarać mnie za zbrodnię.

W Nowym Jorku jest 8534 licencjonowanych taksówek, co oznacza jakieś dwadzieścia tysięcy kierowców. Oczywiście nie mogłem udzielać wszystkim lekcji etykiety, ale uwierzcie, że moje jajka w końcu wywarły pewien skutek. Bzdury, pomyślicie, ale zastanówcie się najpierw: o czym ci wszyscy Hindusi rozmawiają przez te radyjka?

224

Druga dostawa jajek o wiele lepiej spełniła zadanie, wielkie, cienkie, białe skorupki malowniczo rozpryskiwały się na szybach. Zgasiliśmy światła i moja cudna mała złodziejka wyszła na schody, by podziwiać, jak celnie rzucam.

- Jesteś niesprawiedliwy - powiedziała. - Kara spada na niewinnych. Odpuść sobie taksówki. Wal w minivany z tablicami z New Jersey.

Byłem pijany. Wróciłem do ciepłego wnętrza, czując pewną miękkość w kolanach. Kiedy tuż przed północnąciągnęła kolejna inwazja klaksonów, mogłem uznać zadanie za wykonane, ale traf chciał, że akurat stałem przy lodówce, więc bez trudu sięgnąłem po kolejne jajko, zgasłem światło, otworzyłem okno na oścież i cisnąłem żółtąbombę w najbliższy wyjący pojazd. Jak się okazało, był to minivan z tablicami z New Jersey.

- Wracaj do środka i zapal światło.

Wycieraczki wozu rozsmarowywały właśnie żółtko i białko po całej szybie, a przed nim stała żółta taksówka, z której powoli wysiadali dwaj podróżni.

Zachwycony faktem, że minivan nareszcie się zamknął, nie zauważyłem na początku, że obaj mężczyźni byli mi znani.

Rozdział czterdziesty

AA/^ przeszłości było tyle nieszczęśliwych głosów, smród kuchenki, pasta do podłogi Johnsona, zaduch amoniaku, zakrwawione fartuchy mojego ojca maczane w wybielaczu. ZWŁOKI w tak zwanym bursztynowym szkłe - lager foster, gorzkie vic, ballarat bertie, castlemaine rocznik XXX, kłótnie, które nie powinny wychodzić na światło dzienne, ale tego to nie znosiłem. No wreszcie, powiedziałem to. W przeszłości była główna ulica. Sklep rzeźnika. Podwórko za sklepem, bukszpany, plebania na wzgórzu. Wolałem słuchać, jak w kościele dzwonili na kolację. No wreszcie, powiedziałem to. Wolałem słuchać ptaków zimorodków, patrzeć jak patrolują swoje terytorium o zmierzchu. Wolałem podpatrywać zimorodki, Panie strzeż nas od tych dziobów, podpisano kongregacja robaków i myszy.

Chodzi mi po prostu o to, żeby NIE SIAĆ NIEZGODY, panowie, proszę. Nie podobało mi się, jak mój brat rozmawiał z Oli-vierem na Mercer Street w Nowym Jorku, jak miałem napisane na przegubie. NIE ZROZUMCIE MNIE ZŁE - po przyjeździe czułem się bardzo szczęśliwy, przez chwilę, ale potem Marlene poprosiła Oli-iviera, żeby podpisał ten LIPNY DOKUMENT i w ciągu pięciu minut wziętem krzesło i zaniostem je na ulicę. Natychmiast zjawił się jakiś facet. Kto taki? Nie wiedziałem. Ciągnął za sobą wielki karton, który turkotał po amerykańskim bruku. Co zamierzał? Był MURZYNEM z wielką szarąbrodą i parą wielkich uszu jak u Myski Mickey albo jakiegoś innego gryzonia, bo były takie małe i NIENATURALNIE różowe. Szczerze mówiąc, nawet mi się spodobał.

Pasek jest? - zapytał.

Ja na to, że przed chwiląprzyjechałem.

226

Zapytał skąd.

Z Australii.

Krokodyl Dundee, powiedział, po czym ruszył dalej na środek ulicy, zanosząc się od śmiechu. CO CIĘ TAK

BAWI KUTASIE, powiedziała by mój brat, ale był akurat zajęty, bo siedział na górze i groził Oliwierowi użyciem PRZEMOCY FIZYCZNEJ, zaraz ci urwę to, połamię tamto i przyłożę w coś innego. Nie ma jak w domu JAK ZA DAWNYCH DOBRYCH CZASÓW. W ataku ślepej furii Rzeźnik zaczął snuć wizje plastikowych wiader pełnych krwi Oliwier, ale głos mu się trząsł jak luźna blaszka na dachu. Słyszałem, że Rzeźnik ma pietra.

Oliwier milczał, dopasowując ciało do kształtu sofy jak giętką wić. Jak zobaczyłem, że się uśmiecha, to od razu poczułem w powietrzu krew. Natychmiast postanowiłem WYJŚĆ, droga ewakuacyjna wiodła przez ohydne, fabryczne schody i las mokrych, przypalonych rolek dywanów, które przyprawiały mnie o MDŁOŚCI. Czułem, jak strzelajami isły w rękach, i miałem okropne dudnienie w głowie. Bogu dzięki, szybko wydostałem się na powietrze, ale zaraz zrozumiałem, że wylądowałem w NOWOJORSKICH SLUMSACH, Boże dopomóż. Drzwi zatrzasnęły się za mną, więc mogłem tylko siedzieć i czekać, w nadziei, że nie padnę OFIARĄ.

Trochę mnie nastraszył ten od Paska, szczerze mówiąc. Później raz czy dwa wykorzystałem to imię, jak mnie pytali, kto ja jestem. Pasek jestem.

Przejechał jakiś facet na rowerze, Panie ratuj, nie spodziewałem się rowerzystów. Ale nic się nie stało.

Potem wyszedł Oliwier.

Kupiłem ci walizkę, ale decyzja należy do ciebie, mówi.

Co?

Nie mogę tu zostać, stary.

Spytałem, gdzie idzie.

Do klubu, ale ty pewnie wolałbyś zostać z BLISKIMI.

Mogę iść z tobą?

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Widziałem, że mnie nie chce.

227

Pewnie, powiedział w końcu. Uśmiechnął się i objął mnie ramieniem, ale ledwo wsiedliśmy do taksówki, wtulił się w kąt i wybuchnął NIENAWIDZĘ TEJ PIERDOLONEJ DZIWKI.

Boziu, ratuj, ocal nas. Te smutne niedziele.

NIENAWIDZĘ JEJ.

Pochować noże, pozamykać drzwi.

OBY ZDECHŁA.

Potem zapłacił taksówkarzowi i znaleźliśmy się przed jakąś posiadłością. Klub nazywał się Bicker, cokolwiek to znaczy. Oliwier powiedział, że muszę zaczekać na zewnątrz, a on POGADA z panem Heavensem. PRZYSZPARZAŁEM KŁOPOTÓW. Jak zwykle.

Akurat starczyło mi czasu, żeby przeczytać WYMOGI DOTYCZĄCE STROJU DLA OSÓB NIE BĘDĄCYCH CZŁONKAMI KLUBU BICKER.

NIESTOSOWNE UBIORY SĄ WYMIENIONE PONIŻEJ:

LEGGINSY, BRYCZESY

SZORTY LUB BERMUDY, PODKOSZULKI, KALESONY, DRESY, SUKIENKI PLAŻOWE I NA RAMIĄCZKACH

DŻINSY W JAKIMKOLWIEK KOLORZE I KROJU (DOTYCZY TAKŻE SUKIENEK, KOSZUL, SPÓDNIC, KAMIZELEK I/LUB SPODNI)

UBRANIA ZE SPANDEKSU LUB LYCRY

T-SHIRTY, TOPY

Czyja miałem jakiegokolwiek BERMUDY? Co to jest LYCRA? O1ivier wrócił po chwili w towarzystwie nie Heavensa, ale Je-avonsa, małego, brzydkiego i dziwnego stworzenia we FRAKU, wyfiokowanego jak SĘDZIA, który zapuszkował mojego brata. Jeavons miał łusą pałę i wielkie uszy. Przy każdej wypowiedzi unosił brwi, jak gdyby dawał mi jakieś znaki. Nic nie kumałem.

Jeavons dał mi długie futro, ale ja jestem GORĄCY CHŁOPAK, jak mawiała mama. Nasz kochany KALORYFEREK. Więc powiedziałem, że nie jest mi zimno.

Na to O1ivier, że niedźwiedzi strój jest tak jakby obowiązkowy, Hughie, stary druhu.

228

Więc zrozumiałem, że ten chamski wypierdek Jeavons chciał, żebym zakrył własne ciuchy. No i słusznie - jak już ukryłem moje NIESTOSOWNIE UBRANE ciało przed wzrokiem CZŁONKÓW KLUBU i pozwolono mi przekroczyć bramy, zobaczyłem cuda niewidy, że nawet sobie nie wyobrażacie. Szklany malowany sufit jak w kościele i drewniane płaskorzeźby, w skrócie: miejsce POD KAŻDYM WZGLĘDEM elegantsze od mieszkania, w którym zostawiliśmy biednego Rzeźnika i Marlene, gdzie siedziło się na skrzynce po winie. Pozapinałem się na wszystkie guziki, bo teraz już myślałem, że na pewno jestem ubrany w jakąś LYCREĘ albo BERMUDY, a kiedy Jeavons zapytał, czy dłu-gą miałem podróż, to odpowiedziałem tak.

A potem dodałem: Krokodyl Dundee.

Roześmiał się. Było mi miło, że go rozśmieszyłem.

Po drodze do STAROŻYTNEJ WINDY, czy jak byście to nazwali, minęliśmy długą galerię z barwionym, szklanym sufitem, martwym jak kamień, bo brakowało mu słońca, żeby ożywić kolory. Na ścianach wisiało PRZECIĘTNE GÓWNO, więc cieszyłem się, że nie ma ze mną Rzeźnika, bo na pewno dostałby SZAŁU, wziął bicz i zagnał tak zwanych artystów do ogrodu, żeby zabrali się do prawdziwej roboty. Oczywiście wcześniej nie słyszałem nic o wielkim Gramercy Park, gdzie zatruwano drzewa, ani o ślusarzu z pierwszej alei, który mógł nielegalnie dorobić klucz do bramy, ani o kłopotach z komitetem, a kiedy Jeavons powiedział mi, że Bowtie Johnson uznał tę posiadłość za jedną z najpiękniejszych w Nowym Jorku, to nazwisko powiedziało mi mniej więcej tyle, co Pasek.

A jednak już pierwszego wieczora w Nowym Jorku zrozumiałem, że znalazłem się w najwyższych kręgach, CREME DE LA CREME. Spałem w szerokim, podwójnym łóżku mięciutko i ciepłutko jak w wombaciej norze.

Rozdział czterdziesty i ewy

Pierwsze dni w Nowym Jorku upłynęły mi na próbach dostosowania się do nowej strefy czasowej i

drzemkach, podczas gdy Marlene usiłowała przekonać męża do skorzystania z jego droit morale i podpisania certyfikatu autentyczności.

Marlene opowiedziała mi całą historię, cios za ciosem, więc byłem już wolny od zazdrości, tak cholernie dojrzały i dorosły, że byście nie uwierzyli, i wybuchnąłem dopiero poproszony o numer ubezpieczenia społecznego przez urzędnika z biura opieki. Godzinę później na Prince Street doszło do spięcia, bo nikt nie był w stanie zrozumieć, że ich „outlet” to coś, co po ludzku nazywa się gniazdko elektryczne. A na koniec omal mnie nie przejechali. Byłem samotny, bezrobotny i do niczego, dwieście funtów bezużytecznej wagi, tłukącej się beznadziejnie jak wyrzucona z morza ryba po pokładzie statku.

Fakt, że Powolny Bones porzucił mnie na rzecz pieprzonego klubu Bicker okazał się bardziej bolesny, niż moglibyście podejrzewać. Ale co na to poradzić? Zawsze ten Hugh, drobne śnieżenie ekranu, szum w głośnikach, ćmiący ból, kiedy wydaje się, że wszystko gra. Na co tu narzekać? Miałem więcej kasy, niż mój ojciec zgromadził przez całe swoje popieprzone życie. Mogłem chodzić do galerii i klubów albo w końcu przyznać się choćby przed samym sobą, że jeszcze nigdy nie widziałem prawdziwego Rothko. I miałem też czas. W mieszkaniu przy Mercer Street mieściło się mnóstwo czasu, zimnej, metalicznej farby, która wsiąkała w każdy kąt i wysysała życie z zieleni i brązów. Któregoś dnia stanąłem nago przed zakurzonym, wysokim lustrem i na widok ; nagle pofałdowanej powłoki moich wnętrzności uznałem, że zdro-

230

wiej będzie mi z dala od tego mieszkania, od butelek Lagavulin i własnego poczucia winy.

W świecącej pustkami norze z ciuchami z drugiej ręki na Broadwayu kupiłem mocno używane londyńskie palto od wkurzonego Koreańczyka w mitenkach. Płaszcz był w sam raz, a przynajmniej wystarczył, by przechodzić w nim tydzień czy dwa. Tak czy owak, ruszyłem pędem do sklepu, gdzie rozumieli mój angielski, po czym kupiłem przewodnik turystyczny oraz los za pięć dolarów i zacząłem się przechadzać pod dumnymi sztyldami, pisanymi czcionką .sam* serif, reklamującymi płótna i skrawki, aż minąłem Strand Morgue, cały południowy Broadway i wreszcie Union Square, gdzie odkryłem, że mogę podjechać metrem prosto pod Muzeum Sztuki Współczesnej. Wtedy jednak licho mnie podkusiło, żeby skręcić, przeciąć szary chodnik upstrzony czarnymi gumami do żucia i wybrać się na dół, na plac Gramer-cy. Ot tak, żeby przynajmniej zerknąć sobie na ten kretyński klub Bicker. W końcu pisali o nim w moim przewodniku. Philip Johnson twierdził, że to wspaniałe miejsce, które koniecznie trzeba zobaczyć. Nie znając jego twórczości, usłuchałem rady.

Tutaj także, podobnie jak na Broadwayu, na ulicach było sporo wrzasków i awantur, więc nie zdziwiłem się, gdy podchodząc do bram przepięknego parku znów usłyszałem ludzki głos wzniesiony do krzyku. UAAAAA! Wsunąłem ręce w kieszenie paskudnego płaszcza z lumpeksu, po czym zajrzałem między czarne, ostre pręty i tam, w oddali, zobaczyłem rozpędzonego białego mężczyznę. W tej samej chwili jakaś karetka wjechała w 20 Ulicę i usiłowała przedrzeć się do Madison wspomagana jedynie mocą dźwięku i migającego koguta. Pochłonięty całym tym zamieszaniem nie od razu zidentyfikowałem biegnącego mężczyznę jako autora UAAAAA! Uciekinier gnał przez park z gołymi nogami, odzianymi tylko w kowbojskie ochraniacze.

A potem zauważyłem, że ochraniacze to w rzeczywistości rozdarte portki, a mężczyzna to mój brat Hugh.

Problem z parkiem Gramercy polega na tym, że trzeba mieć do niego klucz. Ale goście klubu Bicker są upoważnieni do wkraczania na ten teren, a Olivier najwyraźniej poinstruował Starego

231

Zasuszonego Kamerdynerka, którego imienia nie wypowiem, żeby wpuszczał także Hugh. Stary Zasuszony Kamerdynerek z jakichś niepojętych przyczyn znanych tylko jego podłemu, małemu mózdkowi owszem, wpuścił mojego brata, ale następnie zamknął za nim bramę. Idiota-dzikus, kiedy zorientował się, że jest w potrzasku, usiłował wytłumaczyć swój problem nowojorskiej ulicy, najpierw najętemu facetowi do wyprowadzania psów, potem kierowcy limuzyny, a na koniec grupce dziewczyn, które sądząc z wyglądu były angielskimi modelkami zmierzającymi na sesję zdjęciową i żadna z tych osób nie zechciała zwrócić uwagi na jego istnienie, przy czym prawdopodobnie nie zawiniła tu ludzka podłość tylko australijski akcent, w wydaniu Powolnego Bonesa naprawdę porządnie spłaszczony. Brak porozumienia zaowocował narastającym zdenerwowaniem mojego brata, który zachowywał się w sposób coraz bardziej niepokojący dla kolejnych przechodniów. Między innymi członek Rady Spółdzielczej Gra-mercy Park, „żwawy" (trzymajcie mnie!) osiemdziesięciolatek, przerażony rozpaczliwymi błaganiami Hugh wybiegł z parku na ulicę, zatraskując za sobą bramę, bo myślał, że napastował go jakiś „szalony bezdomny".

Jak twierdzą świadkowie, mój brat usiłował następnie sforsować ogrodzenie zwieńczone grotami. W tym celu wyrwał z posad jedną z parkowych ławeczek, chociaż była przymocowana czterema śrubami grubości trzech czwartych cala, następnie zaciągnął ją rabatę z żonkilami - właściwie całkiem rozsądny plan, musicie przyznać, niestety ławeczka zapadła się w spulchnioną ziemię w najmniej odpowiednim momencie i Hugh zaczął nogawką szarych spodni o żelazną sztabę, która w sekundę rozdarła ją całej długości, od kostek aż do uda.

Biedny, kochany kretyn. Czekałem, aż dobiegnie z powrotem do bramy. A co się działo, jak mnie zobaczył, te wycia, jęki, machanie rękami i wreszcie obejmowanie mnie przez pręty. Chciał iść do domu, po prostu do domu. Dopiero po chwili odzyskał normalny oddech i minęło sporo czasu, zanim dowiedziałem się, w jaki sposób wlaź do tego parku i kto mógłby go wypuścić.

232

I tak oto stanąłem przed obliczem małego snobka z klubu Bicker, a kiedy okazał jawną dezaprobatę dla mojego lumpeksowe-go płaszcza i smarków Hugh na rękawie, chwyciłem jaśnie pana kamerdynerka pod pachę - nie było go dużo, chociaż spora część kryła się ściśnięta pod gorsetem - i zacząłem nieść jak dywan. Przeszedłem przez światła i trzymając go równolegle do podmurówki, zapytałem, czy zamierza uwolnić mojego brata, czy też wolałby do niego dołączyć.

Wybrał pierwszą możliwość, więc odstawiłem go delikatnie na chodnik. Patrzyłem, jak wielkie łapsko wędruje do kieszeni, majstruje przy pęku kluczy, a następnie otwiera szeroko bramę. Hugh wytrzeszczył oczy, zamrugał, po czym brutalnie zepchnął mnie z drogi.

Usiłowałem go złapać, ale się uchylił, po czym ruszył na oślep przed siebie. Potknął się na krawężniku, ale złapał równowagę i pobiegł po schodach do klubu.

Kamerdynerek, to trzeba mu przyznać, nie groził ani nie kłął. Tylko zgarbił się, ściskając nerwowo guzik fraka.

- Jest pan pijany - stwierdził.

A potem, nie zaszczycając nawet uważniejszym spojrzeniem garnituru od Armaniego, który wзираł teraz spod mojego płaszcza, pomaszerował sztywnym krokiem w kierunku posiadłości.

Po powrocie taksówką na Mercer Street nalałem sobie kolejną lufę Lagavulin, do której dodałem garść kruszonego lodu - niech szlag trafi Edynburskie Stowarzyszenie Whisky Słodowej. Przeklęty Hugh. Później, gdy w Tokio nastał już ranek, wstałem, umyłem twarz i po krótkiej walce ze schodami poszedłem na Canal

Street, gdzie znalazłem oddział Pearl Paints. Na czwartym piętrze kupiłem sobie szkicownik i pudełko węgla.

Rozdział czterdziesty di

-Pan Wielki Artysta nie mógł znieść odkrycia, że nikt oprócz Marlene w życiu o nim nie słyszał. Bez swoich zabawek, tak zwanej sztuki, był tu NICZYM.

Hugh Bones to co innego, ja poczułem się w mieście jak RYBA W WODZIE. Usiadłem sobie na składanym krześle na wystawie przed Bazarem na trzeciej zachodniej. Gdyby nie łańcuch, którym krzesło było przywiązane, wyglądałbym zupełnie jak WYKIDAJŁO za AKSAMITNYM SZNUREM, bo miałem na sobie gruby, miękki, włoski płaszcz i czarny wełniany sweter i trzymałem WIELKIE ŁAPSKA skrzyżowane na piersiach. No a potem zjawiała się policja. Wyleźli z MacDonalda i nagle zaczęli iść prosto w moim kierunku, z gnatami, pałami i kajdankami przyczepionymi do tłustych tyłków.

Pomyślałem sobie, że jestem CUDZOZIEMCEM, zajmuję miejsce na publicznym chodniku i na pewno PRZEKRACZAM PRZEPISY. Ale oni totalnie mnie olali, jak to mówią. Pewnie mieli ważniejsze sprawy na głowie - kto wie, może na przykład rozglądali się za pączkami, żeby sobie jeszcze bardziej nabić te PĘKATE BRZUSZYSKA.

I tak po raz pierwszy zwróciłem uwagę na OGÓLNE BEZPRAWIE panujące w Nowym Jorku. Przechodnie nie zwracali wcale uwagi na znak NIE PRZECHODŹ na trzeciej ulicy i tak zwanej ALEI OBU AMERYK. Gliniarze z Melbourne pewnie by zaciągnęli PRZESTĘPCÓW z powrotem na chodnik i głośno wypowiedzieli się na temat ich zdrowia psychicznego. Policjanci z trzeciej ulicy mieli to wszystko W TŁUSTEJ DUPIE, że tak powiem. Spokojnie targali te swoje brzuszyska dalej ulicą-przy-

234

dałyby im się taczki - a ja wciąż byłem wolnym człowiekiem, kiedy Oliwier wyszedł ze sklepu, niosąc nowe składane krzesło za trzysta dolarów, czarne i lśniące jak mercedes benz. Oliwier wziął mnie pod ramię, po czym zabrał mnie na wycieczkę, żeby mi udowodnić, że powinienem cieszyć się życiem.

To miasto jest twoje, stary.

Pokrzywka Oliwiera trochę się uspokoiła dzięki HYDROCOR-TISONOWI, został mu tylko jeden wielki placek na szyi, który mógł schować pod postawionym kołnierzem IMPORTOWANEGO PŁASZCZA. Był bardzo przystojny, jak as Wimbledonu wracający na linię autu, rozluźniony w kolanach, skłaniający głowę w podziękowaniu za aplauz.

Oliwier nauczył mnie zawsze nazywać Aleję Obu Ameryk wyłącznie Szóstą Aleją, żeby wszyscy zaraz wiedzieli, że jestem nowojorkczykiem. Kiedy już to sobie dobrze utrwaliłem, spacerowaliśmy przez chwilę po okolicy, po czym skręciliśmy w Bedford Street, gdzie dowiedziałem się, że mogę siedzieć przed automatem do prania bez zgody właściciela. Niebawem poznaliśmy faceta o imieniu Jerry, który miał zachrypnięty głos i chustkę owiniętą wokół głowy. Jerry powiedział, że możemy przychodzić i rozstawiać sobie krzesła, kiedy tylko nam się spodoba. I jeszcze, że zawsze chciał pojechać do Australii. Ja na to, że to bardzo ładny kraj, ale nie należy siadać na ulicy bez pozwolenia.

Potem siedzieliśmy na Sullivan Street, między Prince i Spring. A potem na Chambers Street.

Stary, ty masz do tego smykałkę.

W końcu poszliśmy na Mercer Street i siedzieliśmy pod arty-stycznądziupłą, którą Rzeźnik ukradł RZĄDOWI

NOWEJ POŁUDNIOWEJ WALII. Zadzwoiłem do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Może mój brat nie chciał otwierać.

O1ivier powiedział nagle, że musi iść i załatwić z Marlene jakąś sprawę gdzieś na mieście.

Zapytałem, czy zamierza jązniszczyć.

Tym razem się nie roześmiał. Popatrzył na mnie bardzo surowo i oświadczył, że zaraz mnie nauczy, jak trafić z Mercer Street do klubu Bicker.

235

Przeprosiłem go za to pytanie.

Hugh, powiedział, ty jesteś wspaniałym facetem, uwielbiam cię.

Ale ja bałem się, że sam nie dojdę do klubu. Miałem iskry w mięśniach gładkich i coś szczękało mi w głowie, jak nienaoli-wiona zasuwa.

O1ivier dał mi pasiastrąkapsułkę, którąpołknąłem bez wody.

No coś ty, stary, przecież jesteś już nowojorczykiem.

Wyciągnął notes i narysował mi mapę.

Patrzyłem na nią, ale wszystko tańczyło mi przed oczami.

No widzisz, powiedział, nic prostszego.

Kapsułka wcale nie działała.

Jak się zgubisz, to wsiądź w taksówkę i każ się zawieźć do GramercyPark.

Ale nie wiem, ile zapłacić.

Daj im dziesięć dolarów i powiedz, że reszty nie trzeba.

Potem wręczył mi zwitek banknotów, ściśnięty gumką.

Kiedy O1ivier zatrzymał taksówkę, chciałem wsiąść razem z nim. Złożyłem krzesło, ale zanim dobiegłem, on już zatrzasnął drzwi i odjechał, Boże litościwy, pognałem w ślad za tylnymi światłami, ale samochód nie chciał się zatrzymać, więc wróciłem galopem do mieszkania, ale Rzeźnik nie słyszał dzwonka, a ja, biedny szczeniaczek, pognałem na drugi koniec Mercer Street i dalej na Canal Street, gdzie niechcący stuknąłem krzesłem o metalowy słupek. Światła taksówki rozplynęły się w nocy.

Zapomniałem tę nazwę GRAMERC Y.

Na Houston Street nagle do mnie wróciła.

Gramercy, Gramercy, Gramercy.

Biedny szczeniaczek, nikt nie słyszał, jak żałośnie szczeka. Byłem spocony, cuchnąłem gorzej niż stary dywan. Na Houston Street trzy taksówki usiłowały mnie przejechać. Czwarta się zatrzymała.

Gramercy Park, powiedziałem.

Która część, spytał taksówkarz, chyba Chińczyk.

Podąłem więc temu Chińczykowi mapę, żeby mu pokazać, dokąd jechać, ale on już ruszył w przeciwnym kierunku i pod-

236

niósł szybę oddzielającą kierowcę od pasażera, bo nie chciał ze mną rozmawiać.

Na pewno porządnie ŚMIERDZIAŁEM, nagle przypadkiem wyrząłem przez okno i zobaczyłem 01iviera stojącego w bramie klubu Bicker.

Stój, powiedziałem. Dałem mu dwadzieścia dolarów. Reszty nie trzeba.

0Hvier chciał teraz, żebym poszedł z powrotem na Mercer Street. Spytałem, co to za żarty, do cholery. Olmer był moim przyjacielem i nie chciałem mu zrobić krzywdy, ale upadł na ziemię.

Wtedy 01ivier podniósł moje krzesło i dał je Jeavonsowi, a Je-avons wyszczotkował mu włoski płaszcz. 01ivier włożył rękawiczki.

Powiedział Jeavonsowi, żeby przyniósł mi do pokoju kanapkę z kurczakiem i piwo.

Zapytałem, jak się czuje.

Nigdy nie czułem się lepiej. Nigdy, stary druhu, powiedział.

A ja byłem tak wykończony przeżyciami, że na schodach wybuchnąłem płaczem.

Rozdział czterdziesty ze i

IS^igdy nie potrafiłem oglądać obrazów w towarzystwie innego człowieka - ten drugi zawsze jest zbyt powierzchowny, zbyt poważny, zbyt niecierpliwy albo za tępy. Ale Marlene Leibovitz i ja poruszaliśmy się razem po MOMIE jak partnerzy w walcu. Ona była jak anioł. Ja - pijana świnia, bez końca zadawałem pytania, gapiłem się na Górę Sainte Yictoire Cezanne'a, nareszcie zrozumiałem, najwyższa pora w moim wieku, że Bra-que nie miał poczucia humoru oraz wdałem się w awanturę z jakimś pieprzonym dwunastolatkiem, który złośliwie zasłaniał mi widok na Panny z Avignon.

- Ćśśśś - powiedziała Marlene. - Zostaw go, to tylko dzieciak.

Mój rywal był wysokim, pryszczatym chłopakiem ze spinaczem zaciśniętym na małym, dziewczęcym uchu. Nie powiem, że go znienawidziłem, ale nie mogłem znieść myśli o tym, jak to jest być takim śmierdzącym szczęściarzem, obejrzeć arcydzieło Picassa w wieku czternastu lat, wyrazić podziw albo pogardę i robić to tak naturalnie, jak ja w tym samym wieku pokonywałem trasę od rzeźnika na targ na Lerderderg Street.

- Wiem - powiedziała Marlene. Ja nie odezwałem się słowem, więc za samo to powinienem ją podziwiać, ale, dobry Boże, był jeszcze kształt jej twarzy, kości policzkowe, lekko zmrużone oczy i cudowna, śmiesznie wywinięta górna warga.

- Jak zmniejszyłaś tego Leibovitza?

W odpowiedzi pocałowała mnie w usta.

Czy podobało mi się w Nowym Jorku? Podobała mi się Marlene. Gdyby spędzała ze mną każdy dzień, pewnie nawet nie sięgnąłbym po węgiel, ale sprawy z Leibovitzem zaczęły się prze-

ciągać. Więc kiedy moja śliczna sprytna przestępczyni wychodziła, żeby cyzelować swoje szwindelki, ja wkładałem płaszcz za dwadzieścia dolców, brałem węgiel i blok do szkicowania, a potem ruszałem najpierw na Canal Street, a potem dalej, do Chinatown, na Broadway i jeszcze dalej, w głębokie, węglowe cienie pod mostem Manhattan i stamtąd do paskudnego miejsca pod mostem FDRu wylotu Dwudziestej Pierwszej, gdzie stało podwozie roztrzaskanej, opuszczonej maszyny, pokrytej strupami rdzy i betonu, które odpadały, gdy ja pracowałem.

Było wiele innych miejsc, gdzie mógłbym chodzić rysować, ale nawet się nie zastanawiałem, dlaczego nosi mnie coraz dalej i dalej od ulic i miejsc, które poznawałem razem z Marlene. Teraz świetnie to rozumiem - miasto przyprawiało o dreszcze moją małą, prowincjonalną duszyczkę i właśnie to pchało mnie wciąż dalej i dalej, w jakimś absurdalnym wysiłku, żeby nareszcie je podbić, poznać, pokonać; w jakimś donkiszotowskim szale wsiadłem kiedyś do pociągu do Tremont i zdaje się, że skończyłem jako jedyna istota ludzka na całej koszarnej trasie przez Bronx. I tam właśnie znaleźli mnie gliniarze z Czterdziestej Ósmej, przed samym mostem George'a Washingtona, w miejscu, gdzie wszystkie te ogromne macki i kenilworthy lekko hamują, zanim zstąpią do wnętrza lewiatana.

- Wsiadaj, kurwa, do samochodu, ty jebany kutasie - powiedział miły pan policjant.

Jak mi później wytłumaczył Milton Hesse, miałem szczęście, że nie wywieźli mnie do Bellevue zamiast na stację metra. Nigdy nie pokazywałem Miltonowi szkiców, ale nie sądzę, żeby ocaliły mnie przed Bellevue, bo były czarne i gęste jak sadza, wytarte, spękane pancerze ciemności pętające białe światło papieru. Te prace były naprawdę cholernie dobre, chociaż zawdzięczały to po części temu, że kupiłem „niewłaściwe” materiały. Miałem za mały notes, papier zbyt delikatny do bezustannego ścierania i poprawiania i nie raz i nie dwa przebiłem się na kolejną stronę przez nadwerżoną kartkę. Jak to często bywa, ubóstwo materiałów czyni sztukę wielką, dzieła są wtedy przepełnione dziką, szaloną walką, którą potęgował jeszcze fakt, że potem, w pracowni na

Mercer Street, musiałem ostrożnie łączyć kartkę A z kartką B, łączyć C z A i tak dalej. Planując w myślach ten ostatni etap, pojechałem pociągiem do domu, z dłońmi czarnymi jak u górnika. Miałem białka lśniące jak u włoskich, marmurowych rzeźb, chłodne i szalone, w centrum płonącej twarzy.

Marlene od razu zrozumiała, co zrobiłem. Widzicie, właśnie dlatego mogłem jej bezgranicznie ufać. Kiedy razem ze mną oglądała dzieło sztuki, zawsze mówiła prawdę. To Marlene nie tylko poszła do Nowojorskiej Centrali po więcej materiałów, ale także załatwiła - w ramach prezentu urodzinowego - wypożyczenie dwóch moich obrazów od pana Mauri.

Żadne z nas nie przewidziało konsekwencji tego, ale w rezultacie Marlene mogła, za moją całkowitą zgodą, zaprosić ludzi, by obejrzelili moje dzieła.

Wyszła z tego kompletna katastrofa, bo ledwo Mówca i Jak umiera człowiek zostały umocowane do ścian, każdy byle idiota mógł się z nich wyśmiewać, wierząc święcie, że ścieżki sztuki przyszłości wytycza jakiś złamas w rodzaju Toma Wesselmana.

Publiczność zakładała, że przyjechałem do Nowego Jorku wyrobić sobie nazwisko, znalazłem się w centrum świata i marzę o tym, żeby przyssać się do jakiejś galerii, załatwić sobie wystawę, poznać Franka Stellę albo Lichtensteina. Nic nie mogło mnie bardziej dobić. Przecież w każdym wypadku to absurd przyjeżdżać do

Nowego Jorku w wieku trzydziestu siedmiu lat. To się jeszcze nikomu nie udało.

Oczywiście od czasu do czasu chadzałem na przyjęcia, na otwarcia u Castelli, Mary Boone, Pauli Cooper. W końcu spotkałem się nawet z opętanym Miltonem Hesse, licząc na to, że aczkolwiek najpierw będzie nudził o swoim liście od Lei-bovitza, to przecież potem zerknie na moje obrazy. Ale był ze mnie idiota. Do dziś rumienię się na myśl o tym, jak, stojąc przed Mówcą, zaczął snuć historię jakiejś bójki, którą stoczył z Gustonem w 1958 roku. Czekałem cierpliwie, aż wskaże na związek między opowieścią a oceną mojego obrazu, ale słowotok trwał bez końca, a Milta ewidentnie nie interesowało absolutnie nic związanego z moją osobą.

240

Kłótnia z Gustonem, jak powiedział, została nagrana w klubie artysty. Zastanawiał się - stanął przy tym garbatymi plecami do płótna - czy Marlene nie znalazłaby przypadkiem chwilki, żeby spisać nagranie.

Aja, oczywiście, byłem zwykłym burakiem z prowincji, w dodatku wypadłem z mody, no i jakaś część mnie czuła się cholernie zaszczyczona faktem, że siedziałem w Da Silvano i patrzyłem, jak Roy Lichtenstein i Leo Castelli zażerają wątróbkę z ce-bulką przy sąsiednim stoliku. Jednak mój szczeniący podziw w niczym nie pomagał dziełom Lichtensteina, które stopniowo, lecz nieubłaganie, traciły poziom i zbliżał się już ten moment, w którym kuratorzy wystaw zaczynają cichu pozbywać się najgorszych eksponatów.

Jak twierdzi się na południe od 96 Ulicy, Nowy Jork wydobywa z artystów to, co w nich najlepsze. U mnie się to nie sprawdziło. Częściowo dlatego, że zjadała mnie zazdrość. Wiedziałem, jak to jest być Lichtensteinem w Sydney, ale nigdy nie zostanę Lichtensteinem w Nowym Jorku. Byłem nikiem. Poszedłem do Elaine's i pokornie usiadłem przy drzwiach do kuchni. Niczego innego się nie spodziewałem. Czemu miałbym?

Popełniłem błąd, wierząc, że mogę się mylić, i pozwoliłem, by marszandzi popatrzyli sobie na Mówcę. A potem to ja musiałem patrzeć na ich znudzone spojrzenia i uświadamiać sobie, że wcale nie chcieli oglądać moich obrazów, że przyszli wyłącznie ze względu na Marlene. Jednak nawet tych cierpień nie chciałbym wyolbrzymiać. Artyści są przyzwyczajeni do upokorzeń. Zaczynamy od dna i zawsze jesteśmy gotowi tam powrócić, na samo cholerne dno beczki, zniszczenie i marnotrawstwo talentu przez alkohol i biedę. Żyjemy z ciągłą świadomością, że jesteśmy nikiem przy Cezannie i Picassie, nikiem teraz i nikiem na wieki, bo zapomną nas jeszcze zanim powędrujemy do piachu.

Wstyd, wątpienie, pogarda dla samych siebie, to nasz chleb powszedni. Co innego przyprawiało mnie o dreszcze i szczykanie zębami, ta niewzruszona pewność, z jaką kompletne zera stawały w obliczu, no, nazwijmy to „sztuki”. Ci sami ludzie, którzy obrzucali znudzonymi spojrzeniami moje obrazy, bywali także na

241

aukcjach w domach Sotheby's, Christie's, Philips. I nagle coś we mnie zaskoczyło, bo w końcu pojąłem, że to wcale nie konformizm i pewność siebie, tylko po prostu zwykła ślepotą.

Któregoś razu, w mroźny lutowy poranek, wybrałem się do Sotheby's. Wystawiali dwa Legery, numery 25 i 28. Pierwszy, namalowany w 1912 roku, miał sześć stron dokumentacji, zawierającej głównie reprodukcje naprawdę dobrych Legerów, które Sotheby's sprzedało kiedyś za górę kasy. Te dwa były do dupy. Poszły za 800 tysięcy dolarów. I tego właśnie nie pojmowałem w Nowym Jorku. 800 tysięcy zielonych. Skąd możesz wiedzieć, ile zapłacić, jeżeli nie wiesz, ile to warte.

Pojawił się także de Chińco, II grandę metafisico, 1917, 41 3/4 x 27 3/8, usunięty z kolekcji Alberta Barnes'a. Czy komukolwiek przyszło do głowy, dlaczego został usunięty? Autentyczne Chirico sprzed 1918 roku to rarytasy. Włoscy marszandzi mawiali kiedyś, że Maestro spał sześć stóp nad ziemią, bo pod łóżkiem leżały te

wszystkie „wczesne prace”, które co i rusz „cudem odnajdywał”. A teraz nagle mam wierzyć, że ta kupa gówna to autentyk? Wart trzy miliony? Zrobiło mi się niedobrze. Nie z powodu tej przeklętej kasy, ale na widok tego kompletnego bezhołwia, gorączki mody i utraty wszelkiego smaku. De Chirico jest na topie. Renoir wypada. Van Gogh zwyżkuje. Chętnie bym pozabijał tych skurwieli, poważnie.

Dopiero tuż po tych wydarzeniach O1ivier wreszcie podpisał certyfikat. Nie dociekałem, co mu zabrało tyle czasu, ani też, co przekonało go do zmiany decyzji, jaki układ, ale podejrzewałem, że biedny, neurasteniczny kotek najpierw długo marszczył nos, a potem zeżarł pół tortu. Oczywiście, to nie była moja sprawa. Jeśli o mnie chodzi, O1ivier mógł zostać pielęgniarzką Powolnego Bonesa i ukraść mi go, jeżeli tego sobie właśnie życzył.

Marlene i ja mieszkaliśmy nadal na Mercer Street. Początkowo uważałem to za formę oszczędności - czemu nie? skoro dają za darmo? - więc dopiero po dłuższym czasie zorientowałem się, że się tam kryjemy. Prowadziliśmy coś w rodzaju życia towarzyskiego, w ramach którego zgodziłem się trzymać z dala od marszandów, za to zaprzyjaźniać z konserwatorami, ekspertami

242

i jednym cudownym gościem o imieniu Sol Greene, malutkim faceciem, właścicielem rodzinnego sklepu z farbami na Piętnastej Ulicy. O ileż przyjemniej było pogadać sobie o fascynujących dziejach, powiedzmy, zwariowanej czerwieni, niż wysłuchiwać relacji z ostatniego przedstawienia w cyrku Sotheby's.

Marlene badała teren, usiłując doprowadzić do wystawienia kilku Leibovitzów - już czekał na nie kolekcjoner - ale najpiękniejsze dni upłynęły nam na spacerach. Potem, wczesną jesienią, zaczęliśmy wynajmować samochody i włączyć się wzdłuż sklepików ze starzyzną i ruder na brzegach rzeki Hudson. Całkiem ciekawie było popatrzeć na Amerykę od tej strony. W czasie jednej z tych wycieczek odwiedziliśmy duszną, wilgotną stodołę w Rhinecliff, gdzie znalazłem bardzo przeciętne płótno, podpisane czytelnie Dominique Broussard, 1944. Niezbyt subtelny syntetyczny kubizm, obraz, jaki łatwo napotkać na weekendowym wypadzie za Melbourne - ciężkie, czarne kreski, plamy niechlujnie dobranych kolorów - nieporozumienie. Pewnie mają sporo takich w Rosji, ale raczej nie przy Rue de Rennes 157.

Płótno stało oparte o ścianę. To nie była sztuka, tylko coś pośredniego. Walała się tam od tak dawna, że wilgoć stodoły wsiąkła w blejtram, ale wszystko tu miało swoją wartość, jak gówno termita, o którym sądzono, że wyginął.

Splunąłem, starłem trochę brudu i wybuchnąłem śmiechem, bo to, co zobaczyłem, było jak przyznanie się do winy złodzieja. Ukradła materiały szefa, ale nie najlepiej radziła sobie z kolorami i pod jej ręką paleta Leibovitza wydawała się odpychająca i ohydna.

To, co naprawdę przyprawiło mnie o gęsią skórę, to zadowolenie z siebie, ukryte w długich, oleistych pociągnięciach pędzla. Bez trudu można było rozpoznać jej charakter, zobaczyć głowę przechyloną na bok, wodzącą zachwyconym wzrokiem za posunięciami pędzla, który wił się po płótnie jak jadowita żmija przez letnią tkankę. Bez nadgarstka, bez kręgosłupa, bez smaku.

Jeżeli moje obrzydzenie wydaje wam się okrutne albo przesadne, musicie wiedzieć, że Marlene przeżyła to jeszcze gorzej.

- O nie - powiedziała. - Nie ma mowy, żebyś to kupił.

243

Roześmiałem się. Nie rozumiejąc jej, wciąż nie zdawałem sobie sprawy, jak gorąco pragnie bronić Oliviera przed matką. Oczywiście rozpoznała ślady działalności pędzla wroga, ale nigdy nie widziała go w oryginale, a tu leżało przed nią płótno przed-stawiające nagi, nieznośny brak, brak talentu i brak czegokolwiek. Gdy Marlene wreszcie ogarnęła tę ziejącą pustkę, poczuła się fizycznie chora, jak mi powiedziała.

Tymczasem ja w błogosławionej niewiedzy zabrałem płótno do małego gabinetu, czegoś w rodzaju szałas postawionego wewnątrz stodoły. W środku sympatyczna siwa kobieta oglądała mecz w telewizji, grzejąc spuchnięte nogi przy elektrycznym kaloryferze.

-Ile?

Zerknęła na mnie znad oprawek okularów.

- Jest pan artystą?

-Tak.

- W takim razie trzy stówy.

- To gówny - powiedziała Marlene.

- To jest nasza historia, skarbie.

- Spalę pieprzony bohomas. Nawet nie próbuj przynosić go do domu.

Kobieta spojrzała na Marlene z zainteresowaniem.

- Dwie stówy - powiedziała w końcu. - To olej, oryginalny.

Tak się złożyło, że miałem przy sobie dokładnie dwieście dolarów, więc koniec końców zapłaciłem sto osiemdziesiąt pięć plus podatek.

- Młode małżeństwo?

-Nie.

- Bo tak brzmicie.

Powoli wypisała rachunek i owinęła mój zakup w gazetę. Marlene zdążyła już wyjść i stała przy samochodzie.

- A teraz idź, kup jej coś ładnego - poradziła kobieta.

Obiecałem, że tak zrobię, po czym odwoziłem moją kochankę do Nowego Jorku - sześćdziesiąt minut lodowatego milczenia.

Rozdział czterdziesty zwty

Olivier podpisał lipny dokument, był tak osłabiony, powiedział mi, że nie miał nawet siły umrzeć, ale powoli wracał do życia, biedny stary, i na nowo zatrudnił się u McCaina.

Nie lubię tam, Hughie, ale jestem doskonałym chłopcem do bicia dla ich klientów. Chłopak do bicia, woła do irlandzkiego barmana, a tamten na to, zgadza się, sir.

Olivier wypił CYSTERNE, po czym zażył niebieską kapsułkę z białym paskiem.

Za uczciwą pracę - powiedział.

Jeavons stał u jego boku i DYSKRETNIE przesunął wielką, białą ręką po twarzy, więc domyśliłem się, że też musiał połknąć jakąś tabletkę.

Za uczciwą pracę - rzekł także.

A do O1iviera, dziękuję pańskiej matce za króliki. To taki AUSTRALIJSKI DOWCIP, sam go tego nauczyłem wiele dni wcześniej.

Potem ja wziąłem swoje lekarstwo, ale godzinę za późno. Co teraz ze mną będzie?

Kiedy tak siedzieliśmy przy niskim, okrągłym stole w barze klubu Bicker, O1ivier zapytał mnie nagle, czy ty poznałeś kiedyś jej ojca, Hughie? Miał na myśli ojca Marlene.

Powiedziałem, że nigdy nie byłem w Benalli.

On był kierowcą ciężarówki, wyobrażasz sobie?

Jeavons poważał kierowców ciężarówek. Oddalił się jak człowiek z piłką, z ręką odsuniętą od tułowia.

Powiedziałem, że sobie wyobrażam, i myślałem przy tym o Lar-rym Sweecie.

245

No i o to właśnie chodzi, widzisz stary, z tym muszę żyć, to jest jak mucha w torcie.

Co on bredził? Z bardzo smutną miną rozłożył plan Nowego Jorku na stoliku, po czym zaczął go kroić nożem do sera.

Ona lubi mięsistych facetów, cuchnących piwkiem. O to chodzi, tak naprawdę. A jeżeli jeszcze zalatuje od niego olejem lnianym, to jest jak kotka w rui. Rozumiesz, co mówię. Ma zupełnie inne gusta, niż by się wydawało.

Rozumiałem tylko, że nóż nie nadawał się do krojenia mapy i z przykrością patrzyłem, jak O1ivier się męczy. Pewnie miałem OKROPNĄ MINĘ, bo w końcu przedarł plan na pół i wielkie niebieskie litery WEST VILLAGE spłynęły na podłogę.

Nie opuściłem głowy, ale mogłem sapnąć, no kto by się powstrzymał?

Co jest, stary, zapytał O1ivier.

A ja właśnie myślałem, że było mi bardzo dobrze w klubie Bicker - MONOPOL i KANASTA, kurczak z sałatką - kto będzie grał w karty, teraz, kiedy O1ivier wróci do pracy? Powiedziałem, że zdenerwowała mnie ta gadka o tatusiu Marlene. I czy mógłby wreszcie odłożyć tę mapę.

Ach, mapa. Staruszkule, dzięki tej mapie właśnie przestaniesz się tak denerwować. No więc przestań tak muczeć, muczysz jak stara krowa, słowo daję. Kiedy wrócę do pracy, będziesz potrzebował dobrego planu miasta.

I co z tym ojcem Marlene?

Umarł na raka płuc, powiedział O1ivier, ale do dziś przysparza kłopotów.

Wydziabiał kolejny skrawek mapy. Złapałem ten strzęp w powietrzu, ale O1ivier wyrwał mi go z ręki, zgniótł w kulkę i rzucił za barek. TO MNIE NIE USPOKOIŁO.

Central Park do niczego nam się nie przyda, powiedział.

Ale co z tym ojcem?

Ja tylko mówię, że twój gamoniowaty braciszek ma cholerne szczęście.

246

Postukał w mapę mieszadłem do koktajli. Dość tego! Słuchaj uważnie! Wszystkie ulice biegną prosto w górę i w dół, poza Broadwayem. Miej go na oku, stary. Zaznaczył mi Broadway długopisem. Broadway: podstępna żmija.

Mój brat.

Broadway. Jest jeszcze Zachodni Broadway. Nie należy ich mylić.

Kończąc dzieło, oderwał jeszcze od góry wszystko powyżej pięćdziesiątej piątej ulicy. Tu świat się kończy, powiedział. Tu jest moje biuro. Prawy górny róg planu.

A teraz j azda próbna.

Ruszyliśmy na piątą aleję, gdzie znaleźliśmy Duane Reade, APTEKĘ, w której O1ivier zaprezentował mi produkty swojego klienta, nie tylko klej do protez, ale także musujące tabletki używane przez tych biedaków do czyszczenia zębów w nocy, biedna mama, mama była POTENCJALNYM KLIENTEM, niech spoczywa w pokoju.

Na szóstej alei O1ivier kupił NA ZAPAS flaszkę bourbona, która elegancko mieściła mu się w kieszeni płaszcza. To miasto jest całe dla ciebie, stary. I nie daj sobie wmówić niczego innego. Odczekał chwilę, aż spojrzę na mapę. Natychmiast zorientowałem się, gdzie jestem.

No a teraz, bracie, zejdziemy z planu.

Nie wpadaj w panikę. Patrz, jak to się dzieje. I w chwilę później wylądowaliśmy na dwudziestej czwartej ulicy, gdzie przed kościołem stała grupka ludzi. Nie wszyscy mieli krzesła takie jak moje, ale czterech czy pięciu owszem, inni woleli siedzieć na hydrancie, na schodkach, na krawężniku, złączeni jak SYJAMSCY BRACIA. Wyglądali zupełnie jak zebranie POWIERNIKÓW BUDYNIU, podobni do siebie przez te choroby, od których puchną kostki, a nogi przybierają niebieskawe i czarne kolory.

Koledzy profesjonaści, powiedział O1ivier.

Rozłożyłem krzesło, on zrobił to samo. Miał na sobie lśniący, szarawy garnitur i pedalskie buciki, ale kiedy wyciągnął z kieszeni flaszkę, bez trudu zaprzyjaźnił się ze wszystkimi.

247

W Nowym Jorku łatwo znaleźć przyjaciół, powiedział do mnie.

Pierwszy gość, który tyknął z jego butelki, dał nam swoją wizytówkę.

Vincent Carollo

Muzyk filmowy • „Chelsea Diner”

Miał bardzo czarne włosy, wysmarowane chyba pastą do butów, wyraźny przedziałek biegnący przez czubek głowy i kazał się nazywać Vinnie. Grał na bandzo w „Chelsea Diner”, zdaje się, że to bardzo sławny film. Kazał nam omijać z daleka noclegownię przy szesnastej ulicy i pamiętać, że w Św. Marku dają lepszą zupę niż w Św. Piotrze. Nauczył mnie także, że bym nigdy nie zostawiał krzesła bez opieki, w zamian zaśpiewał mi NAPRZÓD AUSTRALIO. Wtedy on zabrał nam swoją wizytówkę, bo potrzebował jej na później. Obiecał, że wkręci mnie do następnego filmu, ale jak chciałem go zaprosić do klubu Bicker, Olivier powiedział, że musimy już iść.

Ale udowodnił mi, że potrafię sobie znaleźć przyjaciół. Już go nie potrzebowałem.

W poniedziałek rano bardzo się zdenerwowałem, bo okazało się, że nie wolno mi siedzieć razem z Olivierem w jego nowej pracy ani odwiedzać go, o żadnej porze. Olivier miał nadzieję zmienić te zasady, ale ja bym na to nie liczył, Hughie.

Wiesz, chodzi o to, staruszk, że to strasznie powierzchowne

typy-

Zapytałem, czy mógłbym stać na ulicy pod biurem?

Masz WYJĄTKOWY TALENT, Hughie, ty naprawdę wiesz, jak BYĆ.

Chodziło mu o talent do siedzenia na krześle, kiedy Rzeźnik miotał się dookoła w ślepych szale i chciał za wszelką cenę zostać królem. Nie wiedział o moim TALENCIE do rysowania. Kiedy MNIE odesłali ze szkoły do domu, to nie próbowałem ich podpalać, tylko zabrałem się do roboty i jak mama postanowiła

248

ZAJRZEĆ CO JA TAM KOMBINUJĘ, to miałem już całe Marsh wyrysowane długopisem na prześcieradle. Biały Bones załatwił się z tym w swoim zwykłym stylu.

Marsh to było moje miasteczko, jak żadne inne. Nie tylko z powodu tego krzesła i ścieżki przed domem. Znałem każdy ściek i przepust, długość każdej ulicy i każdy róg. Z Mason's Lane do przejazdu kolejowego droga wynosiła 6450 uderzeń serca. Czy ktokolwiek poza mną wiedział taką prostą rzecz, ktokolwiek w całej PIĘCIOTYSIĘCZNEJ POPULACJI? Tak, miałem talent, ale byłem rzekomo za powolny, żeby chodzić do szkoły.

W poniedziałek rano, kiedy Olivier zostawił mnie samego, rozłożyłem sobie plan na dywanie w pokoju. Czuję trochę wyładowań w szyi, ale jeszcze nic złego. Narysowałem Main Street z Bacchus Marsh wzdłuż Broadwayu i Gisborne, tam gdzie biegła trzydziesta czwarta, a Lederberg Street zakryła ósmą aleję jak duch.

Było mi raz lepiej, raz gorzej, aż w końcu nie mogłem już znieść widoku mapy, a jak zaczęło mnie palić, wyszedłem.

W poprzek do trzeciej alei i dalej w górę, taki miałem plan. Dwudziesta druga, dwudziesta trzecia, i tak po kolei. Na pewno musiałem w końcu dojść do pięćdziesiątej piątej. Tętno podchodziło pod 200, mięśnie zmieniły się w wielką, czerwoną, zbitą, wrzącą kulę, ale co robić. Jednak na pięćdziesiątej piątej człowiek w brązowym garniturze odmówił mi wstępu do budynku.

Więc zawróciłem i kierując się mapą Marsh dotarłem do rzeźnika, tuż obok Duane Reade, gdzie kupiłem plastry z opatrunkiem, to był ROZBÓJ W BIAŁY DZIEŃ.

W końcu O1ivier wrócił do klubu LEPIEJ PÓŹNO NIŻ WCALE i dałem mu te plastry, żeby nakleił je na oknie, bo chciałem zobaczyć jego biuro z ulicy.

Hughie, staruszk, przyklej je dokładnie dziesięć po pierwszej.

Jak już usadowiliśmy się w barze, O1ivier powiedział, że powoli odzyskuje swoje życie.

Hej, poczęstuj się.

Zamierzał teraz rozwieść się z Marlene.

249

Połknął jednym haustem wielki dżin z tonikiem i zgryzł z chrzęstem lód. To jązniszczy, pieprzoną sukę. Jak się z niąrozwiode, już nigdy nie będzie mogła potwierdzić autentyczności obrazu ani zmusić mnie do podpisywania dokumentów.

Spróbuj też tego.

Zauważyłem, że ta druga pigułka miała inny kolor od pierwszej, ale O1ivier odpowiedział, że jesteśmy desperados, a nie dekoratorzy wnętrz.

Wskoczył na swojego ULUBIONEGO KONIKA i galopował w dal. Zdzira mogła sobie teraz wrócić do pisania na maszynie, staruszk, do tego bagna, z którego się wydobyła. A potem wymienił różne nazwy nieczystości, które zbierają się na wodzie, takie jak SZUMOWINA.

Przyszedł Jeavons, żeby zamienić dwa słowa.

KREW NA JEJ SIODLE powiedział, słowa z piosenki, kto wie, co to za piosenka, Jeavons dał znak barmanowi, a ja zrozumiałem, że O1ivier zwariował.

Następnego ranka już wiedziałem, że muszę wracać do brata. To on ma obowiązek troszczyć się o mnie. Z chwilą przybycia zażądałem kiełbasek i jajek. Rzeźnik nie próbował się wykręcać.

Marlene spała na materacu. Jedna goła noga wystawała jej spod pościeli i widziałem fragment tyłeczka, Boziu kochana, taki śliczny, że aż odwróciłem wzrok. Z SOBIE TYLKO ZNANYCH PRZYCZYŃ mój brat kupił szklanąpaletę i ucierał na niej farby, zagarniał i zdrapywał proszek szpataulką.

Zapytałem, czemu nie kupił sobie eleganckich jednofuntowych tubek z farbą.

Kazał mi się odpieprzyć.

Jak miło. Usiadłem i patrzyłem, co robi, aż w końcu zapytał, czy bym mu nie pomógł. Jasne, znowu byłem potrzebny w charakterze WYROBNIKA.

Nie miał oleju lnianego, ale coś innego o nazwie AMBERTOL. Cieszyłem się bardzo, że potrafię osiągnąć tę maślanąkonsysten-cję,jakąmój brat lubi najbardziej. Kolor wyglądał bardzo kojąco, dopóki Rzeźnik nie zmienił go w coś agresywnego i wstrząsającego, ocean żółci, barwy Boga, nieskończonego światła.

250

I jak tam twój kumpel Goebbels, zapytał Rzeźnik.

Kto?

01ivier.

Powiedziałem, że 01ivier zamierza rozwieść się z Marlene, bo chciałem mu zrobić przyjemność. Chyba mi się udało. W każdym razie usłyszałem, jak Marlene wierci się w łóżku, chociaż mogła równie dobrze poruszyć się przez sen, bo nie powiedziała ani słowa.

Rozdział czterdziesty iąty

/ zakurzone płótno Dominique Broussard stało teraz zawsze frontem do ściany i jeśli między mną a Marlene istniało jakieś napięcie, to tylko z gatunku najprzyjemniejszych.

Mój skarb miał tajemnicę - jak zmniejszyła ten obraz? I ja też miałem tajemnicę - słoje farb, o których absolutnie nie chciałem rozmawiać. Postawiłem te pięć zagadek na widoku, na samym środku kuchennego blatu i pracowałem nad szkicami dwadzieścia stóp dalej, pod oknem, siedząc na drewnianej skrzyni, plecami do brudnej ulicy. Co takiego knułem? Nie zamierzałem tego zdradzać, a ona nie zamierzała pytać. Uśmiechaliśmy się i kochaliśmy częściej niż kiedykolwiek.

Potem kupiła atlas do ćwiczeń i przez jakiś czas trenowała na nim z taką samą zawziętością, z jaką ja zajmowałem się farbami i szkicami ołówkiem. Od czasu do czasu odchodziłem od sekretnych prac i obejmowałem jej cudowne, szczupłe ramiona, naprężone mięśnie karku. Pociła się przy ćwiczeniach, ale na rysunkach, które zachowałem do dziś, to moje pożądanie lśni na jej skórze.

Mamy 1981 rok i jedyna obowiązująca zasada towarzyska brzmi: NIE WPUSZCZAJ NIEZNAJOMYCH DO MIESZKANIA. A jednak, pewnego późnego, śnieżnego poranka, zadzwonił dzwonek, i to ja złamałem zakaz, otwierając wrota losowi. Miałem do wyboru albo nacisnąć domofon, albo leżeć pięć pięter w dół tylko po to, żeby spławić jakiegoś ankietera.

Tym razem wpuściłem niechcący detektywa, kurwa, Amber-* streeta.

Marlene opuściła ciężarki.

252

- Co ty tu robisz? - zapytała.
- Raczej, co ty tu robisz, Marlene - odparł Amberstreet. Jego biała, otłuszczona gęba wylewała się z kołnierza długiego, czarnego płaszcza. - To chyba ciekawsze pytanie.
- Ładne butki - powiedziałem, ale Amberstreet zawsze był odporny na zniewagi. Teraz też obojętnie zmierzył wzrokiem spękane adidas, wyglądające spod rąbka czarnego płaszcza.
- Dzięki. Dałem za nie tylko sześćdziesiąt dolców. - Zamrugał. -Widzisz, Marlene, ten strych jest własnością rządu Nowej Południowej Walii. Mam szczerą nadzieję, że dysponujesz zgodą na mieszkanie tutaj.

Wtedy kątem oka zauważył Mówcę i chłodne szyderstwo ustąpiło miejsca dziwnemu podziwowi. Nie spuszczać wzroku z obrazu, zdjął ten kretyński płaszcz, spod którego ukazała się koszulka z napisem RDOLIĆ NOWY JO, gdyż PIE i RK schowały się pod pachami.

- Czyli tak - powiedział wolno, tuląc do siebie zwinięty płaszcz jak ulubionego pluszaka. - Czyli co, Michael, przyjaźniłeś się z Helen Gold?

Marlene obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem. O co tu, kurwa, chodziło?

- To koszmarna malarka - odparłem. - Dlaczego miałbym się przyjaźnić z kimś takim?

- Mieszkała tu jako stały gość.

- Właściwie to ja się z nią przyjaźniłam - wtrąciła Marlene.

- Czyli, pani Leibovitz, musiała pani słyszeć, że Helen popełniła samobójstwo.

- Oczywiście.

-1 rozumie pani, że włamała się pani na miejsce przestępstwa?

- Przepraszam - powiedziała do mnie. - Nie chciałam, żeby duchy straszły cię po nocach.

- Fatalne światło - oznajmił Amberstreet, luzując pasek z dwudziestoma ośmioma dziurkami. - Jak ty tu możesz pracować, Michael? Tworzysz coś? - Rozejrzał się, gwałtownie zwracając głowę w stronę stoików z farbą, stojących w kuchni.

253

- Zmieniasz paletę!

Zrobił kilka skrzypiących kroków w tamtą stronę. Marlene rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie, ale właściwie dlaczego?

Detektyw zachowywał się jak pies, tu obwąchał, tam siknął, latał od jednego zapachu do drugiego. Po chwili odłożył płaszcz na blat w kuchni i wziął do rąk dwa słoiki, jeden czerwony, drugi żółty.

-Ekscytujące.

Wdech, wydech, wdech, wydech. Po chwili skierował nochal w stronę Mówcy i zmrużył oczy, przyciskając moje farby do piersi. Chryste, gdyby tylko otworzył któryś i poczuł zapach ambertolu. Ale nie otworzył.

- Boże - powiedział. - Nawet, jeżeli przesadzili z oświetleniem. No wiesz, w Mitsukoshi. Rany, wszystko sprzedałeś, mówię to w dobrej wierze, Michael, serio. Mam nadzieję, że pisali o tobie w Australii.

-Nie wiem.

- Ach, racja, przecież nie wracałeś do domu. To był Mauri, zgadza się? Hiroshi Mauri, tak się nazywał gość, który kupił całą wystawę. Klasa wyżej niż ten twój kumpel Jean Paul.

- Owszem.

- To jakiś twój współpracownik, można tak powiedzieć, Marlene?

Marlene dotąd nie zeszła z atlasu, ale teraz wstała i owinęła sobie ręcznik wokół ramion.

- Och, proszę cię - powiedziała. - To takie nudne.

- Tak. Wiesz, co sobie pomyślałem, Michael? - Jednym, błyskawicznym ruchem wręczył mi słoiczki z farbą do potrzymania. -Wiesz, co pomyślałem, jak usłyszałem o twojej wystawie? Proszę, oto jak Marlene zamierza wywieźć Leibovitza od pana Boy-lana za granicę.

Trudno było się nie śmiać z małego skurwysyna.

-No cóż, myliłeś się.

- Nie sądzę, Michael. Miałem rację. Boże drogi, przepięknie odrestaurowałeś to płótno. - Trójkątne zmarszczki pod oczami pogłębiły się jak szczeliny w piaskowcu. Przekrzywił głowę, po

254

czym, jak gdyby zdjęty palącą ciekawością, gwałtownie skrzyżował żyłaste ramiona. - No naprawdę, to niewybaczalne, co zrobiliśmy, ale obraz chyba tylko na tym zyskał, nie sądzisz?

Spojrzałem na Marlene, co nie uszło uwagi Amberstreeta.

- Słyszałem, Marlene, że na rynku w Nowym Jorku pojawił się właśnie nowy Leibovitz, prosto z Tokio. I zdałem sobie sprawę, że obrazy Michaela to była podpucha. Na lotnisku w Sydney otworzyliśmy wszystkie skrzynie, ale ty miałaś Leibovitza w bagażu podręcznym. Obstawiam torbę z ubraniami.

O kurwa, pomyślałem, wpadła. To już koniec. Stało się, ot tak. Ale Marlene zupełnie nie wyglądała na złapaną. Nawet się uśmiechała.

- Przecież doskonale wiesz, że to nie może być obraz pana Boylana.

Amberstreet pokręcił głową i wbił w nią spojrzenie, już nie oficjalne, nawet nie sarkastyczne, ale, przez jedną krótką chwilę, pełne autentycznego zachwyty.

To Marlene przemówiła pierwsza.

-Zmierzyłeś go?

Detektyw nie odpowiedział, ale dziwnie uprzejmym gestem odebrał mi słoiki z farbą i odstawił je na blat, po czym wykonał serię błyskawicznych ruchów: otworzył drzwiczki kredensu, zamknął je, przesunął palcem po blacie, odkręcił kran, umył palec i na koniec zrobił taką minę, jak gdyby zamierzał wydać z siebie głos. Ale wtedy jego wzrok padł na tylną stronę kretyńskiego obrazka Dominiąque. Odwrócił go przodem do siebie. Wstrzymałem oddech.

- Zgadnijcie, skąd wracam - rzucił wreszcie.

- No powiedz nam - odparłem. Dokąd to, kurwa, zmierza? -pomyślałem.

- Od Billa de Kooninga.

No i?

-Nikt mi nie powiedział, że on jest taki przystojny.

Nic nie rozumiałem.

-No i jeszcze ta żona, Elaine. Wróciła do niego.

255

W jasnych, błyszczących oczach Marlene nie było śladu zaniepokojenia. Patrząc na mnie ze skupieniem, sięgnęła po płaszcz.

- Zaczekajcie - błagał Amberstreet. - Proszę, tylko spojrzcie.

Sięgnął do kieszeni kretyńskiego płaszcza i wyciągnął z niej kopertę, z koperty podwójne, kartonowe etui, a z niego - strzęp papieru, zabazgrany węglem. Trzymając szkic w zagłębieniu dłoni jak delikatnego motyla, wyciągnął do mnie rękę.

- To de Kooning?
- Każdy czasem chodzi do toalety.
- Ty kutasie - powiedziała Marlene. - Ukradłeś to!

-Nie, nie. Nawet nie jest podpisany. -Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, wykrzywiając wargi w grymasie zaprzeczenia. - Kto w Sydney by uwierzył? Kto miałby pojęcie? Zaraz, już wychodźcie? Zejdę z wami, ale proszę, powiedzcie mi, czy widzieliście tę wystawę Nolanda?

Nie padło ani jedno słowo więcej na temat pana Mauri i ukradzionego Leibovitza.

- No nic - mruknął, kiedy wyszliśmy na ulicę. - Ja muszę pędzić do Greenwich. Mam mapkę domów artystów.
- Chodzi ci o Village.
- Wiesz, że w końcu cię dopadnę, Marlene - powiedział. -Pójdiesz siedzieć.

A potem mrugnął na pożegnanie i długo patrzyliśmy, jak detektyw popapraniec oddała się w stronę Houston, otoczony fruującymi połami płaszcza jak kałamamica w burzy śnieżnej.

Marlene ścisnęła mnie za ramię.

- To była podpucha? - zapytałem. Oczywiście nie wierzyłem Amberstreetowi i powinienem dostać ataku furii, kiedy Marlene uśmiechnęła się w odpowiedzi. A tymczasem właściwie po prostu cieszyłem się, że nie została złapana. Zaśmiałem się i pocałowałem ją w usta. Wszyscy przyjaciele dziwią się, że jej nie znienawidziłem. Rany, co za oszustka. A ja, ostatni frajer, dałem się nabrać na całe to przedstawienie z Tokio jak kretyn. Najlepszy

256

obraz, jaki kiedykolwiek zrobiłem, został wykorzystany jako płachta matadora, wabik na gliny. Na pewno porządnie mnie to wkurwiło?

Nie.

Czy nie jest prawdą, że właśnie w tej minucie, kiedy spacerowaliśmy Canal Street, kierując się w stronę wielkiej, mrocznej ciszy ulicy Laight, schowanej pośród uwalanych sadzą duchów nieistniejącego już stanowiska odprawy pociągów towarowych, nawet w tym dokładnie momencie, gdy patrzyliśmy na szczura uciekającego przed nami po kamieniach, siedem z moich dziewięciu obrazów zapadało się gdzieś pod ziemię? Czy nikt nie wyrzucił ich do śmieci jak używany papier po gwiazdkowych prezentach, nie wcisnął z powrotem w plastikowe torebki tylko po to, żeby wywalić je gdzieś precz na ulice Roppongi?

Nie.

A co z moim własnym sprzeciwem? Czy zapomniałem już

o własnych tyradach na temat mojej sztuki?

Nie.

I dlaczego nie chciałem jej zostawić, uciec, teraz, właśnie teraz, gdy mijaliśmy odrapane metalowe drzwi, spod których wydobywał się niepojęty aromat kminku zmieszanego z cynamonem?

Nie, nie chciałem jej zostawiać.

Zatem naprawdę wierzyłem, że ta bezwstydną kłamczucha

1 oszustka szczerze pokochała moje obrazy?

Nigdy w to nie zwątpiłem. Nigdy przenigdy.

Właściwie dlaczego?

Bo to były kurewsko dobre rzeczy.

Idąc ulicą Greenwich, smaganą zimnym wiatrem znad Hudsonu, pośród fruujących gazet miotających się w powietrzu jak mewy, Marlene wcisnęła mi się pod ramię jak mała dziewczynka. Nie gniewałem się, bo wiedziałem, że aż do tej chwili nikt nigdy jej nie kochał. Doskonale zdawałem sobie sprawę z tego, jak Marlene sama siebie stworzyła, jak, podobnie do mnie, wkroczyła w świat, do którego nigdy nie powinna była zyskać wstę-

257

pu, dokładnie tam, gdzie zakradł się Amberstreet, kradnąc strzępek szkicu z podłogi Billa de Kooninga.

Od sztuki odgradzał nas gruby mur, nigdy byśmy nie zgadli, że ona w ogóle istnieje, aż do momentu, gdy prześlizgnęliśmy się pod bramą albo spaliliśmy budkę strażnika, albo może wyłamaliśmy okno w łazience i wtedy naszym oczom ukazało się to, co przed nami skrywano, więżąc nas w zapluty sypialniach, na werandach, w brudnych piwiarniach z przeciągami. A kiedy już ją odkryliśmy, omal nie oszaleliśmy z radości.

Żyliśmy dotąd nie wiedząc nic o istnieniu van Gogha, Verme-era czy Holbeina albo kochanego smutasa Maksa Beckmanna, ale odkąd się dowiedzieliśmy, postanowiliśmy złączyć nasz los z ich losem.

Dlatego nie mogłem poważnie nienawidzić Amberstreeta, a co do mojej bladej, zranionej ukochanej, mojej cudownej złodziejki, pragnąłem tylko wziąć jąw ramiona i unieść w powietrze. Miałem przed oczami żalodne linoleum w kuchni matki Marlene, jak gdyby to był rozmazany obraz Kandinsky'ego, stopniowo ukazywały się kolejne, szalone, przerażające szczegóły: lodówka, kuchenka pomalowana odpryskującą, żółtą farbą, sąsiedzi, pan jakiś tam i pani coś tam, nieświadomi, że umierają z głodu. Kto to jest Filippino Lippi, pani Cloverdale? A to mnie pan zażył, panie Jenkins, chyba nikt taki tu nie mieszka.

Nie wolno wyśmiewać się z niższej klasy średniej, można sobie narobić kłopotów, dadzą ci ekskomunikę, skreślą towarzystwa, pokażą, gdzie twoje miejsce i pieprz się, stary kretynie. Naród, który powstaje bez burżuazji, napotyka na pewne trudności i obozy koncentracyjne, budowane dla usprawnienia, nie rozwiązują wszystkich problemów. Oczywiście teraz Sydney jest już tak kurewsko oświecone, że w każdym pociągu trzeba się nasłuchać dysput na temat Vasariego, prowadzonych przez pasażerów z komórkami w dłoniach.

Kto to jest Lippi, pani Cloverdale? Proszę wybaczyć, panie Jenkins, ale czy chodzi panu o Filippo czy Filippino?

W czasach i w miejscach, gdzie Marlene i ja spędziliśmy dzieciństwo, sprawy wyglądały inaczej i tylko czystym przypadkiem

258

odnaleźliśmy to, co miało stać się jedyną, największą obsesją naszych pełnych chaosu i cierpienia istnień. Patrzcie tylko na cały ten zgiełk i zniszczenie, które przywiodły kochanego, pedalskie-go Bruna Bauhausa do Marsh. I czym mógł mnie tam nafasze-rować? Szaleńczym uwielbieniem dla Leibovitza. Nawet nie samymi, prawdziwymi, olejnymi obrazami. W promieniu trzydziestu mil nie znalazłaby się nawet akwarelka.

Z tego zadupia ty wyjechać musisz, powiedział.

I usłuchałem niebieskookiego dziwaka. Porzuciłem matkę i brata na pastwę Białego Bonesa, po czym wsiadłem w pociąg do Melbourne, ja, niepiśmienny, nieokrzesany wieśniak w białych skarpetkach i portkach do kostek. Nie miałem wyboru: musiałem grać takimi kartami, jakie mi się dostały, i starałem się ugrać jak najwięcej. Z premedytacją wdarłem się w snobistyczne towarzystwo z czerwonymi od krwi łapami. Za kogo mieli mnie brać, jeśli nie za jakiegoś wieprza, który wyrwał się spod kontroli? Nie czytałem Berensona ani Nietzschego, ani Kierkegaarda, ale dyskutowałem zawzięcie. Wybacz, Dennisie Flaherty, nie miałem prawa cię przegadać, nie miałem prawa nawet otwierać ust. Nic nie wiedziałem, nic nie oglądałem, nie byłem nawet we Florencji, w Sienie czy w Paryżu, nie studiowałem historii sztuki. W przerwie na lunch w rzeźni Williama Anglisa, czytałem Burckharta. Czytałem też Vasariego i jego protekcyjne uwagi o Uccellu, a to kutas złamany. Biedny Paolo, pisze Vasari, dostał zamówienie na obraz z kameleonem. Nie wiedząc, co to takiego kameleon, namalował wielbłąda, bo po włosku wielbłąd to cammello.

Pierdol się, Vasari. Tak właśnie zareagowałem. Chodziłeś do najlepszych szkół, w porządku, myślałem sobie, ale jesteś zwykłym plotkarzem i przydupasem Kośmy Medyceusza. A ja, rzeźnik, musiałem wdzierać się na pokoje tylnymi drzwiami. Teraz nie pozostało mi nic innego, jak wziąć Marlene w ramiona. Nigdy w życiu nie czułem takiej bliskości z żadną ludzką istotą, nawet, wybaczenie, nawet z moim ukochanym synkiem. Ucałowałem mojąłodziejkę o dziesiątej wieczorem na Greenwich Street, między Duane a Reade, nie z powodu zaślepienia, ale dlate-

259

go, że jąznałem. Byłem po jej stronie, nie domów aukcyjnych, nie wyzutych z gustu kutasów z 57 Ulicy, którzy ośmielali się wydawać opinię na temat moich obrazów, a potem lecieli podbijać ceny Wesselmanna albo jakiegoś gównu wartego de Chirico. Pocałowałem mokre powieki z rozmażanym tuszem, a potem, w błękitnym świetle zobaczyłem jak wiatr targa jej słomiane włosy. Marlene się uśmiechnęła.

- Chcesz wiedzieć, czemu ten Leibovitz ma inne wymiary niż płótno Boylana?

Czekałem w milczeniu.

- Dominiąue - powiedziała.

- Catalogue raisonnel

- Dominiąue była pijuską. W katalogu podała wymiary 30 x201/2. To błąd. Pewnie nikt przede mną nigdy nie zmierzył tego obrazu. - Pocałowała mnie w nos. -1 znam też twój sekret.

-Nieprawda.

- Malujesz nowego Leibovitza.

- Może.
- Bardzo niegrzeczny chłopczyk z ciebie. Zastanowiłeś się chociaż, jak ten nowy Leibovitz mógłby dostać certyfikat?
- Coś wymyślisz - powiedziałem, z pełnym przekonaniem, bo zastanawiałem się nad tą sprawą wiele razy.
- Owszem - odparła Marlene, a potem zaczęliśmy się całować, przytulać, przyciskać, wsysać, jedno ciało, jedna historia, jeden umysł, nie dzielił nas nawet atom powietrza. Chcecie wiedzieć, co to miłość?

Nie to, co myślicie, kochani.

Rozdział czterdziesty zty

Z/darzało mi się wracać do miejsca, gdzie po raz pierwszy zadeklarowaliśmy oficjalnie nasze nieuczciwe zamiary. Powinni tam przymocować niebieskąplakietkę, ale nic z tego, jest tylko koreański salon pielęgnacji paznokci, sklep ze zwierzakami i specjalna piwniczka, gdzie sprzedająbordo. Chodniki wypełniały spacerówki za tysiące dolarów, z kołami jak ciężarówki. W co trzeciej leżały bliźniaki. Nieistotne, co mi to przeszkadza. W tym oto miejscu stałem się kryminalistą, oszustem, kurwa, jakże mi wstyd. Błagam, pozwólcie, że pokajam się publicznie: zbłądziłem. Oczywiście sam Leibovitz, jak wszyscy wiedzą, odegrał rolę w aferze zwanej „fabrykąRembrandtów”. Zdarzyło się to w Monachium, miał wtedy naście lat i pracował jako murzyn dla Niemca Fagana, czyli chodził do getta i szkicował ciekawe twarze. Rysunki Leibovitza wędrowały potem do pewnego Szwajcara, który z kolei zabierał je do Pinakotheki i pieczołowicie przerabiał na Rembrandty. Leibovitz po wyjeździe z Estonii wpadł w śmierdzące bagno i walczył tylko o utrzymanie się na powierzchni, więc jego oszustw nie da się porównać - pod względem moralnym, artystycznym, dobry Boże - z tym, co ja wyrabiałem na chłodnym, błękitnym poddaszu przy Mercer Street. Tam oto, za zamkniętymi drzwiami, krok po kroku przygotowywałem dla świata tego słynnego, zaginionego Leibovitza, opisanego w dzienniku Leo Steina i wielbionego przez Picassa. Oryginał wisiał przez jakiś czas w jadalni przy Rue de Rennes 157, ale nie widać go na żadnym ze zdjęć robionych w czasie beznadziejnie nudnych przy-jęć Dominiąue. Przetrwowało czterdzieści osiem fotografii i każda z nich przedstawia to samo - że goście musieli obrócić się twa-

261

rządo gospodyni z kieliszkami uniesionymi do toastu. Obraz, jak sądzę, wisiał za plecami Dominiąue, skryty przed wzrokiem publiczności.

Można śmiało zgadywać, że obraz został wywieziony tamtej śnieżnej nocy w styczniu 1954 roku i że wylądował w garażu przy kanale St. Martin, ale co było dalej, tego nie wie nikt. Wszystko, co dotyczyło tego obrazu, wydawało się cudowne, łącznie z faktem, że Leibovitz namalował go na płótnie w czasach, gdy -o czym wspomina Stein - zdobycie płótna graniczyło z cudem.

Kiedy zatem czytacie tę sygnaturę - Dominiąue Broussard, 1944 - co możecie sobie pomyśleć o kobiecie, która ośmieliła się zagarnąć dla siebie choćby cał tego bezcennego płótna?

Warto także pamiętać, że Leibovitz był Żydem we Francji Vi-chy i odmawiając wyjazdu z Paryża znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Powaga sytuacji skłoniła go do porzucenia sentymentalnego stylu, z którego nie mógł się wyzwolić od czasu swoich największych dzieł z 1913 roku.

W opisie Steina obraz jest kubistyczny, przedstawia charakterystyczne dla Leibovitza stożki i cylindry, które budzą skojarzenia z wczesnymi dziełami. Stein zadaje sobie sporo trudu, żeby wyjaśnić, na czym polega ten

„nagły skok". To, co najbardziej nim wstrząsnęło, nazywa szarżującym Golemem, który przypomina mu „cyrkowąbestię"; wygląda jak jaskrawożółty robot z kabelkami i generatorem elektryczności, który obsługuje pięciu wystraszonych wieśniaków. Każdy, kto widział Chaplin meca-nique (1946), może sobie wyobrazić, o co tutaj chodzi. Styl bliższy Legerowi niż Braque'owi, ale zarazem niezaprzeczalnie indywidualny, Leibovitzowski. Stein, którego dziennik pochodzi z czasów, gdy Chaplin meca-nique jeszcze nie istniał, przepięknie opisuje surowe, mechaniczne płaszczyzny, stalową szarość, przydymioną szarość i odziane w stal ofiary gniewu Golema, „odskakujące jak ludzie, metalowe stonogi ogarnięte trwogą", rozpadające się na części, gwoździe, śruby, „geometryczny, elegancki chaos klęski".

Gdyby ktoś dzwonił, mam to w dupie. Hugh? Niech wróci później. Marlene? Ma własny klucz, ale nawet jej nie było dane

262

zerknąć na rodzące się dzieło, które w dużym stopniu powstawało wyłącznie w mojej głowie. Szkiecowałem i czytałem, karmiąc subtelną wyobraźnię diablami i golemami I.B. Singera, Marsdenem Hartleyem i Gertrudą Stein. Nie, to już nie Leibo-vitz, przyznaję.

Wyszukiwałem prace przedwojennych opętańców, wertycy-stów, o których można przynajmniej powiedzieć, że byli na tyle uprzejmi, by pisać więcej niż malowali. To nie znaczy, że Żyd Leibovitz sam postawiłby się w jednym rzędzie z takimi osobami, ale łączyła go z nimi głęboka, komunistyczna wiara w technologiczną zmechanizowaną przyszłość. Znalazłem zwariowaną księgarnię przy ulicy Wooster, gdzie pośród stert kretyńskich komiksów i prac Aleistera Crowleya krył się Gaudier-Brzeska:

MASY LUDZKIE wzbierają wycofują się, padają, po czym znów wschodzą.

KONIE zużywają się po trzech tygodniach, zdychają przy drodze.

PSY włóczę się po okolicy, ulegają niszczeniu, na ich miejsce przychodzą następne.

Musiałem wczuć się w przeszłość tak, jak gdyby miała dopiero nadejść, poczuć w kościach, jak się rodzi, jak zderzając się brutalne wektory, fala sprzeczności przyniesiona przez kozaków, Isaaca Newtona, Braque'a, Picassa, strach, nadzieja, przerażający Bosch.

MOJE EMOCJE BĘDĄ SIĘ RODZIĆ WYŁĄCZNIE Z UŁOŻENIA POWIERZCHNI, moje emocje będą prezentowane wyłącznie poprzez UŁOŻENIE POWIERZCHNI, PRZESTRZENI I LINII, PRZEZ KTÓRE SĄ OGRANICZONE.

Możecie uznać wszystkie te działania za sposób na wejście we właściwy nastrój. Właściwy temat stanowiła... farba. Jeżeli miałem przechytryć idiotów z Sotheby's, nie mogłem sobie pozwolić na niefrasobliwość. Zagruntowałem płótno białą, ołowiową farbą, na której wykonałem szkic węglem, komiksową wersję dzieła, która stałaby się widoczna na tle ołowiu pod wpływem promieni Roentgena, gdyby zatrudnili do analizy swoich koleśków z laboratorium. Praca miała być „na temat" - nie Golema, a linii

263

i płaszczyzn, przestrzeni podzielonej i ułożonej przez anioła przyszłości, zatrzymanego na drodze spod góry Saint Victoire do Avi-gnonu.

Kolejna sprawa to charakter pisma, te krótkie, stanowcze uderzenia włosia, które staremu capowi wychodziły idealnie równoległe. To brzmi cholernie łatwo, ale wymaga czegoś więcej niż sprawnego nadgarstka i czerwonego sobolowego pędzla. Trzeba przyjąć właściwą pozycję, oddychać w stosownym

tempie, dobrać odpowiedni kąt nachylenia sztalug. I dochodziła jeszcze do tego kwestia szczególnego wymodelowania cylindrów i sześciątów, które w moim zamierzeniu miały być odrobinę - ciut--ciut - mniej stanowcze niż na późniejszym Chaplin.

Pracując nad szkicem, odkryłem w Golemie szaloną radość. Miał elektryczną, świecącą kulę na ramieniu i płomiennie niebieskie oczy, kule kobaltowego błękitu. Chociaż miał zniszczenie, był, tak jak napisał Stein, „cyrkowąbestią”. Nawet tego nie planowałem, po prostu tak to wyszło, częściowo dzięki specyficznemu doborowi barw, ale tylko częściowo. Le Golem électrique, 1944, jak głosiła sygnatura, umieszczona przeze mnie po drugiej stronie, był pełen furii jak karząca dłoń sprawiedliwości i radosny jak ludowy festyn.

Na ogół nie przeszkadza mi, kiedy ktoś patrzy, jak pracuję, ale nie chciałem, żeby Marlene widziała, jak stąпам po tej linii, dopóki nie przejdę bezpiecznie na drugą stronę.

Miała oko i bystry umysł, już to mówiłem, ale akurat w tej sytuacji te przymioty nie pomogłyby mi zmierzyć się z zadaniem. Właśnie dlatego poszedłem na całość i upiekłem moje arcydzieło, zanim zapytałem ją o zdanie. Płótno zmieściło się w piekarniku i trzymałem je tam przez sześćdziesiąt kurewsko nerwowych minut w temperaturze stu pięciu stopni Fahrenheita. Za krótko, jak na olej lniany, ale ponieważ spoiwem był ambertol, masa przybrała konsystencję bakelitu. Powierzchnia stała się sucha i twarda, jak gdyby stała na powietrzu przez sześćdziesiąt lat.

Zostawiłem Le Golem électrique, 1944 do ostygnięcia, jak szarlotkę, po czym zabrałem farby i wyrzuciłem je do śmietnika, nie najbliższego, na rogu Prince Street, ale na Leroy Street, przy

264

samej autostradzie, gdzie nieustępliwy Amberstreet nie wetknąłby swojego czerwonego, zadartego nocha. I tam, pośród sterty gipsu i cegieł z jakiegoś rozebranego garażu, znalazłem olśniewającą, pretensjonalną ramę, w kolorze przydymionej szarości, ozdobioną rzeźbionymi winogronami i girlandami. Trochę za dużą, ale to lepiej niż za małą. Triumfalnie zabrałem ją ze sobą do domu, mijając coraz bardziej znajome ulice, Leroy, Bedford, Houston, Mercer. Na koniec otworzyłem drzwi i ukryłem się w bezpiecznych ciemnościach pod schodami.

Marlene jeszcze nie wróciła. Rozstawiłem sztalugi i umieściłem na nich obraz, usiłując wykorzystać resztki światła. Obraz był cudowny, naprawdę cudowny i właśnie zacząłem szukać korkociągu, żeby oblać sukces, kiedy usłyszałem krzyk. A raczej wycie. Marlene!

Rozdział czterdziesty i y

X\unąłem do drzwi uzbrojony tylko w korkociąg, skoczyłem w ciemność i przewróciłem się w płątanie śmieci i dywanu, przekoziołkowałem po schodach, cudem nie łamiąc rąk i nóg, aż w końcu wylądowałem na dole i zobaczyłem, że Marlene siedzi na progu. Próbowałem ją podnieść, ale gwałtownie mnie odtrąciła. Złapałem kopertę Kodaka, która wypadła jej z rąk.

- Zapytał, czy nazywam się Marlene Leibovitz - powiedziała.

Tak jak kiedyś sądziłem, że jestem prześladowany z powodu

palca Evana Guthriego, teraz ubrdało mi się, że katastrofa ma coś wspólnego z kopertą Kodaka. Wewnątrz znalazłem fotografie obrazu Dominique, który wypiąskowałem, żeby namalować Golema. Wpadliśmy, pomyślałem. Marlene wpadła.

-Nie, nie chodzi o to.-Wyrwała mi zdjęcia i cisnęła we mnie inną garścią papierów, aleja nie byłem w stanie przestawić się na inny tor, bo moje myśli biegły już po stalowych szynach, prowadzących prosto do pierdła.

- Jak on je zdobył?

-Kto?

- Amberstreet.

- Nie, nie! - wykrzyknęła, pełna wściekłości na mnie i na cały świat. - Przeczytaj!

Nadal tkwił w otwartych drzwiach, prawie na ulicy i dopiero wtedy wreszcie pojąłem, o co chodzi. Pozew. Jakiś drań wręczył jej pismo, pozew o rozwód złożony przez O1iviera Leibovitza (powoda), przeciwko Marlene Leibovitz (pozwanej).

- To cię tak zdenerwowało?

-A jak myślisz?

266

Dlaczego tak się wkurzyła? Przecież go nie kochała. I nawet nie miał pieniędzy. Kompletnie nie rozumiałem takiej reakcji. A poza tym nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą takim tonem, nie bywaliśmy sarkastyczni, zaczepni, złośliwi. Nagle stałem się jej wrogiem i w dodatku idiotą? Nie lubiłem odgrywać takich ról. Robiłem się od tego wredny.

- W takim razie, skąd te zdjęcia?

- Zdjęcia nieważne. - Głos Marlene drżał, więc objąłem ją i usiłowałem wycisnąć dość z nas obojga. Ale Marlene nie chciała dać się przytulić i poczułem wielką falę gniewu, kiedy mnie odtrąciła.

- To ja wydaję certyfikaty - powiedziała. - Ja.

Co to, kurwa, za różnica?

Wchodząc po schodach, dwa kroki za nią, czułem, jak gotuje się z furii. Gdy dotarliśmy na strych, gdzie czekał mój obraz, jej policzki były zaróżowione, a oczy przymrużone. Zerknęła krótko na obraz, po czym kiwnęła głową.

- Teraz słuchaj - powiedziała. - Tak wygląda plan.

A co z moim pieprzonym płótnem? Niewątpliwie zobaczyła Golema, ale nie padło nic w rodzaju: brawo, Rzeźnik, nikt inny by czegoś takiego nie dokonał.

Marlene była zajęta miotaniem się po pokoju i rozkładaniem zdjęć. Przedstawiały oryginalny obraz Broussard w całej jego wątpliwej krasie. Fotografie okropnie wytrąciły mnie z równowagi, bo sugerowały, że Marlene prowadziła jakąś działalność, którą zupełnie przede mną ukryła.

-Tyje zrobiłaś?

-Nie zorientowałeś się, że wiem, co ty robisz?

-Ale dlaczego?

Miała fatalny nastrój, przepełniła ją lodowata wściekłość.

-Powiedziałaś, że ja mam się zatroszczyć o uznanie płótna. I oto co wymyśliłam. Musisz namalować Broussard jeszcze raz, na wierzchu.

Roześmiałem się.

- Może będziesz łaskawa i jednak na niego zerknąć, zanim każesz mi go zamalować!
- Oczywiście, że go oglądałam. A coś ty myślał, skarbie.

267

-Podglądałaś.

- Jasne, że podglądałam. Takie dziwne?
- Podoba ci się?
- Jest fantastyczny, wystarczy? A teraz weźmiesz swojego Golema i namalujesz na nim z powrotem bohoma Broussard. -Zaczęła przekładać zdjęcia jak facet od gry w trzy kubki z dolnego Broadwayu. - Nie musi być identyczny, ale podobny. Zaufaj mi. Użyjesz dokładnie tych samych farb.

-Wyrzuciłem je.

- Co takiego?
- Spokojnie, kochanie, nie denerwuj się tak.
- Coś ty zrobił? Gdzie je wyrzuciłeś?

-Do śmietnika.

-Którego?

-Na rogu Leroy.

- Leroy i jakiej? - Marlene miała już na nodze jeden but do biegania.

-Leroy i Greenwich.

Zawiązała drugi but i już jej nie było. Patrzyłem z góry, jak biegnie ulicą. Chociaż często widywałem jak trenuje, jeszcze nigdy nie widziałem jej w biegu. W innych okolicznościach taki widok przyprawiłby mnie o szybsze bicie serca, bo mknęła po szarych, zimnych kamieniach jak po szynach, prosto jak strzała, z uniesioną głową jak gdyby od jej stóp do sprężystej, złotej grzywki biegła napięta struna. Patrząc na moją kochankę, moją pomocnicę, mojego czułego anioła, przeraziłem się własnej buty.

Rozdział czterdziesty y

Temat: stosunki seksualne.

Mówią, że nie trzeba PATRZEĆ W KOMINEK JAK SIĘ PUSZCZA W RUCH POGRZEBACZ, więc dźgałem i dźgałem, Boziu, jakie skry szły z płonących polan, a ona piszczła i WYŁA, jak gdyby PALONA ŻYWYM OGNIEM, karmazy-nowe krawędzie na spadających liściach, długie przerwy między drinkami.

To prawda, że BARONESSA nie była SUPERDUPĄ. Skończyły się czasy spotkań mojego brata z mamusiami pierwszaków i gdyby nie praca O1iviera, pewnie nigdy bym nie odwiedził Apartamentu Rousseau. O1ivier mnie porzucił, zabierając swe butelki LOREZAPAMU i ADDERALLU, ale żadna znana SUBSTANCJA CHEMICZNA nie mogła go uszczęśliwić, więc bez przerwy opowiadał paskudne rzeczy na temat Marlene. A jak zaczął płakać przy śniadaniu, to zorientowałem się, że stanąłem po przegranej stronie, przykro mi, wybaczenie, chciałbym być miłszym człowiekiem.

Wróciłem do Rzeźnika. Nie zareagował na dzwonek.

No dobrze, zaprzyjaźniłem się z NIEWŁAŚCIWYMI OSOBAMI, ale czyja to wina? Wiele z tych osób było artystami znanymi ze scen filmowych i teatralnych, tak jak Vinnie i Baron. Poszedłem ich odwiedzić ze swym krzesłem, i to oni właśnie zachęcili mnie, żebym wetknął pałę w Baronessę. W mieszkaniu śmierdziało gotowaną martwą świnia żadnych LILII i ROZMARYNU jako OZNAKI LUKSUSU, podczas gdy Rzeźnik mógłby czekać na mnie w zaparkowanym samochodzie, czytając DONIESIENIA ZE ŚWIATA SZTUKI, w nadziei, że znajdzie tam swoje zapomniane nazwisko.

269

Baron powiedział, że mnie szanuje i bez obrazy, ale wyciągnął mi pieniądze z tylnej kieszeni, zabrał też YALIUM O1iviera. Ale ja ZABRAŁEM SIĘ DO ROBOTY, czułem, jak nadchodzi przyptyw, zaszumiło w trzcinnie, ławica małych rybek, niech mnie. Wtedy Vinnie i Baron zdjęli z telewizora KRÓLICZE USZY i zaczęli mnie dźgać w brzuch. Posunęli się za daleko. W pokoju było ciemno, paliło się tylko sześć lampek z lawy, trzasnąłem Vin-niego w ten czerwony RYJEK, tak że padając zostawił ŚLUZOWATĄ SMUGĘ z czarnej pasty do butów na tapecie. Powinienem był PRZYGWOŹDZIĆ Barona pięścią, ale musiałem użyć krzesła, bo w końcu nie jestem bohaterem Magicznej wyprawy. Tak zwana Baronessa darła się jak ZARZYMANA ŚWINIA na podwórku domu w STARKVILLE W STANIE MISSISIPI, skąd pochodziła i skąd przyjechała, żeby zostać tancerką, chociaż miała tylko pięć stóp wzrostu, jeszcze nigdy nie uderzyłem kobiety. Podniosłem ubranie i TRA LA LI LA żegnajcie, najmiłsi.

Zapłaciłem Baronessie dwadzieścia dolarów, starczyłoby im na kolejną ZBIOROWĄ ORGIĘ na dwudziestej szóstej ulicy, taki jestem, ale musiałem teraz iść dwadzieścia pięter w dół, bo WINDA się zacięła i wszyscy ci ludzie w środku zaczęli wrzeszczeć i wzywać pomocy. Przedtem czułem się szczęśliwy. Teraz już nie. Żałowałem, że nie zostałem w Marsh, gdzie nie było ani pól WINDY, ani nawet schodów dłuższych niż dziesięć stopni, mówię tu o kościele prezbiteriańskim, zawsze mieli kłopoty z trumnami, to się nazywało ZJEŹDŻALNIA.

Na piątym piętrze minąłem drzwi od mieszkania Vinniego z napisem MUZYK FILMOWY „CHELSEA DINER”. Vinnie łamał PRZEPISY PRZECIWOPOŻAROWE za pomocą wszystkich FANZINÓW i PISM PORNOGRAFICZNYCH, którymi obkleił cały korytarz.

Na drugim piętrze zatrzymałem się, żeby włożyć spodnie, ale ciągle miałem iskry w głowie i w mięśniach, lecz szedłem dalej, wciągając nowe skarpetki OD CALVINA KLEINA, aż wyskoczyłem na jednej nodze na dziesiątą aleję. Ruszyłem biegiem, tak jak jechały samochody, ale zorientowałem się, że to zły kierunek,

270

założyłem but i cofnąłem się aż do drogi na zachód, gdzie odpocząłem chwilę.

Mogłem iść do klubu Bicker, chciałbym być odważniejszy, ale nie jestem. Postanowiłem odpocząć od O1iviera. On przechodził właśnie TRUDNY OKRES, ucierał swoje lekarstwa i wciągał je nosem przez słomkę,

aż miał całkiem czerwony ryj i fioletowe oczy, takiego koloru jak więdnąca orchidea, żeby nie powiedzieć nic brzydszego, i miał kompletnie wyczerpaną skórę od obrony przed światłem dnia. Brnął przez morze duchów, poparzony przez meduzy, z czerwonymi guzami rosnącymi na szyi i dłoniach.

I do tego jeszcze włączony magnetofon, co wieczór ta sama piosenka MUCHY KRAŻĄCE NAD ROWEM. KREW NA SIODLE. Zawsze był dla mnie taki dobry, dbał o mnie, płacił za mój pokój, kupował ubrania, rozmawiał i zaprowadził mnie na tyły pralni i poznał z tyloma interesującymi ludźmi, księżętami i żebrakami, staruszką, ale teraz zacząłem się go bać.

Moje skarpetki nie leżały dobrze wewnątrz butów, ale nie zatrzymałem się, żeby to poprawić, kiedy wreszcie dotarłem na Mercer Street, stopy krwawiły mi w ciemnościach.

Zadzwoiłem domofonem.

Odpowiedział.

Boziu kochana, dzięki ci, błogosław nam wszystkim. Nie zmartwiłbym się nawet, gdyby w środku czekał na mnie Biały Bones z witką albo pasem do ostrzenia brzytwy, wszedłem na te mroczne, śmierdzące schody jak wombat wczolgujący się do nory, która pachnie znajomo ziemią korzeniami.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Ilene ocaliła pięć słoiczków farby od zagłady w śmietniku przy Leroy Street. Gdy wróciła na strych, jej nogi lśniły od potu, a oczy przejrzyste przyćmił gniew albo strach, skąd miałem wiedzieć?

Mój Golem nadal stał na widoku, tak żeby przyciągnąć jej wzrok, kiedy tylko przekroczy próg, bo nie wątpiłem, że zdążyła już uświadomić sobie, jak niesłychane było to osiągnięcie, prawdziwe płótno z 1944 roku, idealnie podrobiony charakter pisma, śmiała kompozycja to jeszcze nic, ten obraz już istniał, istniał w pismach Leona Steina i Johna Richardсона. Ale ona nie powiedziała ani słowa. Pieprz się, pomyślałem. Pierwszy raz w życiu.

Musisz zamalować Golema, rozkazała, pogrzebać go jak eksponat dla przyszłych archeologów.

Pieprz się. Drugi raz.

Napiliśmy się whisky. Wytłumaczyłem jej, dość spokojnie, że nie mogę zamalować Golema, bo byłby nie tylko zrujnowany, ale nigdy nikt by go nie odnalazł.

Zaprotestowała, chociaż nie podała powodów. Jeszcze nigdy nie zderzyłem się z granitowąskąalającą uporu. Ale Marlene nigdy nie widziała Starego Bonesa, wyruszającego do walki z postawionymi żaglami, niesionego huraganem furii.

Wtedy zadzwonił domofon, koszmarny brzdęk, ale tym razem wyjątkowo pomyślałem, dzięki ci, Boże. Zarzuciłem ścierkę na obraz, ustawiłem go pod ścianą i skoczyłem do drzwi, by wpuścić mojego gościa, którym okazał się sapiący, pierdzący i jęczący Hugh, mój brat.

272

Nie zdążył nawet wypić pierwszego łyka herbaty z mlekiem, kiedy Marlene już usiłowała go wygonić do klubu Bicker, kurew-sko mało subtelnie.

- Jaka szkoda - powiedziała. - Nie mamy żadnego łóżka dla ciebie.

Pomyślałem wtedy, że po prostu zachowuje się jak złośliwa świnia, ale chodziło, oczywiście, o pozew. Marlene pomyślała, że Hugh przyszedł do nas szpiegować na polecenie jej męża.

Tymczasem Hugh zaczął się panicznie bać O1iviera i - w odruchu rozpaczy, jak sędzę - wyciągnął garść mokrych banknotów, ogłaszając, że sam sobie kupi materac i wie doskonale, dokąd iść. Taki objaw samodzielności z jego strony był absolutnie bez precedensu. Zniknął w ciemnościach, zostawiając nas samych w towarzystwie flaszki Lagavulin.

W godzinę później zdążyliśmy już przerobić całą Wojnę i pokój i wrócić do punktu wyjścia. Hugh przyłazł z powrotem, razem z materacem, który przytargał aż z Canal Street. Złożył swój mokry łup pod blatem w kuchni i tam przygotował sobie legowisko, z którego następnie obserwował nasze zadziwiające poczynania. Nie był szpiegiem, tylko raczej starym, stęsknionym psi-skiem, spragnionym snu, komiksów i smażonych kiełbasek, które musiałem mu podawać cztery razy dziennie.

Oczywiście w końcu zobaczył Leibovitzę.

- Kto to zrobił? - zainteresował się gwałtownie.

Jego pytanie przeraziło Marlene, która nagle zapałała ku niemu serdecznością i czułością, wyciągając go na wyprawy na zakupy, albo gdziekolwiek, byleby tylko nie widział, jak ją grzebię Golema pod nowym obrazem.

Tylko że ja oczywiście nie zamierzałem tego zrobić. Tak już jest z nami, artystami. Tak jak właściciele małych sklepików, lubimy mieć całkowitą władzę nad naszym skromnym przedsiębiorstwem. I jeżeli komuś się to nie podoba, won z mojego sklepu, z mojego wozu, z mojego życia. Ja tu rządziłem i nie planowałem czegokolwiek zamalowywać.

Marlene była kobietą, która potrafiła wdrapać się na słup telegraficzny, żeby poprzecinać kable, więc teraz wpadła w znie-

273

cierpliwienie, gniew i irytację, z których głębi nie zdawałem sobie sprawy. Przez trzy długie dni tolerowała mój opór, ale w końcu, kiedy wróciłem do domu - spędziwszy ekscytujące popołudnie na walce z próchnicą mojego brata - zobaczyłem, że pokryła Golema warstwą werniksu z damary.

- Odlóż ten pędzel - powiedziałem.

Obrzuciła mnie spojrzeniem spod zmrużonych powiek, z płonącymi policzkami, pełna strachu i agresji zarazem.

W końcu, ku mojej niezmiętej uldze, upuściła wreszcie ten pieprzony pędzel do stoika z werniksem, jak dziecko wrzuca łyżkę do miski z zupą.

-1 żebyś się nie ważyła więcej tknąć mojego obrazu.

Wybuchnęła płaczem, więc oczywiście wzięłem ją w ramiona, ucałowałem jej mokre policzki i wygłodniałe usta, po czym odgrzałem Hugh kielbaski i wyszliśmy na spacer, przytuleni mocno do siebie, rozkochani, rozgadani, brnęliśmy przez Chinatown pośród zaduchu kiszzonej kapusty, w cieniach mostu Manhattan.

Nigdy nie twierdziłem, że to głupi pomysł. Tylko niewykonalny. Miałem rację. Ona się myliła, jak każdy, kto byłby w stanie wrzucić pędzel do werniksu. Nikt nie zaufałby cienkiej warstwie damary jako powłoce ochronnej między cennym obrazem a jakimś gównem namalowanym na wierzchu.

Poza tym, gdybyśmy mieli zamalować Golema, musielibyśmy zaaranżować jego odkrycie, co wymagałoby, żeby jacyś goście z dyplomami z Yale sami z siebie odkryli pod spodem zaginionego Leibovitza. Chcieliśmy przecież - czyż nie? - żeby czuli się, jak gdyby to ich własny geniusz wydobył złoto ukryte pod warstwą śmiecia. W tym celu mogliśmy zanieść płótno Broussard do czyszczenia do najlepszego możliwego konserwatora - czyli Jane Threadwell. I przy pomocy wyrafinowanych chemicznych sztuczek doprowadzilibyśmy do tego, by sama Threadwell dotarła do tajemnicy obrazu.

Threadwell była ponoć kochanką Milta. To znaczy Milt tak twierdził. Zresztą to nieistotne. Problem przedstawia się tak: konserwatorzy, nawet jeżeli są takimi wariatami, żeby pieprzyć się z Miłtem Hesse'em, w sprawach obrazów zachowują się

274

procent ostrożności. Nawet przy prostym czyszczeniu trzeciorzędowego płótna Dominique Broussard Jane Threadwell zaczęłaby od przeprowadzenia testu na mikroskopijnym fragmencie - średnicy 1/8 cala - i to nie ze środka obrazu, nawet nie z rogu, ale z tego peryferyjnego kawałka, który zwykle jest schowany pod ramą.

I takiego to płochliwego zwierzaka musielibyśmy schwytać w sidła. Jakkolwiek byśmy sobie nie życzyli, żeby zeszkobała gównianą Broussard i odsłoniła cudownego Golema, mogliśmy o tym zapomnieć. Najmniejszy ślad farby na puszkę... i już jej nie ma.

Jak więc mieliśmy zmusić Jane do odkrycia Golema, mimo całej jej ostrożności?

- Rozedrzeć płótno - powiedziała Marlene. - Zobacz, że są dwie warstwy farby.

- Poprosimy ją o załatwienie płótna kiepskiego obrazu. Nieciekawa, rutynowa fucha. Nawet nie zwróciłaby uwagi. A gdyby zwróciła, czemu miałyby pomyśleć, że pod spodem jest jakieś arcydzieło?

- No to co zrobimy?

- Nie wiem.

Szczerze mówiąc sądziłem, że musi być jakieś prostsze rozwiązanie. To był świetny obraz, na litość boską, nie jakaś byle podróbka autorstwa van Meegerena. Dlaczego ryzykować, że coś spieprzymy, skoro na pewno dałoby się go wywieźć do Japonii, czy gdzieś indziej, albo odnaleźć w majątku zmarłego?

Och nie, nie dałoby się.

Ale dlaczego, do cholery?

Zbyt długo tłumaczyć, po prostu by się nie dało.

Dlaczego?

Nie teraz.

Była roztargniona i zirytowana, co mnie się także udzieliło. Mimo wszystko usiłowałem ją rozweselić - kto by nie próbował? Szczerze wierzyłem, że nam się uda, że raz na zawsze uwolnimy się od O1iviera i - Bogu dzięki - jego popieprzonej mamusi. Chwilami wyobrażałem sobie nawet, jak kupuję posia-

275

dłość Jeana Paula w Bellingen, rany, co za idiotyzm, proszę, nawet o tym nie mówcie.

Początkowo nie myślałem o pieniądzach, ale kiedy uświadomiłem sobie, jak cudownie będzie uciec od droit morale, zacząłem coraz bardziej liczyć na ten milion dolarów. Kupiłem nawet osiemsetstronicowy przewodnik po materiałach dla artystów Mayersa i z jego pomocą udało mi się rozwiązać chemiczno-chronologiczny problem godnych zaufania farb i bezpiecznego rozpuszczalnika, który dałby sobie radę z zastaną tajemnicą. W snach dręczyły mnie wybuchowe mieszanki chemikaliów, kwasów, terpentyny, ripolinu, alkoholi, wizje katastrofy, obrazy mnie w więziennej celi w Nowym Jorku, Golema zmytego z płótna. Padłem ofiarą nerwicy, nagłych przebudzeń, okrzyków i skurczy. Marlene nie radziła sobie wiele lepiej.

-Śpisz?

Oczywiście, że nie. Leżała na plecach, jej oczy lśniły w ciemnościach.

-Rzeźnik, posłuchaj mnie - powiedziała. - Przecież on dał licencję na reprodukcję obrazów ojca na jakichś pieprzonych kubkach do kawy. Rozumiesz to? Olivier jest kompletnym barbarzyńcą i ignorantem.

- Ćśś. Śpij już. To nieważne.

- Był leniwy i roztrzepany. Jedyny powód, dla którego trzymał się tej pracy w reklamie, to fakt, że mógł sobie polecieć do Teksasu, gdzie klient stawiał mu kolację, a potem liżał mu fiuta.

-Nie! Serio?

-Nie, nie serio, ale to ja ocaliłam go od koszmaru. Ja się nim zajmowałam. Opiekowałam się nim, dbałam o jego konie, o jego wyścigi, o niego. I chętnie robiłabym to dalej. Pierdolony dupek.

- Zostaw go w spokoju. On nie może nam nic zrobić.

-Już zrobił, kutas.

Ale wtuliła się we mnie, moja kochana dziewczyna, układając tę śliczną główkę między moją szyją a ramieniem, dotykając ciepłym tyłeczkiem mojego uda i czułem, jak wdycha mój zapach, a jej leciutkie, zwinne ciało dopasowało się doskonale do wielkiej, zbitej masy mojego rzeźnickiego brzucha.

276

- Kochaj mnie, nie przestawaj - powiedziała.

Zdmuchnąłem świeczki i głaskałem ją po szyi, dopóki nie usnęła. Jej oddech pachniał pastą do zębów, a powietrze było pełne dymu i wosku, jak dawno, dawno temu, latem, za siedmioma rzekami.

Rozdział pięćdziesiąty

Sklep Universal Supplies na Trzeciej Alei miał wielki magazyn, coś w rodzaju składnicy farb i pędzli, i tam właśnie natknąłem się na okaz muzealny, dwadzieścia trzy próbki farby Magna sprzed trzydziestu pięciu lat. Jeżeli wiecie, co to jest farba Magna, to dlatego, że używali jej Morris Louis, Frankenthaler, Kenneth Noland i chyba także Rothko.

Wynalazł ją Sam Golden, wielki chemik, wspólnik Leonarda Bocoura, wielkiego prozelity. Od 1946 roku, kiedy to rozpoczęła się produkcja Magny, Bocour porożyszał darmowe pudełka z próbkami po całym świecie. No, spróbuj sobie, Morrisie Louisie, proszę, zerknij na to, Picasso. Niech pan łaskawie rzuci okiem, panie Leibovitz, panie Nolan. Do pudełek wrzucał garść zieleni albo żółci, jakiś przypadkowy zestaw. To nie ułatwiło mi sprawy, ale kiedy w końcu podniosłem się z zakurzonej podłogi sklepu, udało mi się wybrać trzynaście

pudełek zawierających farby w takiej ilości i w takich barwach, jakich potrzebowałem.

Jeżeli wiecie coś o malowaniu, to znacie już dalszą część tej historii. Wiecie, że Magna stanowiła przełom, to była pierwsza farba akrylowa, którą dało się mieszać z olejem. I rezultat wyglądał jak farba olejna, a nie jak dulux.

Gdybym użył Magny malując obraz Broussard, konserwator-ka, widząc datę i końcowy efekt, uznałaby śmiało, że to olej. I dobrałaby rozpuszczalnik w rodzaju białego spirytusu, całkowicie bezpieczny dla farb olejnych. Ha ha ha. Wyobraźcie sobie tylko. Mamy naszą ostrożną myszkę, widzicie, jak podchodzi powoli, obwąchuje wszystko z każdej strony, potem delikatnie, delikat-

278

niusieńko nakłada pędzelkiem odrobinę rozpuszczalnika i, Jezus Maryja, co to się dzieje: cały kolor złazi jak zmyty.

Sygnal alarmowy, jak to mówią.

To nie jest farba olejna! Niuch niuch niuch...

Och, Jezusie Nazareński, Najświętsza Panienko, to Magna! Drugi sygnal. Magna pojawiła się w cztery lata po dacie powstania dzieła.

I teraz już ją mamy. Threadwell wie, że Broussard to żona Leibovitza. I jeśli zastanowi się chociaż przez moment, to zauważy, że tytuł jakoś zupełnie nie pasuje do wyglądu kiczyku.

To oczywiście nie wystarczy, ale prawie, prawie. Jeżeli tylko zdołamy przywabić Threadwell trochę bliżej, to w końcu usunie całą Magnę i odkryje cudowny olej. Ale Threadwell jest konserwator-ką. Nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła.

A jednak wróciłem na Mercer Street pełen optymizmu, niosąc w rękach dwie torby z trzynastoma promocyjnymi zestawami Magny. Rozłożyłem je na stole, żeby pochwalić się mojej kochance. Byłem geniuszem, cholernie dobrym, brzydkim kryminalistą. Potrzebowałem obcęgow, żeby odkręcić tubki, ale ich zawartość była równie świeża, jak w dniu zapakowania.

Pewnie myślicie, że dzięki temu Marlene uspokoiła się w sprawie droit morale, ale niestety. Ja to rozumiem, rozwiodłem się kiedyś i wiem, że nie jest łatwo. Pomyślałem, że rozwód Marlene też poboli i przestanie, jak to zawsze bywa. A po wszystkim i tak opowiadałaby w kółko o O1ivierze i jego droit morale, tak jak ja nie mogłem przestać bredzić o alimentach i dziwkach. Ale w międzyczasie odnieśliśmy w Nowym Jorku bardzo cenne, osobiste zwycięstwo. Nikt by się nie dowiedział. Nikt nie musiałby wiedzieć.

Namalowanie obrazu Broussard zajęło mi równo cztery godziny, a i tak chyba przyłożyłem się do tego bardziej niż Dominique. Magna szybko schnie, więc niebawem mogłem spryskać obraz roztworem cukru i wystawić go na dach, żeby zawarł znajomość z nowojorską latającą fauną.

279

Czy nikt nie powiedział, och, ty sprytny draniu?

Nie, ale to bez znaczenia. Ustawiłem obraz na sztaludze nad skwierczącymi kiełbaskami Hugh, a kiedy stosowna warstwa tłuszczu osiadła na farbie, przetrąłem powierzchnię brudną gąbką.

Hugh przyglądał się oczywiście wszystkim moim poczynaniom, ale jego uwagę pochłaniała Magiczna wyprawa, której egzemplarz Marlene wyszukała dla niego na Strandzie.

W nocy postawiłem brudne płótno przy łóżku i zapaliłem przed nim cztery świece, patrząc radośnie, jak na tłuszczu osiada czarna warstwa sadzy. To naprawdę wymagało porządnego czyszczenia.

Leżąc na boku, z Marlene przytuloną do pleców, myślałem o pieniądzach. Było mi bardzo przyjemnie.

- Proszę, masz tu Broussard, mała - powiedziała by Milton Hesse do Jane Threadwell. - Wiem, że to straszne gówno, ale ma jakąś wartość historyczną. W każdym razie rodzina chce to oczyścić. - Coś w tym stylu. - Tylko nie cackaj się za bardzo, to nie jest neurochirurgia - powiedziała by jeszcze stary osioł.

Jane Threadwell nie zabrałaby się do roboty od razu, bo przecież musiałaby jeszcze ocalić jakiegoś szerniałego Mondriana albo Kiefera, który pokrył się siecią pęknięć jak świńska farma w czasie suszy. Oddałaby Broussard jakiejś asystentce, ot taka pańszczyzna, przysługa dla starego przyjaciela. Ale w końcu asystentka zaczęłaby czyścić płótno i wtedy, Jezus Maria Józef, Marlene doczekałaby się od Milta ciekawego telefonu.

Nie chodzi tylko o anachroniczną farbę. Kiedy usunęli ramę, odkryli, że oprawa wytarła trochę farby i pod spodem - jak to się mogło stać? - widać jakiś wcześniejszy olejny obraz. Biorąc pod uwagę rodzinne koligacje artystki, co Marlene życzy sobie, żeby zrobić?

Marlene oczywiście zaczęłaby się wahać, więc Milt zadzwoniłby do Threadwell, a Threadwell do swojego kumpla, Jacoba z laboratorium, i zaczęliby prześwietlać podczerwienią, promieniami Roentgena i w końcu wszyscy wpadliby w ekstazę, bo oto ich oczom ukazałby się Le Golem électrique.

280

- Pani Leibovitz, naprawdę uważamy, że powinna pani pozwolić Jane iść na całość.

No teraz to już z górki na pazurki, Magna usunięta, niuch niuch niuch, odrobina białego spirytusu i zeszlaby jak zmyta.

Dzwońcie do „Timesa”! Do „Timesa”! Milton miałby swoje pięć minut.

- Płakałem jak dziecko - powiedziała by. - Jak dziecko, kiedy Jacques umarł.

Pewnie w mojej radości jest coś podłego, taka mała zemsta prowincjusza, triumf wieśniaka nad miej skim elegancikiem, mały szwindel rodem z Bacchus Marsh, bez rozgłosu, nie znany szerokiej publice, ale dający zainteresowanym cholernie dużo satysfakcji. Och, brawo, panie Bones, jak pan to zrobił? Gratulacje dla pana i dla całej rodziny.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Kto mógłby ukraść moje krzesło?

Marlene powiedziała, że na pewno zostawiłem je na schodach, więc wziąłem latarkę i poszedłem szukać w tym kurzu i brudzie, znalazłem tylko martwąmysz, biedne, wysuszone serduszko, kto mógłby ukraść moje krzesło?

Musiałem zrobić coś, co potem WYLECIAŁO MI Z GŁOWY Kiedyś jako chłopiec wyszedłem we śnie z domu, obudziłem się dopiero, jak dotknąłem bosymi stopami mokrej ścieżki. A innym razem zacząłem rysować na

prześcieradłach. No niech mnie, nie potrafiłem tego wyjaśnić. W tym pokoju kryła się jakaś tajemnica, jak zepsute mięso, paskudny smród, tak dobrze ZNANY, od dnia moich smutnych narodzin, od dnia wielkiego rozczarowania, widok słońca zza siatki, brzęczenie much, ŻĄDNYCH KRWI INSEKTÓW, oddech mamy pachnący różami, jak wino mszalne.

kto mnie ocali?

Rzeźnik malował w MARTWEJ CISZY, zupełnie inaczej niż zwykle, bo ma zwyczaj nawijać i PRZECHWALAĆ SIĘ aż USZY WIĘDNA i można oszaleć od tej gadaniny. No spójrz tylko, Hugh, to będzie dopiero piękność, patrz, gacie im spadną, no po prostu zdechną, jak to zobaczą. Zdarzało się, że rozkładał płótno na podłodze i potrzebował mnie wtedy do wykonania AKTU ŁASKI, ale tym razem rozstawił sobie sprytnie patyki, jak nadzorca przy Darley Road. Boziu, wybac mi, zostałem MALARZEM SZTALUGOWYM, więc mógł ustawić mnie po niewłaściwej stronie płótna, jak gdybym był podłogą.

282

Całe życie mieszkałem w oparach sekretów, krwi, róż, wina mszalnego, kto wie lepiej niż ja, co się z nami działo tam, przy głównej ulicy w Bacchus Marsh. Mogliśmy wszyscy praktykować dalej rzeźnicki fach, rysować czerwone kreski na ciałach, przynosić lekką śmierć. Jak ja bym kochał te zwierzęta, bardziej niż ktokolwiek przede mną. Ale to nieważne. Nie daliby mi noża do ręki, więc zamieszkałem z tym tak zwanym Rzeźnikiem i jego kochanym chłopaczkiem, brzoskwinie w trawie, słodki, zgnity aromat jego małżeństwa, czułem to, ale nie potrafiłem nazwać, kiedy tak krążyłem wokół chłopca, starając się go uchronić przed niebezpieczeństwem, a potem to ja właśnie go skrzywdziłem. Wszystko zawsze nie tak, zawsze zepsucie w sercu, odgłos much Suwających w słońcu, cienki pisk i głośny trzask drzwi, kiedy ktoś wchodzi, a ktoś inny wychodzi. To właśnie Marsh, głosy z sąsiedniego pokoju. Urodziłem się tępy, wiem.

W Nowym Jorku siedziałem na MATERACU Z CANAL STREET i kombinowałem na wszystkie strony, dlaczego mój brat malował teraz jak PRZECIĘTNIAK. On nic nie mówił, ja nie pytałem. Nie ma nic gorszego.

W Marsh zaglądałem do wielkiej szuflady pod szafą Mamy, jak zostawałem sam, byłem WŚCIBSKJ, wybaczcie mi. Mówili, że urodziłem się tępy i że to złamało mamie serce. Ale coś zostało mi odebrane. Coś się wydarzyło i nigdy nie zostało odnalezione, został tylko zapach kamfory w szufladzie. Omijaliśmy ten temat, tak jak teraz omijaliśmy sprawę mojego zaginionego krzesła, tak jak gdyby kryło się w tym coś groźnego i obrzydliwego, bo dlaczego miałby malować jak PRZECIĘTNIAK? Przyprawiało mnie to o ból głowy. Nie mogłem skupić myśli, wymykały mi się jak dżdżownica uciekająca przed haczykiem.

Mój brat przyjechał do Nowego Jorku i nikt w całej restauracji nie znał jego nazwiska, więc wściekł się, że ludzie nie kłaniali się w pas EKS-MICHAELOWI BOONE, aż skurczył się od tego i pociemniał, jak świeżo wydobyty węgiel. Kupił sztyfty do rysowania w sklepie Pearl Paint i zaczął ścierać i ścierać, jak gdyby mógł przez to wymazać samego siebie, zetrzeć samego siebie na proch.

283

Cokolwiek się wydarzyło, nigdy nie będziemy wiedzieć. Omijać temat, omijać temat.

Marlene Cook z Benalli. Michael Boone z Bacchus Marsh. Królowie i Królowe na Mercer Street. Wspiął się na dach budynku, a tam leżał jego obraz, wystawiony na spojrzenie nocy. Biel jajka, czarna powłoka, upadłe, spalone duszyczki. KTO MNIE TERAZ OCALI?

Rozdział pięćdziesiąty r

JAugh nigdy się nie zmienił, od dnia, kiedy zabrałem go ze sobą do Melbourne. Usiłował utopić tatusia, zresztą wzajemnością, ale i tak nadal gapił się na mnie, jak gdybym to ja był winny jego nieszczęściom. Mógłby wciąż stać w kuchni matki, pod niskim sufitem, przed oknem na Gisbourne Street, blokując jedyne źródło światła, jak wielki Świadek Jehowy, w czarnych butach, które nosił do kościoła, białej koszuli z krótkimi rękawami i pod krawatem. Żel nadał jego włosom barwę mokrej palonej umbry, a małe uszka jak muszle płonęły czerwienią. A oczka, oczka też nie zmieniły się ani na jotę, ten nienawistny wzrok, który teraz wbity był w Marlene.

- Co z tobą, do jasnej cholery? - zapytałem go tym razem na Mercer Street.

Brak odpowiedzi.

- Bierzesz lekarstwa?

Obrzucił mnie wojowniczym spojrzeniem, po czym wycofał się na brudne, smutne legowisko, gdzie usiadł pośród okruszków tostów i okryty kapturem z kołdry spozierał na moją ukochaną, czytając „New York Timesa”. Sądząc po natężeniu uwagi moglibyście uznać, że śledzi wzrokiem jadowego węża.

Marlene była ubrana do biegania, w workowate szorty i szarawy podkoszulek. Aż do tej chwili ignorowała spojrzenie mojego brata, ale kiedy wstała, Hugh natychmiast przekrzywił głowę i uniósł wyczekująco brwi.

-Co?- zapytała.

Zabrzmiął domofon.

285

Hugh spłoszył się i wślizgnął z powrotem pod kołdrę.

Ja też się nie popisałem, słysząc nieznośny brzęk. Nie miałem ochoty na wizytę detektywa Kutasińskiego; mógłby zacząć się dopytywać o obraz, który tak pieczołowicie zawiązałem w gazety poprzedniego wieczoru. Leżał teraz dokładnie w tym samym miejscu, gdzie postawiłem go świeżo po piaskowaniu, pod ścianą.

Nagle zdecydowałem się przesunąć płótno, ale ledwo wstałem, do mieszkania wkroczył już Milt Hesse. Po raz pierwszy w życiu ucieszyłem się na widok tego starego dupka, bo przyszedł właśnie zabrać nasz skarb do czyszczenia. Mój brat tytnął na niego tak wojowniczo, że bałem się, czy zaraz nie ruszy do ataku.

- Prrr - powiedziałem. - Prrrr, stary.

Milt nie rozeznał się w sytuacji, tylko od razu podszedł i wyciągnął łapsko w stronę rozwścieczonej bestii.

- My się chyba nie znamy. Czy jest pan kolejnym australijskim geniuszem?

Ale Hugh nie chciał go nawet tknąć, a Milt, który, jak każdy nowojorczyk, niewątpliwie doskonale orientował się we wszelkich typach zaburzeń psychicznych, płynnie skręcił w stronę stołu i ucałował Marlene.

-Moja lalczka.

Milt miał lewą rękę na temblaku, ponieważ zranił ją sobie przy okazji jakiegoś nieszczęśliwego upadku, więc musiał pozwolić, by Marlene własnoręcznie wcisnęła mu paczkę z obrazem pod pachę.

Hugh tymczasem skulił się na materacu, przyciągając kolana do piersi i kołysał się lekko na boki. Gdybyście go nie znali, pomyślelibyście, że nie zwraca uwagi na gościa, ale wcale się nie zdziwiłem, kiedy ledwo Milt

wyszedł za próg, mój braciszek zerwał się na równe nogi.

- Milt, zaczekaj, odprowadzę cię - oświadczyła nagle Marlene.

286

Hugh opadł na kolana i zagrzebał się w stos pościeli, skąd po chwili wydobył płaszcz, oddzielił go od poszewki i prześcieradła i ruszył do drzwi, w pewnej odległości za Marlene i Miltem.

-Nie, stary, lepiej zostań tutaj.

Zablokowałem mu drogę, ale odtrącił mnie ramieniem.

- Proszę cię, nie rozrabiaj.

- Kto to jest? - wydyszał Hugh.

- Zabierze obraz do czyszczenia.

-Aha.

Wycofał się, początkowo zdziwiony, ale po chwili na jego obliczu zabłysnął ten kretyński, porozumiewawczy uśmieшек, jak gdyby to on jeden, ze wszystkich ludzi, był dopuszczony do jakiegoś ważnego sekretu.

- O czym ty tam myślisz?

Postukał się w głowę.

-O czym?

- O dachu - odparł.

Ten pieprzony uśmieшек stawał się fizycznie nie do zniesienia.

- Jakim dachu, stary?

Wycofał się jeszcze kilka kroków w stronę materaca, z koszmarnie zaciśniętymi wargami i bardzo czerwonymi uszami. Kiedy usadowił się w swoim gniazdku, jego suche włosy, naelektryzowane od pościeli, stanęły dęba od karku aż po czubek głowy. I tak siedział, koszmarna, uśmiechnięta głupawo zjawą, gdy Marlene wróciła z joggingu.

Ona także była na krawędzi wytrzymałości i ile by nie biegała i nie ćwiczyła z ciężarkami, nic jej nie uspokajało.

Usiadła przy stole i natychmiast wróciła do lektury „Ti-mesa”.

-Podpaliłaś swojąszkołę-powiedziałmój brat.

Hugh, pomyślałem, och, Hugh, Hugh, Hugh.

Marlene już wcześniej przybrała cudowny, różowy kolor, który uwypuklał nawet najjaśniejsze piegi na jej policzkach.

287

- Coś ty powiedział o Marlene?

Hugh objął kolana ramionami i zaczął chichotać.

- Że podpaliła liceum w Benalli.

- Dziwak z ciebie, Hugh - powiedziała Marlene z uśmiechem.

- Z ciebie też - odparł brat z podejrzaną zadowoloną miną, jak gdyby w końcu znalazł rozwiązanie dla jakiejś zagadki, która długo go nurtowała. - Słyszałem, że podpaliłaś liceum w Benalli.

Marlene przez moment wpatrywała się w mojego brata ze zmrużonymi powiekami i ściśniętymi wargami, ale po chwili wyraz napięcia zniknął z jej twarzy.

- Hugh, ty figlarzu, nigdy nie wiadomo, jaką masz sztuczkę w zanadru.

-Nie ja, ty.

-Nie ja, ty.

- Wcale nie, ty.

Aż oboje zaczęli ryczeć ze śmiechu, a ja oddaliłem się na chwilę, żeby tego nie słuchać.

W porze obiadowej zadzwonił Milt i powiedział, że Jane już obejrzała obraz, który jej zdaniem musiał wisieć u kogoś w kuchni. Wieczorem odsmażyłem kielbaski dla Hugh, Marlene poszła pobiegać, po czym zjedliśmy kolację u Fanelliiego, wypijając przy tym dwie butelki znakomitego burgunda.

Nie czułem się pijany, ale zaraz po powrocie padłem na łóżko i zasnąłem jak podcięty. Obudziłem się tuż po trzeciej. Marlene wróciła z łazienki i umierała z zimna. Najpierw zauważyłam tylko, że się trzęsie, ale kiedy dotknąłem jej twarzy, poczułem potok łez. Przytuliłem jej rozedrgane od płaczu ciało.

- Cśśś, skarbie, już dobrze.

Nie mogła się uspokoić.

- Przepraszam - powiedział Hugh, stając w drzwiach.

- Kurwa żesz mać, idź spać, do cholery. Jest prawie trzecia w nocy.

- Nie powinienem był tego mówić.

- To nie ma nic wspólnego z tobą, kretynie.

288

Usłyszałem, jak Hugh wzdycha z irytacją, a Marlene wciąż dławiała się od płaczu, wydając koszmarnie odgłosy jak topielec. Widziałem ją w świetle płynącym z ulicy, jej cudowne, gładkie ciało, zwinięte i zmarszczone jak papier zaciśnięty w pięści. To ten pieprzony rozwód, pomyślałem, ta idiotyczna sprawa z droit morale. Za nic nie rozumiałem, dlaczego tak strasznie chciała je mieć.

- Czy potrafisz mnie jeszcze kochać?

Oczywiście, że ją kochałem, jak nikogo w życiu, kochałem jej spryt, jej odwagę i urodę. Kochałem kobietę, która ukradła obraz Dozy'ego, która czytała Magiczną wyprawę i sfalszowała katalog, ale jeszcze bardziej

kochałem dziewczynę, uciekinierkę z zaplutej izdebki w Benalli, aż czułem smród czerwonej, ołowianej farby, której matka malowała kominek każdej niedzieli, czułem smak ohydnej kawy z cykorii, buraków z puszki, plamiących białkajek ułożonych na bladej, lodowej sałacie.

- Ćśśś, kocham cię.

-Nie wiesz.

- Ćśśś.

-Nie będziesz mnie kochał, nie będziesz mógł.

- Przecież kocham.

- Zrobiłam to - wykrzyknęła nagle.

- Co zrobiłaś?

Spojrzałem jej w twarz i wyczytałem w niej przerażenie, skurcz panicznego strachu, wywołany moim czułym pytaniem. Jęknęła, ukryła mi twarz na piersiach i znowu zaczęła łkać. Nagle wykryłem znów obecność Hugh. Stał dokładnie nad nami.

- Marsz do łóżka, w tej chwili.

Jego bose stopy zaszurały o podłogę.

- Zrobiłam to - powtórzyła.

- Ona spaliła liceum w Benalli. Przykro mi - powiedział żałobnym tonem Hugh.

Uniosłem jej podbródek, by na mnie spojrzała, a całe uliczne światło zalało jej załzawione oczy.

289

- Czy to prawda, kochanie? Przytaknęła.

- To właśnie zrobiłaś?

- Jestem występna.

Przyciągnąłem ją do siebie, objąłem i przytuliłem, Marlene i całą puszkę tajemnic, składających się na jej życie.

Rozdział pięćdziesiąty rz

JN^yliłem się, to możliwe, zgrzeszyłem, bardzo prawdopodobne, urodziłem się dając FAŁSZYWE ŚWIADECTWO, zostałem zwykłym PLOTKARZEM, panienką telefonistką centrali w Bacchus Marsh. Nie słyszeliście? Mówią, że Marlene Cook podpaliła swoje liceum? KTO mówi? O1ivier mówi, więc to tylko PLOTKI i POGŁOSKI, wybaczcie mi, nigdy bym tego nie powtórzył, gdybym nie był wściekły z powodu krzesła, gdybym nie czuł, że COŚ TU ŚMIERDZI, że tak się wyrażę. Nie rozumiejąc, co się dzieje, ZBARANIAŁEM i powtórzyłem OSZCZERSTWO ćpuna i lekomana, i Marlene przeze mnie płakała, w środku nocy, ludzka istota zagubiona w przestrzeni kosmicznej, uwięziona w plastikowej powłoce, walcząca o powietrze, pozbawiona DOBREGO IMIENIA, odessanego odkurzaczem razem z tlenem, pośród ryku i trzasku młynów Boga.

Czy to prawda?

Nie ma prawdy, jest krzywda. Wybacz mi Panie Jezu Chryste, nie mogłem znieść, jak cierpi, nie mogłem czekać do świtu, więc wróciłem do klubu Bicker i WYRĄBAŁEM wszystko Oli-vierowi, że zmyślił tę historię, bo jej nienawidził.

Bładym świtem wróciłem i znów stanąłem nad ich głowami. Chciałbym być aniołem, ale skrzydła nie pasowałyby do mojego owłosionego karku. Marlene spała, z głowając zwykle na piersiach mojego brata. Otworzył jedno oko, po czym zerknął na zegarek.

Won, powiedział.

Idę.

291

Był piękny poranek, tuż po siódmej, gołębie gruchały na zardzewiałych poręczach, pewnie nie odróżniając jednego dnia od drugiego, najwyżej pogodę, czasem jest im mokro, czasem sucho, czasem gorąco albo zimno, mają serca wielkości przeżutej gumy, tyle krwi co w niepełnej filiżance. Co one mogą wiedzieć o mojej udręce, pomyślałem, zresztą czy ktokolwiek może sobie wyobrazić niekończące się tortury zadawane przez wszy, cierpienia nieznanne nikomu z wyjątkiem cierpiącego, koszmarnie tajemnice nieznanym nikomu chorób, nie gorszych i nie lepszych od innych. Przeszedłem Mercer Street z opuszczoną głową. Wokół mnie czarne, plastikowe worki, nadymające się i ulatujące w powietrze, no weźmy taką rybę z restauracji. Co wie ryba? Kto uprzedzi szczupaka o życiu wiecznym, o czyścicu na Mercer Street? Te potworne myśli prześladowały mnie jak PIEKIELNE WYZIEWY, zaszedłem na Broadway, omal mnie nie przejechali, potem Union Square, Gramercy Park, prosto do klubu Bicker, ani śladu Jeavonsa. Nieważne, miałem własny klucz. Tak jak zeznałem. Tak jak mówiłem. Tak jak nagrali to, szpula za szpulą i do tego jeszcze kasetą magnetofonową, sześćdziesiąt minut

NASTĘPNIE UDAŁEM SIĘ na drugie piętro i otworzyłem kluczem drzwi, dobry Boże, nie wiedziałem, co narobiłem.

O1ivier w czarnej piżamie, z twarzą ukrytą za krzesłem, nogi krzesła zaciśnięte jak nożyce na białym, zranionym gardle, wielki, niebieski pępek, podziemne jezioro rozlewające się pod skórą. Miał otwarte oczy. Nie ruszał się, nie wydał dźwięku. Coś mi MUSIAŁO UMKNĄĆ, nie wiem co. Trąciłem go stopą, a on drgnął jak martwe zwierzę, które pogodziło się ze śmiercią.

Nie dotknąłem go palcami. Nie zatrzymałem się na dłużej. Wybiegłem z klubu, a Jeavons krzyczał za mną STOP. Biegłem przez Broadway z wyciem, CZERWONE ŚWIATŁA, CIEMNOŚĆ, Panie ocal nas przede mną, powiedz, co się stało.

Rozdział pięćdziesiąty zy

Obudził nas Powolny Bones. Spadł na nasze łóżko, ciężki, nieuchronny jak metalowa kurtyna. Nie było czasu na skarpetki czy na bieliznę, wyruszyliśmy natychmiast, wszyscy razem, do klubu Bicker, gdzie spotkaliśmy tak zwanego Jeavonsa w bardzo niepokojącym stanie.

To on wskazał policji „żonę ofiary” i w rezultacie Marlene dostąpiła zaszczytu wizyty na miej scu zbrodni - gliny posunęły się cholernie daleko w stosowaniu przemocy fizycznej, kiedy usiłowałem jej towarzyszyć - i to ona dokonała „identyfikacji” ciała jako zwłok O1iviera Leibovitza.

Czekałem na schodach wiodących do posiadłości, bo dalej nie pozwolili mi wejść. Siedzieliśmy razem z Hugh, otępiali i oniemiaли. Potem w drzwiach ukazała się Marlene, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, i zwymiotowała.

Policjanci zabrali mojego brata do biblioteki klubowej, Marlene rzygała na chodnik, a mnie kazano towarzyszyć Hugh w pewnej odległości. Ukryty w wysoko sklepionym korytarzu, byłem świadkiem jego przesłuchania. Posadzili go pod paskudnym plakatem Hamleta z Johnem Wilkesem Boothem. Nie słyszałem słów, ale odniosłem wrażenie, że mój brat przyznał się do morderstwa. I ja w to uwierzyłem. Kiedy zakuli mu ręce w te ich pułapki na myszy, spojrzał na mnie, już nie płakał, miał dziwnie spokojne, ciemne oczy.

Postawili biednego olbrzyma na nogi, obrócili nim dookoła i zostawili w spokoju, stojącego twarzą do kąta biblioteki.

293

Wtedy coś się wydarzyło, Bóg jeden wie, co dokładnie - samotanina na schodach, wpada najmłodszy glina, w dżinsach i adidasach, uwalnia Hugh z kajdanków i stary byk ruszył na mnie z opuszczoną głową.

-Hugh!

Minął mnie w pędzie.

Glina był wygolonym, wymytym i wypchnionym młodzikiem, nigdy wcześniej takiego nie widziałem. Przypominał raczej jakiegoś libańskiego handlarza haszem z palarni Johnny'ego w Melbourne.

-To twój brat?

-Tak.

- Jest trochę opóźniony?

- Zgadza się.

-Zabierz go stąd.

- Co takiego?

- Jest wolny.

Hugh stał samotnie, wbijając we mnie małe, oskarżycielskie oczka. Po chwili pozwolił, żebym objął go ramieniem i sprowadził po schodach.

- Usiądź tu na chwilę, dobrze?

Zdjąłem sweter i podkoszulek, potem wciągnąłem drapiącą wełnę z powrotem na sfatygowane plecy i użyłem koszulki do wytarcia twarzy Marlene. Siedziała wciśnięta między dwa zaparkowane samochody i wciąż nie mogła odzyskać oddechu, chociaż nie miała już prawie nic do zwrócenia. Nie widziałem tego, co ona, i nie chciałem oglądać. Otarłem jej usta i brodę, wymiociny pozostawiły żółtozielone ślady na koszulce, którą po wszystkim cisnąłem ponad ogrodzeniem do parku Gramercy -pieprzyć sukinsynów.

Przyjechała karetka, ale nikomu nie chciało się wysiąść. Było szaro, mglisto, wilgotno i duszno. Siedzieliśmy bez życia, wydrążeni, wyssani jak kość.

Policja przyjechała, odjechała, ambulans blokował przejazd, nie zważając na dzikie trąbienie taksówek, ale

nikt nie kwapił się, żeby zabrać ciało syna sławnego artysty.

294

Oczywiście nie wiedziałem jeszcze o świeżo złamanej kości śródrezcza prawej dłoni O1iviera. Zastanawiam się, co bym zrobił. Czy zważyłbym winę na Hugh? Doniósłbym na niego policji? Wrobiłbym go? Skąd miałbym, kurwa, wiedzieć? Prawdziwa zagadka leży nie w moim charakterze, ale w samej zbrodni. Morderca albo miał klucz - ale przecież wszystkie klucze znaleziono - albo wszedł przez otwarte okno, wspiąwszy się uprzednio na wysokość pięćdziesięciu stóp po gładkiej ścianie.

Hugh miał klucz, ale w porze, kiedy Jeavons przyszedł do O1iviera z herbatą i znalazł ciało, mój brat spał na Mercer Street. Jeavons to zrobił? Nikt w to nie wierzył. Kiedy Hugh zobaczył zwłoki i uciekł, O1ivier nie żył już co najmniej od pięciu godzin.

Czyli Hugh nie odegrał w tym wszystkim żadnej roli - a jednak w martwym ciele zaszyfrowana była wiadomość, zrozumiała dla każdego, kto znał jego historię.

Patolodzy z biura Medycyny Sądowej nie znali Hugh i nie odczytali przesłania, chociaż Bóg wie, że szukali jak cholera. Pobrali próbki mózgu, wątroby, krwi. W mózgu O1iviera znaleźli adderral, celeksę i morfinę, ale to nie prochy go zabiły. Przyczyną śmierci było uduszenie. Raport z autopsji zwracał uwagę na wymowne szczegóły: znaczne przekrwienie serca (powiększenie prawej komory), obrzmienie żył powyżej rany i cyjanoza (niebieskie przebarwienie ust i opuszków palców). Taki efekt osiągnięto dzięki umiejętnemu wykorzystaniu składanych nóg krzesła Hugh.

Wydawałoby się, że to powinno wystarczyć, ale nie, nic z tego. Poszlachtowali go jak świnie, otwierając to piękne ciało za pomocą „zwykłego cięcia”. Muchy bzycały, podekscytowane. Zważyli ten biedny, smutny mózg. Stwierdzili, że naczynia krwionośne u podstawy pnia mózgu miały gładkie ściany (cokolwiek to znaczy). Zważyli mu płuca, serce i wątrobę. Czy coś jeszcze, pani Porter? Przetyk: nic szczególnego. Dźgnęli kilka razy w żołądek i odkryli „niestrawione resztki pokarmu z rozpoznawalnymi kawałkami mięsa i jarzyn, wyraźny zapach alkoholu”.

295

Przecięli mu kutasa. Kielich, miednica, moczowód oraz pęcherz w normie. Powłoka torebki odchodzi bez trudu, odsłaniając gładką, wyraźnie sinawą powierzchnię. Wolałem nawet nie wiedzieć, co to znaczy, ale czym on sobie zasłużył na coś takiego? Za co to wszystko? Za to, że urodził się w murach zakłętą pałacu sztuki? Pochlastali mu kiszki i wyrócili flaki, zbadali zawartość gówna. To było życie, człowiek, ciało, całokształt.

Tabloidy przeprowadziły równie gruntowną obdukcję. Wywlekły fakt, że matka ofiary, Dominique Broussard, zginęła podobną śmiercią w Nicei w 1967 roku. Przeanalizowali tę kwestię w szczegółach. To ciekawe, dowiedzieć się, że śmierć przez uduszenie spotyka najczęściej kobiety i dzieci. Brukowce zapomniały wspomnieć tylko o jednym drobiazgu, wyszczególnionym rzecz jasna w autopsji: morderca złamał O1ivierowi Leibovitzowi palec.

Hugh tego nie zrobił.

Ja tego nie zrobiłem.

W całym Nowym Jorku była tylko jedna osoba, która rozumiała znaczenie tego obrażenia, powstałego w momencie zgonu, bo osoba ta odegrała rolę w historii mojego brata.

Oczywiście nie zorientowałem się od razu. Olivier zginął w sobotę nad ranem, a ja dopiero w środę - czyli bardzo szybko, jak na standardy nowojorskich patologów, o czym poinformowano mnie na posterunku - odebrałem raport koronera i zabrałem go na Mercer Street. Przyrządziłem Hugh kiełbaski i kartofle, po czym zagłębiłem się w lekturze. Minęła minuta lub dwie, zanim dotarłem do kości śródrečna.

Marlene siedziała w zupełnym milczeniu, czytając przewodnik po materiałach Mayera, ale spojrzała na mnie z takim napięciem, jak gdyby czekała na moją reakcję.

- O co chodzi, skarbie?

Pchnąłem do niej kartkę, odsuwając warstwę okruchów z tostów, po czym podkreśliłem paznokciem wyrażenie „kość śródrečna”.

Jej usta drgnęły, to nie był uśmiech, ale wymowny skurcz. Wytrzymała mój wzrok i nie opuszczając głowy powoli złożyła raport.

296

- Nie potrzebujesz tego - powiedziała, po czym wsunęła go do torebki.

A ja nareszcie zrozumiałem. Teraz ona została właścicielką droit morale. Olmer nie żył.

Hugh, siedzący obok, metodycznie kroił kiełbaski na idealnie wymierzone cząstki szerokości ćwierć cala.

- Wiem, że to paskudnie wygląda - powiedziała Marlene. - Ale nie bój się, skarbie. To tylko ostrożność.

To, co mówiła, było potworne, ale wyglądała zupełnie zwyczajnie, przy stole, z dłonią wsuniętą pod moją rękę, tak czuła, jak zawsze.

- Co paskudnie wygląda?

- To złamanie - odparła, zerkając w stronę mojego brata.

- Palec?

- Zabezpieczenie - powiedziała. I po raz drugi prawie się uśmiechnęła.

Miała swoje droit morale. Boże, ratuj. Przeszedłem przez pokój, do walizki, w której trzymała strój do biegania, ekwipunek włamywacza, skoro chcecie znać prawdę. Znalazłem tylko cuchnące adidasy i szorty.

- Gdzie twój sznur?

Jakiej odpowiedzi się spodziewałem? Ach, sznur, widzisz, musiałam go użyć, wspinając się do okna mojego popieprzonego męża. Kiedy już go wykończyłam, wyrzuciłam sznur precz. A potem wróciłam z powrotem do domu i wślizgnęłam się do łóżka.

W rzeczywistości powiedziała:

- Diabeł tkwi w szczegółach. - I uroczyście wyciągnęła do mnie rękę. - Teraz już nic nam nie grozi, skarbie. Po prostu mogę czuć się bezpieczniej.

- Na miłość boską - skinąłem w stronę jedzącego Hugh. - Przecież on tu był przez cały czas, spał.

- Z sądowego punktu widzenia to kiepskie alibi. Zresztą nikt nie zamierza otwierać tej puszkii Pandory.

A już na pewno nie ja.

Wstrząsnął mną krótki, urwany śmiech.

297

- Skarbie, to coś, czego na pewno nigdy nie będę musiała wykorzystać. A ty się zachowujesz, jak gdybym zamierzała. Nie zamierzam.

- Jak twoim zdaniem powinienem zareagować?

- Myślałem, że moglibyśmy pojechać do Francji, na południe. I zamieszkać tam, razem, szczęśliwi. Hugh byłby zachwycony, przecież wiesz.

Hugh siorbał herbatę przy stole. Kto wie, co słyszał i o czym myślał.

Marlene obesła stół i stanęła przede mną, nawet na obcasach sięgała mi najwyżej do brody.

- Australia też nie jest spalona, nie muszę jechać do Francji. - Poczułem delikatny dotyk jej dłoni na ramieniu i spojrzałem w te błękitne oczy, w płomienne źrenice, ciemniejące jak skały wynurzające się z oceanu, chmury granatu, wrota prowadzące do cholernie dziwnego świata.

I w końcu poczułem strach.

-Nie?-zapytała.

Nie byłem w stanie się poruszyć.

- Ja cię kocham.

Zadrzałem.

Potrząsnęła głową, jej oczy nabrzmiały od wielkich łez.

- Cokolwiek teraz sobie myślisz, udowodnię, że to nieprawda.

-Nie.

- Jesteś wielkim malarzem.

-Zabiję cię.

Wzdrygnęła się, ale po chwili musnęła mój zlodowaciały policzek.

-Zaopiekuję się tobą-powiedziała. -Będę ci przynosiła śniadanie do łóżka. Wepchnę twoje obrazy do najlepszych galerii świata. Będę się o ciebie troszczyć w chorobie i w starości.

- Jesteś oszustką.

- Nie w tej sprawie, kochanie. - A potem Marlene Leibovitz wspięła się na palce i pocałowała mnie w usta.

- To była tylko techniczna sprawa - powiedziała. Odczekała chwilę, jak gdyby liczyła, że w jakiś cudowny sposób nagle zmie-

nię zdanie, a potem, wzdychając, wsunęła raport z autopsji do torebki.

-Nigdy nie znajdziesz kogoś takiego, jakja. Znów czekała przez chwilę na odpowiedź, podczas gdy Hugh wpatrywał się w kubek.

- Nie? - zapytała. -Nie.

Wyszła bez słowa. Kto wie, dokąd się udała. Hugh i ja wylecieliśmy z JFK następnego ranka.

- Marlene leci z nami? - zapytał. -Nie.

Rozdział pięćdziesiąty piy

Panie i panowie, powiedział pilot, chłopcy i dziewczęta - głos naszego ojca, TO BYŁ KTOŚ - przez całą drogę do Sydney będzie Z GÓRKI. Zapytałem brata, co teraz stanie się z jego SZTUKĄ, odpowiedział, że wszystko stracone, obrazy sąwła-snościjakiegoś Japończyka, oby sukinkot zdechł. Kiedy wystartowaliśmy, wypił mnóstwo małych butelek czerwonego wina i nie chciał przestać, dopóki ten NAPUSZONY SNOB nie zaczął ODWRACAĆ OD NIEGO WZROKU.

Co za noc, tyle godzin bujania się nad ziemią.

A potem czekała nas CIĘŻKA PRZEPRAWA, rajd po wszystkich znanych adresach w Sydney - Tempe, Marrickville, schronisko Św. Piotra. Rzeźnik był kompletnie WYPRANY, jego dzieło życia rozkradli POWÓDKA i JAPONIEC.

WIDZIAŁEM WSZYSTKIE RZECZY, JAKIE SIĘ DZIEJĄ POD SŁOŃCEM I WSZYSTKO TO MARNOŚĆ I POGOŃ ZA WIATREM. Nawet nie wiedział, co pisze, jak zwykle.

Przez miesiąc czy dwa TWORZYŁ, ale potem usłyszał w radiu 2UE SYDNEY, że Powódka i Jean Paul sprzedali swoje udziały w Michaelu Boonie Japońcowi. Mój brat z króla stał się żebrakiem, wymazanym z życia. Wywróć zwierzaka na drugą stronę i zacznij od wyciągnięcia flaków. Uważaj, żeby nie uszkodzić żołądka, bo wszystko ci się wyleje. Kiedy porządnie oczyścisz brzuch, znajdziesz żołądek tuż pod wątrobą. R.I.P. Wyrzucił piętnaście jardów dobrego płótna do rzeki.

NIEGDYŚ SŁAWNY Michael Boone zatrudnił się potem w firmie zajmującej się koszeniem trawników. Jeszcze nigdy żadna praca tak bardzo mi się nie podobała, ale mój brat był nieodrod-

300

nym synem naszego ojca i bez przerwy wpadał w furję z powodu korków na Parramatta Road, ceny benzyny albo mokrych trawników, których nie dało mu się porządnie przyszcyc. BO W WIELKIEJ MĄDROŚCI - WIELE UTRAPIENIA, A KTO PRZYSZPARZA WIEDZY - PRZYSZPARZA I CIERPIEŃ.

Mój sen zakłócał odgłos jego bosych stóp, szurających po mieszkaniu, bezład w umyśle, bezustanny szmer w sercu, tłuszcz gromadzący się wokół nerek. Nigdy nie zapomniałem, że Rzeźnik zapłacił za moje szczęście straszliwą cenę. ALE... TERAZ MOJA KOLEJ. Chciałbym być lepszym człowiekiem. Lubiłem strzyc trawniki, szcęk ostrzy, słodki zapach, Suwające strzępy ziół, pazie królowej i inne motyle, których nazw nie znałem.

Przez pięć lat wiedliśmy NORMALNE ŻYCIE.

A potem nadszedł list z KRAJU NASZYCH DAWNYCH WROGÓW, z Niemiec, i wszystko się zmieniło. Chociaż

ZASYPALIŚMY ICH BOMBAMI, oni nic na ten temat nie wspomnieli, napisali tylko o NOWYCH WYDARZENIACH. List był z MUZEUM LUDWIKA, ha ha ha, oklasków nie trzeba, które zapraszało Rzeźnika, żeby przyjechał obejrzyć swoje obrazy wystawione w tym BARDZO WAŻNYM MUZEUM, jak nie raz słyszałem. Mój brat bał się, że to jakiś OKRUTNY ŻART.

Zrobił się wielkim, grubym, starym facetem, z głową spaloną od letniego słońca, wykrzywionymi ustami, rękami wiecznie schowanymi w kieszeniach, jakby szukał drobnych, ostatnia KUTWA. Ale tego wieczora, kiedy otworzył list z muzeum, KOSZTY NIE GRAŁY ROLI, postanowił z nimi POROZMAWIAĆ, jak mężczyzna z mężczyzną. I takim sposobem w kuchni naszego wygodnego mieszkania w dzielnicy Tempe zostało oficjalnie potwierdzone, że ktoś ocalił Rzeźnika ze ŚMIETNIKA HISTORII. Japoniec podarował dwa obrazy Muzeum Ludwika i te obrazy -widziane ostatnio na Mercer Street, NY10011, Nowy Jork, USA

- wisiały teraz NA HONOROWYM MIEJSCU. No niech mnie szlag.

Do tej chwili byliśmy bankrutami - żyliśmy na krawędzi nędzy

- a teraz mogliśmy sobie zafundować bilety samolotowe do Nie-

301

miec, nie tylko sobie, ale też młodemu Billy'emu Bonesowi, który wyrósł na wysokiego przystojniaka, niepodobnego do tatusia. Skąd się wzięła ta forsa?

Mój brat był OCALONY. Moglibyście też powiedzieć: NAWRÓCONY. Pojechaliśmy do Muzeum Ludwika prosto z dworca w Kolonii i znaleźliśmy jego dwa najlepsze dzieła wiszące naprzeciwko siebie w specjalnej sali.

JA, MÓWCA, Michael Boone (Australia), ur. 1943 - Dar Korporacji Dai Ichi

JAK UMIERA CZŁOWIEK, Michael Boone (Australia), ur. 1943 - Dar Korporacji Dai Ichi

Jako specjalistajedynie w dziedzinie UTRZYMANIA TRAWNIKÓW nie zdałem sobie sprawy, że ten cud powtórzy się następnie w innych miejscach, niech nas, w Londynie, Nowym Jorku, Canberze, biedna mama, całkiem poza jej wyobrażeniem, jej słowa przedstawionepubliczności całego świata, wstrząsająca tajemnica dla tysięcy widzów. Smutna, sfatygowana kosiarka naprzeciwko jego DZIEŁ, miał oszalałe spojrzenie i nerwowy, drżący uśmiech.

- Jezu Chryste - szepnął, kiedy przeczytał plaketkę i zoba-czyłna niej nazwisko WSPÓLNIKA, Marlene.

Ty nie masz o tym pojęcia, powiedział do mnie.

Ale stary Powolny Bones wszystko świetnie rozumiał. To był list miłosny od Marlene. Ten, który mu obiecała w dniu, kiedy groził jej śmiercią.

Przy naszej wizycie obecny był KURATOR WYSTAWY, a kiedy Rzeźnik znalazł już chusteczkę i wydmuchał nos, gość zapytał uprzejmie, czy zechcielibyśmy zobaczyć Leibovitze.

Rzeźnik odpowiedział bardzo stanowczo, prawie niegrzecznie: NIE.

No cóż, mówi na to Kurator, pomyślałem, że może zainteresuje się pan z przyczyn osobistych. Kupiliśmy nowego Leibovitza od pana Mauri, to przecież pana najważniejszy kolekcjoner.

Ach tak, j ęknął mój brat, teraz rozumiem.

Przez chwilę patrzył na Kuratora, jak gdyby ktoś zakradł się od tyłu i wsadził mu kij od szczotki w dupę.

Prowadź, Macduffie, mów.

Więc pomknęliśmy przez wszystkie te galerie, potężni faceci z wielkimi stopami, obutymi w wielkie skórzane kapcie, które pla-skały o podłogi Muzeum Ludwika, aż wreszcie dotarliśmy do obrazu przedstawiającego mechaniczną wersję Charlie Chaplina, co się nazywa po francusku LE CHAPLIN MECANIQUE. Bałem się, że ZARAZ PIERDNĘ, więc odszedłem o krok, ale Rzeźnik omal nie wetknął spieczonego nosa w farbę.

Zapytał, kiedy Mauri sprzedał galerii to płótno.

Ależ nie, powiedział Kurator, to nie to płótno. Tu wisi nasz nowy nabytek.

I tam, za nami, Boziu kochana, wisiał ten straszliwy obraz, który mój brat wystawił na dach w Soho. Od tego czasu zmienił nazwę na LE GOLEM ELECTRIQUE. Trzymałem język za zębami, ale szkoda, że nie widzieliście miny mojego brata, wszystko na raz, jak pogoda w Melbourne, deszcz, słońce, wiatr, uśmiech, skurcz, złość, pełny nos, o rany, co będzie dalej.

Za ile?

Trzy dwieście, powiedział Kurator.

Marek?

Dolarów.

Przed obrazem stała drewniana ławeczka, na której mój brat teraz usiadł i długo się nie odzywał. Aż w końcu wybuchnął śmiechem, prychając przez błyszczący nos. Patrzył to na Kuratora, to na mnie, jak gdyby nie wiedział, kto jest godny, by skierować do niego słowa, które chciał wypowiedzieć. Nikt nie był, więc Rzeźnik rzucił je w przestrzeń: To najlepsza rzecz, jaką Leibovitz kiedykolwiek namalował.

A potem podszedł do barierki, wielki, gruby, niezgrabny facet z j edną łapą schowaną w kieszeni, drugą tartł się po opalanej, tysej, piegowatej głowie.

Rozdział pięćdziesiąty szy

L/ubię, kiedy mnie doceniają i wspominają sympatią, więc musiałbym być idiotą, żeby obnażyć się przed wami, ale z drugiej strony - co innego kiedykolwiek robiłem?

MOMA, Muzeum Ludwika, Tate - nie potrafię wyliczyć wszystkich muzeów, którym Mauri podarował moje prace, i nie chcę myśleć o cuchnących układach, z jakimi te darowizny były związane. W każdym razie to wystarczyło, bym powstał jak feniks z popiołów mojego rzeźnickiego życia.

Moja zbawicielka? Morderczyni. A właściwie gorzej niż morderczyni. Chociaż raz od niej odszedłem, wciąż byłem Bonesem i wszystkie te czernie i biele, które jawiły mi się tak wyraźnie tamtego poranka w Nowym Jorku, stopniowo blakły, przybierając nowe, mieszane odcienie, niejasne, szarawe, balansujące na granicy piękna i grozy. Te fale wsiąkły mi głęboko pod skórę i wypełniły usta.

Na zatrutych przedmieściach Sydney, gdzie zamieszkaliśmy z Hugh, przykuci do brudnych kosiarek firmy Victa, nie mogłem wydobyć z siebie głosu - mimo wszystkiego, co się stało, śmierci i oszustw - wciąż byłem więźniem przeszłości. Przycinałem pieprzone kwiatowe klomby w Bankstown i jednocześnie przeżywałem

jeszcze raz tamte dni u progu jesieni, kiedy razem z moją małutkąpatrzyliśmy w słońce, wypijaliśmy butelki Lagavulin na skałach, spacerowaliśmy, trzymając się za ręce, po Muzeum Sztuki Współczesnej. Wspominałem wszystkie te noce, kiedy wtulała mi w szyję swoją śliczną główkę, a ja wdychałem jaśminowy zapach jej włosów.

304

Ktoś inny, lepszy, pewnie uciekłby, zdjęty przerażeniem, ale ja ją kochałem i Kocham nadal. No, wreszcie to powiedziałem. Marlene już nie ma, chociaż właściwie wciąż jest, jest gdzieś tam i wysyła do mnie wiadomości poprzez Dom Aukcyjny So-theby's i Instytut Sztuki w Chicago. Czy robi to ze złości, czy z tęsknoty? Skąd mam wiedzieć? Skąd możesz wiedzieć, ile zapłacić, skoro nie wiesz, ile to warte?